

Krzysztof **BESKA**

Krypta **HINDENBURGA**

Kto strzeże tajemnicy
najmroczniejszego miejsca
na Warmii i Mazurach?



OFICYNKA
WYDAWNICTWO

Krzysztof
BESKA

Krypta
HINDENBURGA





E
OFICYNKA
WYDAWNICTWO
—

PROLOG

Hohenstein, Prusy Wschodnie, 5 sierpnia 1934 roku

Słońce, które wyszło zza Wieży Dowódców, wydłużało cienie dwóch mężczyzn idących drogą między kompleksem Tannenberg-Denkmal a stojącym trzysta metrów dalej cokołem z kamienną rzeźbą lwa. Jeden z nich nosił mundur oficera Wehrmachtu, drugi, niższy i tęższy, jasny garnitur i słomkowy kapelusz.

Pierwszym był pułkownik Joachim von Below z naczelnego dowództwa, drugim zaś inżynier Wilhelm Schmidt z berlińskiej pracowni architektonicznej Waltera i Johannes Krügerów, twórców tej budowli. Stawili się tu wczesnym rankiem, aby dokonać ostatniej inspekcji miejsca, gdzie za dwa dni zaplanowano uroczystości pogrzebowe, jakich Rzesza jeszcze nie widziała.

Przed trzema dniami, drugiego sierpnia 1934 roku, zmarł bowiem jej prezydent, feldmarszałek Paul von Beneckendorff und von Hindenburg.

Obaj mężczyźni, obejrzawszy budowlę z zewnątrz, weszli przez główną bramę, by po chwili zniknąć w drzwiach w jednej z wież. Po pokonaniu krótkiego korytarza ruszyli w dół po skręconych spiralnie schodach. Zawiodły ich one jedynie na głębokość jednego piętra.

Na końcu kolejnego korytarza, w niewielkiej izbie przywodzącej na myśl więzienną celę, oczekiwał ich podpułkownik Schumacher z pułku

piechoty w Osterode. To właśnie żołnierze z tego miasta pełnili tu na co dzień wartę honorową.

– Witam panów w moich skromnych progach – pozdrowił przybyszy, wskazując krzesła.

– Dzień dobry. – Schmidt zdjął kapelusz, jego towarzysz zaś zasalutował bez słowa.

– Jak już zapewniałem w rozmowie telefonicznej, uwzględniliśmy sugestie pańskiej pracowni architektonicznej – Schumacher spojrzął na gościa z Berlina – i przygotowaliśmy nasz batalion do pełnienia służby podczas uroczystości – tu przeniósł wzrok na von Belowa. – Denkmal jest gotowy na przyjęcie marszałka. Tym samym życzenie Adolfa Hitlera zostało spełnione.

Problem w tym, że nie zostało spełnione życzenie samego zainteresowanego – pomyślał architekt, a myśl taka mogła równie dobrze pojawić się także w głowie pułkownika.

Hindenburg, mimo że przed siedmioma laty osobiście odsłaniał pomnik swojej chwały, wcale nie chciał być pochowany w tym miejscu! Zdecydował o tym sam Hitler, który chwilę po śmierci prezydenta zaczął dzierżyć władzę należną wcześniej obu.

Ciało Hindenburga miało być przewiezione z jego majątku rodzowego w Neudeck. Za dwa dni zaplanowano uroczystość pogrzebową. Miała być niepowtarzalna, wszak chowano prezydenta, mimo że z jego zdaniem coraz mniej się liczone. Malowano więc płoty, zamiatano uliczki w Hohenstein, prasowano flagi. Gestapo węszyło w poszukiwaniu „elementu”...

Na miejsce wiecznego spoczynku feldmarszałka wybrano dziedziniec. Na jego środku stał drewniany krzyż, pod nim zaś znajdował się grób dwudziestu żołnierzy niemieckich poległych w bitwie pod Tannenbergiem

w 1914 roku. Ich szczątki poprzedniego wieczoru przeniesiono gdzie indziej, czyniąc miejsce dla trumny marszałka.

Schmidt nie zgłosił żadnych uwag. Podpisał wszystkie potrzebne dokumenty.

– Zatrzymał się pan w Hohenstein, inżynierze? – zapytał go von Below, gdy obaj znaleźli się przy daimlerze pułkownika.

– W hotelu Kaisehof – sprecyzował Schmidt.

– W takim razie mieszkamy po sąsiedzku, bo ja mieszkam w Zentral Hotel. – Oficer położył dłoń w czarnej rękawiczce na klamce drzwiczek samochodu. – Chętnie pana podwiozę.

– Tu wszystko jest po sąsiedzku, pułkownika.

Daimler przejechał pod wieżą, po chwili znalazł się na drodze, gdzie kierowca mógł wreszcie przyspieszyć. Mknęli wzdłuż szpaleru dębów, posadzonych w trakcie budowy pomnika, zostawiając za sobą obłok kurzu. Jednak po chwili, zamiast skierować się do Hohenstein, samochód pojechał dalej, ku ciemnej ścianie lasu.

– Niech się pan nie obawia – mruknął von Below. – Chciałbym tylko zamienić z panem kilka słów. Na osobności.

Wreszcie zatrzymali się na polanie. Kierowca bez słowa opuścił auto i oddalił się. Schmidt widział, jak kilkanaście metrów dalej, oparty plecami o pień drzewa, zapala papierosa.

– Cygaro? – Pułkownik zbliżył w stronę architekta otwarte pudełko ze stylizowanym napisem „Befti”.

– Nie palę – odparł Schmidt. – Czego pan właściwie ode mnie chce, pułkowniku?!

Joachim von Below nie dziwił się nieprzyjaznemu tonowi architekta. Nie od razu też odpowiedział na pytanie. Najpierw niespiesznie, za pomocą

korbki opuścił szybę, potem długo trzymał zapaloną zapalną przy końcu brązowego zwitka.

– Potrzebujemy pańskiej pomocy, inżynierze Schmidt.

Te słowa nie były w stanie uspokoić architekta. Zbyt często słyszał o tajemniczych zniknięciach wielu ludzi w całych Niemczech.

– „My” to znaczy kto? – warknął. – Nie przywykłem do zagadek. Jak chcę się rozerwać, to idę w Berlinie do kabaretu. Albo jeszcze gdzie indziej. Wie pan, co mam na myśli...

Pułkownik zdjął czapkę i wypuścił z ust obłok dymu. Na jego twarzy przez chwilę błąkał się uśmiech, jednak oczy pozostawały poważne. Poważne jak problem, który był do rozwiązania.

– Za dwa dni będą tu tłumy – powiedział von Below, spoglądając przed siebie.

– Niezaprzeczalnie – zgodził się architekt.

– Trumnę opuszczą do grobu, usłyszymy bicie kościelnych dzwonów i huk armatnich wystrzałów. Nad grobem przemówi sam Hitler. Padną wielkie słowa: o kontynuowaniu dzieła, o tysiącletniej Rzeszy, ale także o mitycznej Walhalli, do której rychło zawita dusza zmarłego.

Schmidt znacząco spojrział na zegarek. Nie uszło to uwadze oficera.

– W tej miejscinie i tak nie ma co robić – rzucił półgębkiem von Below.

– Przepraszam... – stropił się cywil.

– Nie ma za co, właściwie już kończyłem – uśmiechnął się pułkownik.
– Chciałem tylko powiedzieć, że w ten sposób koło się zamknie. Do tysięcy poległych w krwawej bitwie żołnierzy dołączy po latach ich naczelny wódz, ojciec zwycięstwa nad Rosjanami. I właśnie w imieniu tych chłopców, często bezimiennych, chciałbym poprosić pana, inżynierze, o jedną małą przysługę.

– Co to za przysługa?

- Już mówię. W krypcie jest miejsce na dwie trumny, prawda?
 - Owszem. Pomyśleliśmy o żonie marszałka.
 - To zrozumiałe. Nasza prośba może pana mocno zdziwi, ale...
 - No, niech pan wreszcie mówi, pułkowniku! – zawołał inżynier Wilhelm Schmidt.
- Chodzi o to, żeby znalazło się tam miejsce na... jeszcze jedną trumnę
- dokończył pułkownik Joachim von Below z wyraźną ulgą, podnosząc do ust cygaro marki Befti.

Olsztynek, współcześnie, początek lipca

– Rzeźba Micheleangelo Pietrobelliego, którą państwo oglądają, przetrwała wysadzenie mauzoleum Hindenburga zimą 1945 roku i późniejszą dewastację ruin. Przez długie lata los lwa nie był znany. W 1993 roku rzeźba została przypadkowo odnaleziona.

Mężczyzna w białej baseballówce przerwał monolog. Zdjął czapkę z głowy, rękawem koszuli otarł pot z czoła. Przez sekundę zastanawiał się, czy ponownie założyć nakrycie głowy. Pożytku prawie żadnego. Po chwili zdecydował się pozostać z gołą głową, a czapką zaczął się pracowicie wachlować.

– Władze Olsztyńska – kontynuował – zdecydowały, by lwa po odrestaurowaniu postawić na placu przed ratuszem, na dużo niższym cokole.

Po ryneczku przejechał zdezelowany maluch. Krzyczały dzieci, szczekał pies. Miasteczko żyło własnym, powolnym życiem. Od dawna nikt nie zwracał tu większej uwagi na turystów z Niemiec. Tylko gdzieś w tle miejscowi chłopcy czaili się z zamiarem wciśnięcia wycieczkowiczom za

parę euro pocztówek, które nabyli w pobliskim kiosku za kilkadziesiąt groszy.

Stefan Ludwiszewski, licencjonowany przewodnik turystyczny, ponownie włożył na głowę baseballówkę. Dwadzieścia sześć par oczu przypatrywało mu się z niesłabnącą uwagą i dziecięcym wręcz zaciekawieniem. Dwadzieścia sześć par uszu, mimo że częstokroć wspomaganych aparatami słuchowymi, wciąż było gotowe łowić każde słowo wypowiedziane w języku niemieckim.

Skąd oni mają tyle sił w tym wieku? – zastanawiał się Ludwiszewski, patrząc na swoich podopiecznych, kobiety i mężczyzn, ludzi w wieku osiemdziesięciu, osiemdziesięciu kilku lat, którzy jak co roku przyjeżdżali z wycieczką do dawnych Prus Wschodnich.

– Granitowe płyty pochodzące z mauzoleum Hindenburga trafiły między innymi do Warszawy, gdzie posłużyły za budulec gmachu komitetu centralnego partii komunistycznej, a także, co będziemy mogli sprawdzić już jutro, stojącego w Olsztynie pomnika Wdzięczności Armii Czerwonej, którego autorem jest polski rzeźbiarz, Xawery Dunikowski.

Ktoś z grupy zakaszłał, ktoś odchrząknął.

– A teraz udamy się na miejsce, gdzie przed laty znajdował się Tannenberg-Denkmal. – Przewodnik wskazał ręką na autokar, którego kierowca właśnie zajmował miejsce za kierownicą.

Grupa ruszyła w kierunku pojazdu, gwarząc między sobą w parach, trójkach, czasem w większych grupkach. Nikt się nie ociągał, dzień bowiem zaczął się dość wcześnie i żołądki już domagały się napełnienia.

Nikt też chyba nie byłby w stanie zauważyć, że prócz zignorowanych nastolatków z pocztówkami ktoś jeszcze z bacznością przygląda się grupie turystów.

Niespełna dziesięć minut później klimatyzowany neoplan pokonywał krętą drogę, na której końcu kiedyś znajdowała się wspomniana przez przewodnika budowla.

Dziś nie pozostało z niej nic. Zupełnie nic. Tylko łagodne wzgórze.

– Tu właśnie znajdowało się mauzoleum Hindenburga – zakomunikował przewodnik.

Nie było nawet po co wychodzić z autokaru. Płakać też nie. Gdyby oglądać ruiny domu urodzenia lub dzieciństwa, kościół, w którym przystępowało się do pierwszej komunii, a który dziś jest domem kultury czy magazynem, to co innego...

– Jedziemy, panie Heńku – Ludwiszewski wydał polecenie kierowcy, po czym ponownie włączył mikrofon, by dokończyć swoją kwestię: – Jedyne, co pozostało z budowli, to ukryte głęboko w ziemi fundamenty.

Nigdy tego nie liczył, ale chyba połowa wszystkich tras wycieczkowych, jakie odbywał z Niemcami po Warmii, Mazurach, Powiślu i Żuławach, miała takie momenty – smutne i bolesne. Wiedział, że to samo odczuwają Polacy odwiedzający Wilno, Lwów, Łuck, Stanisławów. Bywało też, choć coraz rzadziej, że musiał się gęsto tłumaczyć za Roosevelta, Churchilla i Stalina.

Kilka minut później zatrzymali się przed zajazdem. Uczestnicy wycieczki zaczęli opuszczać autokar, niektórzy postępując z cicha, inni prowadząc ożywioną dyskusję, jak to między ludźmi, którzy mają dużo wolnego czasu, tak naprawdę mając go coraz mniej.

O tym ostatnim mieli się przekonać dzisiaj.

Stare Jabłonki k. Ostródy, w tym samym czasie

Pociąg z hukiem przetoczył się po nasypie. Widząc czerwone światła ostatniego wagonu, Bogdan Sikorski nacisnął gaz. Po kilku chwilach jego terenowy nissan pathfinder na francuskich numerach pokonał przejazd kolejowy.

Kierowca wrzucił trzeci bieg, nacisnął gaz, ale nie miał zamiaru zbyt szybko rozpędzać, mimo że chronił go immunitet europośła. Sam miał dwoje dzieci i nienawidził gości, którzy gnali na złamanie karku po terenie zabudowanym. Przycisnął więc dopiero wtedy, gdy minął wieś. Za kółkiem czuł się pewnie; kilometry, które w ostatnim czasie pokonywał z domu pod Olsztynem na lotniska w Gdańsku i Warszawie, skąd dalej leciał do Brukseli, zrobiły swoje.

Kwadrans wcześniej w restauracji jednego z hoteli nad jeziorem Szelańg Wielki zjadł obiad i udzielił wywiadu dziennikarzowi miejscowej gazety, redaktorowi Władysławowi Kolasie. Chwilę przed rozpoczęciem rozmowy jego prawa ręka na chwilę zanurkowała w kieszeni, natrafiła na niewielki guzik i nacisnęła go. Potem wszystko potoczyło się jak zwykle.

Spotkanie z dziennikarzem nie było ostatnim punktem w planie dnia Sikorskiego. Za kwadrans był umówiony w Worytach pod Gietrzwałdem, gdzie miał się spotkać z pewną starszą panią, jak sądził z rozmowy przeprowadzonej przedwczoraj przez telefon. Kobieta błagała go o spotkanie, a na pytanie, czemu nie odwiedzi go w jego biurze poselskim, odpowiedziała, że jest chora i ma problemy z poruszaniem się. Dlatego zgodził się do niej przyjechać.

Zza łuku szosy wychynęła strzelista wieża sanktuarium maryjnego w Gietrzwałdzie. Na miejscu będzie za kilka minut, ze znalezieniem właściwego domu też nie powinien mieć większych problemów. Słońce, dotąd piekące nieubłaganie, skryło się za dużą, ciemną chmurę.

Kilkaset metrów dalej Bogdan Sikorski ujrzał przechodnia. Młody człowiek stał na skraju drogi. Coś było dziwnego w jego pozie: założone ręce, jasnorude włosy i obojętny wyraz twarzy, którą charakteryzowała wysunięta mocno szczęka. Nie, tak nie zachowują się autostopowicze. Może więc był to miejscowy, umilający sobie czas spoglądaniem na przejeżdżające auta albo po prostu na kogoś czekający?

Mógłby to być także... geodeta. No pewnie, że geodeta! Jakiś jego kompan idzie teraz z kolorową tyczką, zwaną łata, lub celuje z dalmierza. Bogdan zawsze lubił bawić się myślami, szczególnie podczas podróży samochodem. Nikogo z kolorową tyczką jednak nie spotkał.

Wjechał do Gietrzwałdu. Minął kilka autokarów wiozących pielgrzymów i po chwili mknął już na północny zachód, w kierunku Woryt.

Wtedy zadzwoniła komórka. Odebrał połączenie, nie spojrzawszy nawet na wyświetlacz.

– Sikorski, słucham.

W głośnikach odezwał się głos jego żony. Anna chciała tylko wiedzieć, o której wróci do domu. Rozmawiali jeszcze przez kilkanaście sekund, po czym rozłączyli się. W tej samej chwili nissan europośla dojechał na miejsce.

Sikorski wyłączył silnik i wysiadł, przez cały czas bacznie obserwując dom i obejście. Był to zwyczajny domek, jakich tysiące stoi jeszcze nad jeziorami niegdysiejszych Prus Wschodnich, zbudowany z czerwonej cegły, ze spadzistym, omszałym tu i ówdzie dachem.

– Dzień dobry! – zawołał, zbliżywszy się do wejścia.

Pchnął furtkę, wszedł do ogrodu. Po chwili zapukał do drzwi.

Żadnej reakcji. Nie było nawet słychać szczekania psa, a przecież większość ludzi na wsiach psy trzyma.

Sikorski przestraszył się, że starszej pani coś się stało. Zawał, wylew, paraliż – w podeszłym wieku wszystko jest możliwe. No i ten sądowy pozew.

Spóźniłem się! – pomyślał.

Nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte.

– Dzień dobry – powiedział.

Wszedł do środka. Od razu poczuł niezbyt przyjemny zapach, charakterystyczny dla starych wiejskich domów – zapach pracy ponad siły, pracy przez całe życie, pomieszany z wonią obory i rozpadających się mebli. Na ścianach zauważył grzyb. Czy ktoś naprawdę tutaj mieszkał?

– Pani Lengowska – zawołał nieswoim, drżącym głosem. – Czy jest pani w domu? Byliśmy umówieni...

Po chwili znalazł się w kuchni, która jednak także okazała się pusta. Cofnął się więc do przedpokoju, z którego perspektywy ujrzał pomieszczenie mogące być dużym pokojem. Drzwi broniące dostępu do niego były uchylone.

Odchrząknął kilka razy, nie chciał przestraszyć gospodyni, gdyby jednak była w domu, i ruszył w tamtym kierunku.

– Halo! Jest tu kto? – zapytał ponownie.

I znów odpowiedziało mu milczenie.

Europoseł pchnął drzwi, które, wbrew wyglądowi, uchyliły się bezszelestnie. Przekroczył próg największej izby...

Okolice Olsztynka, w tym samym czasie

Wszyscy uczestnicy wycieczki musieli znaleźć się w kadrze kamery sony, którą w pokrytych brązowymi plamkami dłoniach trzymał Klaus Miehlke,

emerytowany nauczyciel matematyki z Kolonii. Inni również uwieczniali eskapadę na swoich aparatach i kamerach, jednak tylko jeden Miehle stawiał mniej na widoki, a bardziej na ludzi.

– Bo jeszcze Oscara dostaniesz – zaśmiała się siedemdziesięciopięcioletnia Ingeborg Schwarz z Dortmundu, podczas gdy jej dziesięć lat starszy mąż, Erich, dziecięcym gestem doprawiał jej rogi.

W sali jadalnej roznosił się zapach jedzenia, choć konia z rzędem temu, kto potrafiłby zgadnąć, jaka potrawa była tego przyczyną. Z pewnością składały się na ową woń zapachy stojących na stołach przypraw, którymi przesiąkły obrusy, tapicerka krzeseł, zasłony. Stare restauracje i stołówki zawsze pachną tak samo, niezależnie od tego, jakie frykasy przyrządził kucharz i podświetlane reklamy jakich napojów powiesiłby nad głową barman.

W drzwiach prowadzących do kuchni zakotłowało się od kelnerów i kelnerek wnoszących wazy z zupą. Prawdopodobnie czas, kiedy zajazd gościł wycieczkę, był najgorętszym momentem dnia. Zresztą ku uciesze wszystkich, bowiem znaleźć się na liście miejsc, w które Stefan Ludwiszewski prowadził swoich podopiecznych, chciał każdy właściciel restauracji, baru czy sklepu z pamiątkami.

– Pomidorowa. – Erich Schwarz zajrzał do wazy, aż mu zaparowały szkła okularów.

Zaczęli jeść. Salę wypełnił szcęk sztućców, podzwanianie zastawy, od czasu do czasu jakieś wibrujące niemieckie słowo.

– Ciekawe, co zobaczymy jutro w Allenstein – zastanawiała się głośno pewna pani, starając się jednocześnie nabierać na łyżkę samą zupę, bez klusek.

– Siostra mówiła, że mało co zostało tam w całości – nie pocieszył jej siedzący obok pan, łysy jak kolano. – Może ratusz czy jakiś kościół.

Pojedyncze kamienice.

– To straszne – oceniła kobieta.

Kiedy Frank Prochnov, mężczyzna nieodbiegający od pozostałych ani wiekiem, ani wyglądem, wstał nagle od stołu, nie dokończywszy zupy, nikt z jego towarzyszy zbytnio się tym nie zdziwił. Zauważono, że staruszek miał problem z pęcherzem i często podczas jazdy odwiedzał pokładową toaletę.

Siorbiąca zupę Ingeborg wymieniła z Erichem porozumiewawcze spojrzenie, prawdopodobnie pod tytułem „Jak to dobrze, *meine Liebe*, że twoja prostata działa bez zarzutu”.

Tymczasem podano drugie danie: ziemniaki, kotlet schabowy z odrobiną przesmażanej kapusty, zestaw surówek. Młodziutka kelnerka sprzątnęła talerz z niedokończoną przez Franka zupą, zanim ktokolwiek zdążył zaprotestować. Na tym miejscu jej kolega postawił po chwili talerz z drugim daniem.

Ale Frank nie wracał.

– Wszystko w porządku? Smakuje państwu obiad? – zapytał Schwarzów Stefan Ludwiszewski, kończąc tradycyjną rundkę między stolikami.

– *Ja, gut* – odpowiedział Erich.

Kolejna wymiana spojrzeń z żoną kazała mu jednak zrewidować opinię.

– Frank Prochnov wyszedł do toalety i długo nie wraca – rzekł, robiąc zboląłą minę, jakby to jemu samemu dokuczała wstydliva choroba. – Trochę się o niego martwimy.

– Zaraz sprawdzę, co się stało – odparł Ludwiszewski.

Kilkoma krokami pokonał dystans dzielący główną salę i przedsionek, gdzie znajdowały się wejścia do toalet. Wszedł do męskiej. Stwierdził, że w jednej z kabin pali się światło.

– Panie Prochnov – zawołał niezbyt głośno, żeby nie robić niepotrzebnego zamieszania. – Jest pan tam? Czy wszystko dobrze?

Odpowiedziała mu cisza. Ludwiszewski zapukał do drzwi kabiny, a gdy to nie przyniosło odzewu, zdecydował się nacisnąć klamkę.

Drzwi ustąpiły, jednak Polak uchylił je tylko na kilka centymetrów. Jeszcze raz wywołał swojego podopiecznego, ale znów jedynym dźwiękiem, jaki pochwyciły jego uszy, był jednostajny szum wody w spłuczce.

W tym samym momencie przewodnik zauważył leżący na podłodze niewielki przedmiot. Było to czerwone, płaskie pudełeczko zapalek, jakie często spotyka się w restauracjach czy hotelach, z jakąś nic niemówiącą mu nazwą.

Może po prostu wyszedł sobie na papierosa, a ja robię z siebie durnia? – przeszło mu przez myśl.

Zdecydowanie pociągnął za klamkę. To, co ujrzał, spowodowało, że poczuł nagłą niemoc w mięśniach nóg.

Na muszli klozetowej z opuszczonymi do kostek spodniami siedział poszukiwany uczestnik wycieczki. Jego ciało było nienaturalnie odchylone do tyłu, ręce zwisały wzdłuż tułowia.

– Boże – jęknął Ludwiszewski po polsku.

Frank Prochnov oczy miał otwarte, wzrok nieruchomy. Na jego czole, dokładnie nad prawą powieką, widniał ciemnoczerwony punkt. Włot pocisku...

KSIĘGA PIERWSZA

IMPETUS

Olsztyn, nazajutrz, dzień pierwszy

Tomasz Horn wypił łyk kawy i odstawił filiżankę na spodeczek. W tym samym momencie powiew wiatru porwał wetknięty pod talerzyk rachunek i uniósł go na wysokość pierwszego piętra stojących opodal staromiejskich kamieniczek.

Mężczyzna śledził losy kawałka papieru, póki ten nie upadł w niewielką kałużę, jedyną pozostałość po nocnej ulewie, która ubiegłej nocy przeszła nad Warmią.

Całe nasze życie jest jak ten świstek z kasy fiskalnej – pomyślał ze smutkiem.

– Bardzo pana przepraszam... – wyrwał go z zamyślenia schrypnięty głos; jakiś menel z zarośniętą, ogorzałą i spuchniętą twarzą czaił się za płotem, ogradzającym kawiarniany ogródek od reszty uliczki.

Horn zignorował natręta. Podobnie jak chwilę wcześniej kolorowy breloczek, który jakiś chłopak położył na jego stoliku wraz z kartką zachęcającą do zakupu. Menel nie miał jednak zamiaru dać łatwo za wygraną. Już chciał ponowić próbę, kiedy zza rogu ulicy Kołłątaja i Starego Miasta wytoczył się policyjny volkswagen. To spowodowało natychmiastowe zniknięcie żula.

– I znów miło – mruknął Horn pod nosem, wyciągając przed siebie nogi.

Dokładnie tydzień temu, ostatniego dnia czerwca, Tomasz Horn, dziennikarz działu stołecznego ogólnopolskiego dziennika, udał się na zasłużony urlop. I o ile w telewizji czy gazetach co chwilę mówiono albo o lecie bez słońca, albo bez czereśni, albo bez komarów, w przypadku tego człowieka wiele wskazywało na to, że w tym roku szykuje się lato bez... awantury.

Niestety czy na szczęście – tego nie był pewien. Wszystko zależało od tego, czy jego ścigali, czy on ścigał. Albo czy zagadki pozostawione potomnym, w tym i jemu, były łatwe do rozwiązania, czy też nie.

Ów dreszczyk emocji, niepodobny do żadnego innego, Tomasz Horn po raz pierwszy poczuł niespełna rok temu, tropiąc zagadki, zarówno te historyczne, jak i współczesne, w Kwidzynie, Fromborku i Gdańsku. To, co wtedy się wydarzyło, było też powodem obecności Horna w Olsztynie.

Dwa dni temu Horn przysłuchiwał się organizowanej przez miejscowy uniwersytet, dokładnie jego Wydział Teologiczny, sesji naukowej. Jej tematem była niegdysiejsza służba wojskowa kleryków. Pośród prelegentów był ksiądz Józef Nehring, proboszcz z Tolkmicka. To właśnie z nim Horn współpracował poprzedniego lata.

– Dziękuję – powiedział do kelnerki, która właśnie zabrała ze stolika talerzyk po ciastku czekoladowym, nie ruszając jednak filiżanki, na której dnie jeszcze znajdowało się trochę kawy.

Pewnie dorabia sobie w wakacje jak wielu jej rówieśników – spekulował w duchu.

Dziewczyna była ładna, co nie uszło uwadze dziennikarza. Od niedawna był przecież znów wolny. Jego małżeństwa z Małgorzatą nie dało się uratować; każde z nich poszło swoją drogą.

Dokładnie w chwili, gdy kelnerka zniknęła w drzwiach kawiarni, kolejny podmuch wiatru przyniósł pojedynczy dźwięk z wieży olsztyńskiego

ratusza, oznaczający kwadrans po pełnej godzinie. Mieszczącą się naprzeciwko lodziarnię oblegała rozkrzyczana hałastrą kolonistów w jednakowych, białych czapeczkach. Nad dziećmi czuwała para niewiele starszych wychowawców.

Horn dopił wystygłą kawę i wstał z krzeselka. Był w dobrym humorze. W pracy wiodło mu się nie najgorzej, gotów był więc wysłuchać w spokoju każdej propozycji, nawet dotyczącej wykupienia dodatkowej polisy na życie.

Kilka chwil później znalazł się na wybrukowanym placu Starego Miasta, wszedł pod arkady ciągnące się wzdłuż jednej z pierzei. Po minucie dotarł na Targ Rybny. Przeszedł obok straganów, na których wystawiono przeróżne bibeloty, starzyznę-niemczyznę, a także szeroko pojętą twórczość ludową.

Jego uwagę przyciągnęły, jak zwykle, stare książki. Był wśród nich album, przedstawiający dzieła znanego polskiego rzeźbiarza, Xawerego Dunikowskiego.

Horn zaczął wertować książkę. Szybko trafił na to, co spodziewał się znaleźć.

– Niewiele się zmieniły, prawda? – zagadnął go właściciel stoiska, starszy mężczyzna w okularach w grubej oprawie.

– Co pan ma na myśli?

– No, „szubienice”! Rzeźba Dunikowskiego. Patrz pan, tyle lat od upadku komuny, a one wciąż stoją...

Horn skinął głową na znak, że myśli podobnie. Odłożył album. Zbliżał się już bowiem czas spotkania w greckiej tawernie przy Wysokiej Bramie. Pewien znajomy miał do niego ponoć niezwykle ważną sprawę „nie na telefon”.

Zajął miejsce przy stoliku. Chwilę przyglądał się tłumowi, który przetaczał się uliczką.

– Poproszę gyros – dokonał wyboru, gdy zjawiała się kelnerka; był głodny, nie widział też nic niewłaściwego w zamówieniu jedzenia przed przybyciem człowieka, z którym się umówił.

Oddał kartę, po czym spojrzął na zegarek. Było dziesięć po pierwszej. Znajomy spóźniał się. To tym bardziej utwierdziło Horna w tym, że dokonał słusznego wyboru. Oby jeszcze gyros okazał się jadalny – pomyślał.

Kilka minut później przyniesiono wielki talerz z zamówionym daniem. Dziennikarz chwycił sztućce i zaczął jeść. Przez chwilę zapomniał nawet, po co tu przyszedł i na kogo czeka. Świadomość ta wróciła mu dopiero wtedy, gdy nasycił głód. Znów odruchowo przyglądał się przechodniom. Żaden z nich jednak nie zbaczał z trasy, by wejść do tawerny.

Dzwony na wieży ratusza poinformowały, że jest za piętnaście druga. Tamten spóźniał się więc trzy kwadranse i Horn nie miał już wielkich nadziei na jego pojawienie się. Sprawdził komórkę, ale nikt do niego nie dzwonił. Nie czuł z tego powodu żalu ani wściekłości. Był przecież na urlopie.

– Rachunek proszę – powiedział do przechodzącej akurat kelnerki.

– No i doigrał się, skurwiel! – zawołał jakiś gruby facet, siedzący trzy stoliki od Horna, uderzając dłonią w czytaną gazetę; była to „Gazeta Olsztyńska”.

Przeciw komu tak złorzeczył czytelnik miejscowego dziennika?

– Z tego już się nie wyłga. – Grubas pokręcił głową. – I Bruksela nie pomoże...

Horn zapłacił za gyros, jednak nie wstawał z miejsca. Dopiero gdy tamten człowiek opuścił ogródek, podszedł do jego stolika i wziął do ręki

gazetę umieszczoną w drewnianym uchwycie.

To, co przeczytał na pierwszej stronie, spowodowało, że musiał usiąść.

– Europoseł z Warmii i Mazur, Bogdan S., zamieszany w morderstwo ukraińskiej prostytutki – przeczytał na głos tytuł artykułu.

II

Barczewo k. Olsztyna, dzień pierwszy

Zygmunt Pleban zebrał w ustach ślinę, przechylił się przez balustradę mostu i z głośnym charknięciem splunął do rzeki. Żółtawy balon dosięgnął wody, rozbił się i zniknął w ułamku sekundy, porwany przez wartki nurt Pisy. Przechodząca obok młoda dziewczyna w letniej sukience obejrzała się i z obrzydzeniem pokręciła głową.

Dostrzegł ten gest. Pogładził się po sumiastych wąsach, po czym uśmiechnął się szeroko. Nawet posłał jej całusa! Widząc to, nieznajoma przyspieszyła kroku. Myślała pewnie, że ma do czynienia z kimś, kto przed chwilą wyszedł za bramę przy Klasztornej. Albo właśnie tam zmierza z kilkudniowej przepustki.

On nie wyglądał co prawda na kryminalistę, ale przecież mało kto teraz wygląda. Możesz nosić biały kołnierzyk i garniturek od Cardina, a i tak, jak będą chcieli, znajdą na ciebie paragraf!

Pleban popatrzył jeszcze przez chwilę na rzekę, po czym wyprostował się i ruszył w stronę zaparkowanego nieopodal samochodu. Było to piękne terenowe bmw. Po chwili rozległ się nosowy pomruk uruchamianego silnika i auto potoczyło się ulicą Mickiewicza w stronę centrum.

Nie sposób tu było zabłądzić. Terenówka była zresztą wyposażona w aparaturę, która bezbłędnie doprowadziła kierowcę do celu. A tym było

skrzyżowanie ulic Kościuszki i Południowej, przy którym stał niewielki, nieco zapuszczony domek.

Po kilku chwilach Pleban stanął przed drzwiami. Nacisnął dzwonek, dla pewności jeszcze zapukał. Nie czekał długo. Przez szparę między krawędzią drzwi a futryną wyjrzała para nieufnych, starczych oczu.

– Dzień dobry, moje nazwisko Lewandowski – przywitał się przybysz, wykrzywiając twarz w wymuszonym uśmiechu. – Rozmawialiśmy wczoraj wieczorem przez telefon.

– Co? – dobiegło z wnętrza domu.

Staruszek sprawiał wrażenie, że albo nie dosłyszał, albo nie rozumie, co do niego mówią. Drzwi domu też nie uchyliły się nawet o milimetr, choć Pleban był pewien, że zdołałby je otworzyć i utorować sobie drogę jednym, nawet nie bardzo mocnym pchnięciem. Wiedział jednak, że musi działać ostrożnie. Nie tylko dlatego, że to środek miasta i środek dnia.

– Moje nazwisko Lewandowski – powtórzył nieco głośniej, starając się zachować spokój. – Przysyła mnie dyrektor Nowicki. Rozmawialiśmy wczoraj. Pan Kazimierz Wieczerzak?

– Aaa, to pan. – Oczy dziadka zabłyśły na chwilę, a uśmiech, nieco dłuższy, odsłonił liczne ubytki w uzębieniu. – Oczywiście, przypominam sobie. Proszę, niech pan wejdzie.

– Dziękuję.

Gość wszedł do środka. Jego nozdrza z miejsca pochwyciły charakterystyczną woń drewna i starości. Podłoga, wytarta do żywego w okolicach drzwi wejściowych, zaskrzypiała.

Weszli do izby pełniącej funkcję tak salonu, jak i sypialni. Stojące w rogu, pod monidłem przedstawiającym nowożeńców, podwójne łóżko było niezaścielone, a pościel dawno niezmieniana.

Pleban starał się nie patrzeć w tamtą stronę. Ściany były odrapane, w jednym miejscu wisiała gęsta pajęczyna. Na stoliku pod oknem leżała połówka chleba i nóż w otoczeniu okruchów. Nie trzeba było być szczególnie bystrym znawcą życia, by stwierdzić, że człowiek ten żyje w nędzy, którą do pewnego momentu dzielił z żoną.

I pomyśleć, że kiedyś obaj podlegaliśmy jednemu ministrowi – przeszło przez głowę Plebanowi. Tak oto ojczyzna odpłaca się swoich obrońcom.

– Proszę, niech pan siada. – Wieczerek odsunął od stołu jedno z chybliwych krzesełek i wskazał je gościowi. Sam zajął drugie, po przeciwnej stronie.

Przybysz najostrożniej, jak potrafił, dotknął siedziska. Jednocześnie asekurował się, opierając łokcie na krawędzi stołu, wolnej od okruszyn. W takiej pozycji, mając nadzieję, że stary nie zaproponuje mu nic do picia, przystąpił do wyłuszczenia sprawy.

– Wczoraj, w rozmowie telefonicznej, powiedział mi pan, że pracował w miejscowym więzieniu w latach tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt pięć – tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt osiem.

– Zgadza się – potwierdził staruszek. – Mam dokumenty, odznaczenia. Wszystko w najlepszym porządku, proszę pana redaktora. Pokazać? – Dźwignął się, gotowy udowodniać swoje słowa.

– Nie, może potem – powstrzymał go Pleban, starając się jednocześnie nie wybuchnąć śmiechem. – Do tego jeszcze dojdziemy. Niech pan siada, panie Kazimierzu...

– Ja nikomu nie zrobiłem krzywdy, proszę pana. – Sierżant Wieczerek uderzył się oburącz w zapadłą klatkę piersiową. – Nikt z działaczy „Solidarności”, proszę pana, nie został przeze mnie nigdy skrzywdzony. Nigdy! Zapytajcie Frasyńki. On przecież siedział u nas, w Barczewie.

– To prawda.

– Gdyby nie ja, panie, toby go zakatowali na śmierć, bo taki przyszedł cichy rozkaz, z samej góry. Każdy panu to powie!

– Tak, dziś wszyscy są rozmowni, gdy się ich zapyta o tamte czasy. I wszyscy byli w opozycji...

– Ja po to przyszedłem do więzienia, żeby zajmować się tylko bandytami i zbrodniarzami. Często takimi, którzy czekali u nas na wyrok śmierci.

Pleban pokiwał ze zrozumieniem głową, by za chwilę rzec ściszym głosem:

– Właśnie o jednym z nich chciałbym z panem porozmawiać.

– O kim? O Frasyniuku?

– On chyba nie miał aż tak wysokiego wyroku – zauważył gość.

– To o kogo panu chodzi?

– O Ericha Kocha, panie Wieczerek. Pamięta pan takiego więźnia?



Olsztyn, dzień pierwszy

Tomasz Horn zatrzymał samochód na parkingu przed siedzibą „Gazety Olsztyńskiej” na peryferyjnym Tracku. Dotarł tu, aby uzyskać jakiegokolwiek informacje na temat tego, co spotkało jego przyjaciela i dawnego szkolnego kolegę, Bogdana Sikorskiego. Gdzie mogli wiedzieć więcej, jak nie w redakcji dziennika, który ogłosił tę informację. Dla niektórych smutną, dla innych wręcz przeciwnie. Walka polityczna w Polsce przybierała przecież różne formy.

– Dzień dobry, chciałbym się widzieć z redaktorem Szumskim – powiedział Horn, zbliżywszy się do kontuaru recepcji.

Siedziała tam ładna blondynka w białej bluzce. Wyglądała na miłą osobkę; wiedział jednak, że to tylko pozory, i był gotowy na kontratak. Do jego redakcji w Warszawie też niemal codziennie przychodzili różni ludzie. Czasem były to osoby nie zrównoważone psychicznie. Ktoś musiał ich grzecznie odprawiać z kwitkiem.

– Dzień dobry panu – odrzekła recepcjonistka z uśmiechem.

I ku jego zdziwieniu położyła na kontuarze przepustkę.

– Pierwsze piętro. Korytarzem do końca i na lewo.

Dwie minuty później Horn zbliżał się wielkimi krokami do stolika przy oknie, gdzie wgapiony w monitor komputera siedział Marek Szumski, znajomy dziennikarz.

– Cześć pracy! – zawołał przybysz.

Szumski spojrział na niego nieprzytomnym wzrokiem. Niewykluczone też było, że nie od razu go rozpoznał. Jednak już po chwili siedzieli obok siebie i rozmawiali.

– Nie wiedziałem, że się znacie – powiedział miejscowy dziennikarz.

– Stare dzieje. – Horn machnął ręką. – Ale kiedy przeczytałem o tym, co się stało...

– Zgaduję, że nie wierzysz w jego winę.

Tomasz Horn opadł plecami na oparcie krzesła, sapnął. Potem dopiero zdecydowanie pokręcił głową.

– Nie. Nigdy w to nie uwierzę.

Szumski sięgnął po jakieś papiery, chwilę je wertował.

– Bogdan Sikorski jest jednym z dwojga posłów, których w ostatnich wyborach do Parlamentu Europejskiego wybrano w okręgu warmińsko-mazurskim. Mieszka z rodziną pod Olsztynem, w mieście ma także swoje biuro poselskie. Na co dzień zaś siedzi na zmianę w Brukseli i w biurze Komisji Europejskiej w Strasburgu. Można powiedzieć, że pół życia spędza w podróży.

– Co w takim razie robił w Worytach?

– Trzeba przyznać, że Sikorski to ten typ polityka, który gros swojego czasu poświęcał nie na przysypianie na sali obrad, a pracę w terenie – wyjaśnił Szumski. – Gdyby bowiem rozliczyć go z godzin, jakie spędził na obradowaniu w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, mógłby być uznany za jednego z największych nierobów. Opozycja zresztą już mu to wytykała, nie mogąc zapomnieć, że w ostatecznym starciu pokonał ich miejscowego pupila. Pytasz, co robił w Worytach?

– To tam znaleźli tę panienkę. Dobrze pamiętam?

– Zgadza się, to niedaleko Gietrzwałdu. Niedawno Sikorski zaangażował się w akcję obrony Polaków przed roszczeniami majątkowymi Niemców. Nie chodzi o sprawy przedwojenne, ale ostatnią emigrację.

– Nie licząc tej po wejściu Polski do Unii Europejskiej.

– Zgadza się. Zaczęło się od pewnego gospodarstwa pod Biskupcem, które postanowiła odzyskać kobieta mieszkająca w Niemczech od połowy lat siedemdziesiątych. Sądy, pozwy, oskarżenia...

– Coś słyszałem. – Horn podrapał się za uchem. – I co? Teraz również chodziło o roszczenia majątkowe?

– Tak twierdzi Sikorski. I o tym opowiedział naszemu dziennikarzowi, Władkowi Kolasie, specjaliście od polityki, który kilka godzin wcześniej przeprowadzał z nim wywiad w Starych Jabłonkach. Tylko że to wszystko w jednej chwili stało się nieważne. A być może nawet przekreśliło wszystko, co do tej pory zrobił europoseł Bogdan Sikorski. Pewnie nieraz słyszałeś, co mówią o naszych szanownych przedstawicielach w Brukseli...

– ...bywalcach knajp i burdeli – dokończył Horn. – Tak, mówi się o tym. Choć według mnie wynika to tylko z ludzkiej zawiści. Każdy chciałby tyle mieć co miesiąc na koncie, prawda?

– Wszyscy tacy święci?

– Na pewno nie. Ale wrzucać całe to towarzystwo do jednego worka to też przegięcie.

– W każdym razie fakty są takie: w domku w Worytach znaleziono martwą panienkę i Sikorskiego, który właśnie usiłował stamtąd uciec. Tak przynajmniej twierdzi policja. O resztę pytaj ich. – Szumski zaszeleścił dokumentami.

– A ty, Marek, co o tym myślisz? – zapytał Horn.

– Różnie może być – rzekł asekuracyjnie dziennikarz. – Więcej powiedzą ci kryminalni. Jeśli powiedzą...

– Spróbować warto.

– Zastanawiam się tylko – redaktor Szumski spojrzął badawczo na gościa – czemu tak bardzo chcesz to wiedzieć.

– Mam swoje powody. – Horn energicznie wstał z krzesła. – Dziękuję za pomoc.

IV

Barczewo k. Olsztyna, dzień pierwszy

Zygmunt Pleban zamknął za sobą drzwi domku stojącego na skrzyżowaniu ulic Kościuszki i Południowej. Patrząc, czy nikt nie widzi, starannie wytarł klamkę za pomocą chustki do nosa, po czym skierował kroki w stronę samochodu. Dopiero gdy zasiadł za kierownicą i zamknął drzwi, odetchnął z ulgą.

Mimo że był już dobrze po sześćdziesiątce, kondycji fizycznej mógł mu pozazdrościć niejeden dwudziestolatek. Pleban dbał o to szczególnie: jeździł na rowerze, choć tylko po lesie, dobrze się odżywiał, a przede wszystkim regularnie odwiedzał siłownię. Wiedział bowiem dobrze, że od jego sprawności wiele zależy. „Konkurencja nie śpi” – mówił zwykle, pytany o to, czemu z takim zapalem wyciska na siłowni kolejne kilogramy.

Także i z emerytowanego strażnika więziennego wycisnął, jak sądził, ile się dało. Wiele godzin upłynie, zanim starzec odzyska świadomość. I jest wielce prawdopodobne, że nie będzie nic pamiętał. A ci, których ewentualnie ktoś zechce zapytać o szczegóły, choćby o markę i numery rejestracyjne samochodu, podadzą cyfry, za których powstanie odpowiada nieco kredy i węgla; za chwilę, po wyjeździe z Barczewa, Pleban przeciągnie po tablicach wilgotną ściereczką. Odklei też sztuczne wąsy i baczki, a potem starannie umieści je w specjalnym pudełku celem ponownego użycia.

Przerzucił bieg, włączył radio. Akurat trafił na wiadomości.

– Premier odmówił komentarza w sprawie europoła Bogdana Sikorskiego – cedziła radiowa lektorka. – W związku ze sprawą w ciągu kilku najbliższych dni ma odbyć się nadzwyczajne zebranie, w którym wezmą udział członkowie rady naczelnej stronnictwa.

– Nieroby jebane! – zaklął Pleban. – Trzeba było z wami wszystkimi zrobić porządek, kiedy jeszcze był na to czas. Za ciepło macie w dupach.

– Przewodniczący klubu parlamentarnego – ciągnęła lektorka – do którego należy Bogdan Sikorski, Francuz Jean-Claude de Courson, zaapelował o rozagę i powstrzymanie się od ferowania wyroków przed ostatecznym wyjaśnieniem sprawy. Nie udało nam się dowiedzieć, czy Bogdan Sikorski zrezygnuje z chroniącego go immunitetu na czas śledztwa.

Pleban zmienił stację. Szczęśliwie trafił na muzykę poważną, a ta zawsze go uspokajała. Szczególnie wtedy, gdy miał za sobą robotę.

Chwilę po tym, jak na poboczu doprowadził tablice rejestracyjne do wcześniejszego stanu, zaczął analizować to, co usłyszał od Wieczarzaka. Odkąd pamiętał, ludzie mówili o skarbach, które Erich Koch, gauleiter Prus Wschodnich, a potem najstarszy i jednocześnie najbardziej uprzywilejowany więzień w Barczewie, zdołał ukryć przed wkroczeniem na te tereny Armii Czerwonej, zimą 1945 roku. Raz na jakiś czas pojawiał się ktoś, kto twierdził, że widział na własne oczy skrzynie z kosztownościami. Opowieści takie wypływały w gazetach w sezonie ogórkowym.

Swoją drogą, ta historia z Sikorskim spadała zasranym miejscowym pismakom jak z nieba – pomyślał nie bez złośliwości.

Mijał właśnie Wójtową Rolę, gdy rozmyślenia przerwał dzwonek komórki. Odebrał ją leniwym gestem.

– Tak?

Przez chwilę słuchał. Po tym, co usłyszał, nie mógł się nie uśmiechnąć.

– Cieszę się, że załatwiłeś tych ludzi – rzekł. – Słyszałem o tych kozakach. Powinni się nadać. Spotkamy się tam, gdzie zawsze.

V

Olsztyn, dzień pierwszy

Tomasz Horn z całej siły uderzył pięścią w marmurowy blat. Efekt akustyczny tego czynu, a na tym dziennikarzowi zależało najbardziej, był jednak żaden. A ręka, owszem, zaboląła.

Zbliżała się czwarta po południu. Kilka minut temu przyjechał do Komendy Wojewódzkiej, gdzie pracował inny jego kolega z dawnych lat i imiennik, podinspektor Tomasz Stawski. Horn miał nadzieję, że uda mu się go jeszcze zastać. I dowiedzieć czegoś więcej, niż podała gazeta. Spokoju nie dawały mu pytania, z tym najważniejszym na czele: czy Bogdan naprawdę to zrobił?

– Bzdura! – fuknął pod nosem.

Kilka chwil wcześniej Horn sformułował swoją prośbę, popartą okazaniem prasowej legitymacji, na parterze komendy u funkcjonariuszki w stopniu młodszego aspiranta. Teraz pokornie czekał na odpowiedź.

– Komenda Wojewódzka...

Drgnął na głos policjantki, sądząc, że zwraca się do niego. Była to jednak płonna nadzieja; dyżurna odebrała tylko telefon, którego dzwonek musiał być bardzo cichy.

– ...Policji w Olsztynie. Młodsza aspirant Jankowska, słucham.

Horn usiadł na niskim parapecie. Wokół trwał zwyczajny ruch: policjanci mundurowi i w cywilu, mężczyźni i kobiety kręcili się we wszystkie strony, wychodzili i wchodzili do budynku.

Jeden z nich, wysoki, dobrze zbudowany facet w dżinsach, kraciatej koszulce z krótkim rękawem i z teczką w ręku, wchodzący właśnie do komendy, był tym, na którego Horn czekał.

Gdy tylko nawiązali kontakt wzrokowy, Horn posłał dziewczynie w okienku znaczące spojrzenie. Pewnie nawet nie zadzwoniła na górę, do biura Stawskiego. A petent, jak to petent, mógł tak sobie siedzieć i czekać do usrania. Może zresztą właśnie o to chodziło!

– Cześć, redaktorze. – Stawski uśmiechnął się krótko.

Uścisnęli sobie dłonie. Może w innych okolicznościach byłby to gest bardziej serdeczny.

– Wiesz już – stwierdził bardziej, niż zapytał oficer.

– Po to właśnie przyszedłem.

Podinspektor Tomasz Stawski spojrział na zegarek, po czym rozejrzał się naokoło, jakby obawiał się, że ktoś niepowołany usłyszy, i rzekł półgłosem:

– Będzie lepiej, jak wyjdziemy na powietrze.

Znaleźli się na skwerku, który rozciągał się przed frontonem pudełkowatego gmachu o szarej elewacji, i usiedli na odrapanej parkowej ławce. Stawski postawił obok siebie teczkę, pewnie zawierającą jakieś dokumenty, a może tylko kanapki i gazetę. Otarł chustką pot z czoła.

– Powiem ci, że nie wygląda to dobrze – odezwał się po chwili, by następnie w kilku zdaniach opowiedzieć, co przydarzyło się europoślowi.

Domek w Worytach, gdzie, jak tłumaczył Sikorski już w pierwszej rozmowie z prokuratorem, miała na niego czekać kobieta zagrożona niemieckimi roszczeniami, a w rezultacie prawdopodobnie także eksmisją, okazał się niezamieszkały – i to od kilku lat. Policja miała posesję na oku,

gdyż latem często dochodziło tam do włamań. Czasem ktoś wybił szybę, czasem panna z kawalerem spotkała się na szybką schadzkę, bo nie stać ich było na hotel.

Ostatnio jednak, jak mówili policjanci z Gietrzwałdu, był spokój. Od maja, czyli momentu rozpoczęcia sezonu na Warmii i Mazurach, nic się nie wydarzyło.

– Niestety, nikt nawet nie słyszał o żadnej Lengowskiej ani w Worytach, bo przecież mogło dojść po prostu do pomyłki numeru domu, ani w żadnej z okolicznych wiosek – tłumaczył oficer.

– A numer telefonu, z którego dzwoniła kobieta, a który wyświetlił się w komórce Bogdana?

– Tak, to zawsze dowód wiarygodności. Ale ten numer nie odpowiada. Włącza się poczta głosowa. Sprawdzaliśmy kilka razy.

– Można namierzyć ten aparat?

– Już to zrobiliśmy. To komórka na kartę, aktywowaną w Olsztynie tydzień temu. Nic więcej nie udało się ustalić.

– Zapewne ktoś z niej skorzystał, by następnie zniszczyć jednym naciśnięciem paznokcia. A potem spłuczki.

– Tak. I po dowodzie.

– A kim była ta dziewczyna? – chciał wiedzieć Horn.

– Na razie nie udało nam się ustalić jej tożsamości. Patolog mógł jedynie stwierdzić, co zresztą było łatwe, że to prostytutka, prawdopodobnie z za wschodniej granicy. Cięcia tętnic dokonano wprawną ręką, niemal z chirurgiczną precyzją.

– Cholera.

– Najgorsze jest to, że zrobiono to ostrym nożem kuchennym, takim do oprawiania ryb, który znaleziono w ogrodzie pod domem.

- Na rękojeści muszą być odciski palców!
- I są. Niestety, to odciski palców Sikorskiego.
- Kurwa...

– Podobnie jak wszystkie, które znaleziono w chacie, głównie na klamkach drzwi i krawędzi łóżka. Tak samo z odciskami butów. Nie było innych poza włoskimi pantoflami pana europośla, takimi za dwieście euro. Funkcjonariusze, którzy otrzymali anonimowy telefon, nakryli go w opuszczonym domu dokładnie w chwili, gdy pochylał się nad zwłokami.

– W gazecie powiedzieli mi, że uciekał.

– Nie. Z relacji funkcjonariuszy wiem, że najpierw pozbył się narzędzia zbrodni, potem usiłował przenieść ciało.

Horn wstał gwałtownie z ławki, zaklął głośno.

– Uspokój się – powiedział Stawski.

– Jestem spokojny – warknął dziennikarz. – I jestem przekonany, że ktoś go najnormalniej w świecie zrobił. Nie brakuje chyba ludzi, którzy chcieliby mu dokopać. Chociażby za te sprawy z niemieckimi roszczeniami. Nie ma żadnych świadków?

– Sprawdzamy to.

– Przecież musiał być gdzieś wcześniej, tankować samochód...

– Sprawdzamy to.

Horn wreszcie usiadł. Płatki łuszczącej się zielonej farby posypały się na trawę. Usiłował zrozumieć Stawskiego. Dla niego, a także dla prokuratury liczyły się tylko fakty i ślady, nie zaś sympatie i domniemywania czy nieposzlakowana opinia podejrzanego.

– Poza tym, czy jego czasem nie chroni poselski immunitet? – zapytał po chwili Horn.

– Pewnie nawet o tym nie zdążył pomyśleć.

– To prawda. Ja bym się chyba zesrał ze strachu.

– On się tylko porzygał.

Wypowiedziawszy ostatnie zdanie, Stawski podniósł się z ławki. Obraz najlepiej dopełniłoby sugestywne otrzepywanie rąk, jednak robota nie była skończona, a i podinspektor wcale nie chciał pozbywać się kłopotliwego petenta.

– Słuchaj, powtarzam ci, że ja też w to nie mogę uwierzyć, ale fakty są faktami – rzekł, by dokończyć nieco innym tonem: – Muszę teraz lecieć do komendy, bo mam jeszcze trochę papierkowej roboty. Ale pomogę ci.

– Jak?

– Nie jest to do końca legalne działanie, ale mam to w dupie. Chcę tylko, żebyś pamiętał, gdy ktoś zechce cię o to zapytać: ja o tym nic nie wiem. Rozumiemy się?

– To oczywiste – zgodził się Horn.

– Nie chcę znów gdzieś przeczytać, że policja to państwo w państwie.

– Załatwione.

– Pojedziesz teraz do „czerwonej” komendy – rzekł policjant półgłosem, patrząc nie na Horna, a przed siebie, na ulicę. – Tam siedzi Kontra, komisarz, który się tą sprawą zajmuje. Zadzwoń zaraz do niego, żebyś się nie błąkał i nie chodził po prośbie. Tylko tyle mogę na razie zrobić.

VI

Olsztyn, dzień pierwszy

Komenda policji, o której mówił Stawski, mieściła się przy tej samej ulicy, ale kilkaset metrów dalej. Zwana była czasami przez miejscowych „czerwoną”, była bowiem wybudowana z czerwonej cegły.

Horn wszedł do komendy i podał swoje nazwisko dyżurnemu, który od razu złapał za słuchawkę telefonu. Po minucie po schodach zbiegł młody, choć mocno łysiejący mężczyzna.

– Kontra – przedstawił się i nie bawiąc się w ceregiele, od razu przystąpił do rzeczy: – Niestety, nie wygląda to dobrze.

Horn znał już ten refren.

– Proszę, wejdziemy na górę. – Komisarz wskazał ręką kierunek.

Po chwili znaleźli się w jednym z gabinetów; jego okna wychodziły na płot, krzaki i płytki parów, wewnątrz którego biegły tory kolejowe, a także na stare budynki dzielnicy zwanej z tego powodu Zatorzem. W pokoju siedziała jakaś młoda kobieta i mężczyzna w mundurze z dystynkcjami nadkomisarza. Rozmawiali w języku niemieckim.

Pojawienie się Horna i komisarza Kontry spowodowało przerwę w szwargotaniu.

– Dzień dobry – przywitał się dziennikarz, niczym uczeń, który przyszedł z wycieczką, żeby przyjrzeć się bliżej codziennej pracy stróżów

prawa i porządku.

– Już wychodzimy. – Nadkomisarz uśmiechnął się przeprasząco, po czym oboje wstali z miejsc.

Wszystko trwało sekundy, Horn zdążył jednak przypatrzeć się dokładnie dziewczynie: była bardzo ładna, miała długie blond włosy i ślicznie opaloną skórę.

Ciekawe, czy jest Niemką, a jeśli tak, to co ją tu sprowadza – pomyślał.

Brzęk metalu przywrócił Hornowi świadomość. To komisarz Kontra wysypał z plastikowego woreczka na blat biurka jakieś drobiazgi. Prócz kluczy były też dokumenty; plakietka prawa jazdy upadła w taki sposób, że dziennikarz dostrzegł zdjęcie Sikorskiego. Wiedział więc już, do kogo fanty należą. Prócz prawa jazdy i kluczy był tam jeszcze szwajcarski scyzoryk z wieloma ostrzami oraz niewielki odtwarzacz mp3.

– To wszystko, co znaleźliśmy w samochodzie posła – oświadczył komisarz.

– Po co mi pan to pokazuje? – zapytał Horn.

– Nie wiem. – Kontra wzruszył ramionami. – Podinspektor Stawski polecił jeszcze raz przyjrzeć się wszystkiemu, co dotyczy tej sprawy. Zaraz podam panu zdjęcia zamordowanej, a także raporty patologa i naszych techników.

To powiedziawszy, ruszył w stronę szafki na akta. Horn nie zdążył zaprotestować. Wcale nie miał ochoty na oglądanie trupów. Nawet na zdjęciach.

– Mamy bardzo dobre fotografie – powiedział komisarz, jakby usłyszał myśli swojego gościa.

Tymczasem wzrok Horna zatrzymał się na cyfrowym odtwarzaczu. Brakowało mu słuchawek, więc nie można było nawet dowiedzieć się czegoś na temat muzycznych gustów aresztowanego. A dlaczego brakowało

słuchawek? Horn znał ten model i wiedział, że urządzenie może być wykorzystywane do słuchania plików muzycznych, a także radia, ale również – i do tego niepotrzebne były słuchawki, przynajmniej na tym etapie – do nagrywania.

– Niektórzy ludzie – mruknął pod nosem – szczególnie ci bardzo zajęci, używają dyktafonu, aby zapanować nad swoimi codziennymi sprawami, przynajmniej nad częścią z nich. Jestem ciekaw, co może zawierać taki głosowy notatnik pana europośla.

– Ma pan na myśli mp3?

– Owszem.

– Musielibyśmy sprawdzić, ale... – Kontra chrząknął z zakłopotaniem.

– Chyba trzeba to zrobić oficjalnie.

– To znaczy? Podpiąć się do radiowęzła? – Horn nawet nie zauważył, że kpi, jakby przeczuwając, że policjant będzie asekurantem. Tamten na szczęście tak tego nie odebrał.

– Nie. Mamy tu na dole specjalistę od fonoskopii – powiedział, po czym sięgnął po słuchawkę i wystukał krótki, wewnętrzny numer. – Kontra. Z aspirantem Domarskim proszę.

Horn był zadowolony. Komisarz Kontra nie miał co prawda włosów na głowie, ale miał jaja. Nie był z tych gliniarzy, co myślą tylko o zasłużonej emeryturze i łowieniu ryb.

– Kim była ta dziewczyna? – zapytał, gdy oficer odłożył słuchawkę. – Ta, która tu przed chwilą była – uściślił.

– To niemiecka policjantka. Właściwie to pół-Polka i gada świetnie po naszemu, ale w oficjalnych relacjach to tylko po ichniemu. Chyba przez złośliwość.

Horn zrobił mądrą minę.

– Wie pan, bywają szkolenia, które przeprowadza się tylko w języku angielskim. W końcu jesteśmy w Unii Europejskiej...

Komisarz skrzywił się, po czym rzekł:

– Być może. Przyjechała do nas, ponieważ kilka dni temu doszło do morderstwa jej rodaka, emeryta, uczestnika wycieczki. Zapowiadała się duża afera, ale na szczęście przysłali tu tylko ją. Przynajmniej na razie. Nazywa się Joanna Klose. Razem staramy się wyjaśnić tę sprawę.

VII

Olsztyn, dzień pierwszy

Tomasz Horn i aspirant Maciej Domarski przesłuchali plik nagrany na dyktafonie. Dziennikarz od razu przypomniał sobie o starym nawyku polityka. Było to nagrywanie wszystkich wywiadów, jakich udzielał. Powiedział o tym Hornowi jakiś czas temu, kiedy mieli okazję widzieć się w Warszawie.

Może dla innych oznaczało to paranoję, zdaniem Bogdana jednak miało na celu przede wszystkim zabezpieczenie się przed manipulacjami, których czasami dopuszczali się niektórzy dziennikarze. A to pisali słowa, których nigdy nie wypowiedział polityk, a to przekręcali sens jego wypowiedzi. W takim kraju jak Polska trzeba wciąż dmuchać na zimne.

– Ten gość, z którym rozmawia Sikorski, to Władysław Kolasa, miejscowy dziennikarz. – Domarski zdjął z uszu wielkie słuchawki. –

Gadali w jakiejś restauracji. Jestem ciekaw, czy uda się ustalić, gdzie to było.

– W Starych Jabłonkach, w hotelowej restauracji nad Szelągim – odpowiedział milczący dotąd komisarz Kontra.

– Skąd pan wie? – zdziwił się Horn.

– To było pierwsze, co powiedział Sikorski. Jego alibi.

– A ten dziennikarz to potwierdził?

– Niestety, Kolasa jest za granicą, na urlopie, i nie można się z nim na razie porozumieć. A jego przełożeni więcej chcieli wiedzieć niż powiedzieć.

– Sprawa po prostu zmieniła priorytet – mruknął Horn i opadł plecami na oparcie krzesła, aż poczuł zimny dreszcz od potu, który dotąd pracowicie zwilżał mu koszulę.

Aby wstępna ekspertyza fonoskopowa była miarodajna, trzeba było zamknąć wszystkie okna, przez co w krótkim czasie temperatura w pomieszczeniu zaczęła przypominać tę zazwyczaj panującą w saunie.

To jednak nie było w tej chwili ważne. Horn wiedział, że złapał za koniec przysłowiowego sznurka. Wystarczyło mocno trzymać, a od czasu do czasu pociągnąć trochę mocniej.

– Sikorski – myślał głośno – najwyraźniej uruchomił dyktafon, aby zgodnie ze swoim zwyczajem nagrać rozmowę. Ale już go nie wyłączył. Zapomniał, a może zrobił to celowo, nie wiem. Jeśli dowiemy się, o której zapłacił rachunek, a taki ślad powinien zostać w kasie fiskalnej restauracji, do tego dodamy czas, który poseł musiał poświęcić na dojazd ze Starych Jabłonek do Woryt, to powinniśmy otrzymać odpowiedź na najważniejsze pytanie.

Kiedy po jakimś czasie przez szумы i trzaski nagrania przedarł się wyraźny sygnał policyjnej syreny, Horn nie miał już wątpliwości.

– Gdzie siedzi Sikorski? – Spojrzał na Kontrę.– W areszcie śledczym na Piłsudskiego.

– Co pan zamierza zrobić? – zapytał aspirant.

– Pewnie na gębę go nie wyciągnę, ale mogę przynajmniej uspokoić jego żonę – odparł Horn, po czym opuścił pokój w komendzie miejskiej.

– Dla mnie to żaden dowód, ale jak chce, niech leci – skomentował pod nosem komisarz Kontra, wzruszając ramionami.

– Oby tylko coś wskórał – mruknął Domarski.

VIII

Łupstych k. Olsztyna, dzień pierwszy

Horn nie miał problemu z rozpoznaniem domu Bogdana Sikorskiego: wzdłuż uliczki zaparkowanych było kilka wozów transmisyjnych – i to nie tylko miejscowej telewizji czy radia.

Przed jedną z bram kłębili się ludzie. Nie sposób było nie domyśleć się, że to dziennikarze. Taki temat, w dodatku w okresie wakacyjnym, był przecież nie lada gratką!

Jak teraz dostać się do środka, gdzie żona Bogdana zabarykadowała się z dziećmiakami? – zastanawiał się Horn.

Zaparkował kilkadziesiąt metrów przed domem i udając kompletne niezainteresowanie sprawą, ruszył w jego kierunku.

– Dla „Faktów”, z Olsztyna, Magdalena Nowakowska. – Dziennikarka z blond szopą na głowie, wykonująca wciąż przeczące ruchy, miała przymrużone oczy i zmarszczone czoło, jakby zdawała relację z co najmniej trzęsienia ziemi lub huraganu, który pochłonął tysiące ofiar.

Horn bezceremonialnie przeszedł między gwiazdą informacji a kamerą. Któryś z technicznych coś za nim burknął, on jednak nie zareagował na zaczepkę. Minął ludzi z innej telewizji, siedzących na krawężniku i zajadających się pizzą z pudełka, zapewne zamówioną przez telefon. Przed zamkniętą na głucho furtką też stali jacyś ludzie.

– O której mają wydać oświadczenie? – pytał jakiś młokos.

– Chyba o piątej, ale nie wiem dokładnie – odpowiadał mu drugi, wcale nie starszy.

– Oby tylko coś rzucili. Tkwią tutaj od rana.

– Ciesz się, bo inni od wczoraj.

Po czym obaj jak na komendę sięgnęli po dzwoniące telefony komórkowe i rozpierzchli się w dwie przeciwne strony, tu bowiem przyjaźń się kończyła, a zaczynała praca.

Horn przepchał się przez średniej gęstości tłumek, zbliżył się do furtki i napał na przycisk dzwonka. Każdy jego ruch był dokładnie śledzony, choć żaden z reporterów nijak nie komentował tego, co wszyscy widzieli. Widzieli, a jednak trudno im było uwierzyć.

Kim jest człowiek, który jakby nigdy nic dzwoni do domu polityka podejrzanego o morderstwo?!

– Przepraszam pana – próbował zagadnąć mężczyzna z dyktafonem w dłoni.

– Wcale się na pana nie gniewam – odpowiedział ze spokojem Horn, nie odwróciwszy głowy, musiał bowiem być dobrze widoczny w wideofonie, bo właśnie taka zdobycz techniki broniła spokoju rodziny Sikorskich.

– Pan jest może z rodziny? – zapytała jakaś kobieta, ale i to pytanie Horn zbył milczeniem; jednocześnie modlił się w duchu, żeby Anna Sikorska odebrała połączenie.

– Nie otworzą panu – rzekł z powątpiewaniem ktoś z dalszego planu. – My tu od dwóch dni warujemy jak psy i nic. Dobre, że przynajmniej zapowiedzieli się z tym oświadczeniem. Nic więcej pan od nich nie wyciągniesz.

Horn czuł, jak z każdą chwilę coraz mocniej wiotczeją mu mięśnie nóg. Coraz szybciej tracił nadzieję, a sposób, w jaki próbował załatwić sprawę,

był jedynym, jaki przyszedł mu do głowy. Nie był przecież w posiadaniu numeru telefonu komórkowego Sikorskiej.

Już miał nacisnąć ponownie przycisk, gdy w głośniczku coś cicho zaszemrało. Horn wyprostował się, zbliżył ucho do sitka.

– Słucham? – Od razu rozpoznał głos żony europośła.

– Dzień dobry – przywitał się oficjalnie. – Tomasz Horn.

Cisza. Zbyt długa. Nie, nic z tego nie będzie.

– Tomek?

Omam nie podskoczył. W miejscu zatrzymała go tylko obecność tłumu za plecami, a także wciąż żywa niepewność: owszem, rozpoznała go, ale może nie ma ochoty na spotkanie, czemu trudno się dziwić.

Niepewność trwała jednak krótko.

– Wejdz.

Charakterystyczne bzyczenie elektromagnesu zlało się w jedno z dźwiękiem, który wydał z siebie tłum koczowników z mikrofonami, dyktafonami i kamerami: jęk, krzyk oburzenia, zdziwienia, a może protestu.

Horn napał ramieniem na skrzydło furtki, szybko i zręcznie wśliznął się do środka, by następnie zatrzaskać je za sobą. Aż się musiał o nie oprzeć plecami, by ochłonać.

Pion przywróciło mu pojawienie się pani domu na końcu tuneliku, który tworzyły gałązki winorośli. Mimo odległości, która ich dzieliła, od razu dostrzegł na twarzy kobiety ślady niedawnego płaczu.

– Cześć – przywitał się, gdy był już blisko.

Nie odpowiedziała. Tylko lekko dostrzegalny ruch głowy. I ruch ręki trzymającej chustkę do nosa, w górę, machinalnie, choć oczy były już suche.

Po kilku sekundach znaleźli się w kuchni, gdzie jednak Horn nie ujrzał dzieciaków pary, tylko jakiegoś mężczyznę. Był to szef biura poselskiego Bogdana, Piotr Radziszewski.

– Czego się napijesz? – zapytała Anna, jakby zupełnie nic się nie stało, a wizyta miała charakter czysto towarzyski.

– Wody.

– Siadaj. – Radziszewski ruchem głowy wskazał mu krzesło po drugiej stronie kuchennego stołu, przy oknie, z którego roztaczał się widok na jezioro Ukiel, zwane Krzywym.

Horn zajął miejsce. Po chwili uniósł w rękach szklankę z wodą, wypił kilka łyków. Limit czynności, którymi mógł usprawiedliwić swoje milczenie, został wyczerpany. Należało przejść do rzeczy. Problem w tym, że wciąż nie był pewien, czy rewelacje, które właśnie przyniósł, zdołają zmienić minorowy nastrój tego domu.

– A więc już do Warszawy dotarły złe wieści – westchnęła z bólem Anna.

– Nie wiem. Byłem akurat w pobliżu – odpowiedział przybysz.

– Każdy tak mówi – skwitował szef biura poselskiego.

– Wracam właśnie z komendy – zaczął po chwili Horn, jednocześnie bacznie obserwując reakcje pozostałych. – Pojawiły się zupełnie nowe okoliczności w sprawie. Okoliczności, które pozwalają sądzić, że Bogdan jest niewinny.

– Tyle to i my wiemy! – burknął Piotr. Musiał być naprawdę zdenerwowany, bo Horn uważał go za sympatycznego faceta.

– Daj mu powiedzieć – uspokoiła Radziszewskiego Anna, by następnie utkwic w dziennikarzu badawcze spojrzenie. – Czego nowego się dowiedziałeś?

Horn opowiedział o zawartości dyktafonu polityka, a także o przychylności oficerów policji, którzy zajmowali się sprawą.

Anna i Piotr wiedzieli o tym, że Bogdan miał w zwyczaju nagrywanie rozmów. Herold dobrych wieści nie doczekał się jednak wybuchu szczególnego entuzjazmu. Ludzie znajdujący się w takiej sytuacji, w jakiej byli oni, byli albo bardzo ufni, albo wręcz przeciwnie – nie wierzyli w nic i w nikogo.

– Ale czy dla sądu albo prokuratora nagranie jest wiarygodnym dowodem? – Radziszewski pokręcił głową.

Anna nic nie powiedziała. Patrzyła tylko za okno.

W pewnym momencie Horn ujrzał, jak oczy żony europośla zaczynają robić się coraz większe, a szczęka opada coraz niżej.

– Bogdan – jęknęła.

– Nie martw się. Wszystko będzie dobrze – próbował ją pocieszać nieświadomy niczego Radziszewski.

– Bogdan! – powtórzyła kobieta, nie zmieniawszy ani wyrazu twarzy, ani pozycji, by za chwilę dodać, o wiele głośniej: – Tam płynie!

Spojrzeli w okno. Kobieta miała rację: do brzegu zbliżała się niewielka motorówka, a w niej siedział, a raczej już prawie stał, bo krypa za chwilę miała siłą inercji dobić do brzegu, Bogdan Sikorski we własnej osobie!

Anna wybiegła z kuchni jak do pożaru. Za nią obaj mężczyźni. Domostwo Sikorskich nie miało swojej przystani, więc Bogdan, przeczuwając, że dom jest pod obserwacją, w chwili gdy jego stopa stanęła na stałym lądzie, naciągnął nisko na oczy czapeczkę baseballową, trzymaną do tego momentu w ręku.

Następnie wsunął dłonie do kieszeni i skierował swoje kroki w stronę furtki, przez którą jego familia zapewne na co dzień przechodziła, chcąc się

dostać nad wodę. Dodatkowym kamuflażem była niewątpliwie także broda, która zdążyła mu urosnąć przez te dwa dni, które spędził w celi.

Kiedy ujrzał w otwartej furtce swoją żonę, nawet nie starał się powstrzymać łez. Płakali oboje, tuląc się czule przez dłuższą chwilę.

Horn i Radziszewski w milczeniu przyglądali się tej scenie, choć pewnie każdy z nich myślał sobie co innego.

Nie chcąc prowokować spotkania z natrętami, choć pewnie jego efektem byłby wreszcie tak pożądanym przez wszystkich spokój, małżonkowie ruszyli w stronę domu.

– Powinieneś skoczyć przez płot, jak Wałęsa do stoczni w czasie strajku
– zaśmiał się Radziszewski, gdy witali się z Bogdanem.

– Jako dobry historyk powinieneś wiedzieć, że tak naprawdę przypłynął jak ja, motorówką – sprostował z powagą Sikorski.

Bogdan przywitał się z Hornem. Anna w zastępstwie dziennikarza w paru zdaniach opowiedziała mężowi o tym, co przyniósł dawno niewidziany przyjaciel ich domu.

Europoseł skinął głową, po czym rzekł:

– Wszystko się zgadza. Dziękuję, stary, za pomoc. Chyba jeszcze mi się przyda.

Widząc pytające spojrzenia pozostałej trójki, wyjaśnił:

– Wypuścili mnie za poręczeniem majątkowym. Władze stronnictwa wpłaciły za mnie sto tysięcy euro.

IX

Dywity k. Olsztyna, dzień pierwszy

Zygmunt Pleban mocniej nacisnął gaz. Zawsze tak robił, gdy mijał cmentarz w Dywitach. Zresztą jakąkolwiek inną nekropolię też. Ta jednak była największa w okolicy. Starał się też nie patrzeć w prawo, gdzie za płotem ciągnęły się hektary ziemi.

Użyźnionej – śmiano się zawsze w bliskim towarzystwie Plebana. Tylko gdy ktoś z tych, których to bawiło, zostawał sam, mina mu pewnie rzedła. Lepiej było o tym nie myśleć.

Pleban więc nie myślał. Tym bardziej dziś, gdy „karta mu szła”.

– Jaki to był adres? – mruknął sam do siebie, po czym sięgnął do kieszonki na piersiach, skąd wydobył złożoną na pół karteczkę. – Łąkowa 3.

Kilka chwil później wjechał do wsi. Szybko odnalazł właściwą ulicę i minął domek z wielką żeliwną trójką umieszczoną na frontowej ścianie. Mimo że wizyta, którą planował, miała dalece różnić się od tej, którą złożył sierżantowi Wieczerzakowi, zatrzymał się dopiero kilkadziesiąt metrów dalej.

Od razu było widać, czym zajmuje się osoba, która mieszka pod trzecim. Podwórko zdobyły zabytkowe narzędzia rolnicze: pług, brona, kultywator, tudzież koła od wozu, beczki, a nawet naczynie, w którym wyrabiano masło. Te i inne narzędzia można było kupić także na Targu

Rybnym w Olsztynie, gdzie w miesiące letnie Adolf Szpak, bo tak nazywał się handlarz, rozkładał swój kram.

Pleban nie lubił cepeliady. Do Szpaka przygnał go jednak pewien interes. Obok starych lamp naftowych, obrazów, porcelany i stu innych bibelotów, bo i tym kupczył pan Adolf, na specjalnych stołach leżały też książki. Zarówno stare, przedwojenne, jak i nieco nowsze, oprawne w półskórek ze złoceniami powieści drukowane szwabachą i albumy.

Pleban przypomniał sobie o jednej z nich, gdy kilka dni temu otrzymał nowe zlecenie.

– Dobry wieczór, moje nazwisko Nowak – rzekł do domofonu, gdy w głośniczku coś zakaszlało, zachrypiało. – Ja do pana Szpaka.

– Tak, proszę – usłyszał, teraz już całkiem wyraźnie.

Minutę później Pleban siedział w kuchni i czekał na handlarza, który poszedł poszukać pozycji, którą zainteresował się przybysz. I to na tyle mocno, żeby pofatygować się do Dywit. Odmówił poczęstunku, wymawiając się pośpiechem. Zbliżał się już wieczór.

Po dwóch minutach Szpak stanął na progu kuchni. Był to starszy mężczyzna w okularach w grubej oprawie. W rękach trzymał sporych rozmiarów album.

– Przepraszam, że to tak długo trwało – powiedział, wertując machinalnie książkę.

– To ja przepraszam, że zawracam panu głowę po godzinach – uśmiechnął się Pleban. – Po prostu nie zdążyłem pana złapać na Targu Rybnym. Na szczęście koledzy podali mi adres...

– Dla takich ludzi jak ja, panie szanowny, nie ma żadnego „po godzinach” – zachnął się Szpak. – Dziś jestem tutaj, jutro w Dortmundzie. Taki krzyż.

– Cieszę się, że ma pan tę książkę. – Przybysz spojrzał na album.

– Tak. To naprawdę unikat – powiedział uroczyście handlarz starzyzną, kładąc album z pietyzmem na stole.

Pleban zaczął wertować książkę. Po chwili jego wzrok zatrzymał się na pewnym zdjęciu.

– Niewiele się zmieniły, prawda? „Szubienice” – powiedział Szpak.

– Rzeczywiście, lata mijają, a one wciąż stoją – zgodził się Pleban. – Ile za ten album?

Adolf Szpak podał cenę. Przybysz bez słowa sięgnął po portfel, wyjął żadaną kwotę i położył banknoty na blacie stołu.

– Dziękuję – rzekł Szpak, sięgając po pieniądze. – Dunikowski jest pana. Dziwne, bo coraz więcej ludzi się nim interesuje. O „Szubienice” też mnie dziś już ktoś pytał...

– Dobranoc panu. – Zygmunt Pleban zamknął album, włożył go pod pachę, po czym opuścił kuchnię.

X

Łupstych pod Olsztynem, dzień pierwszy

– Pod jedną ze ścian stało szerokie, małżeńskie łóże – Sikorski opowiadał spokojnym, wyzutym z emocji, monotonnym głosem. – Kołdra była nieco wybrzuszona, jakby ktoś pod nią leżał. Byłem już prawie pewien, że stara, z którą miałem się spotkać, nie żyje.

Anna jęknęła ledwo słyszalnie.

– Zbliżyłem się powoli do łóżka – ciągnął polityk. – Wyciągnąłem rękę i starając się zapanować nad uczuciem wstrętu, chwyciłem za róg poszwy...

Przerwał, wypił trochę wody ze szklanki, po czym opowiadał dalej:

– W łóżku leżała młoda dziewczyna. Była rozebrana do bielizny. Jej ręce i nogi były skrępowane, najprawdopodobniej sznurem do bielizny, a usta zakneblowane jakąś szmatą. Wszędzie było pełno krwi. Ktoś przeciął dziewczynie tętnice szyjne i udowe. Od razu zwymiotowałem. W tej samej chwili usłyszałem syrenę, a potem zobaczyłem, jak przed domem zatrzymuje się policyjny radiowóz.

– Nie próbowałaś uciekać? – zapytał Horn.

– Nie, nogi miałem jak z ołowiu. Potem dwóch byczków w czarnych mundurach wpadło do środka. Coś krzyczeli, ale ja nie potrafiłem zrozumieć z tego słowa. Wydawało mi się, że oglądam jakiś film. Skuli mnie, wyprowadzili i zawieźli na najbliższy posterunek.

Nad kuchennym stołem, przy którym siedzieli całą czwórką, zawisła cisza. Zegar wiszący w salonie wybił siódmą wieczorem. Tafłę jeziora marszczyła wieczorna bryza.

– Dobra, kochani – głos Bogdana był zupełnie inny niż przed chwilą, bo niemal radosny. – Nie ma się co przejmować. Premier jest po mojej stronie, poza tym będę miał najlepszych prawników, więc na pewno z tego wybrniemy. Najważniejsze, że wszyscy ludzie, którzy są mi bliscy, znają prawdę.

Horn miał właśnie zapytać o ostatnią niepokojącą go sprawę, ostatni szczegół: mianowicie czy Sikorskim nie zginął czasem ostatnio z domu kuchenny nóż do ryb, którego potem ktoś użył do popełnienia zbrodni w Worytach, kiedy nagle rozległ się sygnał domofonu.

– Mieliśmy wydać oświadczenie! – Radziszewski klepnął się otwartą dłonią w czoło.

– To już nie będzie konieczne – rzekł Bogdan. – Sam im wszystko powiem.

To powiedziawszy, wstał od stołu i ruszył w stronę wyjścia. Na chwilę przystanął przed lustrem, które wisiało w hallu, by przyjrzeć się swojemu odbiciu. Wciąż, jeśli nie bardziej niż kilka dni wcześniej, był przecież osobą publiczną.

Gdy tylko otworzył drzwi, a otworzył je zdecydowanie i szeroko, uderzyły w niego flesze aparatów fotograficznych i pytania, które dziennikarze, nawet niezdziwieni obecnością w tym miejscu głównego aktora dramatu, rzucali jeden przez drugiego.

Europoseł cierpliwie odpowiadał na wszystkie, starannie dobierając słowa.

– Nie, nie sędzę, by zaważyło to w jakikolwiek sposób na mojej reelekcji – odpowiedział z mocą. – Wierzę w swoich wyborców tak samo,

jak oni wierzą...

Przerwał, przymrużył oczy, jakby dopiero teraz zaczęły mu przeszkadzać światła lamp błyskowych.

– ...we mnie – dokończył niemal szeptem, po czym dał dyskretny znak stojącemu za nim Radziszewskiemu, aby zajął się dziennikarzami, co Piotr od razu uczynił:

– Za chwilę rozdamy państwu pisemne oświadczenie pana europośla.

Bogdan wydawał się jakby nieobecny. Powodem takiego zachowania było coś, a raczej ktoś, kogo w pewnym momencie dostrzegł w tłumie dziennikarzy przed domem.

Mężczyzna, na którego zwrócił uwagę, wyróżniał się choćby tym, że nie miał przy sobie żadnych atrybutów, które mieli pozostali. Stał po prostu z opuszczonymi rękami, śledził przebieg konferencji prasowej, choć jego twarz wyrażała obojętność wobec tego, co się dzieje.

A Sikorski gdzieś już widział tę twarz z wysuniętą ku przodowi szczęką i jasnorude włosy. Tak, widział całkiem niedawno...

– Przepraszam pana! – Zaczął przeciskać się przez ciżbę.

Tamten odwrócił się i zaczął iść w dół ulicy.

– Zatrzymać go! – krzyknął Sikorski, choć nie wiadomo, kto miał być odbiorcą tego apelu. Na tym odcinku uliczka była bowiem zupełnie pusta, jeśli nie liczyć psa wałęsającego się między kubłami na śmieci, które wystawiono za bardzo na chodnik.

Tymczasem tajemniczy mężczyzna biegł coraz szybciej, choć i Sikorski, na co dzień bywalec ekskluzywnej siłowni w Brukseli, a także zapalony kolarz, nie dawał za wygraną. Mimo że przeżycia ostatnich dni z pewnością wywarły piętno także na jego kondycji.

Uciekinier dotarł do końca uliczki, po czym gwałtownie odbił w prawo.

Mam cię! – pomyślał wtedy Sikorski, jako tutejszy, doskonale znający topografię terenu; ścieżka, na której znalazł się tamten, prowadziła bowiem nad jezioro. I tylko nad jezioro!

– Stój! – krzyknął.

W tym samym momencie wiedział już, że tamten go nie posłucha.

Zza drzew wysunął się biały kształt motorówki. Za sterami siedział mężczyzna w dużych, ciemnych, więc i utrudniających identyfikację okularach. Silnik pracował na niskich obrotach, nie było bowiem słychać jego warkotu, nawet najcichszego.

Zadudniły za to buty uciekiniera, który znalazł się już na drewnianym pomoście. Wystarczył jeden skok i rudy był bezpieczny.

Motorówka zaczęła się oddalać, nawet niezbyt szybko, bo przecież nikt ludzi tych nie miał teraz szans złapać. Po chwili zniknęła za niewielkim półwyspem.

Sikorski stał jak posąg u nasady pomostu, zaciskając pięści ze złości i bezsilności. Chwilę potem usłyszał za plecami tupot nóg, ale nawet nie odwrócił się.

– Co się dzieje?! – zapytał Horn, ciężko dysząc. – Kto to był?

– Nie mam pojęcia. Ale czuję, że ma coś wspólnego z tą całą hecą.

– Dziennikarz?

– Tylko z nimi stał. Pewnie myślisz, że wpadam w paranoję, co? – Sikorski spojrzał z ukosa na przyjaciela.

– Nie.

Od jeziora nadszedł mocniejszy podmuch wiatru i Horn miał wrażenie, że jego zaprzeczenie zostało mu z powrotem wciśnięte do gardła. Chciał powiedzieć jeszcze raz, że nie wierzy w paranoję europośła, jednak powstrzymał go przed tym pewien dźwięk. Usłyszał go widać i Bogdan, bo drgnął, poruszył głową, zrobił krok do przodu.

Intuicja ich nie myliła. Zza kępy drzew zbliżała się kolejna motorówka. W jej sterniku Sikorski rozpoznał swojego sąsiada. Diabli błysk w jego oczach był odpowiedzią na wszelkie pytania, które mogły teraz paść.

– Musimy go dopaść – syknął Bogdan. – Wiesz, skąd go znam? Stał przy szosie, gdy jechałem do Woryt.

– Wtedy, gdy...?

– Tak. A teraz był tu. Nie może być mowy o przypadku!

Dwie minuty później obaj znajdowali się na pokładzie motorówki i płynęli po zatoce zwanej Łabędią Szyją. Słońce już schowało się za pas chmur wiszących nad horyzontem, pociemniała taflę jeziora tu i ówdzie cięły białe grzywy fal. Zrobiło się chłodno i niezbyt przyjemnie, jednak Horn i Sikorski zdawali się zupełnie tego nie dostrzegać.

Sąsiad, którego łodzią płynęli, o nic nie pytał. Wracał akurat z ryb z marnym połowem i propozycję dodatkowego rejsu przyjął ze zrozumieniem.

– Chyba popłynęli w stronę miasta. – Sikorski wskazał ręką na wschód.

Motorówka, choć wyglądała dość nieciekawie i sprawiała wrażenie krypy, którą można udać się jedynie w najbliższe szuwary, rozwijała coraz większą prędkość. Śruba silnika pracowicie mełła szarozieloną wodę, kadłub unosił się i opadał, klaskając o taflę jeziora. Wiatr rozpylał krople na twarzach mężczyzn, wypatrujących przeciwnika na krawędziach obu burt.

– Coś jest nie tak! – zawołał w pewnej chwili Sikorski, próbując przekrzyczeć szum wiatru i warkot silnika. – Nie mogli tak szybko pokonać zatoki...

Łódź zbliżała się do przesmyku, za którym rozciągał się główny, środkowy akwen jeziora (po jego pokonaniu i przepłynięciu przez kolejną cieśninę, zwaną Lwią Paszczą, wpływało się na szerokie rozlewisko z piękną panoramą miasta na wschodnim brzegu), i do chwili prawdy –

jeżeli bowiem stamtąd nie ujrzeliby białego kadłuba motorówki z podejrzanym na pokładzie, mogli wracać do domu, usiąść przy stole i dalej gdybać.

Od lądu dzieliło ich może ze dwadzieścia metrów, gdy usłyszeli dźwięk przypominający trzaskanie suchych gałązek. Coś im jednak podpowiadało, że to coś innego.

Silnik łodzi zawył na wysokich obrotach. Sternik zgiął się w pół, po czym gwałtownie zakręcił kierownicą. Horn i Sikorski omal nie wypadli przez to za burtę.

– Kurwa, co to było?! – krzyknął polityk.

– Myślę, że komitet powitalny – odpowiedział Horn, mrugając nerwowo oczami. – W coś ty, do cholery, wdepnął?!

Motorówka płynęła teraz po łuku, oddalając się od półwyspu, z którego najprawdopodobniej oddano strzały. Właściciel łódki krwawił z prawego przedramienia. Był bliski omdlenia, choć za wszelką cenę starał się trzymać fason.

Ułożyli go ostrożnie na deku, od czasu do czasu popatrując w stronę przesmyku, jakby spodziewali się kolejnego ataku.

– Wracamy – zdecydował Sikorski, przejmując koło sterowe.

XI

Olsztyn, dzień pierwszy

Lech Nejman zapalił światło w kuchni, nalał do czajnika wody na herbatę i zapalił najmniejszy palnik w kuchence. Ile razy wykonywał tę czynność, myślał o zakupie czajnika elektrycznego. Nigdy jednak tego nie zrobił, może przez sentyment, no bo nie ze skąpstwa.

Musieliby Ruscy jeszcze bardziej przykręcić kurek z gazem – pomyślał. Tak, to byłby wystarczający pretekst do zmiany przyzwyczajeń.

Kuchenny zegar wskazywał pięć minut po dziewiątej wieczorem. Mężczyzna wrzucił do kubka okrągłą saszetkę z herbatą miętową – było już trochę za późno na czarną; Lech musiał wstać wcześniej rano – usiadł na twardym taborecie i spojrzał za okno, na oddalony o kilkadziesiąt metrów bliźniaczy wieżowiec. W większości okien paliły się już światła. Kiedy się nudził, gasił światło, brał do rąk lornetkę i najzwyczajniej w świecie podglądał sąsiadów.

Gwizd czajnika przywrócił go rzeczywistości. Nejman podniósł się z zydelka, nalał wody do kubka, ale już nie zajął dawnego miejsca. Powstrzymał go przed tym szum windy zmierzającej na górę. Mimo że miał to mieszkanie od niespełna roku, potrafił już wyczuć, kiedy winda zmierza na jego, to znaczy dziewiąte piętro. Rzadko się mylił.

Odstawił czajnik. Na palcach przeszedł do salonu, ściszył telewizor, po czym stanął przez drzwi wejściowymi do mieszkania i przesunął

plastikową przesłonę judasza.

Huknęło. Winda zatrzymała się. Zgrzytnęły otwierane drzwi i w wizjerze ukazała się znajoma, choć zniekształcona przez szkło, postać.

Mężczyzna wypuścił z ust powietrze, przesunął zasuwę zamka i otworzył drzwi, zanim Tomasz Horn, który od trzech dni gościł w jego mieszkaniu na Nagórkach, zdążył nacisnąć dzwonek.

– Już myślałem, że cię porwali – przywitał gościa, otworzywszy szeroko drzwi mieszkania.

– Niewiele brakowało – mruknął przybysz, po czym wszedł do środka.

Nejman nie był psychologiem, nawet psychologiem-amatorem, jednak po minie kolegi poznał, że stało się coś niecodziennego. I niekoniecznie dobrego.

– Herbaty? – zapytał, na co gość potakująco kiwnął głową.

Znali się od wielu lat. Nejman mieszkał od jakiegoś czasu sam, więc na pytanie, czy nie przenocowałby przez kilka dni starego druha, bez wahania odpowiedział twierdząco. Tym bardziej że sam nie był w zbyt dobrej kondycji psychicznej, odkąd zwolniono go z armii. A Nejman służył nie byle gdzie, bo w legendarnej jednostce GROM. Był porucznikiem.

Kilka minut później siedzieli w największym pokoju i Horn kończył swoją opowieść:

– Sąsiada zabrało pogotowie, nic mu nie będzie. Bardziej martwię się o Sikorskiego. Wszedł za kaucją, będzie miał najlepszych prawników, którzy wyjaśnią całą sprawę. Ale ja czuję, że on musiał naprawdę w coś wdepnąć. Nie ma innej możliwości wytłumaczenia takich zdarzeń, jak morderstwo kurwy czy strzelanie do nas.

– Wiesz, wielki świat oznacza wielkie pieniądze. A jeśli są wielkie pieniądze, to mogą też być wielkie kłopoty – odparł melancholijnie Nejman. – Poza tym ktoś taki jak Sikorski, choćby przez to, co robi na co

dzień, nie może narzekać na brak wrogów. Jeden już zapłacił za swoją wnikliwość.

– Kto?

Nejman podał nazwisko innego europośła, który kilka lat temu zginął w koszmarnym wypadku samochodowym.

– Mało kto wie – dodał – że za ciężarówką, z którą się zderzył, policja nie znalazła śladów hamowania. To raz. A dwa, że miała kierownicę po prawej stronie...

Zapadła cisza.

– Ale to już nie mój problem – rzekł Horn po chwili, próbując się uśmiechnąć.

– Nie rozumiem.

– Za krótki jestem. Nie przydam się. Poza tym jutro wracam do Warszawy.

– No tak, każdy urlop ma swój koniec. Nie dotyczy to, niestety, takich jak ja – zaśmiał się smutno Najman.

– Znów nic nie znalazłeś?

– Prawdę mówiąc, nawet nie szukałem.

Horn spojrział za okno. Tak, urlop ten miał być urlopem bez awantury, co dziennikarz raz na jakiś czas powtarzał sam sobie i czego nie zmieniła nawet sprawa z Bogdanem Sikorskim.

Tak jak mówił, jutro miał zamiar wrócić do domu i, mimo pracy, korzystać z uroków lipcowej stolicy. Wieczór po tym pełnym emocji dniu spędzał w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, przekonany, że to koniec sprawy. Przynajmniej jeśli chodzi o niego.

XII

Olsztynek, dzień drugi

Kilka minut po północy zdezelowana ciężarówka zatrzymała się przed budynkiem dworca kolejowego. Kierowca zgasił silnik i światła, a zapalił papierosa. Szoferka na moment wypełniła się szarym, gryzącym dymem. Po chwili nałogowiec opuścił szybę do końca.

Noc była ciepła i pogodna, typowa dla tej pory roku. W trawie na skwerze grały świerszcze, gdzieś w dali szczekał pies. Niewielkie miasteczko pogrążone było we śnie, co mogło zawdzięczać położeniu (w najbliższym sąsiedztwie nie było większego jeziora, a zatem także i hałaśliwej tawerny), jak i porze tygodnia; właśnie zaczął się wtorek.

Ciszę przerwał warkot silnika. W perspektywie uliczki zabłyśły światła osobowego samochodu, który po chwili wjechał na placyk i zatrzymał się przed drzwiami budynku dworca.

Ktoś, kto byłby tu po raz pierwszy, zapewne pomyślałby, że za chwilę z auta wysiądzie osoba bądź kilka osób, które następnie ruszą w dalszą drogę koleją. Tylko że pociągi pasażerskie przejeżdżające przez to miasto można było policzyć na palcach. Zaś o tym, by wydostać się z Olsztyńska tą drogą w godzinach nocnych, można było jedynie pomarzyć.

Z samochodu wysiadł wysoki mężczyzna. Zatrzasnął drzwiczki, wsunął rękę do kieszeni spodni i ruszył na ukos przez jezdnię, ku ciężarówce.

Widząc to, kierowca liaza wyskoczył z szoferki. Żarzący się niedopałek zakreślił w mroku szeroki łuk, zanim upadł na spękany ze starości asfalt.

– Dobry wieczór, panie Leszku – przywitał się wysoki.

– Raczej dzień dobry – zarechotał szofer ciężarówki, ściskając wyciągniętą rękę tamtego.

– Tak czy siak, mamy nadzieję, że będzie dobry – rozsądził przybysz, po czym chrząknął, rozejrzał się dookoła, by następnie nachylić się niżej nad uchem kierowcy: – W razie czego idziemy w zaparte, rozumiesz pan?

– Wiadoma rzecz, szefie.

– Nagła awaria i te sprawy. Póki nikt nie wezwie niebieskich, robimy na całego. Potem się zobaczy... – Kciuk mężczyzny potarł o palec wskazujący i wielki.

– Jasna sprawa.

– Po wszystkim spotkamy się na leśnej przecince za Swaderkami, przy starym krzyżu. Wie pan, tam gdzie ostatnio.

– Pamiętam.

– W takim razie powodzenia.

Uścisnęli sobie ręce na pożegnanie, ale i pewnie po to, by przypieczętować zawarty układ. Wysoki oddalił się, znów udając obojętność. Po chwili škoda odjechała tą samą drogą, którą przybyła. Kierowca ciężarówki poczuł się trochę nieswojo.

– Toć nie pierwszyczna – mruknął pod nosem, po czym wspiął się do szoferki, trzasnął drzwiami i zapuścił silnik.

Było dokładnie tak, jak mówił. Nie pierwszyczna! W pewnym momencie zdawało mu się, że nawet silnik powtarza te dwa słowa jak jakieś zaklęcie.

Lechosław Bączyk, bo takie imię i nazwisko nosił ów pięćdziesięciolatek, nałogowy palacz najtańszych papierosów, jakie można

było dostać, miał rzeczywiście wprawę w takich akcjach.

Odkąd zamiast półrocznej, zaległej pensji z zadłużonej firmy otrzymał ekwiwalent w postaci ciężarówki – dwudziestoletniej niemal, ale wciąż na chodzie i z niewielkim, ale mocnym dźwigiem, pracował już tylko na niej. Zawsze było coś do przewiezienia na pace, tak legalnie, jak i po cichu. Człowiek jest tylko człowiekiem, jeść musi, a i nakarmić rodzinę. A to więc po drewno do lasu się pojechało, po choinki przed świętami Bożego Narodzenia, a to złom się przewiozło do punktu skupu – że to była sieć trakcyjna, kierowca nie musiał tego wiedzieć.

Lechosław rzadko zadawał pytania, nie wnikał. Jego rolą było tylko przewieźć fanty z punktu A do punktu B, nie gubiąc ich po drodze i kompanów przy okazji. Raz tylko stanął okoniem, kiedy kilku cwaniaczków chciało zamówić liaza, by przetransportować... bankomat, wyrwany uprzednio z podłoża w centrum sąsiedniej Nidzicy. W tym przypadku sumienie Bączyka musiało się zbuntować.

Po kilku chwilach liaz zatrzymał się w miejscu, gdzie ulica Krzywa krzyżowała się z Ratuszową. Stąd już widział dobrze rejon, gdzie działali jego współpracownicy. Było ich dwóch. Jeden miał w rękach kilof, drugi szpadel, obaj zaś ćmili papierosy.

Kierowca, mimo całej tej konspiracji, rozpoznał ich od razu: byli to bracia Skąpscy, czterdziestoletni Baltazar i trochę młodszy Józek, dwóch cwaniaczków z pobliskich Mierek. Kiedyś żyli ze sprzedaży kurek i jagód, zbieranych w okolicznych lasach, któryś tam miał nawet robotę w starym ośrodku rządowym w Łańsku, ale długo tam miejsca nie zagrzał, bo lubił wypić. Drugi zresztą podobnie.

Potem Skąpscy zainteresowali się złomem, zarówno tym, który nie był już nikomu potrzebny, znajdowanym najczęściej na terenie byłych pegeerów, jak i tym, który złomem jeszcze nie był.

Liaz zatrzymał się przed ratuszem. Bączyk wyskoczył z szoferki.

– Musisz bliżej stanąć – przywitał się półgłosem Baltazar Skąpski.

– Zaraz kończymy – odezwał się i Józek, ale już tylko szeptem.

Bączyk przez dobrą chwilę miał problem z wypowiedzeniem choćby słowa.

Nie, tego jeszcze nie grali! – pomyślał, ogarniając wzrokiem obiekt, który miał za chwilę podnieść swoim dźwigiem i ułożyć na pace, możliwie w jednym kawałku, a potem przewieźć.

Tym obiektem był pomnik przedstawiający przyczajonego lwa z lewą łapą spoczywającą na kuli, który od kilku lat stał przed olsztyneckim ratuszem.

– Przygotowalim ci możliwości. – Baltazar wskazał wciąż żarzącym się petem na podstawę rzeźby. – Tutaj trza włożyć haki. Powinno pójść bez problemu.

– Cokół zostaje? – zapytał niepewnie szofer, wciąż nie wierząc w to, co widzi.

– Zostaje – odparł kompetentnie Józek Skąpski. – Można robić. My asekurujemy.

– Dajesz – rzucił Baltazar.

Minutę później liaz podjechał tyłem w najbliższe sąsiedztwo pomnika i Bączyk zaczął operować dźwigiem. Skąpscy szybko i sprawnie założyli haki pod cielsko zwierzęcia.

Naprężyły się łańcuchy, dźwig już miał zacząć wykonywać najważniejszą i najtrudniejszą pracę, kiedy nagle rozległ się krótki, ostrzegawczy krzyk jednego z braci. Lechosław zatrzymał mechanizm i zaniepokojony wyjrzał przez okienko.

Na placyku przed ratuszem było więcej osób niż przed paroma chwilami.

– Jest awaria wodociągowa – tłumaczył Baltazar Skąpski jakiemuś mężczyźnie w płaszczu, spod którego wystawały pasiaste spodnie od piżamy; najprawdopodobniej był to ktoś z okolicy, kto postanowił poznać powód nocnych hałasów.

– Pękła rura od ciepłej wody. Dokładnie pod cokołem. – Józek przyszedł w sukurs bratu.

– Pięć minut i kończymy, panie szanowny – uspokajał Baltazar.

– Może pan spokojnie iść spać. Rano woda będzie – dorzucił jego brat.

I to najwyraźniej musiało uspokoić czujnego i nazbyt wnikliwego sąsiada, bo oddalił się, od czasu do czasu oglądając się jeszcze za siebie. Zanim wróci do domu i sprawdzi, czy z kranów płynie woda, oni powinni już skończyć. Tu Baltazar mówił akurat prawdę.

Starszy Skąpski dał znak, że można zacząć podnosić. Kamienny lew uniósł się na wysokość dwudziestu, może trzydziestu centymetrów, i zachybotał niepokojąco. Bracia uchwycili się rzeźby. Po chwili jeden z nich podniósł do góry rękę na znak, że sytuacja została opanowana.

Lechosław Bączyk najdelikatniej, jak potrafił, pociągnął do siebie żółtą wajchę, jedną z trzech, jakie posiadało urządzenie. Po chwili pomruk silnika uderzył w nieco wyższe tony, a kabiną zachybotało. Znaczyło to, że dźwig podjął najważniejszą część działania.

XIII

Olsztyn, dzień drugi

– *Mein Gott!*

Erich Schwarz siedział wyprostowany na łóżku i ciężko dyszał. Jego żona Ingeborg, którą obudził krzyk męża, zapaliła lampkę stojącą na nocnej szafce.

– Już dobrze, kochany. To tylko sen – uspokajała go, gładząc usianą brązowymi plamkami dłonią po jego siwych i rzadkich włosach.

– Śniło mi się, że ktoś do mnie mierzy z pistoletu – powiedział Erich po chwili, gdy udało mu się zapanować nad sapaniem.

– Na szczęście to tylko sen – powtórzyła znów pani Schwarz łagodnym głosem byłej nauczycielki. – Jak chcesz, zaparzę ci melisy.

– Skąd weźmiesz?

– Poproszę obsługę o wrzątek. Chcesz?

– Niech będzie.

– Zejdę na dół.

Kobieta wstała, narzuciła na nocną koszulę granatowy szlafrok w duże, żółte kwiaty, wzięła bambosze i ruszyła do drzwi.

Gdy opuściła pokój, siedzący wciąż na łóżku, zgarbiony Schwarz, ukrył twarz w dłoniach. Zapłakał krótko, co zdarzało mu się coraz częściej, więc już się temu nie dziwił. Następnie siąknął nosem. Nie chciał ziółek, którymi

żona poła go, odkąd pamiętał. Melisa na to, rumianek na tamto, mięta na sramto. Tylko na śmierć nikt jeszcze nie znalazł lekarstwa...

A przecież tak bardzo cieszyli się na tę wycieczkę! Prusy Wschodnie, skąd pochodziła Ingeborg, Erich, który urodził się w Essen, oglądał po raz pierwszy w życiu. Wcześniej to tyle co na starych fotografiach, pocztówkach, a także w nowo wydanych albumach.

Jasne stroje, srebrne i złote oprawki okularów, siwe włosy, zawsze pogodne uśmiechy – to były ich znaki rozpoznawcze. Było tak nawet w czasach, gdy autokar z białymi tablicami rejestracyjnymi i literą D wjeżdżał na teren Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, w której straszono dzieci hitlerowcami, a ich rodziców roszczeniami organizacji ziomkowskich. Szczyle stojące przy drodze wyrzucały w górę prawe ręce, podczas gdy dwa palce lewych dłoni przyłożone do ust tworzyły pod nosem charakterystyczny wąsik...

Wycieczka była bardzo udana. Wszyscy świetnie się bawili, dużo wspominali. Ale w chwili, gdy kilka dni temu w restauracji pod Olsztynkiem zmarł nagle jeden z uczestników ich wycieczki, Frank Prochnov, wszystko się zmieniło.

Początkowo ich polski przewodnik nie chciał nic mówić. Potem jednak, przyciśnięty do muru, poinformował oficjalnie pozostałych uczestników wycieczki, że „pan Prochnov doznał rozległego zawału serca”. Pomoc medyczna, którą wezwano, nic nie mogła zdziałać.

Takie rzeczy się zdarzały i będą zdarzać – tłumaczyli to sobie nawzajem, próbując się pocieszać, i pewnie tak też myśleli. Przecież wszystkim, którzy wybierali się na takie eskapady, było bliżej niż dalej. Wylatując z Berlina czy Hamburga do Ostpreussen, należało się liczyć, że może to być jednocześnie droga do mitycznej Walhalli.

Wycieczka nie została przerwana. Neoplan zgodnie z planem ruszył w dalszą drogę na północ: przez Allenstein, Guttstadt, Heilsberg, następnie na wschód przez Rössel, Rastenburg, Sensburg, wreszcie Ortelsburg, by na koniec z powrotem trafić do stolicy regionu.

W ciągu trzech dni zatoczyli ogromne koło, zobaczyli dziesiątki zamków, pałaców i kościołów. Zrobili setki zdjęć, a Klaus Miehle z Kolonii swoją kamerę wideo rozgrzał niemal do czerwoności!

Jednak gdzieś pod skórą, w tle wydarzeń, widoków i dźwięków wciąż pozostawało nieszczęście, jakie spotkało jednego z nich. Takie tragedie zawsze rodziły pytania: czy następny będę ja? Erich Schwarz nie był w tym przypadku żadnym wyjątkiem. Tym bardziej że wiedział coś, czego nie wiedział nikt inny. Dlatego nie mógł spać spokojnie.

Skrzypnęły drzwi hotelowego numeru, stanęła w nich Ingeborg ze szklanką wrzątku.

– Dziewczyna w recepcji była naprawdę miła – stwierdziła, zamykając za sobą drzwi. – Odmówiła nawet przyjęcia pieniędzy.

Siedzący na łóżku Erich skrzywił się, co miało być dziękczynnym uśmiechem.

Po chwili saszetka ziołowej herbaty barwiła wodę na beżowo. Ingeborg wiedziała, że jej mąż nie pija bardzo gorącej herbaty. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w szklankę, czekając, aż płyn nieco wystygnie. Szybszy był jednak sen.

Gdy Erich usłyszał miarowy oddech żony, dźwignął się z łóżka, niemal bezszelestnie podszedł do szafy, gdzie znajdowały się ich bagaże. Ręka starca zanurzyła się w chłodnym wnętrzu jednej z walizek, by po chwili trafić na jeszcze chłodniejszy, bo metalowy przedmiot.

To, a nie żadna zasrana melisa, jest najlepszym lekarstwem na mój spokojny sen – pomyślał, po czym wrócił do łóżka i zgasił lampkę.

XIV

53°35'N, 20°19'E, dzień drugi

Siedzący obok kierowcy Baltazar Skąpski wydał z siebie zwierzęcy krzyk, kiedy liaz prowadzony przez Bączyka pędził już drogą na Swaderki.

– Nawet żem nie przypuszczał, że to tak szybko pójdzie – powiedział już nieco spokojniej.

– Dobrze jest – mruknął kierowca.

– Flaszkę musimy zrobić po tym wszystkim, jak Boga Kocham.

Kierowca zgodził się skinieniem głowy, po czym spojrzął we wsteczne lusterko, w którym ujrzał dwa cienie. Grubszy należący do skradzionej rzeźby, a drugi, dużo cieńszy, do drugiego z braci Skąpskich, który podróżował na pace, obok zdobyczy. Asekurował rzeźbę na zakrętach, a tych nie brakowało.

Następnie wzrok Bączyka padł na tablicę rozdzielczą: zegar wskazywał godzinę drugą w nocy, ale on nie czuł się ani trochę śpiący. Prawdę mówiąc, jemu też chciało się krzyczeć. Nie pamiętał, kiedy ostatnio miał takiego pietra, jak przed kilkunastoma minutami.

Na szczęście to już była przeszłość, za którą najwyżej jutro organizm zapłaci bólem głowy czy sraczką, jak już nieraz bywało.

– To tutaj. – Baltazar Skąpski wycelował brudnym palcem w przednią szybę, pokrytą półkolistymi liszajami i martwymi owadami.

Ale kierowca sam dobrze wiedział, że dojeżdżali na miejsce. Minęli bowiem wieś Swaderki i zbliżali się do skrzyżowania z leśną drogą. W świetle reflektorów ciężarówki było już widać stary pokutniczy krzyż. Nieco dalej czekała furgonetka, na którą, wedle planu, mieli teraz przeładować kamienną rzeźbę.

A potem do kasy! – pomyślał z zadowoleniem Bączyk.

Zatrzymali się na leśnej drodze. Lechosław Bączyk od razu starał się ustawić swój pojazd w taki sposób, by ułatwić przeładunek. Kombinował kierownicą, podczas gdy Skąpscy już byli na zewnątrz i rozmawiali z jakimś mężczyzną. Bączyk rozpoznał w nim pośrednika, z którym rozmawiał przed dworcem. Wiatr zakołysał drzewami, znów zrobiło się nieprzyjemnie i ponuro.

Kilkanaście metrów dalej stał samochód wysokiego. Nigdzie nie było jednak widać osobnika lub osobników, którzy przybyli tu furgonetką. Chwilę potem Skąpscy siedzieli na pace i montowali na powrót stalowe haki pod cielskiem zabytkowej rzeźby.

– Dawaj! – padła komenda.

Bączyk zaczął operować wajchami, teraz jednak z o wiele większą pewnością niż wcześniej, kiedy to w każdej chwili mogli zostać nakryci na kradzieży. Silnik pracował miarowo, a lew przez dłuższą chwilę majestatycznie unosił się w powietrzu, by wreszcie spocząć na furgonetce.

– W porządku – ucieszyli się bracia jednogłośnie i z niesłabnącym entuzjazmem, po czym, uwolniwszy lwa od łańcuchów, zeskoczyli na ziemię niczym nastolatki.

Także i Bączyk wykonał ostatni ruch wajchą.

– Toć nie pierwszyczna – mruknął znów pod nosem, tym razem z zadowoleniem.

Nagle zawarczał silnik furgonetki, choć żaden ze złodziei nie dostrzegł wcześniej, by ktoś siedział za jej kierownicą. Wysoki pośrednik zaczął rozglądać się na boki, najwyraźniej czymś zaniepokojony.

W chwili gdy Bączyk składał ramię dźwigu, rozległo się kilka głuchych kłaśnień. Gdy w tej samej sekundzie ujrzał braci Skąpskich i pośrednika padających na ziemię, włosy na głowie stanęły mu dęba. Mimo że jedynym źródłem światła były światła mijania jego ciężarówki, ujrzał ranę postrzałową, która niczym kwiat róży w sekundę zakwitła na wysokim czole tego ostatniego.

Rozległ się trzask rozbijanego szkła. Bączyk dostrzegł dziurę po pocisku na samym środku bocznej szyby. Nagle zapragnął żyć. Tak mocno, jak chyba nigdy dotąd w całym swym pięćdziesięcioletnim i zasranym życiu.

Schylił się, skulił w sobie. Wrzucił jedynkę i z całej siły nadepnął na pedał gazu. Silnik zawył jak ten lew, który był powodem obecności ich wszystkich w tym miejscu. I niemal jak ten lew skoczył do przodu...

XV

Olsztyn, dzień drugi

Tomasz Horn i Bogdan Sikorski siedzieli na korytarzu komendy powiatowej w Olsztynie i od kilku chwil nie odzywali się do siebie. Nie byli pokłóceni. Po prostu każdy z nich zatopiony był w swoich myślach. Był w nich gdzie indziej. Jeden pewnie bliżej, drugi dalej.

Umówili się na ósmą rano, by złożyć zeznania w sprawie ostrzelania na jeziorze motorówki, którą płynęli, w wyniku czego obrażeń doznał jej właściciel.

Sikorski, który jeszcze dobie wcześniej sam siedział na dołku podejrzany o dokonanie zbrodni, nie miał oporów przed ponownym kontaktem ze stróżami prawa. Pewnie w myśl starej zasady, że policję kochamy, gdy ją wzywamy, a nienawidzimy, gdy ona nas wzywa. Poza tym wiele wskazywało na to, że te dwie sprawy mają ze sobą coś wspólnego.

Wkrótce na korytarzu pojawił się oficer, który wezwał ich do swojego gabinetu. Horn pomyślał wtedy, że najlepiej dla Sikorskiego byłoby, gdyby w istocie była to wciąż jedna i ta sama sprawa. I gdyby mogli porozmawiać teraz z komisarzem Kontrą, a najlepiej z podinspektorem Stawskim. Obaj oficerowie byli jednak w terenie.

W kilkunastu zdaniach Sikorski i Horn opowiedzieli o wszystkim, co spotkało ich wczorajszego wieczora. Następnie podpisali zeznania. Na szczęście przyjmujący zawiadomienie funkcjonariusz był bystry, a przede

wszystkim dobrze radził sobie z klawiaturą komputera, więc wszystko trwało około dwudziestu pięciu minut.

Gdy jednak wyszli z komendy, europoseł wcale nie wyglądał na spokojnego.

– Muszę już lecieć, stary – rzekł trochę zbyt głośno, unikając jednocześnie wzroku dziennikarza. – Powinienem być dzisiaj po południu w Strasburgu. Mam zebranie komisji.

Horn o nic nie pytał. Wszystko było jasne. Życie każdego z nich musiało toczyć się dalej swoim torem.

Ale wtedy w Sikorskim coś pękło.

– Znalazłem się na krawędzi – rzekł drżącym głosem. – Całe moje życie, życie mojej rodziny, kariera. Wszystko może trafić szlag, jeśli ta sprawa się nie wyjaśni. Nie wiem, co robić...

Horn nigdy nie widział swojego przyjaciela w takim stanie. Ale ostatnio rzadko się widywali. Nie wiedział też, co powiedzieć, żeby nie zabrzmiało to głupio czy banalnie. Dlatego milczał.

– Chyba ci jeszcze nie podziękowałem – mruknął po chwili Sikorski.

– Nie ma sprawy.

– Dobrze wiesz, że jest.

– Mam nadzieję, że wszystko uda się szybko i do końca wyjaśnić.

XVI

53°38'N, 20°23'E, dzień drugi

Ewa Rimmel od zawsze wiedziała, że zostanie archeologiem. Gdyby jednak zapytać ją, co zapoczątkowało tę pasję, nie potrafiłaby odpowiedzieć.

Skończyła studia, wróciła do rodzinnego Gdańska, gdzie wkrótce znalazła pracę, o dziwo, w swoim zawodzie. Mimo że nie była ani brzydka, ani głupia, postanowiła iść pod prąd. Przed rokiem pracowała w zespole badawczym, który odkrył groby wielkich mistrzów zakonu krzyżackiego w katedrze w Kwidzynie, co okazało się wydarzeniem na skalę światową.

Jednak takie chwile jak ta powodowały, że miała serdecznie dość nie tylko swojego zawodu, ale i wszystkiego. Poprzedniej nocy nieznani sprawcy zdemolowali bowiem stanowiska badawcze. Dodatkowo łupem złodziei padł specjalistyczny sprzęt: georadar i kilka szpadli. Te ostatnie nie stanowiły wielkiej straty. Ale georadar? To już o wiele poważniejszy problem.

– Kurwa mać! – zaklęła głośno.

Stali we trójkę: ona, kierowniczka wykopalisk prowadzonych na miejscu staropruskiego grodziska, oraz dwóch młodych archeologów, świeżo upieczonych absolwentów tego kierunku, Klata i Wójcicki, który jako pierwszy zauważył, że dokonano włamania do drewnianej budki. Musiało się to stać w nocy, kiedy wszyscy spali w namiotach rozbitych na łączce, skąd rozciągał się piękny widok na okolicę.

– Co teraz? – bąknął Klata.

– Jak to co? Trzeba jak najszybciej wzywać gliny – zaperzył się Wójcicki.

I obaj spojrzeli na swoją szefową.

Ewa jednak tylko wzruszyła ramionami. Popatrzyła nieobecny wzrokiem gdzieś w dal, za szarą linię lasów. Nie, zupełnie nie tak wyobrażała sobie tę pracę...

Pracowała poprzednio na Bliskim Wschodzie i w Egipcie. Propozycję pokierowania wykopaliskami na Warmii przyjęła nawet z zadowoleniem. Nie był w stanie wystraszyć jej nawet fakt, że jej podkomendni byli żółtodziobami, w dodatku ze skłonnościami rozrywkowymi, o czym przekonała się pierwszej nocy. Co prawda jedna reprimenda błyskawicznie przywróciła nieopierzonych do pionu, jednak Ewa już na wstępie znieubiła to miejsce.

Dzień płynął za dniem, archeolodzy robili swoje, choć bez większych sukcesów. Przez cały ten czas nie natrafili na nic, co byłoby dla nich interesujące, przedstawiało jakąś wartość historyczną. Sukcesem należało chyba nazwać fakt, że jakoś ze sobą wytrzymywali. Nie działało się nic. Aż do dzisiaj.

– Tak, trzeba jechać na policję – zdecydowała po chwili Ewa.

Chwilę potem cała trójka znalazła się przy samochodzie Klata, starym tarpanie, który sam mógł robić za archeologiczne wykopalisko, ale był na chodzie, wszak archeolodzy dotarli nim aż z Krakowa. Pewny swego właściciel usiadł za kółkiem, chcąc uruchomić pojazd.

Przekręcił kluczyk w stacyjce, ale zamiast spodziewanego warkotu silnika, trochę głośniejszego niż w innych samochodach, Ewa i Wójcicki usłyszeli tylko brzęk breloczka od kluczyków. Nic. Nawet rżężenia.

– Co jest, do cholery?! – Klata wyskoczył z tarpana, jakby niespodziewanie ktoś wbił mu od spodu szpilkę.

Chwilę potem uniósł maskę i wtedy dowiedzieli się, o co chodzi.

– Kurwa mać! – rzucił właściciel samochodu, nie siląc się na oryginalność.

Już wiedzieli, że złodzieje połakomili się także na akumulator w tarpanie. To do końca przekonało uczestników wykopalisk do powiadomienia policji.

Mimo braku środka transportu okradzeni nadal obstawali przy wcześniejszym pomysłe, czyli osobistym złożeniu doniesienia na posterunku policji w Olsztynku.

– Siła złęgo na jednego – podsumowała Ewa.

Po czym zdecydowała, że dotrze do Olsztynka autostopem. Sama.

– Ktoś musi pilnować tego, co nam jeszcze zostało – wytłumaczyła.

Dziesięć minut później stała na skraju szosy. Ubrana w długą sukienkę w kwiaty, oszczędnie machała ręką, ujrzawszy mknący na południe pojazd, który w jej ocenie dobrze rokował. Nigdy nie odczuwała strachu przed podróżą autostopem. Podczas studiów pokonała w ten sposób wiele setek kilometrów.

Gdy jednak zatrzymał się przy niej samochód, którego nie zatrzymywała, poczuła się nieswojo. Była niemal pewna, że za chwilę zostanie zaczepiona przez kierowcę w jakiś niewybredny sposób. Postanowiła go zignorować.

Jakież było jednak jej zdziwienie, gdy usłyszała swoje imię. W dodatku wypowiedziane znajomym głosem.

– Po minie poznaję, że potrzebna ci pomoc! – zawołał kierowca przez okienko.

– Cześć, Tomasz – przywitała się Ewa. – Kopę lat.

– Tylko niecały rok – sprostował Horn z uśmiechem.

XVII

Olsztynek, dzień drugi

Komisarz Grzegorz Solnicki, zastępca komendanta posterunku policji w Olsztyнку, od rana nie miał chwili odpoczynku. Niby małe miasteczko, to i małe sprawy, typu ktoś komuś wszedł w szkodę w Mierkach, komuś rower podprowadzili w Ameryce, a to jakiś niedzielny kierowca, który wybrał się z rodziną, by zwiedzić skansen, nie wyrobił się na zakręcie.

Komisarz Solnicki wiele by dał, żeby móc teraz samemu wyjechać pod miasto i zająć się stłuczką, wysłuchać tłumaczeń pechowców, wypisać mandaty lub nawet tylko pouczyć.

Ale kilka dni temu zmieniło się wszystko: przez posterunek przy Chopina jakby przeszedł huragan. Amerykanie zawsze nadają im jakieś imiona. Ten, który przeszedł nad Olsztyńkiem, musiałby nosić imię komendanta wojewódzkiego policji, bo to właśnie o Olsztyn obijała się sprawa morderstwa niemieckiego turysty, do którego doszło w niedalekim zajeździe.

Przy okazji badania sprawy nie odmówiono sobie przyjemności nasłania kontroli na tutejszą placówkę, potem jeszcze jednej, nie wspominając już o mediach, które szukały sensacji. Owszem, sprawa nie miała precedensu, bo ostatniego Niemca zabito tu pewnie w 1945 roku. A jedyne, co spotykało wycieczkowiczów, to niestrawność albo zadyszka.

Największe zdziwienie funkcjonariuszy spowodowało jednak pojawienie się w ich skromnych progach policjantki z Niemiec w stopniu komisarza, Joanny Klose.

I to właśnie ona, niezwykle atrakcyjna blondynka, siedziała właśnie naprzeciwko komisarza Grzegorza Solnickiego i po raz nie wiadomo już który wałkowała sprawę. Robiła to, używając najczystszej polszczyzny, co mogło tłumaczyć jej nazwisko. Nikt jednak nie zapytał o to pani Joanny. Tak samo jak o jej ewentualne pokrewieństwo z gwiazdą futbolu, Miroslavem Klose.

– Zatem mówi pan, że nikt z uczestników wycieczki nie zauważył niczego niepokojącego. – Policjantka przewróciła jakieś papiery, którymi chwilę wcześniej bezceremonialnie zarzuciła nie swoje biurko.

– Tak jest – potwierdził z pozornym spokojem Solnicki. – Przesłuchaliśmy razem z kolegami z sekcji kryminalnej komendy w Olsztynie wszystkich uczestników wycieczki.

– A pilota i kierowcę autokaru?

– To oczywiste.

– Personel restauracji?

– Owszem. A także wszystkich gości, którzy w tym momencie w niej przebywali.

– Ile osób?

– W sumie... – tym razem to polski policjant zajrzał do swoich dokumentów – pięćdziesiąt osiem.

Liczby, zawsze tylko liczby – pomyślał ze złością. Na przykład w tej chwili dochodziła dwunasta. O niezbyt czystą szybę w gabinecie rozpaczliwie obijała się mucha. Komisarz czuł się dokładnie jak ten owad.

Tymczasem Niemka robiła jakieś notatki, choć komisarz miał problem ze stwierdzeniem, w jakim języku.

– Na pudełku zapalek znalezionym przy denacie stwierdzono obecność tylko jego odcisków palców – przeczytała na głos, podnosząc nieco wyżej jeden z dokumentów, które leżały na stoliku. – To te zapalaki? – Pokazała zdjęcie.

– Przecież pani dobrze wie, że tak.

– I te? – Tym razem Klose podniosła w górę nie fotografię, a... prawdziwe zapalaki, na których widok Polak aż otworzył usta ze zdumienia. – Spokojnie, to moje – mruknęła. – To dość znana w Niemczech firma.

Ciszę, która zapadła, przerwało pukanie do drzwi. Długopis w rękę komisarz Klose zastygł centymetr nad kartką.

– Wejść! – rzucił komisarz Solnicki.

Do pokoju wkroczył młody chłopak w koszuli z dystynkcjami sierżanta. Był to dyżurny. Ujrawszy Niemkę, zasalutował do baseballówki z orzełkiem. Przez chwilę milczał, jakby zapomniał wyuczonej wcześniej kwestii.

– No, co jest? – burknął Solnicki.

– Panie komisarzu, wiceburmistrz Nowak przyjechał – zaanonsował wreszcie sierżant.

Zastępca komendanta posterunku w Olsztynku zrozumiał, że prawdziwe kłopoty dopiero się zaczynają.

XVIII

Olsztyn, dzień drugi

Komisarz Kontra do tego zadania zażyczył sobie najlepszego samochodu i równie dobrego kierowcy. Obiekt był bowiem szczególny, a misja niezwykle delikatna.

Gdy więc dowiedział się, że dostanie czerwonego volkswagena passata, najnowszy nabytek komendy (oczywiście radiowóz był nieoznakowany), a za kółkiem będzie siedział sierżant Jacek Świątek (oczywiście bez munduru), mający opinię nie lada kozaka, który mógł stawać w szranki z samym Hołowczycem, ucieszył się bardzo.

Świątek w pełni zasługiwał na swoją opinię. Kilka razy przemknął przez skrzyżowanie na czerwonym świetle, kilka razy wciskał się tam, gdzie i motorem byłoby trudno. A wszystko po to, by on i siedzący obok komisarz ani na chwilę nie stracili z oczu terenowego nissana pathfindera, którym poruszał się Bogdan Sikorski. Decyzją podinspektora Stawskiego mieli jechać za europośłem tak długo, jak to będzie możliwe.

– Czemu właściwie on jeździ na francuskich blachach? – zapytał Świątek, gdy mijali roгатki Olsztyna.

– Nie wiem. – Kontra wzruszył ramionami, z których jedno, prawe, dopiero teraz unieruchomił za pomocą pasa bezpieczeństwa. – Teraz w unii jesteśmy, więc wszystko można.

– Ale on przecież w Brukseli urzęduje, nie? A to jest Belgia. Nie Francja.

– Cholera go wie. Może kupił wózek od jakiegoś zabojada i jeszcze nie przerejestrował? No i w Strasburgu też są biura, a to przecież Alzacja.

– Tak czy inaczej na wszystkie polskie fotoradary może facet łać z góry.

– I to nie tylko z powodu niepolskiej rejestracji...

Przez kilka chwil milczeli. Sikorski, mimo że nie groziły mu żadne konsekwencje, jechał raczej spokojnie. Obserwacja nissana pathfindera nie była więc trudną sztuką. Komisarz Kontra zakładał, że Sikorski będzie jechał na któreś z najbliższych lotnisk, skąd następnie uda się samolotem do Brukseli lub Strasburga.

Z początku obstawiał Warszawę, jednak gdy na skrzyżowaniu Warszawskiej i Armii Krajowej terenówka skręciła w stronę drogi krajowej numer 16, szala przechyliła się na korzyść Gdańska i lotniska Rębiechowo. A gdy Sikorski minął zjazd na Łupstych, gdzie mieszkał, Kontra był już niemal pewien, że jadą na Wybrzeże. Ucieszył się tym faktem, bo dawno nie widział morza.

– Ciekawe, ile taki pathfinder pali – zastanawiał się głośno Świętek.

– Eurozjady nie martwią się o takie rzeczy – skomentował komisarz.

Sikorski jakby usłyszał ich słowa, bo nissan nagle przyspieszył. Kontra spojrzął na kierowcę, na którym jednak nie zrobiło to większego wrażenia – po prostu również mocniej nacisnął gaz, starając się jednocześnie zachować dystans, by nie wzbudzać podejrzeń.

– Niezła fura – mruknął pod nosem.

Po raz drugi spojrzeli na siebie w momencie, gdy kwadrans później Bogdan Sikorski, zamiast jechać dalej w stronę Ostródy, którą przecinała trasa S7, nagle włączył prawy kierunkowskaz i skręcił na Gietrzwałd.

– To nie tędy jedzie się na Woryty, gdzie znaleźli tę panienkę? – zapytał sierżant.

Ale Kontra nie odpowiedział. Był zbyt pochłonięty myślami. Nie, nie tego się spodziewali. A może właśnie tego?

Cholera, przecież morderca wraca na miejsce zbrodni tylko w powieściach i filmach kryminalnych – pomyślał. Po czym sięgnął po mikrofon radia. Nie wywoływał jednak centrali.

– Pan myśli to, co ja? – Sierżant Świątek zerknął z ukosa na oficera.

– Że jedzie do sanktuarium, by poleżeć krzyżem? – prychnął Kontra. – Albo po święconą wodę?

– Niezły bałagan...

Zgodnie z tym, co przewidywał komisarz, Sikorski przejechał przez Gietrzwałd. Osiem, może dziesięć minut później nissan pathfinder wjechał do Woryt. Ale tam też się nie zatrzymał.

– Co on kombinuje? – mruknął Kontra. – Czyżby to miał być skrót do „siódemki”?

– Trochę dziwny by był – ocenił kierowca.

Wyjechali z Woryt. Droga wiodła przez las, była kiepska, pełna wybojów i dziur, więc niezłe nimi trzęsło. Za to terenówka europośla do takiej nawierzchni była stworzona.

– Może się zorientował i chce nas w ten sposób załatwić? – przestraszył się Świątek.

– Nie kracz. I włącz GPS. Ciekaw jestem, jaka wiocha jest następna.

Sierżant wykonał polecenie.

– Pelnik – zameldował po chwili.

Nissan Sikorskiego co raz znikał im z oczu za sprawą licznych zakrętów, ale i kurzu, którego obłoki wzbijały jego koła. Gdy kilka minut

później po lewej stronie ujrzeli jasną plamę jeziora, zobaczyli też auto polityka.

Po chwili nissan zatrzymał się przed jednym z domostw przy głównej drodze. Bogdan Sikorski wysiadł i nie oglądając się na volkswagena passata, który przystawał właśnie kilkadziesiąt metrów dalej, w zatoczce autobusowej, zdecydowanym krokiem podszedł do furtki. Kontra szybko wyjął ze schowka lornetkę i podniósł ją do oczu.

– Może i nie zabił tej Ruskiej w Worytach – mruknął. – Ale święty też nie jest. Zobacz sam.

XIX

Olsztynek, dzień drugi

– To tutaj. – Ewa Rimmel wycelowwała wskazującym palcem w przednią szybę.

Tomasz Horn zatrzymał samochód przed komisariatem policji przy ulicy Chopina. Droga do miasteczka akurat wystarczyła, aby opowiedzieli sobie z Ewą, co u każdego z nich zdarzyło się przez ostatni rok, zresztą niecały. Tyle czasu minęło od chwili, gdy widzieli się po raz ostatni.

Horn cieszył się z tego niespodziewanego spotkania. Planował zaprosić Ewę na obiad, kiedy już będzie po wszystkim, to znaczy kiedy archeolożka złoży doniesienie o kradzieży.

– Pójdiesz ze mną? – zapytała, gdy wyłączył silnik.

– Jeśli sobie życzysz. – Horn wyciągnął kluczyki ze stacyjki.

– Dziękuję.

Pół minuty później znaleźli się w komisariacie. Ewa wyłuszczyła sprawę w okratowanym okienku, po czym, ku zdziwieniu dziennikarza, od razu została poproszona do jakiegoś innego pokoju, gdzie miała, jak sądził, rozmawiać z kimś ważnym.

Zaliczyłem trzy komendy policji w ciągu dwóch dni – pomyślał z rozbawieniem Horn, siadając na jednym ze stojących w rzędzie krzesełek.

Wtem z głębi korytarza doleciał jego uszu jakiś tumult. Trzaśnięcie drzwi poprzedziło kilka podniesionych, męskich głosów.

– W imieniu władz miasta żądam od pana podjęcia zdecydowanych działań w tej sprawie! – grzmiał jakiś mężczyzna w białej koszuli i krawacie, z kurczowo ściskaną pod pachą teczką.

– Naprawdę sądzi pan, że tę rzeźbę ukradziono? – rzekł nieco spokojniej mężczyzna w mundurze. – Tylko po co komu taki wielki lew? W dodatku ważący siedem ton. Gdzie go postawi? Przed domem, w ogródku?

– Nie wiem – burknął Nowak.

– Przez granicę przewiezie, panie burmistrzu?

– Temu właśnie macie zapobiec, panie komisarzu.

– Pewnie zabrali do remontu, a u was o tym nawet nie wiedzą. Może odpowiedzialny za to referent jest na urlopie i nie zdążył o tym nikogo powiadomić. Takie rzeczy się zdarzają – spekulował Solnicki.

Urządник przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby drzemał na stojąco.

Nagle wybuchnął na nowo, z jeszcze większą siłą i gniewem, omal nie gubiąc swojej teczki.

– Sugeruje pan, że mamy w ratuszu bałagan?!

Oficer potarł dłonią czoło.

– Nic takiego nie powiedziałem.

– Czy zamykacie kogoś na czterdzieści osiem godzin, a potem o nim zapominacie?!

– Nic takiego się nie zdarzyło.

Cisza. Przez chwilę obaj mężczyźni patrzyli na siebie jak zawodowi bokserzy po ważeniu przed walką.

– Znajdziecie rzeźbę czy mam z tym iść wyżej? – zapytał urzędnik.

Nagle w perspektywie korytarza przyglądający się tej scenie Horn ujrzał trzecią postać, która wyszła z jakichś bocznych drzwi. Od razu rozpoznał niemiecką policjantkę, którą widział wczoraj w olsztyńskiej komendzie. Odruchowo wyprostował się na krześle.

– Pani jeszcze tutaj? – Solnicki spojrzał koso na dziewczynę.

– Jak widać – odpowiedziała.

– Co pani robi? Czy nie wyjaśniliśmy sobie wszystkiego?

– Owszem, wyjaśniliśmy. A co robię? Słucham z zainteresowaniem panów dyskusji.

– Co pani do tego? – Zastępca komendanta posterunku z trudem tłumił gniew, Niemka za to wyglądała na bardzo spokojną.

– Już panu tłumaczę – rzekła z uśmiechem. – Z tego, co mówi pan wiceburmistrz, wnioskuję, że skradziono, a może nawet zdewastowano symbol niegdysiejszej niemieckiej bytności na tej ziemi. Mam powody, by łączyć ten fakt ze sprawą niewyjaśnionego dotąd zabójstwa mojego rodaka.

– Żartuje pani?!

– Nie mam takiego zamiaru. Po prostu staram się wyjaśnić wszystkie okoliczności i chwytam wszystkie tropy. Panie komisarzu – dodała łagodnie, jakby zwracała się do małego dziecka – przecież oboje gramy do jednej bramki.

Komisarz Solnicki przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy nie zapytać tej złośliwej małolaty, czy nie zechciałaby czasem zająć się zgłoszoną rano kradzieżą starego roweru marki ukraina, bo to z pewnością również ma związek z zabójstwem jej rodaka.

Ale wtedy znów, i chyba na szczęście, odezwał się Nowak, który najwyraźniej dostrzegł w Joannie Klośce sprzymierzeńca.

– Autorem kamiennego lwa jest Micheleangelo Pietrobelli – rzekł niegłośno, przez co obserwujący wciąż tę scenę Horn musiał jeszcze

bardziej wyteńczyć słuch. – Posąg ten upamiętniał poległych żołnierzy sto czterdziestego siódmego pułku piechoty, który brał udział w jednej z najważniejszych, ale i najbardziej krwawych bitew I wojny światowej...

XX

Okolice wsi Tannenberg, 23 sierpnia 1914 roku

Nad Prusami Wschodnimi powoli gasł dzień. Kolejny dzień upalnego lata, ale też kolejny dzień wojny, o jakiej dotąd nie śniło się chyba nikomu na świecie.

Wąską, polną drogą od wsi Orłowo szła kolumna żołnierzy, noga za nogą, powoli, choć z uporem, do przodu. Mundury koloru feldgrau, w które odziani byli piechurzy, były bardziej szare niż zwykle, a hełmy, buty, guziki i karabiny nie lśniły jak jeszcze kilka tygodni wcześniej, gdy noszący je chłopcy opuszczali mazurskie miasta Lyck i Lötzen. Tu i ówdzie białą bandażę.

Kilkanaście godzin temu trzydziesta siódma dywizja piechoty, wchodząca w skład dwudziestego korpusu Armii Cesarstwa Niemieckiego generała von Scholtza, odbyła potyczkę z wojskami rosyjskimi. Obie strony odniosły dotkliwe straty. Ci, którzy przeżyli, zmierzali teraz na spoczynek. Było już widać pierwsze chaty wsi, której nazwa wkrótce miała zapisać się na stałe w historii Europy.

– Kompania! – rozległ się przypominający szczeknięcie psa głos maszerującego na czele kolumny feldfebla, a chwilę potem równy stukot defiladowego kroku. – Stój!

Nagła cisza. Z oddali dobiegało rzenie koni, a także warkot samochodowych silników. Gwizd pociągu, zapewne szpitalnego, który

zabierze rannych. Bliżej zaś, w trawie, wieczorny koncert rozpoczęły świerszcze. Niczym requiem dla poległych.

Żywi stali oto w środku Tannenbergu i spod szerokich okapów hełmów wodzili dookoła ciekawymi oczami. Wieś sprawiała wrażenie wymarłej.

– Dwuszereg lewo front! – wydał znów komendę feldfebel, a gdy ją w sekundę karnie wykonano, mógł rzucić, sam zdrożony i żądny odpoczynku, wyczekane przez wszystkich: – W tył, na kwatery, rozejść się...

Dwuszereg, o jedną czwartą krótszy niż rankiem tego samego dnia, rozsypał się w mgnieniu oka niczym mur, do którego budowy murarz użył niewłaściwego spoiwa. Nad głowami żołnierzy pojawiły się obłoczki szarego dymu. Zaczęli rozmawiać.

– Masz, Helmut, papierosa?

– Ciekawe, gdzie nam przyjdzie dzisiaj spać.

– Furaż już jest, braciszku! Czujecie ten zapach?

– Twoich onuc?

– Nie, to kapusta.

– Mam tylko nadzieję, że jaki tłusty prosiak przez nią przeleciał.

Osiemnastoletni Emil Rotzki zatrzymał się pod stojącym w skrajni drogi dębem, zrzucił z pleców plecak obsyty jelenią skórą. Usiadł, oparł się o pień drzewa, wreszcie zdjął z głowy hełm, odrobinę za wielki. Otarł rękawem mundurowej bluzy pot z czoła i dopiero wtedy głęboko odetchnął.

– Zapalisz? – Nad sobą ujrzał podsuniętą mu pod nos czyjąś rękę, na której leżało kilka krzywych papierosów.

– Nie – odpowiedział, by zaraz dodać tonem usprawiedliwienia: – Nie potrafię...

– Nauczysz się jeszcze, brachu, nauczysz jak słońce na niebie. To kwestia tygodni, może nawet dni – rzekł uczenie Lothar Bauermeister, rozsiadając się obok.

Nie mógł mieć więcej niż lat trzydzieści, ale bitwa sprzed kilku godzin, z której żołnierz ów wyszedł cało, dodała mu lat. Kurz i strach – to była codzienność, choć wielu wciąż nie potrafiło się do niej przyzwyczaić.

– Patrz, co wojna robi z tego kraju – rzekł po dłuższej chwili milczenia Bauermeister, zapalając papierosa. – Sierpień już mamy, a zboże z pól niezebrane, nawet nieruszone. Wszystko idzie na zmarnowanie.

W istocie, mijał już drugi miesiąc od chwili, gdy w dalekim Sarajewie padły strzały, które pozbawiły życia następcę tronu Austro-Węgier, arcyksięcia Ferdynanda, a jednocześnie były pierwszymi strzałami w największym konflikcie od czasu zakończenia wojen napoleońskich.

Mówiąc o kolejnych wydarzeniach, używało się porównania do kostek domina, z których każda kolejna przewracała następną. Taki był wynik tego, co od lat dojrzewało w ludziach, obywatelach państw i tych, co swych państw nie mieli, ale przede wszystkim w ich wodzach – królach, cesarzach, prezydentach i kanclerzach. Wypowiadano wojnę lub na razie tylko grożono jej wypowiedzeniem, za każdym razem jednako mobilizowano siły.

Kiedy jednak przed niespełną tygodniem granicę Prus Wschodnich przekroczyły armie dowodzone przez rosyjskich generałów Samsonowa i Rennenkampfa, stało się jasne, że żniw w tym kraju w tym roku, jak zauważył Lothar Bauermeister, nie będzie.

Mimo to jeszcze wierzono, że to tylko sprawa tygodni, może miesięcy. Że najdalej na Boże Narodzenie będą w domu.

– Herman dał mi swój zegarek i zdjęcie żony, żebym jej te rzeczy przekazał. – Emil Rotzki uniósł do ucha duży czasomierz z dewizką. –

Jakby przeczuwał, że zginie.

– Masz to zdjęcie? – zainteresował się jego towarzysz.

Chłopak podał mu wydobytą z zanadru niewielką fotografię w kolorze sepii okoloną białymi ząbkami. Przedstawiała kobietę ciemnowłosą i piękną, choć poważną, może nawet smutną. Żonę ich poległego kolegi.

– Ładna nawet – ocenił Lothar. – Mieli dzieci?

– Nie wiem. Chyba nie.

– I co? Oddasz zegarek wdowie?

– Oczywiście.

Naraz doszedł ich uszu warkot silnika. Unieśli głowy. Dwupłatowy samolot z czarnymi krzyżami na skrzydłach, czyli ich, niemiecki, leciał z północy na południe, dość wysoko.

– Albatros D.I – rzekł z dumą starszy żołnierz.

Dwupłatowiec minął się z bladą jeszcze połówką księżyca. Wkrótce zakryły go dachy opuszczonych domostw Tannenbergu.

W tej samej chwili trębacz wezwał wszystkich na wieczorny posiłek.

– No, w samą porę! – ucieszył się Bauermeister, po czym z głośnym stęknieniem dźwignął się z ziemi, otrzepał portki, schylił się, by pochwycić plecak. – Czuję, że czeka nas dzisiaj błoga wyżerka.

Rychło dotarli w miejsce, gdzie rozstawiono kuchnię polową. Część żołnierzy już zajadała kolację, na którą składała się gorąca fasola z kapustą i mięsem, do picia zaś kawa zbożowa. Część jeszcze czekała w kolejce, pobrzękując menażkami, manierkami i niezbędnikami.

Co dziwne, wśród jednakowego koloru mundurów dało się zauważyć także i cywilne ubrania. Byli to mieszkańcy wsi, których z bezpiecznych kryjówek w piwnicach wyciągnęły zapachy z żołnierskiej kuchni. Łaknienie musiało wygrać ze strachem przed wojną.

Tu i ówdzie między nogami żołnierzy zaczęły błąkać się głodne psy, a także dzieci. Mali chłopcy przyglądali się karabinom. Co raz któryś z wojaków wyciągnął rękę, nie odmówiwszy sobie przyjemności pogłaskania płowej czupryny.

Emil Rotzki, Lothar Bauermeister i kilku innych żołnierzy z trzeciej kompanii siedzieli na swoich plecakach lub wprost na ziemi dookoła kuchni polowej i jedli zasłużoną kolację. Kwadrans później pod wodzą swojego feldfebla wszyscy udali się na kwaterę, którą wyznaczono im w szkole, zamkniętej teraz tak z powodu wojny, jak i wakacji.

Gęby uśmiechnęły im się, gdy tylko znaleźli się w sali gimnastycznej, w której kącie leżała góra materacy do ćwiczeń.

– Starczy dla wszystkich – rzekł z zadowoleniem Bauermeister.

Tak, tej nocy wszyscy wyśpią się przednio. Pod warunkiem że pozwolą na to Rosjanie.

O tym jednak na razie nie myśleli. Kilku chłopaków, zrzuciwszy z siebie ekwipunek, zaczęło z radością i krzykiem kopać piłkę futbolową. Inni, nie chcąc tak od razu narażać żołądków, zwyczajowo zadowolili się grą w karty.

Jeden tylko Bauermeister nie szukał miejsca do spania ani nie grał w nic, tylko szybko wycofał się z sali. Lubił czyste wychodki. A po takiej kolacji... Jeszcze zresztą swędziało go tylna część ciała, po tym jak wczoraj załatwiali swe potrzeby w lesie, nieopodal jeziora. Komary były tam wyjątkowo zgłodniałe.

Widok sali gimnastycznej, drabinek, obciążonego cielecą skórą kozła i innych przyrządów do ćwiczeń, a także zapach potu, którego nie udawało się nigdy pozbyć, sprawił, że Rotzkiego dopadła nostalgia. Usiadł w kącie, odgarnął włosy z czoła, oparł głowę o ścianę.

W ciągu chwili powróciły wspomnienia niedawnych dni.

Lato nad jeziorem, dziewczyna, która przyjechała na wakacje. Miała na imię Hanka, a lat o dwa mniej od niego. Pochodziła z Rosji, z Warszawy. I choć nazwiska obojga kończyły się podobnie, bo na „cki” i „ska”, on był poddanym cesarza Niemiec, ona zaś cara Rosji.

– Myślisz, że kiedyś będzie Polska? – zapytała w którymś momencie.

Siedzieli wówczas na pomoście nad jeziorem, na które w domu Emila mówiło się Niegocin. Chłopak nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć na takie pytanie.

Mimo że w jego domu czytano gazety w języku polskim i mówiono po polsku, a nawet zachwycono się przygodami Jana Skrzetuskiego, Michała Wołodyjowskiego i Onufrego Zagłoby, nikt chyba nigdy, a tym bardziej głośno, nie zastanawiał się, czy Polska kiedykolwiek wróci na mapę świata. Rotzki, nawet obudzony w środku nocy, potrafił wymienić w kolejności wszystkich polskich królów i książęta, od Mieszka I do Poniatowskiego.

– Nie wiem – odpowiedział szczerze.

Tydzień później, godzinę po tym, jak odprowadził Hanke na pociąg, stanął się w komendzie uzupełnień w Lecu, a następnie w koszarach. Został żołnierzem armii Cesarstwa Niemieckiego.

Nie zdążył jeszcze na dobre znienawidzić koszarowych murów i pruskiej dyscypliny, wrzasku podoficerów i podłego jedzenia, kiedy nadszedł rozkaz wymarszu.

Marienburg, 23 sierpnia 1914 roku

Czarna limuzyna z odkrytym dachem i z czterema oficerami w środku wjechała na most nad fosą. Koła zadudniły na drewnianej konstrukcji,

pojazd zniknął pod łukiem bramy. Ledwo to zrobił, zamknęły się wysokie, drewniane wierzeje.

Łuna zachodu czerwieniła mury majestatycznej, średniowiecznej warowni, na której basztach wiatr od Nogatu poruszał flagami w trzech kolorach: czarnym, białym i czerwonym. Nad Malbork, jak i całe Prusy nadchodziła noc. Kolejna noc wojny. W jakim kraju obudzą się jego mieszkańcy, czy za chleb przyjdzie im zapłacić w markach, czy w rublach – tego nie wiedział nikt.

Samochód zatrzymał się na kwadratowym dziedzińcu, ale szofer nie gasił silnika. Pasażerowie zaczęli powoli, jakby niepewni końca podróży, podnosić się z miejsc.

Ledwo największy z nich, najgrubszy, z sumiastymi wąsami, siwymi bokobrodami i żółtymi wyłogami na kołnierzu oraz czerwonymi klapami płaszcza, postawił stopę na bruku, z półmroku wyłoniła się wysoka postać, nieco pochylona ku przodowi. Człowiek ów miał na głowie hełm z pikielhaubą, do którego sprężyste zasalutował i odezwał się w te słowa:

– Panie generale, major Frischke melduje załogę twierdzy Marienburg...

– Dziękuję – przerwał mu przybyły, po czym zasalutował oszczędnie i podał rękę witającemu go oficerowi. – Prowadźcie do sali narad. Za pięć minut zaczynamy odprawę.

– *Jawohl, Herr General!*

Grupa ruszyła przez dziedziniec, by po chwili zniknąć w szerokich drzwiach.

Choć nikt z udających się w tym momencie na spoczynek lub już śpiących mieszkańców tej najbardziej na wschód wysuniętej części cesarstwa jeszcze tego nie wiedział, ludzie, którzy przed chwilą przybyli do starego krzyżackiego zamku, mieli być nadzieją na uratowanie Prus, a może

i całych Niemiec przed rosyjską inwazją. Oto bowiem szef Sztabu Generalnego, generał Helmuth von Moltke, wyznaczył nowych dowódców armii broniących prowincji – generała Paula von Hindenburga i generała Ericha Ludendorffa. To właśnie oni przybyli przed godziną z Berlina.

Sala odpraw, dawny refektarz letni na Zamku Średnim, wypełniona była oficerami łącznikowymi. Wszyscy zajęli miejsca za długim stołem. Tylko Hindenburg nadal stał i toczył wzrokiem po zgromadzonych.

Był to mężczyzna słusznej postury, otyły, niemal siedemdziesięcioletni, więc właściwie już emeryt. Weteran wojny prusko-francuskiej, ostrzyżony na jeża, przez co głowa jego przypominała kwadrat, a lewe oko miał kaprawe.

– Chciałbym, aby panowie poznali podstawowe założenia nowego planu działań niemieckich względem rosyjskich najeźdźców – zaczął. – Jak wiemy, naszym oddziałom udało się oderwać od głównych sił generała Rennenkampfa i znajdują się w tej chwili w odwrocie.

Zrobił pauzę, nad zdrowym okiem na chwilę uniosła się brew. Może był to tik, może wyraz zdziwienia, nie wiadomo. W dawnym refektarzu zamku malborskiego panowała głucha cisza.

– Celem naszym jest uderzenie na Drugą Armię, dowodzoną przez generała Samsonowa – ciągnął nowy dowódca.

– Przecież dokładnie to samo mówił nam von Prittwitz – szepnął jakiś kapitan z czarną opaską na prawym oku do siedzącego obok majora. – Jeszcze zanim go zdymisjonowali...

– Źle to widzę. – Major pokręcił głową.

Poparte chrząknięciami znaczące spojrzenia oficerów sztabowych siedzących po sąsiedzku spowodowały, że obaj zamilkli.

Następnie do głosu doszedł nowy szef sztabu, generał Erich Ludendorff. Wziąwszy do ręki drewniany wskaźnik, zbliżył się do mapy wiszącej na

ścianie.

– Nasz plan zakłada połączenie wszystkich sił Ósmej Armii – rzekł. – Tylko działając razem, jesteśmy w stanie skutecznie przeciwstawić się Rosjanom.

Wtem rozległ się zgrzyt odsuwanego krzesła. Nad stołem pojawiła się sylwetka starszego mężczyzny w mundurze pułkownika udekorowanym kilkoma rzędami krzyży, gwiazd i medali na kolorowych wstążkach. Nie był wiele młodszy od nowych dowódców.

– Za pozwoleniem, panie generale! – rzekł oficer donośnym, choć spokojnym głosem, po czym spojrzał na Hindenburga, wykonał szybki ukłon i przedstawił się: – Nazywam się pułkownik Johann von Willebrand.

– Słucham, pułkowniku. – Ludendorff utkwiał zmęczone oczy w oficerze.

– Ośmielę się zauważyć, że według najnowszych doniesień większość naszych wojsk albo znajduje się jeszcze w drodze, w pociągach, albo wręcz, jak w przypadku korpusów generałów von Belowa i von Mackensena, nawet nie rozpoczęła załadunku.

Skrzypnęły drzwi i do refektarza wszedł młodziutki oficer. Strzelił obcasami, zaszalutował i wręczył Hindenburgowi złożoną na cztery kartkę.

– Dziękuję – rzekł dowódca.

Przez chwilę czytał w napięciu. Oficerowie przyglądali się obliczu starego generała z napiętą uwagą, jednak chyba nikomu z nich nie udało się niczego wyczytać.

– Tak – mruknął wreszcie, podając meldunek do przeczytania swojemu szefowi sztabu. – Mam panom oficerom do zakomunikowania ciekawą nowinę.

W tym samym czasie, gdy na mapach sztabowych dowódcy kreślili kierunek ataku wojsk, na lotnisku pod Marienburgiem wylądował jednopłatowy samolot typu Rumpler Taube.

Po krótkim kołowaniu z maszyny wydostał się pasażer. Idąc krokiem wojskowego do czekającego na niego samochodu, zdejmował z siebie po kolei rękawice, wielkie gogle i pilotkę z jasnobrażowej skóry. Na chwilę przed podejściem do auta rozwiązał biały szalik, który oplatał mu szyję. Wszystkie te zabiegi ukazały twarz człowieka mniej więcej trzydziestoletniego, przystojną, z małym, jasnym wąsikiem i wesołymi oczami.

– Witamy na Atlantydzie – przywitał się jeden z oczekujących go dwóch mężczyzn w melonikach, po czym miękkiem gestem wskazał tylną kanapę. – Jest pan oczekiwany.

Trzasnęły zamykane drzwiczki, auto ruszyło z miejsca. Po kilku chwilach znalazło się na uliczkach śpiącego Marienburga. Gdy mijало zamek, przybysz wychylił się nieco i przez dłuższą chwilę w milczeniu przypatrywał się księżycowi, który świecił dokładnie nad stromym, spadzistym dachem głównej wieży Zamku Wysokiego.

Dochodziła północ, gdy zatrzymali się przed jedną z kamienic na starym mieście. Auto natychmiast odjechało, a oni po pachnących mokrym drewnem schodach całą trójką wspięli się na ostatnie, trzecie piętro.

Umówione pukanie – dwa, przerwa, dwa – spowodowało tylko uchylenie drzwi. Przez szparę wyjrzała para oczu osadzonych głęboko po dwóch stronach złamanego nosa. Przez krótką chwilę taksowała przybyszy.

– Nareszcie. – Mężczyzna szerzej otworzył drzwi. – Wszyscy już są.

Pasażer samolotu wkroczył do obszernego salonu, gdzie, w istocie, znajdowało się kilku mężczyzn w średnim i starszym wieku. Pomieszczenie było wypełnione dymem z cygar, fajek i papierosów. Od razu też

wyciągnęło się kilka rąk z otwartymi papierośnicami i cygarnicami, ale przybysz odmownie pokręcił głową.

– Dobry wieczór panom – przywitał się, by następnie zająć wskazany mu skórzany fotel z wysokim oparciem. – Myślę, że nie mamy czasu, aby bawić się w ceregiele. Czy mógłbym poznać powody, dla których zostałem w tak pilnym trybie ściągnięty z Berlina?

Na te słowa zareagował mężczyzna w czarnym tużurku, chudy i zasuszony, z monoklem w oku. Najpierw rozłożył szeroko ręce na znak bezradności, by następnie złożyć je, co mogło, choć nie musiało, oznaczać gest błagalny.

– Dwa dni temu – zaczął mówić – Rosjanie, zresztą przypadkowo, trafili na coś, co jest szczególnie bliskie sercom członków naszej organizacji. Do zdarzenia doszło w okolicach Insterburga, w przeddzień przegranej przez nasze wojska bitwy pod Gąbinem.

– Tak. Słyszałem – wtrącił półgłosem przybysz.

– Zagubiony oddział, który miał za zadanie przewieźć cenny towar w bezpieczną okolicę, został okrążony i zniszczony przez żołnierzy Samsonowa.

– W czym mogę pomóc?

– Nie ukrywam, że zależy nam na odzyskaniu towaru. Oczywiście przy zachowaniu jak największej dyskrecji... – zakończył starzec, po czym przeszedł do przedstawiania szczegółów.

Gość z dalekiego Berlina, blondyn o pogodnym spojrzeniu, którego nie były w stanie zmienić nawet hiobowe wieści, słuchał w skupieniu, od czasu do czasu potakując głową. Nie robił żadnych notatek.

Dopiero kiedy skończyły się perory, energicznie wstał z fotela.

– Wiem już wszystko. Proszę mi teraz tylko powiedzieć, jak szybko jesteście panowie w stanie przetransportować mnie za linię frontu? –

zapytał.

– Jeszcze dziś w nocy – odpowiedział od razu jakiś grubas z czerwonymi policzkami i cygarem, które w jego palcach wyglądało jak zapałka.

Kiedy kilka chwil później zostali sami, pomieszczenie wypełnił gwar rozmów.

– Myśli pan, że sobie poradzi? – zapytał jeden mężczyzna drugiego.

– Andre Baumueller to najlepszy prywatny detektyw w Berlinie, panie von Johannesberg.

Okolice wsi Usdau, 26 sierpnia 1914 roku

Rosyjska artyleria biła już trzeci dzień.

– Psubraty! – zaklął Lothar Bauermeister, siedzący w wykopanym poprzedniego wieczora, więc dość płytkim z tego powodu, okopie.

W tym samym momencie siedzący kilkaset metrów dalej, w namiocie dowódców, generał Ludendorff potarł ręką porane bruzdami czoło, pochylając się jeszcze bardziej nad płachtą sztabowej mapy.

Nie było po nim widać śladów niedawnego kryzysu nerwowego, jaki przeszedł. Stało się to za przyczyną meldunku, który złożył jeden z lotników śledzących ruchy wojsk i z którego wynikało, że oddziały rosyjskie dowodzone przez generała Pawła Rennekampfa przesuwiają się w kierunku stanowisk niemieckich. I są coraz bliżej.

Nowo wyznaczony szef sztabu zastanawiał się wówczas, czy nie zarzucić dotychczasowych planów, które zakładały konfrontację, ale z oddziałami generała Aleksandra Samsonowa. Jakże wtedy przydał się

spokój i opanowanie Hindenburga, który optował za niezmiennym dyrektywą.

Ale nerwy Ludendorffa tego dnia jak nigdy były narażone na ciężkie próby. Oto bowiem okazało się, że inny generał, Herman von François, nie wykonał rozkazu i dotąd nie zaatakował Usdau, a taką przecież rolę mu wyznaczono na ostatniej odprawie.

– Wciąż czeka na artylerię – próbował go wtedy tłumaczyć Hindenburg, nadal nieporuszony sytuacją, jakby znajdował się nie na froncie, a w jednej ze swych rodowych posiadłości, bezpieczny nad szachownicą i drewnianymi figurami.

– Kwalifikuje się pod sąd wojenny, a w najlepszym razie powinien zostać odsunięty! – krzyknął na to Ludendorff, uderzając pięścią w stół.

I jeszcze kilka razy to powtarzał, póki nie otrzymał meldunku, że przy słabym wsparciu artylerii długo wyczekiwany atak na Usdau właśnie się rozpoczął.

Nie mniejsze problemy trapiły żołnierzy trzydziestej siódmej dywizji piechoty. Ludwig dostał sraczki i co chwila musiał biec na stronę. Nie wiadomo, czy winę za to ponosił wikt czy strach. Schumacher modlił się, a Ludwig, jakby nigdy nic, kuczał pod ścianą okopu i czytał swoją książeczkę żołdu, jakby to była księga psalmów. Albo powieść zmarłego przed dwoma laty Karla Maya o przygodach Winnetou.

– Czego on chce się tam doczytać, jak pragnę zdrowia? – pytał obserwujący go młodzieńcy podporucznik Joachim von Below, a że nikt, włącznie z samym zainteresowanym, nie chciał udzielić mu odpowiedzi na to pytanie, spekulował sam i komentował: – Zapłacą, zapłacą. Jak nie nasi, to oni. Tylko waluta będzie trochę w innym metalu.

Ktoś zarechotał. Emil Rotzki i Lothar Bauermeister spojrzeli na siebie. Porozumiewali się już bez słów. W ciągu kilku dni stali się najlepszymi

kompanami. Nie wiedzieli jeszcze, że ich przyjaźń będzie krótka.

Tymczasem około dwunastu mil pruskich od pozycji niemieckich i osiemnastu wiorst od linii, na której ustawiono działa rosyjskie, wąską drogą biegnącą w głębokim wąwozie jechała ciężarówka marki Opel. Półmrok panujący pomiędzy ścianami wąwozu, a także fakt, że samochód pokryty był grubą warstwą błota i kurzu, powodowały, że nie było widać ani kierowcy, ani tablic rejestracyjnych.

Leżący w wysokiej trawie rosyjski zwiadowca po raz pierwszy w życiu widział podobną maszynę. Wcześniej oglądał tylko samochód generała, który wizytował ich pułk. Dlatego przeżegnał się po trzykroć, po czym przycisnął policzek do chłodnej kolby karabinu.

Skąd wiedział, gdzie celować – to pytanie sam sobie zadawał potem wiele razy, będąc w niemieckiej niewoli, i jeszcze później, po powrocie do rodzinnej wioski pod Kazaniem.

Nacisnął spust. Huk i odrzut, jak zwykle. Ale w odróżnieniu od wszystkich poprzednich strzałów, które wykonał na rozkaz i bez rozkazu lejtnanta, ten spowodował, że rozległ się trzask tłuczonej szyby.

Zwiadowca podniósł głowę wyżej, zamrugał oczami. Nie, nie mylił się. Samochód, trafiony dokładnie w przednią szybę, stał teraz na środku drogi.

– *Job twoju mat'* – rzucił głośno przed siebie, jakby to miał być drugi pocisk.

Nie wiadomo, czy wystrzał, czy też przekleństwo, a najpewniej jedno i drugie spowodowało, że nagle ożyły najbliższe krzaki głogu, zaczął poruszać się perz.

Chwilę potem wokół strzelca pojawiła się grupka żołnierzy. Nikt o nic nie pytał, wszyscy przypatrywali się unieruchomionej w wąwozie,

oddalonej od nich o kilkanaście kroków ciężarówce.

Nagle otworzyły się jej drzwi. Zwiadowca, który w międzyczasie zdążył zarepetować, szybko podniósł do oka karabin i zgrał muszkę ze szczerbinką. Czyjaś ręka w czarnej skórzanej rękawiczce znalazła się jednak na lufie i przygięła ją lekko do ziemi.

– Zostaw. – Żołnierz rozpoznał głos swojego lejtnanta.

Po chwili drzwiczki ciężarówki otworzyły się do końca. Najpierw ujrzeni uniesione ręce, następnie głowę w skórzanej czapce, dokładnie takiej samej, jaką noszą piloci, i goglach z ciemnymi szklami. Z brudem samochodu kontrastowała biel szalika, którym kierowca owinął sobie szyję.

– Nie strzelać. Nie strzelać! – zawołał człowiek ten po rosyjsku, choć z twardym akcentem.

– Coś za jeden? – zapytał lejtnant, dając dyskretne znaki swoim chłopcom; kilku wspinało się po ścianie wąwozu, by okrążyć ciężarówkę, podczas gdy reszta mierzyła do celu.

– Szukam dowódcy piątego pułku, hrabiego Kuriewa – odpowiedział kierowca, wyplątując szyję powoli z węzła szalika. – Nie znacie czasem?

– Kto wie, może i znamy – odparł oficer, wodząc jednocześnie gałkami oczu za zwiadowcami. – A kto pyta?

– Przyjaciel. – Kierowca hardo opuścił ręce, po czym jedną z nich wsunął do spodni. Wydobył zeń srebrną papierośnicę, otworzył i na wyciągniętej dłoni podsunął w stronę zbliżającego się do niego rosyjskiego lejtnanta.

– *Zakurim, gospodin?* – Zdjął z oczu gogle, ukazując pogodne oczy. –

Nazywam się Andre Baumueller i chciałbym się widzieć z hrabią Kuriewem – powtórzył raz jeszcze, by zaraz wskazać kciukiem na pakę. –

Mam z nim mały interes do zrobienia.

Tannenberg, 26 sierpnia 1914 roku

Choć przysypani grubą warstwą ziemi i pyłu sprawiali wrażenie poległych, na rzucony przez oficera rozkaz zaczęli się podnosić, wyskakiwać z okopów i biec do przodu.

Z początku wrażenie było nieco makabryczne: ot, noc powstających z grobów. Z każdą chwilą jednak, gdy ten i ów zerkał na bok, na biegnącego towarzysza, widok napełniał serca wiarą i wolą walki za cesarza i swoją małą ojczyznę.

Emil Rotzki i Lothar Bauermeister biegli ramię w ramię, Ludwig zapomniał o swoich kłopotach gastrycznych. Jeszcze nie wiedzieli, czym takie wyjście z okopów będzie dla ich młodszych towarzyszy za kilka lat, pod koniec wojny. Wielu z nich może nigdy się o tym nie przekona, bo przyjdzie im zostać tutaj, na tym polu.

– Nisko, chłopcy. Ale do przodu. Nie dajcie sobie odstrzelić tyłka Iwanowi! – krzyczał idący razem ze swoimi żołnierzami kapitan Kramer.

Jeszcze niektórym przewalały się w żołądku mięso i chleb, które zjedli, nie bacząc na ostrzeżenia, że przed bitwą się nie je. A może to zresztą nie w żołądku coś skakało, a obok, w sercu? Strach to czy gniew, tłumiony przez wiele dni...?

Ziemia, po której parli ku przodowi z wycelowanymi w niewidzialnego wciąż przeciwnika karabinami i bagnetami, drżała od wybuchów. Grzmoty przetaczały się nad głowami niczym letnia burza, czemu towarzyszyły błyski. Przez dłuższą chwilę nie działo się nic, jakby wojna nie dotyczyła tych ludzi albo jakaś siła uczyniła ich odpornymi na wszystko.

Było tak aż do momentu, gdy obok, bardzo blisko, poprzedzony złowróżbnym gwizdem nastąpił wybuch. Fontanna czarnej ziemi,

kamyków, poszarpanych kęp traw i polnych kwiatów wzbiła się ku górze, a razem z nią kilka ludzkich postaci.

– Padnij! – ryknął oficer.

Niemal zaryli w ziemię. Emil jednym ruchem ręki poprawił przekrzywiony hełm, spluwając jednocześnie przed siebie śliną pomieszaną z piaskiem. Oddychał ciężko. Spojrzał w bok. Leżący obok Lothar uśmiechał się szatańsko, jakby wszystko, co działo się wokół nich, było tylko niedzielnym wyjściem na karuzelę. A może to nie śmiech był, a grymas bólu, strachu, rozpaczony? Emil jeszcze dobrze nie poznał tego człowieka, nie potrafił też więc ocenić, co myśli.

Lothar zerwał jakieś suche źdźbło trawy, roztał je w rękach, po czym dmuchnął, jak często czyni dobry gospodarz, oceniający swoje plony.

– Żyjesz? – zapytał cicho kolegę, nie zmieniając ani na chwilę wyrazu twarzy, spoconej, pokrytej kurzem, na co Rotzki tylko nieznacznie skinął głową.

– Powstań! – wybrzmiała następna komenda, którą usłyszeli wyraźnie, mimo narastającej palby. – Do przodu, chłopcy... – dorzucił jeszcze kapitan Kramer.

Ale oni nadal leżeli na ziemi, patrząc jeden na drugiego. Skądś dobiegł płacz. Bliżej jęczał jakiś ranny, gdzieś dalej, przed nimi, nieprzerwanie szczekał karabin maszynowy. Ktoś nawet zaczął... śpiewać, czym może pragnął dodać sobie otuchy, a może zwariował?

Kramer nie musiał jednak powtarzać drugi raz. Zaczęli się podnosić, klnąc i spluwając. Ustał płacz, nie słyszano już jęków rannego, może umarł albo tylko zemdłał.

Po chwili szli, choć nogi ich były jak z waty, szli jak kilka chwil wcześniej: Kramer, Below, Rotzki, Bauermeister, Ludwig, Schmidt i wielu,

wielu innych, potykając się na nierównościach, które były tu wcześniej, i tych, które powstały w wyniku wybuchu.

Dobiegli do niewielkiego pagórka i dopiero wówczas oczom ich ukazał się widok niezwykły: nad rozległą łąką, którą właśnie przemierzali, ścieliły się dymy jaśniejsze i ciemniejsze, gęste niczym mleko i rzadsze, płaskie i wysoko strzelające ku niebu.

– Jezu... – jęknął Emil, mrużąc oczy.

– Każdy go dziś będzie wzywał, a każdy w innym języku – skomentował Bauermeister. – A czyja modlitwa zostanie wysłuchana, tego nie wiemy.

– Do ataku, za mną, biegiem marsz! – wykrzyczał kapitan Kramer, podniósłszy w górę rękę z pistoletem.

I były to ostatnie jego słowa. Chwilę potem podmuch oderwał nieszczęśnikowi głowę wraz z hełmem. Okaleczone ciało, czyniąc jeszcze kilka kroków na sztywnych nogach, padło z rozpostartymi szeroko ramionami w trawę.

Mimo to runęli ławą, w dół, po dywanie traw i kwiatów, tu i ówdzie podziurawionym gęsto przez leje po bombach i artyleryjskich pociskach. Perz chwycił biegnących za nogawki, stając się niemym sprzymierzeńcem Rosjan, rzepy oblepiały materiał mundurów, suche nasiona do spółki z kurzem matowiły wypolerowane wcześniej buty.

Ale nie myślał już o tym Ludwig, który w okopie miał problem ze sraczką, a któremu teraz wybuch oderwał obie nogi na wysokości kolan, resztę ciała ze sterczącymi i krwawiącymi kikutami odrzucając w bok i do tyłu, niczym szmacianą lalkę. W tej loterii padło tym razem na niego, choć losowanie nadal trwało i nikt nie wiedział, kiedy się zakończy.

Przygięci ku ziemi, co jednak nie chroniło przed postrzałem ani odłamkami, posuwający się do przodu Emil i Lothar padli na podłoże, do

czego rozkaz, w zastępstwie poległego dowódcy, wydał im... rosyjski kanonier. Karabin maszynowy ujadła bardzo blisko. Całkiem niedaleko też majaczyły postacie w okrągłych czapkach, ze zrolowanymi kocami przerzuconymi przez piersi.

Rosjanie. Wrogowie.

– Nie dam rady, Lothar – jęknął w pewnym momencie Emil, gdy tak leżeli i nikt nie podrywał ich do dalszego biegu.

– Czego nie dasz rady? – zapytał ze spokojem jego druh.

– Nie walczyłem nigdy wręcz. Nie wbiję w człowieka bagnetu.

– To trudne, przyznaję. Trudno jest wyciągnąć wbity w człowieka bagnet, szczególnie gdy się zaklinuje między żebrami. Trzeba zaprzeć się wtedy nogą i mocno pociągnąć.

Rotzki pobladł. Nie zdążył też nic powiedzieć, bo oto znów rozległ się rozkaz do ataku; tym razem wydał go podporucznik Joachim von Below, który pojawił się nie wiadomo skąd.

– Co oni robią z tego kraju? – powiedział jeszcze Lothar, zanim wstał, podniósł karabin i pobiegł dalej.

Były to ostatnie słowa, jakie Emil Rotzki usłyszał z jego ust.

Rozdzielił ich wybuch szrapnela, który spulchnił ziemię, o którą tak martwił się Lothar. Emil widział go jeszcze kątem oka, jak, nietknięty, prze w szeregu żołnierzy.

W ferworze walki wręcz, która rozgorzała po kilkunastu sekundach, zniknęli sobie z oczu, więc Bauermeister nie mógł widzieć, jak osiemnastolatek wciela w życie rady dotyczące wyciągania bagnetu spomiędzy żeber. Niewiele mógł przecież widzieć, trafiony z bliska między oczy z oficerskiego nagana.

Leżąc na ziemi, Lothar Bauermeister zdążył jeszcze zaczerpnąć garść ziemi. Pewnie była jałowa, niewiele by na niej wyrosło, prócz traw

i chwastów. Ale to była jego ziemia.

Pierwszy dzień bitwy pod Tannenbergiem miał się ku końcowi. Żołnierze sto czterdziestego siódmego pułku piechoty leżeli pokotem w cienistym zagajniku. Bezpieczni. Ci, co mogli, w milczeniu przeżuwali suchy chleb, bo tylko taki furaż dało się na razie zapewnić.

Jeszcze nie wiedzieli, że za dwa dni bitwa przejdzie do historii jako jedna z największych bitew I wojny światowej. Że trzynasty korpus rosyjski nie zdąży z Allenstein z odsieczą, a w szeregach carskiej armii, zamiast dowódców, rządzić będzie apatia i strach. Że głównodowodzący, generał Aleksander Samsonow, dokona żywota nie w bitwie, a na zawał serca. Że zginie trzydzieści tysięcy Rosjan, a ponad dziewięćdziesiąt tysięcy trafi do niewoli, przez co, jak wspomną po latach historycy, potrzeba będzie kilkudziesięciu pociągów, by ich wywieźć z rejonu działań wojennych.

Lecz zanim to wszystko miało być wiadomym, doszło do jeszcze jednego zdarzenia. Zdarzenia, o którym już nie wspominali w swoich pracach miłośnicy bitew, wojska, barwy i broni ani nawet zwolennicy spiskowych teorii dziejów.

Wąską drogą przez las jechała ciężarówka marki Opel, za której kierownicą siedział, jak zawsze zadowolony i jak zawsze okutany białym szalikiem, berliński detektyw Andre Baumueller. Za jego pogodne oblicze tym razem odpowiadał również udany interes. Tak, jego zleceniodawcy z tajemniczej i potężnej organizacji powinni być zadowoleni, a wysokość honorarium zasadna.

Jednak los bywa przewrotny, a każdy Rosjanin – inny. Ci, którzy kryli się w lesie, nie wiedzieli o interesach między Baumuellerem a hrabią Kuriewem. Nie wiedzieli też, gdzie się znajdują, jaki jest los ich dywizji ani

co dziś zjedzą na kolację. Wiedzieli za to, że mają karabin maszynowy i jeszcze sporo amunicji oraz wody do chłodzenia maszyny.

Widząc ciężarówkę, nie zastanawiali się długo. Była jak na dłoni, nie trzeba nawet było mocno się wysilać z celowaniem. Saszka czy Miszka odbezpieczył i pociągnął długą serią.

Strzały zaalarmowały stacjonujących nieopodal żołnierzy sto czterdziestego siódmego pułku piechoty. Między innymi Emila Rotzkiego.

– Niedobitki – skwitował Joachim von Below, nowy dowódca, podnosząc głowę. – Będziemy ich tłuc jak szczury może jeszcze kilka następnych dni.

Poczucie obowiązku nie pozwoliło mu jednak przejść nad tym do porządku dziennego.

– Są ochotnicy? – zapytał.

Powstali w jednej chwili: Rotzki, Schumacher, jeszcze kilku innych. Jakby tylko czekali na takie pytanie. Tylko Ludwig znów czytał swoją książeczkę żołdu.

Von Below dał znak. Pochwycili karabiny i już zbiegali z niewielkiej pochyłości. Więcej strzałów nie padło, musieli więc zaufać pierwszemu przeczuciu.

I nie pomylili się! Oto ujrzeli trzech Rosjan otaczających szarego od brudu i kurzu opla z rozbitymi przednimi szybami.

Rotzki dopadł opuszczonego karabinu maszynowego i nim ktokolwiek zdołał pomyśleć, a tym bardziej zareagować, pociągnął kilkoma krótkimi seriami, kładąc trupem całą trójkę.

Von Below i Schumacher zajrzeli do szoferki opla. Śnieżnobiały niegdyś szal Andre Baumuellera zachlastany był krwią, a on sam patrzył martwym wzrokiem przed siebie. Mimo to w jego spojrzeniu, prócz spokoju, wciąż pozostawało coś pogodnego...

– Spójrzcie tutaj! – zawołał Emil, który zdążył zbiec na dół i zainteresować się ładunkiem.

Odchylili plandekę. Na podłodze spoczywała średnich rozmiarów skrzynia. I nic więcej.

XXI

Olsztynek, dzień drugi

– Halo! Śpisz?

Tomasz Horn powoli podniósł głowę. Przez ułamek sekundy nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest, co to za miejsce. Spojrzał w bok. Korytarz był pusty. Potem dopiero spojrzał na pochylającą się nad nim Ewę.

– Chyba przysnąłem, przepraszam – mruknął.

– Nie ma za co. Ciężka noc, co? – próbowała zgadywać, na co on energicznie pokręcił głową, jakby naprawdę było się z czego tłumaczyć.

– Coś ci się udało załatwić? – zapytał.

Usiadła obok i westchnęła.

– Tak, chyba tak. Powiedziałam wszystko, co wiedziałam, a policjant wyglądał na całkiem kumatego. Spisał moje zeznania, które potem dał mi do podpisania. Formalności. Ale dopiero za jakąś godzinę, może dwie będą w stanie tam ze mną pojechać, żeby przyrzeć się sprawie z bliska, zrobić zdjęcia i wypytać kogo trzeba.

– Czyżby mieli swoich faworytów?

– Możliwe. Wszędzie są tacy, od których zawsze warto zacząć przesłuchanie. Ludzie się nie zmieniają. – Ewa wzruszyła apatycznie ramionami, jednak po chwili nagle się ożywiła: – Cholera, właśnie sobie uświadomiłam, że nic jeszcze dzisiaj nie jadłam!

– Doskonały pomysł – ocenił z zadowoleniem Horn.

W tym samym momencie, kilka metrów dalej, w jednym z pokoi posterunku, komisarz Grzegorz Solnicki wysłuchiwał meldunku swego podkomendnego, sierżanta Szczypały.

Funkcjonariusz ów rano wyjechał na wezwanie i dopiero kilkanaście minut temu wrócił ze Szpitala Wojewódzkiego w Olsztynie. To właśnie tam około południa został przewieziony karetką niejaki Lechosław Bączyk, mieszkaniec Olsztynka, znaleziony rano w lesie pod Swaderkami przez obozujących w pobliżu harcerzy.

– Rana postrzałowa lewego uda i ramienia. Do tego piling twarzy, prawdopodobnie za pomocą kryształków z rozbitej szyby samochodu – referował z właściwą sobie subtelnością Szczypała. – Stracił sporo juchy.

– Co lekarze mówią?

– Że chyba się z tego wyliże. Złego diabli nie biorą. Na szczęście kule, które badają kryminalni z Olsztyna, nie naruszyły ważnych narządów. Miał cholerne szczęście, że harcerze znaleźli go w środku lasu.

– A jak się tam w ogóle znalazł, co? Pewnie kłusol, który przy kieliszku pokłócił się z innymi – spekulował komisarz. – Miał coś ciekawego do powiedzenia?

Sierżant podrapał się z zakłopotaniem po głowie.

– No co tam zapisałeś, kurwa?! – Solnicki zaczynał tracić cierpliwość.

– Bączyk chyba bredził – odpowiedział sierżant. – Kiedy z nim rozmawiałem, wydawało mi się, że co chwila traci kontakt z rzeczywistością. Opowiedział mi, że wczorajszej nocy strzelał do niego ktoś, kto najprawdopodobniej zlecił jemu i braciom Józefowi i Baltazarowi Skąpskim...

– Znam tych gagatków. Zaczyna się robić coraz ciekawiej – mruknął do siebie oficer. – No?

– ...kradzież posągu lwa sprzed naszego ratusza.

Słyszając te słowa, komisarz musiał zaprzeć się o podłogę. Żeby nie podskoczyć.

Niecały kwadrans po opuszczeniu komisariatu Horn i Ewa weszli do przytulnej pizzerii nieopodal ryneczku. Zbliżała się druga po południu, najwyższy czas na główny posiłek dnia.

Horn był umiarkowanym fanem pizzy, nie zajadał się tym daniem codziennie. Od jakiegoś czasu lubił za to eksperymentować.

Zajęli jeden ze stolików.

– Co weźmiesz? – zapytał Ewę.

– Chyba jak zawsze vegetarianę – odpowiedziała archeolożka. – A ty?

– Zastanawiam się nad *quattro fromage* albo sicilianą. Na razie wiem tylko, że musi być duża.

Ktoś znów wszedł do pizzerii, ale Horn nie podniósł nawet głowy. Dopiero gdy jego uszy pochwyciły twardą, niemiecką mowę, przerwał na chwilę proces wyboru.

Na środku lokalu, przed kontuarem, gdzie składało się zamówienia, stało dwóch mężczyzn i kobieta. Horn nawet bardzo się nie zdziwił, rozpoznając w tej ostatniej, zresztą już po raz drugi tego samego dnia i po raz trzeci w ogóle, niemiecką policjantkę, komisarz Joannę Klose.

– Zdecydowałaś się? – zapytała Ewa.

– Chyba tak – odparł Horn, po czym wstał od stołu. – Pójdę i zamówię.

Wrócił po minucie. Od strony stolika, który zajęło niemieckojęzyczne towarzystwo, gruchnęła salwa śmiechu. Po niej następna i jeszcze jedna.

Tak śmiać się tylko oni potrafią – pomyślał Horn, który starał się dyskretnie obserwować Joannę, także ze względu na to, że był w towarzystwie innej kobiety.

Ale Ewa i tak chyba zorientowała się, o co chodzi.

– A jak tam twoje małżeństwo? – zapytała.

– Jestem wolny od pół roku – odrzekł bez mrugnięcia okiem. – Nie chwaliłem się?

– Nie.

W pewnym momencie rozległ się dzwonek telefonu. Joanna Klose zaczęła wykonywać ruchy świadczące o tym, że to ona powinna odebrać połączenie. W końcu nie bez trudu wydobyła z przedniej kieszeni dzinsowych spodni dzwoniącą coraz głośniejszą komórkę.

– *Halo* – odezwała się, chwilę nasłuchiwała i, prawdopodobnie słysząc kogoś bardzo niewyraźnie albo wcale, wstała z miejsca i ruszyła w kierunku wyjścia. – *Halo, wer ist da?*

Kiedy przechodziła przez środek pizzerii, z kieszeni, z której wyciągnęła telefon, wypadł jakiś niewielki przedmiot. Ani kobieta, która już była przy drzwiach, ani jej towarzysze nie zauważyli zguby.

Horn odruchowo podniósł się, ale po chwili zawahał.

– Idź, idź – zaśmiała się Ewa. – Może to twoja szansa...

Tylko przewrócił oczami. Chciał powiedzieć, że to nic ponad zwykłą uprzejmość, gest gentlemana. W końcu jednak nie powiedział nic. Może zrobi to, gdy wróci.

Podniósł z podłogi zgubę, którą okazało się płaskie pudełko zapalek z jakimiś napisami.

Aż głupio zaczepiać kogoś z takiego powodu – przeszło mu przez myśl.

Ale było już za późno, by się wycofać. Skierował zatem kroki ku drzwiom, których skrzydło dopiero zbliżało się do futryny.

Pchnął je. Oślepiło go ostre słońce, więc przymrużył oczy. W tej samej chwili usłyszał warkot silnika nadjeżdżającego samochodu. Była to furgonetka. Jej wysoki cień przesunął się powoli niespełna dwa metry od niego.

Naraz rozległ się jakiś dziwny furkot i pojedynczy krzyk:

– Puszczaj mnie! – Horn usłyszał wołanie kobiety. – *Hilfe!*

Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Domyślając się, że coś dzieje się po przeciwnej stronie samochodu, dał susa w bok, aby to sprawdzić. Ledwo to zrobił, znów oślepiło go słońce. W tej samej chwili ktoś uderzył go w tył głowy...

XXII

Malbork, dzień trzeci

Klaus Miehle rzadko wypuszczał z ręki swoją kamerę wideo. Wszyscy śmiali się, że chyba ma chrapkę na statuetkę Oscara. Jednak chętnie mu pozowali, nie uciekali z kadru, nie zasłaniali twarzy ani tym bardziej obiektywu. Przeciwnie – zawsze ktoś coś miłego powiedział. Czasem były to wspomnienia związane z miejscami, które stanowiły tło ujęcia, a czasem zabawne komentarze dotyczące ich eskapady, która właśnie dobiegała końca.

Tak naprawdę więc rzadko Klaus Miehle chował swoją kamerę w skórzanym etui, przytwierdzonym do paska w spodniach i przypominającym przez to kaburę pistoletu.

Podczas wycieczki do zamku w Marienburgu, mieście zwanym dzisiaj Malborkiem, filmował niemal bez przerwy. Monumentalną, gotycką budowlę widział wcześniej jedynie w telewizji i na zdjęciach w albumach.

– To jest piękne. Niesamowite! – powtarzał, nie odejmując oka od wizjera.

Uczestnicy wycieczki zwiedzili siedzibę wielkich mistrzów zakonu krzyżackiego jeszcze za dnia. Zajrzeli też na stoiska i kramy, stojące w rzędzie nieopodal fosy, ale tylko jeden z nich dokonał tam zakupu kiczowatego drewnianego miecza i tarczy z herbem wielkiego mistrza, jak

sam powiedział, dla wnuczka. Potem była kolacja w restauracji, dwie godziny odpoczynku.

Kiedy zaczął zapadać zmrok, znów spotkali się przed autokarem. Czekala ich bowiem specjalna atrakcja: nocne zwiedzanie krzyżackiej warowni, w tym jej niedostępnych na co dzień lochów, a następnie udział w plenerowym, multimedialnym widowisku Światło i dźwięk.

Pokaz zakończył się na krótko przed dwunastą w nocy. Towarzystwo zmierzało ku wyjściu i parkingowi, gdzie czekał autokar. Do hotelu jechało się siedem, góra dziewięć minut, więc nic nie wzbudzało najmniejszych nawet obaw uczestników wycieczki.

– Jak się państwu podobało? – dopytywał przewodnik wycieczki, Stefan Ludwiszewski.

– Było naprawdę pięknie, nie zapomnę tych chwil do końca życia! Muzyka Jarre’a jest niesamowita. Musimy koniecznie kupić płytę po powrocie do domu – powtarzała z egzaltacją Ingeborg Schwarz, a jej mąż, Erich, kiwał głową na znak, że zgadza się ze zdaniem żony.

– Cieszę się – rzekł przewodnik.

– A dlaczego ty niczego nie sfilmowałeś? – Drepczący obok Klaus Miehle wskazał na skórzane etui, które miał przy pasku Erich, a które Klaus widział po raz pierwszy.

Pytanie spowodowało, że Schwarz zmieszał się. Takie przynajmniej sprawiał wrażenie. Gdyby nie mrok, pewnie wszyscy dostrzegliby, że zaczerwieniła się cała jego łysina.

Spojrzał na Ingeborg, jakby szukał u niej pomocy. Staruszka wciąż jednak przeżywała widowisko i zwiedzanie, nie wiadomo, co bardziej. Wyglądała na wręcz rozanieloną.

– Nie chciałem ci robić konkurencji, drogi Klausiku – wykrztusił w końcu Erich Schwarz. – A tak naprawdę to wyczerpały mi się baterie

w aparacie. Muszę rano kupić nowe.

– Polecam ci akumulatorki – rzekł ze swadą Klaus. – Naprawdę, starczą na dużo dłużej. Wystarczy naładować raz na parę dni.

– Oczywiście, mój przyjacielu – zgodził się, choć bez wielkiego entuzjazmu, Schwarz.

Przeszli pod ostatnią bramą i pokonali drewniany most, przerzucony nad zamkową fosą, kończąc tym samym zwiedzanie miejsca, nazywanego niegdyś dumnie perłą w koronie Prus.

Na Erichu Schwarzu zamek zrobił średnie wrażenie. Widział już w życiu o wiele większe i dużo piękniejsze zabytkowe budowle. Postanowił jednak dla świętego spokoju, aby nie denerwować żony, zachwycać się na równi z innymi.

Na oświetlonym parkingu roiło się od ludzi, którzy tak jak oni wracali z wieczornego pokazu. Jakiś człowiek w fluorescencyjnej kamizelce usiłował kierować ruchem, ale i tak przy wyjeździe utworzył się dość spory korek.

– Ależ mi się spać chce... – ziewnął mistrz kamery, zasłoniwszy wolną dłonią usta.

Na szczęście do hotelu było naprawdę blisko. Gdyby mieli o tych kilkanaście lat mniej, z pewnością drogę tę pokonaliby piechotą. Tym bardziej że wieczór był pogodny i przyjemny.

Tak, chyba nawet udała im się wycieczka do kraju przodków. Tylko ta tragiczna śmierć Prochnova pod Hohenstein, kilka dni temu... Ale przecież nigdy nie można mieć wszystkiego.

O tym właśnie rozmyślał Erich Schwarz, idąc noga za nogą w gęstniejącym tłumie znajomych i nieznanym ludzi i trzymając wciąż za rękę swoją żonę. Było już słyhać głos ich przewodnika, który jak zwykle uśmiechnięty i uprzejmy dyżurował przy drzwiach neoplanu:

– Ostrożnie, proszę państwa, ostrożnie – przemawiał jak do dzieci, do czego dawno zdążyli się przyzwyczaić i nikt nie miał o to pretensji. – Nie za szybko, zdążymy. Każdy trafi do swojego łóżka. No, chyba że zawiązały się zupełnie nowe przyjaźnie, o których nie wiem...

W pewnym momencie przy wejściu do autokaru dał się wyczuć jakiś dziwny, wcześniej niespotykany ruch. Nikt nigdy się nie pchał, zawsze wpuszczano najpierw kobiety. W ogóle nigdzie się nie spieszo, nawet wieczorem, kiedy organizmy domagały się snu.

Jakiś facet z gęstą brodą i czapką baseballową na jednym uchu, sprawiający wrażenie pijanego, gestykulował i coś bełkotał. Ale nawet Ludwiszewski, Polak przecież, nie potrafił zrozumieć, o co może mu chodzić.

– Idź pan, bo policję zawołam! – zdenerwował się w końcu opiekun i nie zważając na zapach czy czystość tamtego, pchnął pijaczka, który wprawdzie zatoczył się, zamachał rękami, ale nie upadł.

– Faszysty jebane! – fuknął awanturnik.

– Uspokój się pan. Idź się wyspać.

– Wypierdalać mi stąd won. – Ostatnie słowa pijaczka, najpewniej parkingowego naciągacza, były, niestety, dość wyraźne i dokładnie wycelowane.

Ludwiszewski zaczął ponaglać podopiecznych, aby zajmowali miejsca w autokarze. Na parkingu przed zamkiem pozostały już tylko trzy osoby: państwo Schwarz oraz, jak zwykle, Klaus Miehle.

Erich puścił przodem swoją żonę. Ingeborg była już na ostatnim stopniu schodów, gdy znów stało się coś dziwnego: przy drzwiach nie wiadomo skąd pojawił się jakiś cień.

Rozległ się głuchy plask. Klaus Miehle chwycił się za piersi, zgiął w pół, jęknął i upadł na ziemię.

Widząc to, Schwarz jednym wprawnym ruchem rozpiął etui przy pasku, skąd wydobył... pistolet. Odbezpieczył, podbiegł kilka kroków...

Cień zniknął jednak tak szybko, jak się pojawił. Chwilę potem, mimo starań Ludwiszewskiego, usiłującego nie dopuścić do wybuchu paniki, z neoplanu zaczęli wyglądać i wychodzić zaciekawieni pasażerowie. Któraś z kobiet płakała.

Erich schował szybko broń do etui. Pochylił się nad leżącym Klausem, sprawdził mu puls.

– Nie żyje – jęknął ledwo słyszalnie.

XXIII

53°34'N, 20°07'E, dzień trzeci

Tomasz Horn otworzył oczy, ale nie dostrzegł niczego, zupełnie niczego, choć powieki miał uniesione. Przez ułamek sekundy był pewny, że stracił wzrok.

Szarpnął gwałtownie lewą ręką, podsuwając nadgarstek do oczu, niemal uderzając się nim w czoło, i... odetchnął z ulgą. Widział bowiem wyraźnie tarczę zegarka; fosforyzujące wskazówki pokazywały pierwszą. Choć nie wiadomo było, czy w nocy, czy po południu.

Leżał na twardym podłożu, chyba na jakichś deskach. W ustach czuł suchość.

Co to było, do cholery?! – pomyślał z narastającą z każdą chwilą irytacją, ale także rozpaczą i niepozabawioną jej świadomością, że oto ktoś zabrał mu kilka godzin życia. I kto wie, czy nie nastaje na całe.

W jednej chwili przypomniał sobie wszystko, po kolei: pizzę, której nie zdążył zjeść, ponieważ wyszedł z lokalu, aby zwrócić podobającej mu się niemieckiej policjantce jej zgubę.

A potem? Potem stało się coś bardzo dziwnego. Coś co kojarzyło się z zerwaniem filmu podczas picia na umór. Tak, to świetne porównanie. Zważywszy na to, jak się teraz czuł.

Naraz usłyszał jęk; najprawdopodobniej był to głos policjantki, choć Horn pewny nie był.

– Tutaj – odezwał się szeptem, po polsku. – Proszę pani!

Chwila milczenia. Tylko przyspieszony oddech drugiej osoby.

– Gdzie ja jestem? – zapytała także po polsku, ale z wyczuwalnym twardym akcentem, dzięki czemu Horn był już niemal całkowicie pewien, z kim ma do czynienia.

Wtedy przypomniał sobie o zapałkach. Wygiął się i wyciągnął pudełko z tylnej kieszeni spodni. Ułamał jedną zapałkę, namacał główkę, by wreszcie potrzeć nią o grzbiet kartonika, gdzie spodziewał się znaleźć draskę.

Błysk rozświetlił nieprzeniknioną dotąd ciemność. Joanna Kloze leżała na plecach jakieś dwa metry dalej, patrząc na niego nieruchomym wzrokiem. Badawczym i nieufnym.

– Ja pana skądś znam – powiedziała cicho.

Pomieszczenie, w którym się znajdowali, było bardzo małe i dość niskie.

Piwnica, jakiś schowek, a może nawet... chlewik – rozważał gorączkowo dziennikarz, wodząc wzrokiem po szarych, pokrytych liszczami ścianach i podłodze, jak wyczuł wcześniej, drewnianej, na której ścieliły się jakieś zeschnięte liście i kawałki słomy.

Płomień zaczął parzyć w palce. Horn rzucił zapałkę na podłogę i od razu zdusił ją, w obawie przed spowodowaniem pożaru. Z odgłosów, jakie usłyszał, wywnioskował, że kobieta zmieniła pozycję na siedzącą.

Zapalił kolejną zapałkę.

– Ja pana skądś znam – powtórzyła Joanna, mrużąc oczy; sprawiała wrażenie spokojnej i konkretnej. – Widzieliśmy się kiedyś, całkiem niedawno...

Nie był pewny, czy to pytanie, czy stwierdzenie. Kiwnął głową.

– Tomasz Horn – przestawił się. – Jestem dziennikarzem z Warszawy.

– Uhm.

– Widzieliśmy się wczoraj w komendzie w Olsztynie, a także dzisiaj rano, na olsztyneckim komisariacie.

– Uhm...

Nic więcej nie powiedziała, przez co zaczął myśleć, że mu nie wierzy. Oczekiwał, że i ona się przedstawi. Zamiast tego jednak Kloze zmieniła pozycję i zaczęła gorączkowo przeszukiwać swoje kieszenie. Kiedy skończyła, przygryzła wargi.

– Nie mam dokumentów ani portfela – stwierdziła. – A ty?

Horn potrzebował krótszego czasu, by stwierdzić, że i on został przeszukany i okradziony. Jednocześnie przypomniał sobie, że kluczyki od jego samochodu zostały na stole w pizzerii. Istniała więc szansa, że zaopiekowała się nimi Ewa.

Pokręcił zatem głową, co stało się dokładnie w chwili, gdy zgasła kolejna zapałka.

Już miał poprzeć gest słowami, gdy rozległ się odgłos kroków, a potem metaliczny zgrzyt.

– Na ziemię – szepnęła Joanna. – Tak jak wcześniej. Udajemy, że śpimy.

Zgrzytnęła przesuwana zasuwa, przez półprzymknięte powieki Horn dostrzegł ostre światło latarki. Wstrzymał oddech. Bicie własnego serca słyszał w uszach, jakby dźwięk ów docierał tam skądś przez wielkie słuchawki. Chyba nigdy wcześniej tak się nie bał...

XXIV

Trasa S7, między Olsztyńkiem a Ostródą, dzień trzeci

Sierżant Scott Wagner Jr nacisnął hamulec i zredukował bieg, zbliżała się bowiem seria ostrych zakrętów. Po chwili światła służbowego forda zaczęły ślizgać się po ścianie lasu.

– Oaaaa... – dobiegło z tylnego siedzenia.

Scott zaśmiał się.

– Jeszcze będzie boleć, oj, będzie – rzucił przez ramię. – A na razie bądź łaskaw nie zarzygać mi tapicerki, OK?! Jak będzie źle, Bob, to krzycz. Wtedy stanę. Do Morąga jeszcze trochę drogi.

Odpowiedzią było nieartykułowane rżenie.

– Polska wódka to mocna sprawa, nie dla każdego – mruknął sierżant, wrzucając ponownie wyższy bieg i naciskając pedał gazu, seria zakrętów śmierci bowiem skończyła się.

– Piłem tylko whisky – jęknął leżący.

Odkąd zaczęli służbę w Polsce, w Morągu, a siedzieli tam ponad siedem miesięcy, już kilka razy przyszło mu, Scottowi Wagnerowi, sierżantowi Military Police US Army, wyruszać na poszukiwanie swoich rodaków.

Kiedy bowiem wraz z baterią rakiet Patriot rozgościli się w opuszczonych koszarach i przestali już wzbudzać zainteresowanie na ulicach miasteczka, nadeszło to, co od zawsze, czyli od otwarcia

amerykańskich baz w Niemczech Zachodnich, było wrogiem każdego żołnierza. Nuda.

Leżący na tylnej kanapie forda i dogorywający kapral Bob O'Donell, działonowy, bez którego obecności i precyzji żaden Patriot nie miał prawa wzbić się w powietrze, już trzeci raz nie stawił się na posterunku.

Na szczęście był przewidywalny: wsiadał w autobus, jechał na południe i wysiadał zawsze w tym samym zajeździe, gdzie wpadła mu w oko ponętna barmanka czy kelnerka. A że śmiałości do kobiet Bob nigdy jakoś nie miał, upijał się w trupa.

Życzliwi ludzie powiadamiali wtedy policję, życzliwa policja dawała znać amerykańskiej żandarmerii, reprezentowanej przez Scotta i dwóch jego podkomendnych. I na razie, na szczęście, nie doszło do większych ekscesów ani dramatów. Oczywiście poza kaczem, który bankowo dopadał delikwenta wczesnym rankiem, dając mu bolesną nauczkę. Aż do następnego razu.

Ford mknął przez noc. O krainie, w której przyszło im służyć, opowiadano różne rzeczy, poczynawszy od spraw najdawniejszych, czyli historii jednego świętego, który został tu zamordowany przez pogan, po drugą wojnę światową.

– Piłem tylko whisky! Jak Boga kocham – lamentował Bob, może przez sen, kilka chwil wcześniej bowiem z kanapy dochodziło pochrapywanie.

Scott Wagner Jr zawsze potrafił znaleźć złoty środek. Lubił wypić, owszem, ale i przypadła mu do gustu ta kraina. Podobało mu się tutaj dużo bardziej niż w Niemczech, gdzie w bazie pod Düsseldorfem spędził trzy lata. Od chwili rozpoczęcia służby zwiedził już Olsztyn, Lidzbark Warmiński i pole jednej z największych bitew – Grunwald.

Sierżant nacisnął na hamulec, wjechał bowiem na teren zabudowany. Światła musnęły białą tablicę z napisem Sztyldak, a on zawsze przestrzegał

przepisów. Był w tym wręcz drobiazgowy. W tym wypadku wskazówka szybkościomierza nie miała prawa przekroczyć wyznaczonej granicy, choć z początku był mały problem z przeliczaniem kilometrów na mile.

Dlatego zdziwił się bardzo i oburzył, kiedy nagle we wstecznym lusterku ujrzał światła zbliżającego się pojazdu. Szybko przybliżały się, po chwili samochód tylko dmuchnął, mijając z lewej strony forda Wagnera. Była to furgonetka.

– Jechał chyba ze sto siedemdziesiąt! – zdenerwował się.

Nie, tego sierżant tolerować nie mógł. Powiedzmy, że nie pozwalał mu na to honor amerykańskiego żołnierza.

– Teraz to już mi podpadliście, kochani. – Zredukował bieg i mocno nacisnął na gaz.

Powietrze zafurkotało w uchylonych oknach. Po kilku chwilach tylne światła ściganego pojazdu zaczęły się przybliżać. Kiedy można było już odczytać numery z tablic rejestracyjnych, Scott sięgnął w dół, wyciągnął niebieski sygnalizator, postawił go nad deską rozdzielczą i włączył. Wiedział, że nic nie może zrobić piratowi drogowemu, nie potrafił jednak postąpić inaczej.

Potem się będę martwił – postanowił w duchu.

Kierujący furgonetką człowiek o zbyt ciężkiej stopie i zbyt małym mózgu musiał dostrzec, że ktoś ma coś do niego. Zwolnił bowiem, po czym włączył prawy kierunkowskaz.

Po chwili oba pojazdy zatrzymały się na poboczu, w szczerym polu. Jedyne źródłem światła były ich zapalone reflektory.

– Bob, obudź się – rzucił przez ramię sierżant.

– Nie śpię, sierżancie – dobiegł z tyłu głos kaprała, a po sekundzie we wstecznym lusterku pokazała się jego twarz.

– W razie czego wiesz, co masz robić – mruknął Scott Wagner Jr, po czym wyłączył sygnalizator na desce rozdzielczej, otworzył drzwi i postawił swą wielką stopę na asfalcie.

Wolnym, rozkołysanym krokiem zbliżał się do furgonetki. Na zewnątrz pachniało jakimiś wodorostami. Siedzący za kierownicą mężczyzna, a także pasażer aż pootwierali usta ze zdumienia, ujrzawszy, zamiast spodziewanego policjanta... czarnego jak smoła Afroamerykanina.

A potem stała się rzecz dziwna. Zza kępy drzew, rysującej się na tle północnego, jaśniejszego nieco nieba, pojawił się cień przypominający jakiegoś ogromnego owada. Dokładnie w chwili, gdy do uszu ludzi znajdujących się na szosie dotarł huk, śmigłowiec, bo z takim oto tworem mieli do czynienia, zapalił ostre światła.

Sekundę potem z dwóch stron, od Warszawy i Gdańska, nadjechały samochody z niebieskimi sygnalizatorami błyskającymi na dachach i wyskoczyli z nich osobnicy w hełmach i goglach, z bronią wycelowaną zarówno w Scotta, jak i facetów siedzących w furgonetce.

- Policja! Na ziemię!
- Łapy do góry!
- Wyłączyć z samochodu!

Po chwili cała czwórka: Wagner, O'Donell i dwaj faceci z furgonetki, leżała na szosie w rozkołysanych kółkach światła z helikoptera, twarzami do ziemi, „drutowana” szybko i z wprawą. Wokół aż zakotłowało się od ludzi. Z jednego z samochodów wysiadło dwóch policjantów w mundurach z oficerskimi dystynkcjami.

– Murzyn? Pomyślałbyś? – Jeden z nich wykonał ruch głowy w stronę leżącego twarzą do ziemi sierżanta Wagnera.

- Zaraz to wyjaśnimy – rzekł ten drugi.

Zbliżyli się do tylnych drzwi furgonetki, oświetlanych w tym momencie przez reflektory radiowozów. Podinspektor Tomasz Stawski przekręcił gałkę i pociągnął za prawe skrzydło drzwiczek, to samo z lewymi uczynił komisarz Kontra.

Po sekundzie oczom wszystkich ukazały się dwie leżące na podłodze, spętane sznurami i zakneblowane, ale przytomne postaci.

XXV

Olsztynek, dzień trzeci

Tomasz Horn ocknął się. Siedział w wygodnym fotelu, w jakimś gabinecie. Był jasny dzień. Przez okna pokoju zaglądało słońce. Zbrązowiały na końcu i rozdwojony listek paprotki łaskotał go w prawą rękę leżącą na oparciu.

Spojrzał na pochylającą się nad nim Ewę Rimmel.

– Która godzina? – Oblizał spierzchnięte wargi.

– Dochodzi ósma. Kawę ci przyniosłam. – Archeolożka podsunęła mu pod nos plastikowy kubeczek z kawą z automatu.

– Zdrzemnąłem się. Miałem tylko chwilę odpocząć...

– Spokojnie. Wszystko pod kontrolą. Napij się.

– Chętnie. Dziękuję.

– Nieźle nas wystraszyłeś.

– Sam siebie też, uwierz mi.

Nie zdążył dotknąć wargami krawędzi kubka, gdy otworzyły się drzwi.

– Będę na korytarzu – powiedziała Ewa.

Do gabinetu wkroczył podinspektor Stawski, po nim oficer policji w stopniu komisarza. Peleton zamykał facet, w którym dopiero po kilku chwilach dziennikarz rozpoznał jednego z mężczyzn towarzyszących Joannie w pizzerii, na krótko przed jej porwaniem.

Wspomnienie Niemki sprawiło, że Horn niespokojnie poruszył się na fotelu.

– Co z Joanną? – myśl bezwiednie zamieniła się w słowa.

– W porządku. Została w szpitalu, trochę poobijana – odpowiedział Stawski.

Horn przygryzł wargi. Wciąż stała mu przed oczami ta scena: do pomieszczenia, w którym oboje ocknęli się w środku nocy, weszło czterech mężczyzn. Jeden z nich trzymał w rękach zwój sznura, inny zaciskał palce na kijku do baseballa.

W dłoniach trzeciego i czwartego bandyty coś się bieliło. Horn nie wiedział, że to tampony nasączone eterem, za pomocą których oboje z Joanną zostali pozbawieni przytomności przed pizzerią; on dostał wcześniej promocyjnie po głowie.

Twarze wszystkich mężczyzn zakryte były przez czarne kominiarki, porozumiewali się gestami i półsłówkami, a wszystko najpewniej w obawie przed późniejszą, ewentualną identyfikacją jako sprawców porwania.

Horn leżał nieruchomo, obserwował otoczenie przez szczelinę w przymkniętym oku. W momencie gdy dwóch zbirów pochyliło się nad leżącą Joanną, ta nagle rzuciła się niczym atakująca zdobycz jaszczurka, trafiając bezbłędnie nogą w krocze jednego z porywaczy. Facet ryknął z bólu, zgiął się, jednak pozostali, w tym ten z kijem w garści, nie dali się już zaskoczyć.

Horn także zerwał się z miejsca, ale odtrąciło go kopnięcie w piersi, wymierzone precyzyjnie przez jednego z usypiaczy, przez co dziennikarz przez dłuższą chwilę nie mógł oddychać. Mógł za to patrzeć, jak bandyci kopią po całym ciele leżącą, bezbronną dziewczynę.

Na szczęście trwało to parę sekund. Od strony wejścia dał się słyszeć podniesiony głos jeszcze jednego człowieka, prawdopodobnie samego

herszta bandy, który widząc, co się dzieje, rzucił paroma „kurwami”, i oprawcy odstąpili. Potem powiedział: „Mają być w jednym kawałku, jełopy pierdolone! Inaczej żadna rodzina nie zapłaci za nich nawet pół euro...!”.

Bandyci spętali ich sznurami jak dwa kawałki baleronu, zakneblowali i przenieśli do innego pomieszczenia. Horn przez chwilę poczuł zapach świeżego, nocnego powietrza, jakże innego od zatęchłego smrodu, który dotąd musieli wachać.

Szybko okazało się, że nowym pomieszczeniem jest samochód, a dokładnie jego luk bagażowy. Horn usłyszał i poczuł wyraźnie, jak pracuje silnik. Najgorsze jednak było to, że nie słyszał, czy dziewczyna w ogóle jeszcze oddycha.

Potem zostali odbici. Jakim sposobem?

– Komisarz Kloze miała, to znaczy nadal ma w bransoletce nadajnik GPS. Tak na wszelki wypadek – wyjaśnił tę wątpliwość Stawski, jakby wyczytał pytanie w myślach Horna.

– W takim dzikim kraju jak Polska przecież wszystko może się wydarzyć – podsumował Horn, po czym zapytał: – Kim byli ci ludzie? I skąd się tam wziął Murzyn?!

Stawski opowiedział o sierżancie Wagnerze i kapralu O'Donellu i ich wspaniałej postawie.

Dalsza część opowieści nie była już jednak tak przyjemna i budująca.

– Zdaje się, że zupełnie przypadkowo udało nam się rozbić gang, który trudnił się porywaniem obywateli Republiki Federalnej dla okupu – wyjaśnił milczący dotąd towarzysz Joanny, prawdopodobnie jej bliski współpracownik.

– Panowie się chyba nie znają. Komisarz Franz Böhme z policji niemieckiej, redaktor Tomasz Horn z Warszawy – dokonał szybkiej

prezentacji przytomny Stawski.

– Miło mi. – Böhme wyszczerzył zęby.

– Jeśli to dobre słowo w tych dość dziwnych okolicznościach – skwitował Horn.

– Dla uściślenia muszę dodać – ciągnął policjant z komendy wojewódzkiej, wytarłszy chustką pot z karku – że gang, który rozbiliśmy, nie tyle porywał obywateli Niemiec, co dopiero miał zamiar to robić.

Horn uniósł wysoko brwi

– Tak, ty i komisarz Klose... byliście pierwsi.

Dziennikarz dotknął odruchowo piersi. Żebra wciąż bolały go po kopniaku bandyty.

– Króliki doświadczalne? Marna pociecha – syknął po chwili. – Trzeba się tylko cieszyć, że nie zdążyli poobcinać nam palców, żeby je wysłać rodzinom.

– Obywatele Białorusi, od dwudziestu do pięćdziesięciu dwóch lat, nigdzie niepracujący, notowani – referował Stawski monotonnym głosem. –

Wszystko było dokładnie zaplanowane. Najpierw namierzyli samochód na niemieckich blachach i zaczęli go śledzić. Był to cywilny mercedes, więc nie mogli wiedzieć, że jeżdżą nim policjanci. Nie wzbudził też ich podejrzeń fakt, że stał jakiś czas przed komendą. Kiedy nasi przyjaciele podjechali pod pizzerię, tamci byli już pewni swego. Poczekali, aż Joanna wyjdzie z lokalu, a przy okazji napatoczyłeś się ty. Jak widać, dali radę. Teraz szukamy ich szefa, Polaka.

Wzrok Horna spoczął na dłużej na komisarzu Böhmem, siedzącym od początku tego dziwnego dość spotkania na krawędzi biurka.

– Do Joanny ktoś zadzwonił na krótką chwilę przed jej wyjściem z pizzerii – rzekł dziennikarz. – Może właśnie tak została wywabiona na zewnątrz. Z pewnością pan to pamięta...

– To ja dzwoniłem – wtrącił nieśmiało trzeci z policjantów, jedyny noszący mundur, a był nim zastępca komendanta posterunku policji w Olsztynku, komisarz Solnicki.

Nagle otworzyły się drzwi i do gabinetu weszła sama zainteresowana, czyli Joanna Klose.

– Cześć! – rzuciła.

Miała tylko plaster na lewym policzku, ewentualne siniaki na twarzy maskował makijaż. Co zakrywały nogawki długich spodni i rękawy bluzki, można się było tylko domyślać.

Na jej widok wszyscy prócz Horna zerwali się ze swoich miejsc. Najszybszy był Böhme.

– Nie powinnaś leżeć? – Chwycił ją za obie ręce, jakby był lekarzem i miał zamiar zbadać jej puls.

– To naprawdę nierozważne, pani komisarz – przyszedł mu w sukurs Stawski.

– Nic mi nie jest – ucięła Klose. – A już na pewno nie mogę leżeć w szpitalu, gdy giną nasi obywatele. – Zamachała zadrukowaną kartką papieru.

– Co się znów stało?! – zapytał przez ściśnięte gardło komisarz Solnicki.

Niemka podała kartkę Stawskiemu, ignorując Solnickiego, po czym zajęła miejsce na fotelu, obok Horna. Spod ściągniętych brwi i zmarszczonego czoła, co z pewnością dodawało jej w tym momencie lat – ale może o to chodziło, może uroda tej dziewczyny stanowiła jej problem – obserwowała kolejno wszystkich funkcjonariuszy.

Naprawdę twarda babka – ocenił w duchu Horn.

Tymczasem Stawski, przeczytawszy meldunek, podał go komisarzowi Böhmemu.

Wtedy gospodarz nie wytrzymał i gwałtownie wyrwał mu z rąk papier, który na szczęście pozostał w jednym kawałku.

– Oszczędzę panu psucia wzroku na naszej cyrylicy – warknął na Niemca, rzucił wzrokiem na petit i przełknął ślinę. – Myślicie, że to może być ten sam sprawca?

– To by chyba było panu na rękę, prawda komisarzu? – Joanna Klose nie zamierzała kryć się ze zgryźliwością. – I panu również – spojrzała kosym okiem na Stawskiego – bo Malbork, z tego co wiem, podlega pod komendę pomorską.

– Przecież pani wie, że robiliśmy i robimy wszystko, co w naszej mocy...

– ...a tymczasem morderca znów uderza, tak samo mocno. W dodatku na oczach wszystkich – dokończyła Joanna ze spokojem. – Ta sama wycieczka, niemal ten sam rejon działania. Ma pan może jakiś pomysł?

Stawski milczał. Chwilę tę postanowił wykorzystać Solnicki. Odchrząknął, wyprostował się nieco, po czym zwrócił się do komisarz Klose.

– Powracając do naszej wczorajszej rozmowy, pamięta pani, w sprawie zaginionej rzeźby, lwa, którą łączy pani z zabójstwami...

– Pamiętam.

– Otóż mamy nowe tropy w tej sprawie.

I opowiedział wszystkim o odnalezieniu w lesie rannego Lechosława Bączyka i jego sensacyjnych zeznaniach.

– Dlaczego pani właściwie chciała łączyć te dwie sprawy? – zainteresował się Stawski, gdy Solnicki skończył chwalić się postępami w śledztwie.

Na to Joanna tylko wzruszyła ramionami.

– Nie wiem – odparła. – Wtedy wydawało mi się, że trzeba zbadać wszystkie, absolutnie wszystkie ślady. Teraz gdy na tę niechlubną listę wpisał się także Malbork, myślę, że to zaplanowane działanie. I tak jak tych paru łajdaków, którzy mnie skopali, planowało zarobić na turystach z Niemiec, nie zadając sobie trudu oprowadzenia ich po jakimś mieście ani nakarmienia czy przenocowania, tak ten po prostu strzela do starców.

– Dlaczego to robi?

– Nie mam pojęcia.

– Tak, to rzeczywiście dawno przekroczyło wszelkie granice. – Ton Stawskiego był oficjalny, jeśli nie podniosły. – Ale chcę, żeby pani i komisarz Böhme wiedzieli, że nam również zależy na jak najszybszym zakończeniu tej sprawy. Mieszkamy w końcu we wspólnej Europie, jakkolwiek pompatycznie to brzmi i cokolwiek znaczy. Zdaję sobie doskonale sprawę, że prędzej czy później powstanie jakaś międzynarodowa komisja śledcza czy inna sejmowa cholera. Ale póki co należy działać.

– Uważamy podobnie jak pan – zgodził się Böhme.

– W południe mam mieć gotowy raport na temat aktywności na tym terenie wszelkiego rodzaju organizacji narodowych, które w swoich publikacjach książkowych, prasowych, a tym bardziej internetowych wzywały do siłowej konfrontacji czy choćby zająknęły się na ten temat.

– Tak, trzeba ich sprawdzić – zgodziła się Joanna.

– Mam też nadzieję, że tym razem uda nam się cokolwiek więcej dowiedzieć od uczestników tej feralnej wycieczki. Zaraz porozumiem się w tej sprawie z kolegami z Malborka i z Gdańska. Osobiście – tu Stawski spojrzał na komisarza Solnickiego – bardzo interesuje mnie także sprawa zaginionego lwa.

To powiedziawszy, dźwignął się z miejsca. Idąc ciężkim krokiem ku drzwiom, zatrzymał się jeszcze i spojrzał z góry na Horna, który właśnie

kończył podpisywać podetknięte mu pod nos zeznania, złożone parę godzin po przewiezieniu do komendy, już po wizycie w szpitalu.

– Chyba przydałby ci się jakiś odpoczynek – rzekł z troską.

– Dzięki, że o mnie myślisz, stary – odpowiedział Horn. – Problem w tym, że już powinienem być w redakcji w Warszawie. A od dwóch dni nic nie jadłem.

Stawski ruszył w kierunku drzwi, ale po dwóch krokach i dwóch głośnych sapnięciach zatrzymał się i odwrócił.

– Aha, jeszcze jedno, ale to między nami. – Stawski spojrzał znacząco na dziennikarza. – Śledziliśmy twojego przyjaciela. Wiesz, o kim mówię.

– Wiem. I co?

– Kaucja kaucją, ale w naszej ocenie sprawa wciąż jest niejasna i warto jeszcze bliżej się jej poprzyglądać. Kontra pojechał za nim.

– Pamiętam, że Bogdan miał mieć wczoraj zebranie jakiejś ważnej komisji czy coś takiego.

– I pewnie zdążył na nie, bo odleciał z Rębiechowa zgodnie z planem. Zanim jednak tam dotarł, zahaczył o wieś Pelnik. Wiele wskazuje na to, że ma tam przyjaciółkę...

Horn podrapał się z zakłopotaniem po głowie.

– Za to chyba nie grozi u nas dożywocie, co? – rzekł półgębkiem; udawał obojętność, ale wiadomość ta bardzo go zaskoczyła i zasmuciła.

– Na szczęście nie – zgodził się podinspektor. – Uważaj na siebie.

Wyszedł. Zostali znów sami, Horn i siedząca obok niego Joanna.

– Ten, o którym mówiliście, to twój przyjaciel? – chciała wiedzieć.

– Tak.

– Miał kłopoty?

– Niemałe.

– A ty się tym przejąłeś.

– Owszem. Nie wiem tylko, czym bardziej. Znam tego człowieka od kilkunastu lat i nigdy bym go nie podejrzewał o takie rzeczy.

– Ludzie się zmieniają.

– Niestety...

Chwilę milczeli.

– Właściwie jeszcze nie zdążyłam ci podziękować – powiedziała Kloś.

– Nie ma sprawy – odparł, by zaraz dodać: – Chciałem tylko oddać zgubę.

To powiedziawszy, sięgnął do kieszeni, skąd wydobył zapalki.

Policjantka zaśmiała się.

Wiedziałem, że tak będzie – pomyślał ze złością.

– Dziękuję jeszcze raz – powiedziała, wstając z wysiłkiem z fotela. – Mam wrażenie, że jeszcze się zobaczymy. I to niedługo.

– Wiesz, trochę żałuję jednej rzeczy. Tylko jednej – mruknął Horn, gdy Joanna była już przy drzwiach gabinetu.

– No?

– Że nie zjadłem tej pizzy. Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłem tak głodny.

XXVI

Olsztyn, dzień trzeci

Znów go zobaczył. Potężny cień, który przecina smugę światła reflektora ciężarówki. Postać bez twarzy.

Morderca braci Skąpskich i pośrednika unosił w górę trzymany oburącz przedmiot. W tej samej chwili ręka Lechośława Bączyka machinalnie wrzuca wsteczny bieg. Dokładnie w chwili, gdy kierowca puszcza sprzęgło i naciska na pedał gazu, pada kolejny strzał...

– Jezu! – krzyknął.

Hałas zaalarmował dyżurującą na korytarzu pielęgniarkę. Na szczęście w pobliżu znajdował się także lekarz.

Po chwili pacjent leżał znów spokojnie na szpitalnym łóżku, a wisząca nad nim kroplówka, w co wierzyli lekarze i pielęgniarki, na powrót pompowała w niego życie. Po policzku porośniętym gęsto siwą szczecina spływała w dół pojedyncza kropelka potu, choć równie dobrze mogła to być łza.

– Trochę dziwne, że jeszcze nikt go nie odwiedził, nie uważa pan doktor? – zauważyła pielęgniarka, gdy wraz z młodym lekarzem znaleźli się znów na korytarzu.

W tej samej chwili przed budynkiem szpitala wojewódzkiego w Olsztynie, na zwolnionym przed chwilą miejscu, zatrzymało się czarne terenowe bmw. Wsiadł z niego mężczyzna w ciemnych okularach. Rozejrzał się na boki, by po chwili ruszyć umiarkowanie szybkim krokiem w kierunku schodów prowadzących ku głównemu wejściu do lecznicy.

Znalazłszy się w środku, Zygmunt Pleban zdjął okulary i potoczył wzrokiem po obszernym, zatłoczonym hallu. Ludzie czekali w kolejce przed gabinetami lekarzy-specjalistów, żegnali się z chorymi bądź zmierzali na odwiedzinę. Był tutaj dopiero drugi raz w życiu, wcześniej jakieś dwadzieścia lat temu. Ale i to w zupełności wystarczyło, aby nie zabłądzić.

W przyszpitalnym sklepiku Pleban nabył kilka dorodnych pomarańczy, z kiosku wziął „Super Ekspres”.

Nie ma to jak popatrzeć sobie z bliska na krzywdę innych. Od razu człowiek czuje się o wiele zdrowszy, nieprawdaż?! – pomyślał.

Tak zaopatrzony, z miną wyrażającą najwyższą troskę o zdrowie znajdującego się w tych murach członka rodziny, szedł długim korytarzem, którego ściany przyozdobiono kolorowymi rysunkami autorstwa małych pacjentów, ku klatce schodowej. Mimo że cel jego wizyty znajdował się na piątym piętrze, Pleban wybrał schody zamiast windy.

Po upływie trzech minut stanął na początku długiego korytarza, zakończonego oknem. Promienie słońca padały ukośnie na stare, wytarte gumoleum.

– Dzień dobry. Czy mogę panu w czymś pomóc? – Młodziutka pielęgniarka podniosła głowę znad jakiejś książki, leżącej na małym stolyczku ustawionym pod ścianą, obok zapalanej lampki nocnej.

Popatrzył na dziewczynę, a raczej nieco w bok, tam, gdzie na ścianie wisiała korkowa tablica, na której umieszczono papierowe paski z nazwiskami pacjentów oddziału.

– Dzień dobry. Ja w odwiedziny do pani Malinowskiej. Zofii Malinowskiej – odpowiedział z półuśmiechem Pleban, szeleszcząc torebką z pomarańczami.

– Malinowska? Prosto. Drugie drzwi na lewo. – Pielęgniarka wskazała kierunek ręką uzbrojoną w długopis.

– Dziękuję.

XXVII

Warszawa, dzień trzeci

Tomasz Horn nigdy nie krępował się ziewać ani przeciągać. W redakcji, w której od kilku lat pracował, wszyscy czuli się jak w rodzinie. Poza tym trwał wciąż sezon urlopowy, co, przynajmniej czasowo, znosiło wiele sztywnych nakazów i zakazów.

Teraz jednak, siedząc przed monitorem komputera, nie miał siły wykonać jakiegokolwiek większego ruchu. Dopiero teraz nieprzespana i pełna emocji noc zbierała swoje żniwo.

W ciągu ponad dwóch godzin, przez cały czas obiecując sobie solidną porcję kofeiny, dotarł do Warszawy, przedarł się przez miasto i zameldował w zakładzie pracy. Przywitał się ze wszystkimi jednym ogólnym „cześć”, uścisnął rękę swojemu przełożonemu, sekretarzowi redakcji Pawłowi Strzeleckiemu, po czym w redakcyjnym bufecie w końcu zaspokoił głód.

– Teraz mogą mnie zabić – mruknął, wytarłszy usta serwetką.

Odsunął od siebie talerz, na którym jeszcze kilka minut temu parowały pierogi z mięsem, duże i solidnie okraszone.

Człowiekowi naprawdę niewiele potrzeba do szczęścia – pomyślał.

Dochodziło południe, gdy ponownie wjechał windą na swoje piętro.

– Jak ci minął urlop? – Strzelecki przysiadł na krawędzi sąsiedniego, wolnego w tym momencie biurka.

– Ujdzie – odparł Horn. – Masz dla mnie jakieś zajęcie?

Sekretarz redakcji przez chwilę wydawał się obecny tylko ciałem. Było tak zawsze, gdy zbliżał się okres urlopowy.

– Tak. Jasne że tak! – wypalił nagle, po czym zniknął na chwilę w zajmowanym przez siebie pomieszczeniu, nazywanym przez wszystkich „akwarium”, skąd wrócił z podłużną kopertą.

– Co to jest? – zapytał Horn bez wielkiego entuzjazmu.

– Zaproszenie na wernisaż wystawy. Jak wiesz, w sezonie ogórkowym musimy chwytać się wszystkiego, żeby zapełnić nasze szpalty. Także kultury.

– Tak, to rzeczywiście godne podziwu poświęcenie...

– Tomasz, gdyby to ode mnie zależało, dawałbym w dziale miejskim tylko recenzje sztuk teatralnych, wystaw, premier filmowych i książkowych! – Paweł sprawiał wrażenie osoby naprawdę dotkniętej do żywego. – Ja to wiem i ty to wiesz. Ale powiedz to wydawcy! Albo miłościwie nam panującym właścicielom.

– Tak, tak – zgodził się Horn. – Ale może powiesz mi wreszcie, co to za wystawa?

Strzelecki uwolnił kolorowy kartonik ze sfatygowanej koperty, jakby prezentował jakąś magiczną sztukę.

– Wystawa nazywa się, uważaj... „Wypędzeni 1945” – rzekł niegłośnie, ale wyraźnie. – I już zrobił się wokół niej niezły smród. Myślę, że akurat na ten wernisaż powinienes zabrać ze sobą fotoreportera.

Wernisaże były w Warszawie na porządku dziennym. Malarstwo, fotografia, grafika, rzeźba – twórcom nigdy nie brakło fantazji ani polotu, dzięki czemu ludzie tacy jak Tomasz Horn mieli o czym pisać. Pod warunkiem jednak, że rzeczywiście mieli na to miejsce. Strzelecki miał całkowitą i jednocześnie jakże bolesną rację, a słowa Hannsa Johsta,

niemieckiego dramaturga: „Kiedy słyszę słowo kultura, odbezpieczam swój browning”, najlepiej oddawały istotę sytuacji.

Tak rozmyślając, Horn wraz z towarzyszącym mu fotoreporterem imieniem Kazik, pracującym w gazecie dopiero od paru miesięcy, jechali taksówką na miejsce, gdzie zorganizowano wystawę o wiele, a jednocześnie nic niemówiącym tytule.

O czyje wypędzenie i skąd chodziło – to miało się okazać dopiero na miejscu, w galerii sztuki o nazwie Studio XXL, od niedawna działającej w suterenie starej kamienicy w południowym Śródmieściu. Horn znał to miejsce, zanim jeszcze otwarto tam przybytek sztuki; wcześniej bowiem mieściła się tam księgarnia.

– Mam nadzieję, że będzie kogo pstryknąć. – Kazik sprawdził działanie jakiegoś mechanizmu w swoim nowiutkim aparacie. – Wiesz coś może?

– O czym? – Horn udał głupiego.

– No, czy będą gwiazdy. Wokalistki, dziewczyny z seriali, modelki i sportowcy. Ostatnio byłem na premierze nowej polskiej komedii romantycznej. W Złoty Tarasach zrobili, wiesz? I zupełnie jak w Hollywood!

– Co ty powiesz.

– No! Nawet czerwony dywan położyli, po którym wszyscy szli. Natrzaskałem chyba ze dwieście zdjęć... A tutaj, myślisz, ktoś będzie?

Horn nie odpowiedział. Po cholerę właściwie Strzelecki kazał jechać im dwóm? – zaczął się zastanawiać.

Na szczęście taksówka już zbliżała się do celu podróży. Horn kazał zatrzymać się wcześniej, zapłacił za kurs voucherem i obaj z Kazikiem opuścili klimatyzowane wnętrze.

– Mam nadzieję, że będzie jakaś micha. Wiesz coś może? – zagadnął znów Kazik, ale Horn puścił jego słowa mimo uszu, co innego bowiem

ściągało teraz jego uwagę.

XXVIII

Malbork, dzień trzeci

Joanna Kloze przekroczyła próg komendy powiatowej w Malborku z duszą na ramieniu.

Mimo że pracowała w policji już siódmy rok, dawno nie czuła się tak stremowana i niepewna siebie. Zupełnie jak przed jakimś egzaminem, a tych w życiu zdawała niemało – od matury, zdobytej jeszcze w Polsce, przez egzaminy na studiach prawniczych w Bonn, po te, dzięki którym mogła włożyć mundur. Choć i potem nie brakowało sprawdzianów, choćby ze strzelania czy znajomości języków obcych.

– Dasz radę? – zapytał ją Böhme, gdy już, prowadzeni przez polskiego posterunkowego, pięli się po schodach na drugie piętro komendy.

– A co? Źle wyglądam? – przestraszyła się, tym samym przyznając do słabości.

Jednak jej partner nie ciągnął tematu.

– Nie, jest w porządku. Pełen fason – odrzekł.

Przez chwilę szli długim korytarzem. Twarze mijanych ludzi zlewały się Joannie w jedną: twarz zastrzelonego przed kilkunastoma godzinami Klausea Miehlkego, emeryta z Kolonii, którego zwłoki w towarzystwie miejscowych kryminalnych, a także prokuratora oglądali dwie godziny temu w kostnicy miejscowego szpitala.

Miehlke, wyglądał, jakby spał. Gdyby nie wlot po kuli na lewej piersi. Pocisk trafił go dokładnie w serce.

Jakoś nie potrafiła sobie przypomnieć denata z przesłuchań, które przeprowadzali kilka dni wcześniej, zaraz po tym, jak zginął Prochnov. Musieli wtedy rozmawiać, na pewno. Oczywiście komisarz Kloze brała po uwagę, że może to nie być ostatni tego typu przypadek. Widziała już wiele trupów podczas swojej pracy. W tym przypadku jednak została w niej poruszona jakaś czuła struna, gdzieś w samej głębi.

– To tutaj. – Ich ciceró naciśnął klamkę i pchnął drzwi.

Joanna i Böhme weszli do pustego pokoju. Za jego całe wyposażenie służył stolik i trzy krzesła, na jednej ze ścian zaś wisiało polskie godło. Dokładnie tego potrzebowali.

– Zapaliłbym – powiedział komisarz, jednak ani jego partnerka nie zajęła stanowiska w tej sprawie, ani on sam nie wykonał żadnej czynności, którą można było zinterpretować jako ruch nałogowego palacza.

– Usiądźmy i jeszcze raz ustalmy, o co pytać – powiedziała po chwili Joanna.

XXIX

Warszawa, dzień trzeci

Przed wejściem do Galerii XXL stała kilkunastoosobowa grupa ludzi. W większości były to osoby starsze. Wszyscy milczeli, za to nad ich głowami kołysało się kilka transparentów i kartonowych tablic umieszczonych na listewkach.

Słowo HAŃBA!!!, najbardziej uniwersalne, wymalowane wersalikami w kolorze czarnym, widniało na pierwszej z brzegu tablicy. Obok umieszczono, siłą rzeczy dużo mniejszą czcionką, krótkie zdanie: TO NIE POLSKA ZACZEŁA WOJNĘ! Ostatnie hasło, na szarym kartonie, wyjaśniało do końca wszelkie wątpliwości, a brzmiało: ERIKA STEINBACH KŁAMIE!

Tych kilka prostych słów, nawet obco brzmiące nazwisko, a może w szczególności ono, wystarczyło, by do końca rozwiać wątpliwości, o jakie wypędzenia chodzi. Pozostawało tylko jedno pytanie: kto zgodził się na organizację takiej wystawy w Warszawie?!

Tego Tomasz Horn musiał się koniecznie dowiedzieć. Dlatego jeszcze bardziej przyspieszył kroku.

– Ty, co to jest za cyrk? – zapytał go fotoreporter Kazik.

– Komedia, choć chyba trochę mało romantyczna – odparł Horn. – W każdym razie dobry stary Goethe by tego nie wymyślił.

– Kto?

– Nieważne.

Nic poza pikietą się nie działo. Nikt nie rzucał kamieniami ani nawet ciężkimi słowami. Praktyka nakazywała jednak, żeby w takich wypadkach wejścia do galerii strzegło kilku policjantów. Tak też było i teraz.

Horn pomachał zaproszeniem, młodziutki posterunkowy skinął przyzwalająco głową i po chwili delegacja gazety znalazła się w środku.

Pomieszczenie galerii nie było wypełnione gośćmi nawet w połowie, za co mogła odpowiadać obecność pikiety, ale też fakt, że do rozpoczęcia wernisażu pozostał kwadrans.

Horn zauważył wśród gości kilka znajomych twarzy. Zazwyczaj byli to ludzie starsi, czasem nawet zabiedzeni, którzy w zaliczaniu wszystkich po kolei wernisaży, pokazów filmów czy konferencji prasowych znaleźli sposób na życie – i to w dosłownym tego słowa znaczeniu. Większość imprez kończyła się bowiem poczęstunkiem, większym lub mniejszym. Przy odrobinie szczęścia można było niemal codziennie żywić się na czyjś koszt!

Z głośników sączyła się spokojna muzyka, choć pewnie ludzie na zewnątrz spodziewali się wojskowych marszów. Dwie hostessy kręciły się z tacami, na których ustawiono kieliszki z białym winem.

Ot, wernisaż, jakich wiele – można by było powiedzieć. Tylko że zdjęcia, powiększone i wiszące w antyramach na ścianach, a także zwisające z sufitu, nie pozostawiały cienia wątpliwości: tytułowymi wypędzonymi w 1945 roku nie byli lwowiacy ani polscy mieszkańcy Wilna, tylko Niemcy. Niemcy z walizkami i plecakami. Niemcy stłoczeni na ciężarówkach i chłopskich furmankach. Niemcy maszerujący ośnieżoną drogą, na zachód i północ.

Tragedia zatrzymana w kadrze. Niewielu z nich dotrze do celu: część utopi się pod lodem w Zalewie Wiślanym, część zamarźnie po drodze,

umrze z wycieńczenia i głodu. Kobiety, starcy, dzieci...

– Niesamowite, ciekawa sprawa! – zachwycił się Kazik, wpatrując się w kolejne fotografie.

Tym bowiem, co odróżniało zdjęcia zgromadzone na wystawie w Studiu XXL od tego, co można było obejrzeć na przykład na archiwalnych filmach, które z taką pieczołowitością archiwizowały przez dziesiątki lat różnego rodzaju niemieckie związki przesiedleńców czy odwetowców, był kolor. Tak, wszystkie te zdjęcia były kolorowe! I prawdopodobnie właśnie o to chodziło organizatorom tej ekspozycji.

W pewnym momencie muzyka przycichła, na niewielkim podwyższeniu pojawił się jakiś mężczyzna z długą brodą, podobny przez to do Rasputina.

– Chciałbym państwa bardzo serdecznie przywitać na kolejnym wernisażu w warszawskim Studiu XXL – zaczął mówić do mikrofonu, co spowodowało, że także i protestujący na zewnątrz zaczęli oczekiwanym werbalnym atakiem.

– Zamknąć wystawę! Zamknąć wystawę! Hańba! – skandowali głośno i zgodnie.

Horn sprawiał wrażenie, że nie dochodzą do niego żadne dźwięki – ani oficjalne przemowy, ani słowa protestu. Od kilkunastu sekund stał bowiem przed jedną z fotografii. Był to długi czas jak na niego – zwykle na odwiedzanych przez siebie wystawach pojedynczemu eksponatowi nie poświęcał więcej niż dziesięć sekund.

Teraz było inaczej, choć na pierwszy rzut oka zdjęcie niczym się nie wyróżniało spośród pozostałych: ośnieżona droga, na niej idący ludzie z tobołkami. Dzieci, jakiś pies. Obok nich ciężarówka jadąca w drugą stronę. Ciężarówka z plandeką. Na plandece zaś napis.

– *Baum und Giese. Frankfurt am Main* – przeczytał na głos Horn. – Frankfurt nad Menem?

Skąd ja mogę znać tę nazwę? – zastanawiał się. W dodatku nie tylko słowa, ale i charakterystyczny krój liter był znajomy. A także kolory – czarny, biały i czerwony.

– Mówiłeś coś? – Fotoreporter przerwał na chwilę czynność ostrzeliwania się za pomocą lampy błyskowej.

Jednak Horn słyszał coraz mniej. Znów nie odpowiedział na pytanie Kazika. Jedyne, co zrobił, to wsunął ręce do kieszeni spodni. W jednej z nich, prawej, namacał jakiś niewielki przedmiot. Wyjął go i podniósł do oczu.

– O cholera...

Trzymał w palcach znalezione w olsztyneckiej pizzerii opakowanie zapalek, które wypadły z kieszeni Joannie i których kilka wypalił poprzedniej nocy. Widniały na nim dokładnie te same słowa co na plandece ciężarówki: *Baum und Giese. Frankfurt am Main*. Czarne, białe i czerwone...

XXX

Malbork, dzień trzeci

Stefan Ludwiszewski, pilot feralnej wycieczki, szedł jak na ścięcie, z opuszczoną nisko głową. Towarzystwo policjanta sprawiało, że dokładnie tak samo się czuł. W prawej ręce gniótł białą baseballówkę, lewa zaciskała się w pięść.

Wydarzenia ostatnich dni sprawiły, że Ludwiszewskiemu przybyło co najmniej dziesięć lat. Ktoś, kto znałby sprawę, a ujrzał ten obrazek, pewnie pomyślałby, że to właśnie przewodnik dokonał obu zabójstw. I właśnie przyznał się do winy.

– Proszę. – Eskortujący go funkcjonariusz otworzył drzwi pokoju.

– *Tag* – przywitał się przewodnik, ujrawszy znajome twarze siedzących.

Kobieta ruchem ręki wskazała mu miejsce po drugiej stronie stolika, mężczyzna wyciągnął w jego stronę paczkę marlboro, ale Polak pokręcił odmownie głową. Policjant skrzywił się z jakiegoś powodu.

– Proszę nam powiedzieć, jak to wszystko dokładnie wyglądało – zaczęła Joanna Kloś.

Ludwiszewski zaczął opowiadać. Z początku nieco nieskładnie, jak maturzysta na egzaminie z języka niemieckiego, potem już nieco lepiej, sprawniej. Że nikt się tego nie spodziewał. Wszystko stało się tak nagle,

było ciemno, a pijaczka-prowokatora, który obrażał turystów, nie widział w tym miejscu nigdy wcześniej.

Kiedy zakończył, zapytał:

– Czy będę o coś oskarżony?

– Nie. Dlaczego? – zdziwiła się Joanna.

Ale Polak nie odpowiedział, tylko jeszcze bardziej się zasępił, skulił w sobie, zmalął.

Nie pożegnał się nawet, gdy podziękowali mu za zeznania i pozwolili wyjść. Po prostu wstał zza stołu i na sztywnych nogach skierował się ku drzwiom.

– W każdym razie o dalszej pracy jako pilot naszych wycieczek chyba może chłop na długo zapomnieć – skwitował komisarz Böhme, bawiący się wyciągniętym z paczki papierosem.

Po chwili ponownie otworzyły się drzwi i sierżant wprowadził pierwszą z osób, z którą para niemieckich policjantów miała życzenie dziś rozmawiać. Tą osobą był Erich Schwarz.

Starszy mężczyzna od razu rozpoznał w nich śledczych, którzy rozmawiali z nim krótko po tym, jak pod Hohenstein zmarł na zawał Frank Prochnov.

– Dzięki Bogu, to wy! – zawołał, unosząc obie ręce w geście niemalże papieskiego błogosławieństwa.

– Dzień dobry, panie Schwarz – przywitał się Böhme bez wątpienia z dużo większą serdecznością, niż to zrobił w przypadku Polaka. – Proszę, niech pan usiądzie.

Staruszek chwilę jeszcze wodził zboląłym wzrokiem po rodakach, zanim spełnił prośbę komisarza. Ledwo to uczynił, zaczął dygotać, jakby dostał jakiegoś ataku.

Policjanci spojrzeli po sobie.

– Źle się pan czuje? – zaniepokoiła się Joanna.

– Nie.

– Proszę powiedzieć, gdy coś będzie nie tak. Wtedy przerwiemy – powiedział Böhme.

Sprawa zaczynała być dokładnie tak trudna, jak sobie to oboje i każde z osobna wyobrażali. Komisarz Böhme był w każdej chwili gotów podnieść się, aby wyjść i wezwać pomoc, ale na szczęście tajemnicza przypadłość dała spokój starcowi. On sam potwierdził to gestem obu rąk, tym razem podobnym do tego, jakiego używa dyrygent orkiestry, zarządzając *piano*, *pianissimo*.

– To dla nas wszystkich bardzo bolesne przeżycie. Zginął obywatel Republiki Federalnej. Chcielibyśmy jednak zadać panu kilka pytań – powiedziała Kloze najłagodniejszym tonem, na jaki ją było stać. – Czy możemy już zacząć, panie Schwarz?

– Tak, oczywiście. Opowiem o wszystkim, co widziałem.

Przerwał na chwilę, pochylił się niżej na stolikiem, policjanci odruchowo zrobili tak samo.

– Myślę – ciągnął – że o wiele ważniejsze od moich słów czy słów kogokolwiek z uczestników wycieczki będzie to. – Schwarz dotknął dłonią okolic serca. – On tutaj jest – szepnął.

– Kto? – zapytali jednocześnie Joanna i Böhme.

– Zabójca... – Wyciągnął z lewej wewnętrznej kieszeni płóciennej marynarki niewielkie zawiniątko i położył je na stole. Odwinął chustkę i wtedy oczom śledczych ukazała się kamera marki Sony należąca do Klause Miehkego.

Nim policjanci zdążyli cokolwiek powiedzieć, Schwarz uruchomił urządzenie. Nie uszkodził kamery upadek jej właściciela. Wciąż działała. Na małym ekranie ukazała się wieża zamku.

XXXI

Warszawa, dzień trzeci

Tomasz Horn wrócił do redakcji około szóstej po południu. Pierwsze, co zrobił, to usiadł przed komputerem i zaczął szukać w internecie wiadomości na temat firmy Baum und Giese z Frankfurtu nad Menem.

Strona internetowa po niemiecku i angielsku, która wyskoczyła jako pierwsza po wpisaniu nazwy w wyszukiwarce, przybliżała istotę działalności spółki, co ciekawe, ale tłumaczące obecność ciężarówki z takim właśnie napisem na zdjęciu ilustrującym ucieczkę mieszkańców Ostpreussen przed Armią Czerwoną, o jeszcze przedwojennych tradycjach.

Czym zatem zajmowali się rzeczeni panowie Baum i Giese?

Ano niczym nadzwyczajnym, jeżeli nie wręcz banalnym; produkowali i rozprowadzali wszelkiego rodzaju materiały budowlane: cegły, płyty betonowe, deski szalunkowe, zbrojenia, dachówki – słowem wszystko, czego w danym momencie dziejów człowiek pod tą szerokością geograficzną używał, aby zapewnić sobie i swojej rodzinie trwałe schronienie.

Uwolnienie rynku przed ponad dwoma dekadami spowodowało także ekspansję firmy na wschód, dzięki czemu także i Polacy mogli stawiać sobie małe, białe domki z cegieł wypalanych we Frankfurcie nad Menem.

– Jak wystawa? – głos Pawła Strzeleckiego przywrócił Horna rzeczywistości. – W radiu mówili, że dość głośna.

– Istotnie. Mocna rzecz. Kazik zrobił fotki ze wszystkich stron. Za godzinę możesz mieć tekst.

– Przepytaleś kogo trzeba?

– Jasne.

Pełna godzina dla tak sprawnego dziennikarza, jakim był Horn, to nawet zbyt wiele. Dlatego wrócił do przeglądania sieci w poszukiwaniu innych wiadomości o Baum und Giese. Coś bowiem wciąż nie dawało mu spokoju.

Kolejne kliknięcia komputerową myszą, nierówny stukot klawiszy. Ktoś, kto spojrzałby na niego w tej chwili, nie miałby najmniejszych wątpliwości co do jego pilności i zaangażowania.

Niestety, nikt nie zadał sobie tego trudu. A decyzje już dawno zapadły...

– Jest! – wyrwało mu się naraz z gardła.

Szybko najechał kursorem na link, kliknął i wstrzymał oddech. Po chwili miał już przed oczami artykuł zamieszczony przed rokiem na jednym z portali informacyjnych Warmii i Mazur.

Niezbyt długi tekst mówił o wystawionych na sprzedaż terenach w pobliżu Olsztynka i przeprowadzonym w tej sprawie przetargu. Firma z Frankfurtu chciała postawić w tym miejscu niewielką fabrykę materiałów budowlanych, jednak miasto, z niewiadomych przyczyn, wycofało się z oferty.

Nazwiska Baum i Giese pojawiły się także w dwóch innych kontekstach: budowy trasy ekspresowej S7, a także uporządkowania cmentarza wojennego w Sudwie koło Olsztynka, gdzie pochowano pięćdziesiąt pięć tysięcy Polaków, Rosjan, Belgów, Francuzów oraz Włochów, zmarłych z głodu i wycieńczenia lub pomordowanych w pobliskim stalagu I B Hohenstein.

Osobliwa forma zadośćuczynienia – przeszło Hornowi przez myśl.

Nagle od drzwi wejściowych pokoju redaktorów działu miejskiego doszedł jakiś hałas. Horn podniósł wzrok, ale nikogo nie dostrzegł.

Już miał kliknąć na ostatni link, gdy zza ściany wychyliła się głowa Strzeleckiego.

– Tomasz!

– Tak, za chwilę będziesz miał ten tekst.

– Mogę cię prosić?

Dopiero teraz Horn zauważył coś dziwnego zarówno w głosie, jak i zachowaniu szefa.

– Już idę – odpowiedział.

Zamknął interesującą go stronę i wstał z krzesła.

Pokój szefa zbudowany był ze szklanych ścian, jednak o tym, że Paweł Strzelecki nie jest w nim sam, Horn przekonał się dopiero w chwili, gdy wszedł do środka.

– Dzień dobry – bąknął i poczuł, że nogi się pod nim uginają.

Prócz sekretarza redakcji siedział tam bowiem miłościwie im panujący redaktor naczelny gazety. Miny obydwu nie wróżyły nic dobrego. Horn potrafił to świetnie wyczuć. Gdyby siedział w redakcji od rana, pewnie dostrzegłby panującą tu nerwowość, napięcie poprzedzające nadchodzącą burzę, wreszcie fakt, że Strzelecki kursował kilka razy między ich działem a mieszczącym się dwa piętra wyżej biurem zarządu i działem personalnym.

Pokłosie tej bieganiny leżało teraz przed nim, na stoliku, przy którym zwykle odbywały się kolegia redakcyjne. Był to dokument formatu A4, dla bezpieczeństwa umieszczony w plastikowej koszulce.

Horn czuł, że mózg zaczyna mu się gotować, a gardło ktoś wysypał piaskiem z solą. Serce galopowało nie wiadomo dokąd. Wiele razy próbował sobie wyobrazić tę chwilę. Zawsze jednak, ledwo zaczynał to robić, odpędzał tę myśl.

Teraz tkwił w niej wszystkimi swoimi zmysłami. Nieodwracalnie.

– Panie Tomku – zaczął naczelny – pozwoliliśmy sobie poprosić pana tutaj, ponieważ sytuacja, z jaką mamy do czynienia, jest dość niezręczna i nietypowa. Jak pan zapewne doskonale zdaje sobie sprawę, rynek pracy, szczególnie gdy weźmiemy pod uwagę nasz zawód, od dłuższego czasu jest nasycony. Niestety, nie idzie to w parze z kondycją finansową naszego tytułu.

Teraz z kolei wydawało się Hornowi, że ogląda jakiś film. Kiepski, pełen niepotrzebnych dłużyzn, w tym także monologów. Jednocześnie był niemal pewien, że akcja przedstawiona na ekranie w żadnym razie nie dotyczy jego, bo niby dlaczego miałyby dotyczyć?!

– Zarząd spółki – ciągnął dalej naczelny – powziął decyzję, a nie ukrywam, że była to trudna, jeśli nie bolesna decyzja, że niezbędne są cięcia. W tym także cięcia personalne...

Horn zadygotał. Z zimna. Sekundę później zrobiło mu się gorąco.

Wydawało mu się, że przed chwilą przecięto go dokładnie w miejscu, gdzie nosił pasek. Jakimś sposobem bowiem nie czuł ani nóg, ani pośladków, na których siedział. A może ta nagła niemoc okaże się prawdą i wtedy go nie zwolnią, bo przecież nikt nie ruszy kaleki. To niezgodne z przepisami, ale też z sumieniem normalnego człowieka!

Co lepsze? Jeździć do końca życia na wózku czy stracić robotę? – zastanawiał się.

Tymczasem jego przełożony powoli zmierzał ku końcowi, z wyraźną ulgą:

– Proszę mi wierzyć, jest pan naprawdę świetnym dziennikarzem i jednocześnie niezwykle wartościowym człowiekiem.

– Pan sobie daruje, dobrze? – Horn wstał z krzesła; czuł, jak skóra twarzy płonie mu, jakby polana wcześniej benzyną.

– Tomek, to nic osobistego – próbował ratować sytuację milczący dotąd, choć z pewnością nie mniej męczący się Strzelecki.

– A jak inaczej to nazwać?

Sekretarz redakcji nic nie odpowiedział. Podsunął podwładnemu wypowiedzenie, które ten podpisał, by następnie bez słowa opuścić akwarium, a potem także i redakcję.

XXXII

Olsztyn, dzień trzeci

– Co?! Chyba się przesłyszałam!

Joanna Kloze aż poczerwieniała z gniewu. Jej dłonie, jeszcze przed sekundą leżące na blacie stołu w sposób, do którego nie śmiałyby się przyczepić najostrzejszy nawet nauczyciel, teraz drżały jak u trawionej przez delirium alkoholicki.

– Taka jest decyzja góry, pani komisarz – powtórzył ze spokojem wicekonsul Republiki Federalnej w Olsztynie. – Nic na to nie poradzę.

– Kiedy przyszła ta decyzja?

– Dzisiaj.

– Rano?

– Trzy godziny temu. Byliście wtedy w Malborku.

– Mówi pan to w taki sposób, jakbyśmy byli tam na jakiejś wycieczce i pili piwo! – huknęła komisarz.

Strauss spojrzał na siedzącego naprzeciwko Böhme, jakby chciał znaleźć w nim poplecznika. Ten zaś tylko bawił się wyciągniętym przed chwilą z pudełka papierosem, wygodnie rozparty na krześle. Unikał wzroku urzędnika.

Nie uzyskawszy żadnej pomocy, wicekonsul postanowił użyć znanych sobie sposobów: zdjął okulary w złotej oprawie, spojrzał na nie pod światło,

w poszukiwaniu smug czy czegokolwiek, co utrudniałoby mu widzenie, wykazując w ten sposób oczywistą ignorancję. Szkła były bowiem nieskazitelnie czyste.

Gest urzędnika do końca rozwścieczył policjantkę: Kloze wstała tak gwałtownie, że aż przewróciła krzesło.

– Teraz, kurwa?! Kiedy wreszcie, po tylu dniach śledztwa, udało nam się złapać poważny trop, mam wracać do kraju?! – wykrzykiwała z taką złością, że nawet jej partner, człowiek, z którym zjadła beczkę soli i przeprowadziła niejedno trudne śledztwo, przerwał swoją zabawę i wyprostował się. – Dlaczego?!

– Obawiam się, że na ostatecznej decyzji naszych władz w tej sprawie zaważyło drugie morderstwo – rzekł wicekonsul z niezmiennym spokojem, by po chwili dodać: – Pani następcą jest już w drodze do Polski. Pani zaś otrzymała tydzień urlopu do wykorzystania od tej chwili.

– Urlopu?

– Tak. Tydzień. To wszystko, co miałem państwu do przekazania.

Urzędnik wstał od stołu, zawiązał kartonową teczkę, którą następnie wsunął do neseseru. Szczęknęły zamykane zatrzaski.

– Proszę nie żywić urazy, pani komisarz. Ja wykonuję tylko swoje obowiązki – powiedział na zakończenie wicekonsul. – Do widzenia.

Po chwili w sali odpraw komendy miejskiej policji w Olsztynie została tylko Joanna i Böhme. Ten ostatni przez dłuższą chwilę bał się odezwać. Nigdy jeszcze nie widział partnerki w takim stanie.

Tymczasem Kloze zaczęła chodzić po pokoju w tę i z powrotem. Za oknami zahuczał przejeżdżający pociąg.

– O czym myślisz? – zagadnął ją Böhme.

W odpowiedzi podeszła do stołu, otworzyła i uruchomiła leżącego na nim laptopa. Chwilę czekała, po czym po raz kolejny uruchomiła film,

który kilka godzin wcześniej przegrali z kamery zamordowanego Klause Miehkego.

– Spójrz. To jest ten kloszard, o którym mówili uczestnicy wycieczki. – Joanna wskazała palcem jakiś cień na ekranie.

– Myślisz, że on i napastnik to ta sama osoba?

– Czemu nie? Mógł skoczyć gdzieś na stronę, wciągnąć na siebie bluzę, podnieść kaptur, przygotować broń. A tu jest to samo – obróciła w swoją stronę komputer i chwilę przy nim manipulowała – ale z kamery monitoringu. Trochę go widać. Musiał wiedzieć, że na parkingu są kamery...

Böhme w milczeniu przyglądał się poczynaniom partnerki. Nie musiał też czekać długo, aż Klose zorientuje się, co myśli. Spodziewał się kolejnego wybuchu gniewu. Jednak dziewczyna ze spokojem zamknęła oglądany filmik, następnie wylogowała się i złożyła komputer.

– Masz rację – rzekła, chowając laptopa do futerału, powoli i starannie.

– Chyba rzeczywiście przyda mi się tydzień urlopu.

I wyszła z pokoju, a chwilę potem także i z komendy.

XXXIII

Warszawa, dzień trzeci

Tomasz Horn wyszedł z lokalu o wiele mówiącej nazwie Meta i przeszedł kilkanaście kroków wąską uliczką, lawirując między stolikami zawłaszczających coraz większą przestrzeń ogródków.

O tej porze niemożliwe było znaleźć tu wolny stolik, zresztą Horn nie miał nawet takiego zamiaru. Przed chwilą na stojąco wypił setkę wódki, zagryzł kiszonym ogórkiem. Był to jeden z elementów zakrojonego na szeroką skalę procesu upadlania się.

Od kilku godzin, odkąd opuścił siedzibę redakcji jako zredukowany pracownik, włóczył się po mieście. Świat wirował mu przed oczami, potok myśli przelewał się przez głowę. Co chwila powracało też pytanie: co dalej? Jak sobie teraz poradzi?

– Cześć – rzucił do siedzącego w ogródku kawiarni Cava znajomego aktora; ten odpowiedział na pozdrowienie.

Horn zatrzymał się na rogu ulic. Po obu stronach Nowego Świata przewalał się tłum.

– I co dalej? – tym razem zwerbalizował natrętną myśl, jednak nawet ten prosty zabieg nie przyniósł ukojenia w postaci odpowiedzi.

Skreślił w stronę Krakowskiego Przedmieścia, choć bez konkretnego celu. Wiedział tylko tyle, że najpewniej natrafi tam na jeszcze większe rzesze turystów.

Może wpadnę na jakąś śliczną Murzynkę, zakocham się z wzajemnością i razem wyjedziemy do niej? – pomyślał, oceniając jednocześnie ów pomysł jako całkiem oryginalny, ale z szansą na powodzenie bliską trafienia szóstki w lotto.

Szedł wolnym krokiem, przyglądając się obojętnie ludziom siedzącym w kawiarnianych ogródkach. Było tam tak ciasno, że goście stykali się niemal plecami, także ci, którzy wybrali stoliki w dwóch różnych lokalach.

„Jesteś słaby psychicznie. W momentach zagrożenia panikujesz jak dziecko lub stara baba” – przypomniał sobie nie wiadomo czemu słowa, które kiedyś, chyba było to właśnie w momencie podobnego kryzysu, powiedziała mu jego była żona, Małgorzata. Mimo iż od ich rozstania minęło już pół roku, wciąż nie potrafił myśleć o niej inaczej jak z sympatią i ciepło.

Ciekawe, co u niej. Jak sobie radzi? Może powinienem do niej zadzwonić, spotkać się? – zaczął się zastanawiać.

I zaraz udzielił sobie odpowiedzi. Głupi! Dopiero wtedy dałby jej satysfakcję! Przecież właśnie przez to, że uważała go za nieudacznika, rozstali się.

Znów zachciało mu się pić. I jeszcze coś, ale w drugą stronę. Rozejrzał się. Kilkanaście metrów dalej znajdowała się restauracja serwująca piwo pszeniczne. W tym samym momencie otworzyły się drzwi klubu dziennikarza na rogu Nowego Światu i Ordynackiej i weszło do niego stadko młodych, roześmianych dziewcząt. To ostatecznie kazało mu zmienić plany.

XXXIV

Olsztyn, dzień trzeci

Wieczór, który powoli zapadał nad miastem, był pogodny i wyjątkowo cichy. Dzwony na ratuszu wybiły dziewiątą wieczorem.

Joanna Kloś szła wolnym krokiem ulicą Kościuszki w stronę centrum miasta. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio mogła, ot, tak po prostu iść, nie spiesząc się nigdzie.

Wszystko przez tę pracę – pomyślała.

Zero czasu dla siebie, żeby móc poczuć się kobietą. Nic dziwnego, że faceci uciekali przed nią. Co któryś się przekonał i zagrażał miejsce na dłużej, od razu bladł, gdy opowiadała przy kolacji o swojej pracy, i to ze szczegółami. Szczęście, że żaden nie zwymiotował, słysząc o tych wszystkich ranach, jakie zadano nieszczęsnej jednej czy drugiej ofierze.

Dla Joanny był to chleb powszedni, choć także nie potrafiła jeść kanapek przy zwłokach, jak wielu jej kolegów z komendy i z sekcji. Tak wynosił się jeden facet, potem drugi i kolejny. Aż przestała liczyć. Liczyła się już tylko praca.

Prowadziła właśnie śledztwo w sprawie krwawych porachunków między kilkoma tureckimi rodzinami, kiedy nieoczekiwanie przyszedł rozkaz wyjazdu do Polski. Na górze wiedzieli, że stamtąd, a dokładnie z Opola, pochodzi. Wielu emigrantów pracowało w niemieckiej policji. Widzieli w tym prawdopodobnie szansę na szybsze wyjaśnienie tej

nietypowej sprawy, no bo znajomość języka, nie mówiąc już o polskiej mentalności, cokolwiek to znaczy, była ważna.

Klose zatrzymała się na rogu alei Piłsudskiego, czekając aż zapali się zielone światło. Po dwóch stronach głównej arterii miasta wznosiły się monumentalne budynki, jakie na co dzień oglądała w miastach po drugiej stronie Odry. Pierwszy, co zdążyła odczytać z blaszanej tablicy, był siedzibą szkoły podstawowej. Drugi, bardziej oddalony, przywodził na myśl pałac.

Może to jakieś muzeum? – zastanawiała się.

Dawno nie była w żadnym muzeum, a przecież tak bardzo lubiła historię.

Skrzyżowanie przeciął wypełniony ludźmi tramwaj i zapaliło się zielone światło. Joanna szybkim krokiem pokonała jezdnię i znalazła się po drugiej stronie.

Po kilkunastu metrach uwagę jej przykuło zachowanie dwóch młodych chłopaków. Nie, nie mogła się mylić: najwyraźniej majstrowali przy zamku jednego z zaparkowanych na skraju chodnika samochodów. Poczowała nieznośne mrowienie na plecach i nagłą duszność – objawy złości. Była bowiem na tym punkcie niezwykle wprost czuła.

– Mamy jakiś problem? – zapytała najczystsza polszczyzną i z nutką zaczepki.

Nie wydali się nawet spłoszeni. Spojrzeli tylko na nią i widząc, że mają do czynienia z młodą, w dodatku ładną kobietą, ponownie zaczęli – teraz była już tego całkowicie pewna – kombinować przy samochodowym zamku.

– A co, kurwa, twoje? – rzucił jeszcze jeden z pryszczatych, po czym obaj zaśmiali się.

Aż sapnęła. Zacisnęła dłonie w pięści.

– Zostawisz to?! – huknęła, podchodząc jeszcze bliżej.

Popatrzyli na siebie, po czym jeden wyciągnął z kieszeni jakiś przedmiot. Joanna rozpoznała metalowy kastet, ale nie cofnęła się ani o krok.

Młodzi mężczyźni ruszyli na policjantkę, tracąc chwilowo zainteresowanie łupem. Ona zaś stała na szeroko rozstawionych nogach, gotowa na atak.

– Słyszałeś, gnoju zasrany, co pani powiedziała?! – usłyszała nagle za plecami męski głos.

W tym momencie włamywacze wykonali przepisową komendę „w tył na lewo marsz”, jak świetnie wyszkolone wojsko. Po chwili w ciemności błyskały tylko jasne gumowe wstawki w podeszwach ich sportowych butów.

– Nic pani nie jest? – zapytał ten sam głos.

Joanna odwróciła się. Poznała swego wybawcę. Stał przed nią Grzegorz Solnicki, komisarz z Olsztynka.

– Nie. Poradziłabym sobie – odpowiedziała.

Policjant wzruszył ramionami.

– Chyba trzeba kogoś powiadomić o włamaniu. Tamci mogą wrócić – zauważyła przytomnie Joanna.

– Zajmę się tym. Na razie, jeśli pani pozwoli, odprowadzę ją kawałek.

Po chwili szli wolnym krokiem w stronę centrum miasta.

– Słyszałem, że została pani odsunięta od śledztwa – powiedział oficer.

– Dobre wieści szybko się roznoszą, co?

– Sam nie wiem, czy dobre – syknął, patrząc ponad jej ramieniem w perspektywę ulicy, zamkniętą oświetloną wieżą ratusza, a zaraz potem dodał: – Wracam właśnie z odprawy w komendzie miejskiej. Pewnie nie słyszała pani, że w mojej sprawie coś się ruszyło.

– Tak?

– Sprawca, a jednocześnie jedyny świadek kradzieży lwa z naszego rynku, został dziś po południu zamordowany.

– Zamordowany? Gdzie?!

– W szpitalu wojewódzkim.

– Jak to się stało?

– Dobito go skalpelem. Ktoś przeciął mu wszystkie tętnice...

Joanna poczuła, że zaczyna robić jej się słabo.

– Zresztą ja też już się tym nie zajmuję. Sprawę przejęli kryminalni z Olsztyna – dokończył policjant.

Przystanęła w pół kroku. Popatrzyła na Solnickiego spod ściągniętych brwi.

– Skoro obojgu nam zabrano sprawy, może byśmy zawarli nieformalne przymierze? – zapytała.

– Nie rozumiem.

– To proste. Pan pomoże mi znaleźć zabójców uczestników wycieczki, a ja postaram się pomóc panu w rozwikłaniu zagadki skradzionego lwa.

– Pani nigdy nie ustępuje, pani komisarz?

– Jak pan widzi.

Grzegorz podrapał się z zakłopotaniem po głowie.

– W innym przypadku pewnie z miłą chęcią – odparł. – Niestety, dosłownie pół godziny temu zostały mi przydzielone zupełnie nowe zadania.

Komisarz na dowód prawdziwości swych słów pomachał czerwoną plastikową teczką, którą trzymał w ręku.

– Rozumiem – rzekła Joanna. – Nie ma problemu. Chyba rzeczywiście powinnam udać się na wakacje. I dziękuję za pomoc.

Milcząc, wyszli na większy, kwadratowy plac. Na jego końcu, na tle łąny zachodu rysowały się charakterystyczne kształty zapomnianego pomnika. Kamienny bojec w papaszy z gwiazdą podnosił rękę w geście triumfu. Na schodach siedzieli jacyś młodzi ludzie. Całość przypominała nieco bramę, w której ktoś nie dokończył zbudować zwieńczenia.

– Z tego, co wiem, ten pomnik, a właściwie bloki, z których go zbudowano, i skradziony lew stanowiły kiedyś całość – powiedziała w pewnym momencie Joanna.

– Czyli jednak wciąż łączy pani te dwie sprawy?

– Po prostu chwytam wszystkie tropy...

XXXV

Gryźliny k. Olsztynka, dzień czwarty

Niebo nad lotniskiem było pogodne i pełne gwiazd. Zbliżała się pierwsza w nocy, gdy od strony wsi pokazała się para mocnych świateł. Kilkanaście sekund później terenowe bmw zatrzymało się w pobliżu pasa startowego. Zamilkł silnik, zgasły reflektory. Trzasnęły drzwiczki. Po chwili obok auta pojawiły się dwa ogniki.

– Wyrobi się na takim pasie? – zapytał jeden głos.

– Na pewno. Już tu kilka razy lądował – odpowiedział mu drugi.

– Ale że bez świateł?

– Mają włączyć za chwilę. Spokojnie, stary!

Chwila ciszy.

– A ty wiesz, Pleban, że właśnie z tego lotniska szwabskie bombowce startowały w trzydziestym dziewiątym na Warszawę?

– Tylko żebyś mi, kurwa, czasem tego przy nim nie kłapnął, Święcki. Trzymaj lepiej mordę na kłódkę.

– Jak chcesz.

– Tak będzie najlepiej dla nas wszystkich, OK?

– Niech ci będzie.

Wtem rozbłysły światła ukryte w trawie, dwie równe linie, z ziemi może źle widoczne, ale dla pilota – droga do życia. Jednocześnie uszy

stojących na płycie lotniska pochwyciły brzęczenie, podobne do tego, jakie wydaje z siebie komar.

Z każdą chwilą dźwięk ów stawał się coraz głośniejszy, uderzał w niższe tony. Wreszcie od zachodniej strony pojawiły się światła nadlatującego samolotu: białe, silne i stałe, a także dwa mrugające na skrzydłach, zielone i czerwone.

– Jest – mruknął Pleban. – Pamiętaj, morda w kubek.

– Odpieprz się.

Awionetka zniżyła lot, by po chwili miękko, jakby zbudowana była z papieru, dotknąć kołami ziemi. Po kilkudziesięciu metrach biały kadłub zastygł w pulsującym półmroku, tylko śmigło jeszcze przez niemal pół minuty furkotało w powietrzu.

W chwili gdy otwierały się drzwiczki z boku samolotu, terenówka z Plebanem i jego towarzyszem zbliżała się do niego po łuku.

– *Guten Abend!* – krzyknął Zygmunt Pleban.

– Raczej: dzień dobry – odpowiedział gość kiepską polszczyzną, stając na trawie. – Zaraz zacznie świtać.

– Jak to latem.

Przybysz uścisnął po kolei ręce obu mężczyzn, oficjalnie i nieco sztywno, podczas gdy jakiś inny facet, najpewniej pomocnik pilota, prznosił już i wkładał do bagażnika samochodu dwie skórzane, duże walizki.

– Rozumiem, że wszystko jest gotowe – odezwał się gość, gdy we trójkę sadowili się w samochodzie: zajął miejsce na tylnej kanapie i od razu zaczął majstrować coś przy swoim telefonie komórkowym, który oświetlał mu twarz.

– Tak jest – odrzekł służbiście Pleban. – Możemy tam jechać nawet teraz, jak pan sobie życzy.

– Świetny pomysł!

Siedzący obok kierowcy Józef Święcki z trudem powstrzymał się przed ziewnięciem. Spojrzał zezem na Plebana. Ten jednak patrzył do przodu, udając, że wszystko mu pasuje. Jakby dla potwierdzenia mocniej nacisnął na gaz.

XXXVI

53°38'N, 20°21'E, dzień czwarty

Zatrzymali się po kilkunastu minutach jazdy w pobliżu jakichś zabudowań. Nie świeciło się tu żadne światło. Być może okolica była opuszczona albo jej mieszkańcy po prostu spali.

– Jesteśmy na miejscu – oświadczył Pleban. – Wszystko jest gotowe, panie prezesie.

– Dobrze.

– Kupiłem też ten album, o który pan prosił – przypomniał sobie kierowca.

– Duni... Dunikowszcz...?

– Dunikowskiego – dokończył usłużnie Święcki. – Xawerego.

– *Danke* – bąknął gość, po czym zaczął gramolić się z tylnej kanapy.

Wysiedli. Cicho zamknęli za sobą drzwi. Podeszwy ich butów od razu trafiły na rozmiękły grunt, ale nie zważali na to. Maszerowali ku budynkom, a drogę oświetlał za pomocą mocnej latarki kroczący przodem Pleban. Miejsce, do którego się zbliżali, było opuszczone – i to od dłuższego czasu.

– To niedaleko – uspokajał gościa Pleban.

Wiatr, jakby przed chwilą dopiero przebudzony, rozkołysał drzewa w lesie, od którego ciemnej ściany dzieliło ich może pięćdziesiąt metrów.

– Chyba będzie burza – rzekł Józef Święcki, pociągając nosem.

– Tym lepiej. – Pleban pchnął bramkę, która ustąpiła bez najmniejszego zgrzytu.

Znaleźli się na terenie posesji. Okrążyli dom, by za chwilę zatrzymać się przed wysokim budynkiem o pobielonych ścianach, który dawniej pełnił rolę obory.

Przewodnik wyłączył latarkę, przekręcił niewielką, plastikową dźwigienkę na wewnętrznej ścianie. Zabłyśło światło, kilka zakurzonych lamp jarzeniowych, w wyniku czego oczom całej trójki ukazała się w całej okazałości leżąca na kilku połączonych paletach rzeźba kamiennego lwa.

– *Gut...* – mruknął znów człowiek nazwany kilka chwil wcześniej przez Plebana prezesem; widać było wyraźnie, jak wręcz napawa się tym widokiem. – *Sehr gut* – powtórzył raz jeszcze, po czym spojrzął na towarzyszących mu Polaków i nieznacznie skinął głową.

Zygmunt Pleban jakby tylko czekał na ten znak. Wskazał prezesowi odwrotny kierunek.

– Może być niebezpiecznie.

Wyszli znów na zewnątrz, nie zamykając jednak za sobą drzwi do końca. Święcki przywarł plecami do ściany, to samo uczynił gość. Pleban podniósł coś z ziemi, po chwili w rękach trzymał jakąś aparaturę, z której odchodziły dwa cienkie kable, widoczne tylko z bliska.

– Uwaga! – Spojrzął na pozostałych. – Trzy, dwa, jeden...

Powietrze rozdarł huk wybuchu. Zatrzęsła się ziemia. Z dachu zsunęło się kilka omszałych dachówek i runęło w dół. Niemal w tej samej sekundzie podobny grzmot, poprzedzony przez błysk, przetoczył się po niebie. W ten sposób natura przyszła z pomocą tajemniczym spiskowcom.

Gdy ponownie zajrzeli do obory, pył jeszcze opadał. Widać już jednak było wyraźnie, że w miejscu, gdzie jeszcze przed paroma chwilami stał,

a raczej leżał kamienny lew, znajduje się bezkształtna masa kamieni.

Jedynym elementem dawnej rzeźby, który oparł się niszczycielskiej sile niewielkiej w sumie ilości semteksu, była kula z oderwaną od reszty lwiego ciała łapą.

– Jest! – Prezes szybko zbliżył się do zniszczonej rzeźby w akompaniamencie pokasływań Polaków. – Miałem rację.

Pleban i Święcki, trąc oczy, spojrzeli w tym samym kierunku co ich gość.

– Kto by pomyślał – bąknął ten drugi.

Pomiędzy rozrzuconymi kawałkami kamienia leżała nienaruszona, lśniąca, trochę tylko przykurzona, metalowa tuleja.

XXXVII

Warszawa, dzień czwarty

Obudził go natarczywy, głośny dźwięk. Dźwięk, którego z początku nie potrafił rozpoznać. Działo się tak z co najmniej dwóch powodów. Po pierwsze rzadko ktoś odwiedzał go w wynajmowanym od czasu rozwodu, niewielkim mieszkaniu na Pradze. Czasem jehowi z dobrą nowiną, kiedy indziej ktoś z administracji osiedla albo kominiarz, niepodobny wcale do kominiarza. Po drugie problem był w ogóle z percepcją. Kilka godzin temu Tomasz Horn wrócił bowiem z miasta do domu i położył się spać w stanie upojenia alkoholowego.

Spał do rana kamiennym snem, nie budząc się ani razu – a to z jednego tylko powodu: nie miał najmniejszego zamiaru iść dzisiaj do pracy. Jako dziennikarz zawsze był solidny, do granic skrupulatny. Teraz, jako świeżo upieczony bezrobotny, wyrzucony na bruk śmieć, nie musiał. Miarka się przebrała. Znał swoją wartość.

Znów ktoś nacisnął dzwonek. Tym razem jego terkot był wyjątkowo irytujący. Z pewnością obudziłby umarłego, jak to mówią...

– Przypięli się, cholera! – Ze złością podniósł głowę z poduszki.

O dziwo, nie miał wcale wielkiego kaca. Tylko ból głowy, który można by było ocenić jako średni. Żołądek działał bez zarzutu. Ślinianki także.

Może nie będzie tak źle – pomyślał, by zaraz zastrzec, także w duchu, choć z nie mniejszą mocą: ale do roboty nie idę!

Wstał z łóżka. Od razu zakręciło mu się w głowie. Chyba jednak nie jest tak dobrze, jak się z początku wydawało. Lekkim skosem, w samych spodenkach i boso ruszył ku drzwiom, zbierając pod podszewami jakieś drobne śmieci, dawno bowiem nie odkurzał.

Był już przy drzwiach, gdy nieznany mu jeszcze natręt po drugiej stronie ponownie zadzwonił.

– Dobra, dobra! – zawołał, nieźle już poirytowany. – Już otwieram.

Odciągnął zdecydowanie zasuwę i szarpnął za klamkę, nie upewniwszy się przedtem przy pomocy judasza, kto stoi za drzwiami.

– Dzień dobry – usłyszał albo przynajmniej tak mu się zdawało; w tym samym momencie bowiem wyjątkowo hałaśliwie rozszczękał się pies sąsiada z naprzeciwka.

Nie poznał jej. Przynajmniej nie od razu, tak jak to miało miejsce przy poprzednim spotkaniu. Chwilę trwało też, zanim uświadomił sobie, w jakim jest stroju, a raczej że go na sobie prawie nie ma.

– Mogę wejść? – zapytała komisarz Joanna Klose.

I nie czekając na reakcję, przekroczyła próg kawalerki dziennikarza, zostawiwszy go w osłupieniu i chmurze mocnych przyjemnych perfum.

Kilka minut później Horn, ubrany już w wytarte, tu i ówdzie podziurawione džinsy i sprany podkoszulek, krzątał się w kącie przy łazience, noszącym przesadzoną dalece nazwę aneksu kuchennego. Wcześniej jednym ruchem, godnym byłego podchorążego WAT, sprzątnął z łóżka pościel i odtworzył okno. Czuł się nieco skrzepowany, ale musiał działać. Nie było rady.

Joanna na szczęście zdawała sobie sprawę, że zakłopotała gospodarza. Przez kilka chwil udawała zainteresowanie jego biblioteką. Udawała, a może rzeczywiście ją to zainteresowało, bowiem w pewnym momencie odezwała się:

– Widzę, że ma pan Goethego.

– Owszem – odpowiedział Horn z sąsiedniego pomieszczenia. – Ale tylko jedną pozycję.

– Mogę obejrzyć?

– Proszę.

Stęknął elektryczny czajnik, w którym zagotowała się woda. Horn nalał wrzątek do kubków, po chwili zaaplikował do kawy gęste mleko, a wszystko to robił na lodówce, która w jego bardzo skromnym gospodarstwie domowym pełniła funkcję kuchennego stołu.

Po chwili już niósł kubki do pokoju, gdzie na szczęście stół, stary, bo stary, ale był tylko stołem. Joanna siedziała na jednym z dwóch krzeseł i przeglądała *Cierpienia młodego Wertera*. Za istną barykadą ułożonych na parapecie książek, dla których nie starczyło miejsca na regale, widać było akurat autobus skręcający z ulicy Dąbrowszczaków na plac Hallera.

– Czemu mogę zawdzięczać pani nieoczekiwaną wizytę? – zapytał Horn z kurtuazją; pytanie to zadał, wciąż stojąc.

– Po pierwsze, jestem Joanna. – Wyciągnęła nad stołem rękę.

– Miło mi, Tomasz – bąknął pod nosem, ściskając wąską dłoń dziewczyny. – Chciałbym wiedzieć, jak mnie tu pani... Jak mnie tutaj właściwie znalazłaś?

Zamiast odpowiedzieć, powoli podniosła do ust kubek z kawą. Bacznie obserwował każdy jej ruch. Było jasne, że się z nim drażni. Nie wiedział tylko, w jakim celu. Powtórzył małpio jej gest, po czym odstawił kawę na niezbyt dokładnie wytarty blat.

– To nie było trudne – odparła wreszcie. – Tym bardziej że pracuję tam, gdzie pracuję. Poza tym chyba byłam ci coś dłużna, prawda?

– Nie ma o czym mówić.

– Chyba jednak jest. Słyszałam, że straciłeś robotę.

– Podali to w porannych wiadomościach?!

Joanna puściła to mimo uszu. A potem opowiedziała Hornowi o wszystkim, co zdarzyło się od chwili, gdy rozstali się na posterunku policji w Olsztynku, kilka godzin po odbiciu ich z rąk porywaczy, aż do momentu odebrania jej sprawy. Zamierzała grać w otwarte karty.

– Dowiedziałam się, że rok temu rozwiązałeś ciekawą sprawę. Średniowieczne zagadki, zaginione skarby i broń. Nawet szpiegowskie porachunki.

– Przesada.

– Nie! To naprawdę imponujące. Tylko pogratulować!

– Dziękuję. Ale ja jestem tylko dziennikarzem, nawet nie śledczym. – Horn pokręcił energicznie głową, a potem smętnie ją zwiesił. – A właściwie byłem nim...

– I dlatego chyba nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy teraz razem powęszyli.

– Powęszyli?

– Owszem. Biorę cię do spółki. Potraktuj to jako wakacyjną przygodę – rzekła Joanna i nie czekając na odpowiedź, sięgnęła do torebki, skąd wydobyła jakieś komputerowe wydruki. – Zapewne mówi ci coś nazwa Baum und Giese...

XXXVIII

Bruksela, dzień czwarty

Chwilę po tym, jak jeden z wiceprzewodniczących Parlamentu Europejskiego zarządził półgodzinną przerwę, w umiejscowionych na okręgu drzwiach sali utworzyły się istne korki.

Bogdan Sikorski nie widział jeszcze czegoś takiego, jak długo był posłem. Nie wiedział także, czym tłumaczyć nagłą potrzebę opuszczenia tego miejsca przez kilkuset obecnych na sali przedstawicieli zjednoczonych narodów. Część na pewno spieszyła się na papierosa, a część zadzwonić do białej żony lub czarnej kochanki (rzadziej odwrotnie, choć różnie bywało).

Wielu posłom z pewnością już kiszki marsza grały, bo to już powoli ten czas, albo jeszcze doskwierał kac po wczorajszym. Bruksela bowiem to miasto bardzo gościnne i brakiem rozrywek nie grzeszy, nawet najdziwniejszych.

Nie dalej bowiem jak wczoraj Sikorski podczas spaceru po Starówce trafił przypadkiem na boczną uliczkę, wzdłuż której wywieszono tęczowe flagi, a facet z facetem przechadzali się, trzymając za rękę. Sikorski nie miał nic przeciwko, miał się za w miarę postępowego polityka i człowieka. Jednak w głębi ducha cieszył się, że Polska pod pewnymi względami wciąż jest zaściankiem Europy. I nie on to będzie zmieniał, o nie!

– Lecisz na lunch? – zapytał go poseł Świdryga, chłop wielki, z wąsami jak u słonia morskiego, a ostatnie słowo powiedział dokładnie tak, jak się je

pisze.

– Nie. Jeszcze dla mnie za wcześnie – wymigał się Sikorski, który tak samo jak jeść z kolegą-posłem, nie chciał go też poprawiać.

Dopiero kiedy ostatni europosłowie opuszczali salę obrad, Bogdan Sikorski podniósł się ze swojego fotela, złapał za teczkę i niespiesznym krokiem ruszył ku wyjściu. Nie lubił tłoku, ale też nie spieszył się nigdzie.

Do godziny, na którą umówił się w mieście, zostało mu bowiem jeszcze sporo czasu. Mógł tam z powodzeniem dotrzeć na piechotę, taki też miał zamiar. Lubił Brukselę, nawet latem, ponieważ nie przytłaczała go jak inne europejskie stolicy, z Warszawą włącznie. Do tego pogoda była tego dnia jak marzenie: nie za gorąco ani nie za zimno.

– Cześć – rzucił do mijanego kolegi z partii, który nadrabiał właśnie zaległości, rozmawiając... przez dwa telefony komórkowe jednocześnie.

– Na razie – odpowiedział mimo wszystko tamten, z czego Sikorski wywnioskował, że kolega po przerwie najprawdopodobniej już się w sali obrad nie pojawi.

Echa niedawnych wydarzeń w Polsce, których bohaterem był polski eurodeputowany, dotarły do Komisji Europejskiej. Sikorski musiał złożyć wyjaśnienia, nie było jednak mowy o żadnych śledztwach czy stawianiu go przed komisją do spraw etyki.

Owszem, któryś matoł z przeciwnej partii już gardłował, że powinien złożyć mandat do czasu wyjaśnienia wszystkich okoliczności tamtego zdarzenia, jednak był w tym odosobniony. Wszyscy wiedzieli zresztą, że ów ostatni sprawiedliwy zadowoliliby się jedynie widokiem Sikorskiego dokonującego rytualnego samospalenia na Margareta Square.

Budujące było to, że Polacy wierzyli w całkowitą niewinność Sikorskiego. W końcu niewiele się zmieniło w jego pracy i życiu. Przynajmniej z zewnątrz.

Kilka chwil później Bogdan Sikorski opuścił gmach Parlamentu. Szedł jedną z szerokich alejek Parku Leopolda, okrążył oczko wodne. Mijał spacerujących po parku mieszkańców Brukseli, starszych i dzieci, które jeszcze nie wyjechały na wakacje bądź już z nich wróciły. Idylliczny spokój i bezpieczeństwo tego miejsca sprawiły, że prawie zachciało mu się płakać.

Przebiegł szeroką Steenweg op Etterbeek, minął centrum chirurgii, następnie hotel Sofitel. Z każdym krokiem czuł coraz wyraźniej, że bardzo przydałyby mu się dłuższe wakacje. Planował wyjazd z rodziną, ale to dopiero za miesiąc. Póki co musiało mu wystarczyć Jezioro Krzywe i stojący na jego łagodnym brzegu dom, choć i te plany musiały jeszcze poczekać dwa dni.

Sikorski skręcił w Hoornstraat. Od celu dzieliło go niespełna pięćdziesiąt metrów. Przełożył teczkę z prawej ręki do lewej, a spoconą od kontaktu z uchwytem dłoń wytarł o spodnie. Wreszcie ujrzał wiszący nad chodnikiem, lekko kołyszący się na wietrze, znajomy szyld.

Dwa kroki po schodkach, pchnięcie drzwi, ożywczy chłód klimatyzacji.

– *Good morning* – rzucił od progu, zdejmując przeciwsłoneczne okulary.

Siedzący za wysokim kontuarem Włoch imieniem Antonio, manager, przywitał go kiwnięciem ręki. Pizzeria *Ti Amo* była jego ulubioną jadłodajnią – tak za sprawą serwowanych tutaj dań, jak i panującej rodzinnej atmosfery.

– *Frutti di mare, please.* – Złożył szybkie zamówienie, po czym skierował się do swojego ulubionego stolika stojącego w płytkiej wnęce.

Było stąd widać dość dobrze zarówno większą część pizzerii, jak i spory fragment ulicy. Sikorski zajął miejsce, postawił teczkę na jednym z pozostałych wolnych krzesełek. Zapachy wydobywające się z kuchni sprawiły, że czuł się coraz bardziej głodny.

Mimo to jego myśli popłynęły gdzieś daleko.

Nie wiedział, jak długo pozostawał w tym dość niecodziennym jak dla siebie, człowieka aktywnego i praktycznego, stanie. Grunt, że dał się zaskoczyć. Człowiek, z którym był umówiony, niemal go przestraszył. Na szczęście tym razem był to przyjaciel.

– Zamówiłem pizzę z owocami morza, polecam – rzekł na powitanie, podnosząc nieco nieobecne spojrzenie na mężczyznę stojącego przy stole.

– Wypiję tylko kawę – odparł przybysz.

– Zdajesz sobie sprawę, że zabrzmiało to trochę jak jakieś szpiegowskie hasło? – zaśmiał się Sikorski.

– Kto wie. Może w końcu przeszedłem na ciemną stronę mocy! Rosjanie i Chińczycy to bardzo mili ludzie...

Uścisnęli sobie dłonie. Major Marcin Wójcik, od niedawna oficer łącznikowy w głównej kwaterze NATO, zajął miejsce naprzeciwko.

– Mam niewiele czasu – zastrzegł. – Ciągłe odprawy, szkolenia. Jakby na coś się zanosilo.

– Rozumiem. Też mam przerwę w obradach.

– W takim razie do rzeczy.

– Poprosiłem cię o spotkanie, ponieważ chciałbym się czegoś dowiedzieć o pewnego rodzaju broni. Mam nadzieję, że będziesz w stanie mi pomóc.

XXXIX

Warszawa, dzień czwarty

– Mało kto w Polsce wie – ciągnęła Joanna Kloze – że kilka lat temu firma Baum und Giese była w Niemczech bohaterką skandalu.

– Praca za seks? – strzelił Horn z półuśmiechem.

– Nie. Prócz produkcji materiałów budowlanych firma ta zajmowała się także rozprawdaniem, głównie wśród byłych mieszkańców Prus Wschodnich, kamieni pochodzących rzekomo z mauzoleum Hindenburga pod Olsztynkiem.

– Co?!

– Tak, tak. Pamiątki te cieszyły się z początku dość dużym zainteresowaniem, które miejscami dorównywało nawet resztkom muru berlińskiego. Niestety, wkrótce ktoś zakwestionował ich autentyczność, a wokół sprawy zaczął się szum i zaprzestano tej działalności.

– Rzeczywiście oszukiwali ludzi?

– Tego nie wiem. Wiadomo za to, że Baum und Giese bardzo interesowali się wszystkim, co dotyczyło dawnego pomnika, który co prawda został wysadzony w powietrze w styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, ale jego ruiny stały jeszcze przez następne cztery lata. Gdy upadł w Polsce poprzedni system, na fali powszechnego niszczenia wszelkich znaków sowieckiej obecności w tym kraju,

frankfurcka firma zaczęła się interesować nawet kupnem niektórych pomników...

– Na przykład pomnika w Olsztynie!

– Zgadza się, ale nie tylko.

To powiedziawszy, Joanna wydobyła z torebki notebooka, uruchomiła go i połączyła się z internetem. Po chwili na ekranie pojawiło się zdjęcie monumentalnych wież otoczonych murem.

– Z tego, co wiemy – ciągnęła – kamienie z mauzoleum, głównie granit, posłużyły jako budulec nie tylko wspomnianego przez ciebie pomnika, ale też paru innych. Choćby pomnika partyzanta.

– Poznają! – Horn ucieszył się jak dziecko. – Ten pomnik stoi w Warszawie, na skwerze między Smolną a rondem de Gaulle’a, naprzeciwko siedziby byłego komitetu centralnego partii.

– Owszem. Tylko że to tylko jeden mały fragment. Mały w porównaniu z niegdysiejszą wielkością Tannenbergs-Denkmal, dumy narodu niemieckiego. Wspomniałeś o domu partii.

– No?

– Pewnie wiesz, że wiele jego części również po wojnie przywieziono do Warszawy spod Olsztynka.

– Ale chyba Baum und Giese nie chciała kupić gmachu KC...?

– Nie. Ale kilka lat temu, gdy gmach był gruntownie remontowany, przetarg na niektóre prace wygrała niemiecka firma XCE, będąca niczym innym jak firmą-córką Baum und Giese. Podczas takiego remontu mogli nie tylko dokładnie przyjrzeć się każdemu kamykowi, ale też zastąpić je wszystkie innymi. Oczywiście wszystko to teoria. Pewnie nie wiesz, że nie zachowały się żadne plany byłego KC.

– Tak, wiem. Zostały zniszczone, na wszelki wypadek. – Horn odstawił na stół kubek.

– Na te fakty, z pozoru tylko niewiele znaczące, zupełnie nowe światło, w mojej ocenie, rzuca kradzież sprzed olsztyneckiego ratusza rzeźby lwa. A także morderstwa domniemanych sprawców tej kradzieży.

– Morderstwa?

– Niestety, dzisiaj rano w lesie w pobliżu wsi Swaderki znaleziono zwłoki trzech mężczyzn. Wciąż poszukiwana jest ciężarówka, która być może została zatopiona. Nie mielibyśmy o tym wszystkim bladego pojęcia, gdyby nie czwarty sprawca kradzieży. Niestety, wczoraj został dobity w szpitalu w Olsztynie. Na szczęście wcześniej zdążył coś opowiedzieć policji.

Horn przez dłuższą chwilę milczał, próbując zebrać myśli.

– Jaki to wszystko ma związek z twoją sprawą? – zapytał wreszcie.

– Wszyscy mnie o to pytają. – Klośe zrobiła tajemniczą minę. – Przyznaję, że z początku poruszałam się trochę po omacku. Byłam w stanie chwycić się wszystkiego, żeby pchnąć choć trochę do przodu nasze śledztwo. Potem, gdy przy zamku w Malborku został zastrzelony Klaus Miehle, zajrzałam jeszcze raz do wszystkich zgromadzonych w tej sprawie dokumentów. I wtedy okazało się, że zarówno Miehle, jak i zabity wcześniej Frank Prochnow pracowali kiedyś w firmie Baum und Giese... Prochnow w chwili śmierci miał przy sobie nawet zapalniczkę-reklamówkę.

Horn wstał, sięgnął do leżących w kącie pokoju spodni, by z kieszeni wyjąć rzecz, o której mówili.

– W końcu ci je oddam.

Joanna Klośe przez chwilę milczała, obracając zapalniczkę w palcach. Horn znów zaczął chodzić po pokoju.

– O co może w takim razie w tym wszystkim chodzić? – zastanawiał się głośno. – No bo chyba nie o handel kamieniami. To przecież tylko zwykły granit.

– Tego właśnie chciałabym się dowiedzieć – westchnęła dziewczyna. – Dlatego, tak jak mówiłam, proponuję ci spółkę. W ramach jej działania możesz od czasu do czasu... zaprosić mnie na pizzę. Ja natomiast biorę na siebie sprawę transportu.

– Transportu? Jakiego transportu? – zdziwił się Horn lub tylko udał zdziwionego. – Wybieramy się dokądś? Kiedy?

– Nie dowiemy się niczego, siedząc w sieci. A odpowiedź na drugie pytanie brzmi: teraz!

Joanna ponownie wyciągnęła nad stołem rękę do uściśnięcia.

– To jak będzie, panie redaktorze? Umowa stoi?

– Już nim nie jestem – powtórzył ze smutkiem Horn, ale tym razem nie opuścił głowy.

Wzrok policjantki znów spoczął na egzemplarzu *Cierpień młodego Wertera* Goethego.

– Mogę pożyczyć na czas podróży? – zapytała. – Nie znam jeszcze tego przekładu.

XL

Bruksela, dzień czwarty

Niespełna godzinę później Sikorski szedł znów przez park Leopolda. W jego głowie kotłowały się myśli. Nie zauważał już idących alejkami staruszków i dzieci, które wcześniej go wzruszały. W myślach powtarzał niczym mantrę słowa wypowiedziane przez człowieka, o którym słyszał, że podczas wielu akcji na całym świecie, zanim został urzędnikiem w centrali paktu, nie zwykł brać jeńców.

– Bogdan?

Drgnął na dźwięk swojego imienia, ale nie od razu się zatrzymał. Głos był kobiecy, miły. Czy znajomy? Tego nie był w stanie jeszcze ocenić...

– Bogdan! – Ktoś, kto go wołał, był już pewien, że to on.

Od strony kawiarnianego ogródka szła w jego kierunku dziewczyna w białej sukience z głębokim dekoltem. Miała długie, bardzo ciemne włosy i ciemną karnację. Poznał ją dopiero w chwili, gdy zdjęła okulary przeciwsłoneczne. Pamiętał osobę, ale nie mógł sobie przypomnieć imienia.

– Dzień dobry – przywitał się asekuracyjnie.

– Cześć – rzuciła wesoło. – Co dobrego? Nie odzywasz się, nie dzwonicz.

Nagły, zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Wszystko przypomniał sobie w ciągu jednej sekundy. Jedna z pierwszych popijaw w gronie

kolegów z klubu, głównie Niemców i Anglików. Z hotelu poszli w miasto. Na Starówce znaleźli jakiś lokal. Nie wiadomo kiedy znalazły się przy nich panienki. Obudził się następnego dnia rano u boku jednej z nich.

Nie wiedział, jak trafili jego koledzy, ale jemu los podsunął rodaczkę. Miała na imię Iwona i pracowała w jednej z firm konsultingowych w Brukseli. Nie wiedział wtedy, czy ona wie, kim jest. I nie dowiedział się, bo choć wymienili się numerami komórek, żadne z nich nie zadzwoniło. Nie widzieli się też osobiście. Aż do dzisiaj.

– Co u ciebie? – zapytała. – Może usiądziesz ze mną? – Wskazała na stolik.

Zakręciło mu się w głowie. Zaczął coś bełkotać, pokazywać na zegarek, uśmiechając się przepraszająco. Odwrócił się. Nie mógł znieść widoku jej twarzy. Swojej pewnie też, gdyby w tej chwili ktoś podstawił mu lustro. Czuł się winny. Bał się kary.

Ocknął się dopiero przed głównym wejściem do siedziby Europarlamentu. Pokonał drzwi, zbliżał się do bramek wykrywających metal. Już chciał wyciągnąć telefon komórkowy i pęk kluczy, bo tylko pozbycie się tych rzeczy gwarantowało spokojne przejście przez bramki, gdy jedna z pracownic ochrony wyciągnęła w jego kierunku dużą kopertę.

– To nadeszło kurierem, kwadrans temu, panie pośle – powiedziała.

– Dziękuję. – Sikorski odebrał przesyłkę, przeszedł kilka kroków, aby nie tarasować przejścia, bowiem w stronę elektronicznych bramek zbliżała się duża i jak zwykle rozgadana i rozgestykulowana grupa Włochów.

Rozerwał kopertę jednym zdecydowanym pociągnięciem.

Co to może być? – zastanawiał się. Może jakieś zaproszenie gdzieś na wieczór? Chętnie by wyskoczył do jakiegoś klubu. Tylko już nie

z Angolami...

Przesyłka nie była gruba i w istocie mogła kryć zawiadomienie o raucie, na przykład w którejś z ambasad; Sikorski często je otrzymywał.

Dostał się do środka, palce prawej dłoni chwyciły za plik kartek. W tej samej sekundzie uśmiech zniknął z jego twarzy, a wargi ułożyły się w słowa, które jako jedyne mogły przyjść mu w tej chwili do głowy:

– O, kurwa.

Trzymająca przesyłkę ręka bezwładnie zwisła wzdłuż tułowia. Właśnie go ukarano.

W tym samym momencie z koperty wysliznął się jeszcze jeden, niewielki przedmiot i upadł na starannie sprzątniętą posadzkę. Była to karta SIM telefonu komórkowego.

XLI

Olsztyn, dzień czwarty

Gdy niespełna dwie godziny temu wyszli przed kamienicę na Pradze, w której wynajmował mieszkanie Horn, i wsiedli do zaparkowanego w zatoczce citroena, dziennikarz był przekonany, że zaraz ruszą nim ku północnym rogatom miasta. I z początku tak było. Jednak z mostu Grota komisarz Kloze nie skręciła, jak powinna, w Wisłostradę, ale pojechała prosto. Nie pytał o nic, dopóki nie zorientował się, że kierują się nie gdzie indziej, tylko na lotnisko na Bemowie.

Słowa policjantki „biorę na siebie sprawę transportu” były jak najbardziej prawdziwe. Horn jednak w najśmielszych snach nie spodziewałby się, że to transport tego rodzaju. Po prostu: trochę bał się latać. Nigdy też jeszcze nie leciał awionetką, a właśnie czymś takim, niewielką wynajętą cesną, mieli odbyć lot z Warszawy do Olsztyna.

Nie dał po sobie poznać, że się boi. Ale nie był też zbyt rozmowny. Wsiadł do samolotu, zajął miejsce, zapiął pasy. Uspokoił się nieco dopiero w chwili, gdy byli już wysoko, a stało się tak między innymi za sprawą widoków, które rozciągały się pod nimi.

W ciągu kilkudziesięciu minut dotarli na miejsce i wylądowali na lotnisku w Dajtkach. Tam już czekał na nich kolejny samochód, terenowe volvo. Wszystko działało jak w zegarku.

Tylko pozazdrościć takiej pracy – pomyślał z uznaniem, choć z głośnymi pochwałami wolał się jeszcze wstrzymać.

Kiedy dojechali do centrum, zaproponował kawę na Starówce, na co Joanna przystała z ochotą. Nigdzie się przecież specjalnie nie spieszyli. Oboje wyglądali jak turyści, nawet ci z zagranicy, odkrywający uroki Krainy Tysiąca Jezior i tanich zakupów. Tym sposobem z jednego punktu programu zrobiły się dwa.

Pokrzepiwszy się kawą i ciastkiem, zmierzali teraz do punktu drugiego.

– Często bywasz w Opolu? – zagadnął Horn, gdy czekali na zmianę świateł na przejściu dla pieszych w pobliżu Wysokiej Bramy.

– Rzadko – odpowiedziała Joanna. – Ostatni raz byłam tam chyba ze dwa lata temu, na Boże Narodzenie. Prawdę mówiąc, nie ma za bardzo do czego i do kogo wracać. Wszyscy wyjechali. Jak nie do Niemiec, to do Warszawy lub na Wyspy. A ty skąd jesteś?

– Stąd.

Nad jezdnią zabłysło wreszcie zielone światło i mogli ruszyć dalej. Gdy mijali ratusz, dzwony zegarowe obwieściły drugą po południu.

Kilka chwil później szli aleją Piłsudskiego, wzdłuż centrum handlowego z jednej strony i więziennego muru, ciągnącego się z drugiej. To właśnie przy tej ulicy wybudowano pomnik ku czci Armii Czerwonej, która w styczniu 1945 roku wyzwoliła miasto spod niemieckiej dominacji, przy okazji obracając je w perzynę.

– Jestem ciekaw, czy Xawery Dunikowski, gdyby żył, byłby dziś dumny ze swojego dzieła. Jak myślisz? – zapytał Horn, gdy stali już na parkingu, który urządzono w miejscu, gdzie przed laty nabierały rozpędu delegacje składające kwiaty pod pomnikiem.

Joanna nie odpowiedziała mu na pytanie. Usiadła na ławeczce, w spokoju wyciągnęła z pokrowca laptop. Po chwili Horn, który zajął

miejsce obok, ujrzał pomnik na ekranie.

– Nie lepiej oglądać na żywo? – zapytał.

– Chciałam po prostu znaleźć w sieci cokolwiek na ten temat – odpowiedziała.

– To chyba nie będzie konieczne – dobiegło nagle zza ich pleców.

Odwrócili się. Niespiesznym krokiem zmierzał ku nim mężczyzna w średnim wieku, ubrany w lniany garnitur.

– O, dobrze, że już jesteś! – zawołał Horn, podnosząc się z ławki. – Pozwól, Joanno, że ci przedstawię. Wieńczysław Żarek, historyk sztuki. Joanna Kloś, komisarz niemieckiej policji.

– Z tych Kloś? – chciał wiedzieć przybysz.

– Oczywiście, że z tych! – przytaknęła wesoło.

– Bardzo mi miło. – Żarek na chwilę zdjął ciemne okulary, ukazując parę niebieskich i niezwykle łagodnych oczu.

– Zaprosiłem Wieńczysława, żeby nam opowiedział o tym szczególnym dziele sztuki. – Horn zrobił ruch głową w kierunku „Szubienic”. – A także o samym Dunikowskim.

Usiedli całą trójką na ławeczce. Kloś zamknęła komputer. Za chwilę okazało się też, że nadal zamierza wodzić prym.

– A zatem Xawery Dunikowski, o którym wspomniałeś – relacjonowała z zapałem, który najprawdopodobniej miał łączyć ewentualne ubytki w wiedzy fachowej – był znanym rzeźbiarzem, autorem *Macierzyństwa*, *Tchnienia* czy cyklów *Kobiety brzemiennie* i *Głowy wawelskie*.

– Jednocześnie jak na artystę był dość gwałtowny, delikatnie mówiąc – wszedł jej w słowo Wieńczysław Żarek. – Po studiach w Krakowie wyjechał do Warszawy, gdzie objął posadę profesora rzeźby w Szkole Sztuk Plastycznych. W tysiąc dziewięćset piątym roku podczas kłótni z pewnym malarzem, Wacławem Pawliszakiem, sięgnął po broń i zastrzelił

go. Został aresztowany przez władze carskie, ale zwolniono go po wpłaceniu wysokiej kaucji. Jakiś czas potem wyjechał do Francji, gdzie przez rok służył w Legii Cudzoziemskiej. Ilu tam zabił ludzi, tego nie wiemy. Nawet po latach, osadzony w Oświęcimiu, brał udział w zorganizowanym tam przez rotmistrza Pileckiego ruchu oporu.

– Wieńczysław lubi takie szczegóły, wręcz kocha – wtrącił półgębkiem Horn, historyk sztuki zaś rozkręcał się coraz bardziej.

– W tym jednak przypadku – Żarek uczynił ruch głową w stronę kamiennych pylonów, ustawionych na potężnych bryłach, których ściany pomazane były farbą – Dunikowski był jedynie autorem projektu. W rzeczywistości pomnik został wykonany w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym roku przez rzeźbiarzy z Krakowa: Siekluckiego, Kostrzewę i Koniuszego, którym pomagali warszawscy kamieniarze. Głównym elementem pomnika jest postać rosyjskiego żołnierza, którego wyróżnia charakterystyczna zimowa czapka-uszatka z gwiazdą.

– Nie wiadomo jednak za bardzo, co trzyma w ręku. Chyba jednak jest to jakieś narzędzie rolnicze, bo z pewnością nie karabin – zaśmiał się Horn.

– Na blokach, z których złożono wieże, zostały wykute płaskorzeźby. Mamy tu czołg, co zrozumiałe, bo Warmię i Mazury wyzwalały armie pancerne. Do tego coś, co przypomina działa czy elementy okrętów. Co najdziwniejsze, są tu też stada krów i owiec.

– No i wreszcie najważniejsze. – Milcząca dotąd Joanna przesunęła kursorem na ekranie komputera, który w międzyczasie znów otworzyła. –

Wszystkie te elementy pochodzą z mauzoleum marszałka Paula von Hindenburga pod Olsztynkiem. Także płyty, którymi wyłożono plac, a które teraz częściowo zostały zastąpione przez kostkę brukową.

– Wszystko się zgadza – potwierdził z powagą Żarek.

– Ciekawe, co się z nimi stało – zastanawiał się głośno Horn.

– Myślisz o tym, czy firmie z Frankfurtu nad Menem udało się je w końcu kupić? – przyszła mu w sukurs Joanna.

Horn w kilku zdaniach opowiedział znajomemu o wszystkim, o czym rano rozmawiali z policjantką. I, tak jak się spodziewali, Żarek, usłyszawszy historię firmy Baum und Giese, wyartykułował głośno to, o czym każde z nich z osobna myślało:

– Ale po co im te kamienie? Chyba nie chcą zbudować nowego mauzoleum? Gdyby tak było, musieliby przeszukać co najmniej z pół województwa.

– I nad tym się właśnie zastanawiamy – przyznała Joanna.

Nagle rozległ się dziwny dźwięk. Był to rumor przesuwanego ciężkiego bloku skalnego. Doszedł od strony pomnika, dokładnie pylonu stojącego bliżej gmachu sejmiku województwa.

Krótką obserwacją tego rejonu wystarczyła, by namierzyć sprawców hałasu. Czy także sprawców czegoś więcej?

Kilka chwil później rozległ się huk, jakby potężny blok upadł z wysokości na równie twardą powierzchnię.

– Myślisz o tym samym co ja?! – Horn spojrzał na Joannę.

Ale ona, zamiast odpowiedzieć, zerwała się z ławki.

– Dzięki za pomoc! – rzucił przez ramię do Żarka, po czym ruszył w ślad za policjantką.

W kilka sekund był przy pomniku. Kiedy wdrapał się po schodach na górę i obszedł wieżę, ujrzał dokładnie to, czego się spodziewał: oderwaną od reszty cokołu, ciężką płytę z płaskorzeźbą przedstawiającą czołg.

Czyżby chciano ją ukraść tak jak lwa z Olsztyńka? – pomyślał.

Spojrzał w dół: dwóch młodych, ubranych na czarno mężczyzn, prawdopodobnie sprawców dewastacji, przebiegało właśnie przez ulicę. Ścigająca ich Joanna, która najwyraźniej nie miała zamiaru żartować,

zatrzymała się na krawędzi jezdni, aby przepuścić jadący po niej samochód, po czym w trzech susach znalazła się po drugiej stronie.

Ale złodzieje zniknęli już w gąszczu drzew i zarośli, które porastały dolinę płynącej meandrami Łyny. Był to znajdujący się w centrum miasta dziki obszar, gdzie biesiadowali pijaczkowie i wagarowali uczniowie. Tak przynajmniej z dawnych czasów pamiętał teren ów Horn. Po sekundzie nie było widać także i policjantki.

To ostatecznie kazało mu ruszyć jej śladem.

Przeskoczył ulicę, umknąwszy w ostatniej chwili spod kół rozpędzonej furgonetki. Nie zważając na trąbienie i przekleństwa dobiegające z szoferki, runął w zarośla. Pamiętał dobrze – ścieżka wybrukowana tłuczonym szkłem, resztkami cegieł i gruzu, prowadziła stromo w dół, więc trzeba było zachować ostrożność.

Horn pokonywał kolejne metry krętej dróżki, przez cały czas starając się zobaczyć przed sobą Joannę. Kilka sekund później na tle miarowego pomruku miasta jego uszu dobiegło głośne, wyraźne i skądś znajome, choć wykrzyczane kobiecym głosem:

– *Halt!* Stój!

Biegł coraz szybciej, dzieląc uwagę między dramat, który miał miejsce przed nim, a przeszkody na nawierzchni, których przeoczenie mogło się skończyć dla niego nieprzyjemnie. Właśnie dał susa przez biegnący na ukos przez ścieżkę gruby korzeń drzewa. Jednocześnie jego nozdrza pochwyliły zapach rzeki.

Wołanie Joanny już się nie powtórzyło. Jedyne, co słyszał Horn, to jego własny, nierówny oddech i coraz szybsze bicie serca.

Dokładnie przed sobą miał ścianę zarośli, przez którą prześwitywała otwarta przestrzeń.

Horn zatrzymał się wcześniej, niż planował, usłyszał bowiem kolejny krzyk:

– Na ziemię, kurwa! I leżeć! Jak się ruszysz, zajebię! – Głos był męski.

Mają ją! – to była jedyna interpretacja tego, co usłyszał.

Co teraz zrobić?! Nie miał nawet porządnego kija, żeby móc próbować bronić się samemu, a co dopiero ruszyć z pomocą komuś...

Horn zrobił krok do przodu, by mimo wszystko ocenić poziom beznadziei sytuacji, w jakiej znalazła się dziewczyna. Ledwo to zrobił, kiedy zza krzaków doszedł mocny głos Joanny:

– Teraz sobie pogadamy! Kto i po co kazał wam ukraść płytę z pomnika?!

Kiedy Horn jednym ruchem ramion rozsunał kotarę z liści osiki, ujrzał niecodzienny obrazek: na trawie na brzegu rzeki leżało twarzami do ziemi dwóch złodziei w czarnych spodniach i czarnych podkoszulkach. Nad nimi stała Joanna, cała i zdrowa. Męski głos należał do stojącego obok niej człowieka.

– Cześć, Horn – rzucił Lech Nejman, były komandos GROM-u, nie przestając mierzyć z pistoletu w głowę jednego z leżących.

XLII

Olsztyn, dzień czwarty

– Pamiętasz, jak w osiemdziesiątym czwartym robiliśmy tego księdza z Gietrzwałdu? – zapytał Józef Święcki.

– Którego? – Zygmunt Pleban spojrzał z ukosa na kompana.

– No, tego łysego, starego!

– Ale z Gietrzwałdu czy Gierzwałdu?

– Tego z sanktuarium! Choć taki stary to on jeszcze nie był, skoro dał się złapać na numer z panienką czekającą na niego w Novotelu. Kaziu, przyjeżdżaj, już nie mogę bez ciebie! Już dochodzę, oj, Kaziu! –

Mężczyzna całkiem udanie i zabawnie naśladował damski głos, a potem wydał z siebie, choć już z odrobinę mniejszym sukcesem, dźwięk, który miał imitować spazmy kochanków na tajemnej hotelowej schadzce.

– Tak, teraz sobie przypominam tego gagatka – mruknął pod nosem Pleban. – Ale przyznasz, że miał klecha siłę.

– A miał.

– Chyba ze sześć godzin żeśmy wtedy siedzieli pod tym hotelem, i to jeszcze późną jesienią. Od jeziora piździło, że hej! Czekaliśmy tylko, aż śnieg jaki zacznie padać...

– Ale jednak to były czasy, co? – rozmarzył się Józef Święcki.

Szli w stronę wejścia do hotelu stojącego na południowym brzegu jeziora Ukiel. Właśnie to miejsce wybrał bowiem na nocleg człowiek, który wczoraj w nocy wysiadł z awionetki na lotnisku w Gryźlinach. Może zrobił to przez sentyment, bo niegdyś to tutaj zatrzymywali się turyści z RFN, a może z zupełnie innych powodów – tego Zygmunt Pleban i Józef Święcki nie wiedzieli. I nie chcieli nawet pytać.

Właściwie to bali się pytać o cokolwiek.

W chwili gdy okazało się, że ukryta w brzuchu kamiennego lwa – dzięki czemu rzeźba była dużo lżejsza niż mówiono – metalowa tuleja jest pusta, Niemiec wpadł w szal. Gdyby miał pod ręką broń, z pewnością zrobiłby z niej użytek. Inna rzecz, że Pleban i Święcki, mimo swoich lat, pewnie byliby szybsi. Niemniej wciąż łączył ich z tym człowiekiem układ, także finansowy.

Wierzyli, że na spotkaniu, które przybysz wyznaczył na drugą po południu, uda się wyjaśnić wiele spraw. Włącznie z tą najważniejszą: po jaką cholere mu właściwie ten lew pierdolony i co takiego miało być ukryte w metalowej tulei?

– Masz „klamkę”? – chciał się upewnić Święcki, gdy wchodzili do hotelu.

– A ty masz jaja? – Plebanowi z trudem udało się zapanować nad wybuchem złości; na szczęście znał Józefa kilkadziesiąt lat i wiedział, że ten czasami zadaje dziecinne pytania.

W milczeniu minęli portiernię i niezatrzymywani przez nikogo weszli na schody.

– A ty wiesz, Pleban, że tu niedaleko, na lotnisku w Dajtkach, lądował kilka razy samolot z samym Hitlerem na pokładzie?

Mężczyzna tylko wzniosł oczu ku niebu, a raczej sufitowi. Kiedy to się wszystko skończy?! – zapytał sam siebie w myślach, na głos zaś warknął:

- Nie zaczynaj, kurwa, znowu z tymi pojebanymi hitlerowcami!
 - Jak chcesz – obraził się tradycyjnie Święcki.
 - Może ty powinienes zostać lotnikiem, wiesz? Zastanawiałeś się kiedykolwiek nad tym, co? Kiedy pan psycholog cię badał w ósmej klasie, sprawdzał miarką długość fiutka...
 - Idź, bo jak cię...
 - Ale pamiętasz chyba ósmą klasę? Te trzy najbardziej fascynujące lata swojego życia?
 - Spierdalaj!
 - A nie powiedziałaś mi jeszcze, Święcki, dlaczego spóźniłeś się dzisiaj na spotkanie. Prawie kwadrans na ciebie czekać musiałem.
 - Ja się nie pytam o twoje sprawy zawodowe, więc ty nie wypytuj mnie. Miałem po prostu inną robotę, równie ważną. Dlatego się spóźniłem.
 - Usłyszę magiczne słowo?
 - Spierdalaj!
- Tak oto sobie mile gawędząc, wspięli się na najwyższe piętro, przeszli długim korytarzem i stanęli przed drzwiami hotelowego pokoju.

XLIII

Olsztyn, dzień czwarty

Mimo że przez korony drzew było widać wszystkie najważniejsze wieże, ratusz czy katedrę, a idąc szybkim krokiem, w centralnym punkcie miasta byłoby się po pięciu minutach – dolina Łyny stanowiła enklawę dzikiej przyrody. Może gdzie indziej w takim miejscu już od pół wieku ludzie cieszyliby się z parkowych alejek, ławeczek i placów zabaw dla dzieci, ale nie tu.

Dlatego póki co można było w spokoju, nie narażając się na uwagi przechodniów czy ich fizyczną reakcję, przystąpić do... wstępnego przesłuchania złodziei.

Ale zanim do tego doszło, Tomasz Horn musiał wiedzieć, jakim to sposobem jego znajomy znalazł się w tym miejscu i czasie, potrzebny, jeżeli nie niezbędny.

– Po prostu przechodziłem tędy – lakonicznie odpowiedział na pytanie Lech Nejman.

Tego Horn się, oczywiście, spodziewał. Pozostało im w takim razie zająć się tym, co niechcący zaczęli. Przed tym nie było ucieczki.

Pojmani mężczyźni wyglądali na jakieś dwadzieścia, dwadzieścia kilka lat. Zwracała uwagę ich ciemna karnacja i kruczoczarne włosy. Czyżby byli Cyganami? A może pochodzili z Bałkanów? Niewykluczona też była sytuacja, że jedno i drugie.

– Nazwiska! – krzyknęła Joanna w stronę leżących.

Cisza. Słyszeć było tylko bzyczenie owadów.

– Gadaj, kurwa! – huknął Lech, pomagając sobie czubkiem buta, którym trafił, na razie lekko, w bok jednego ze złodziei; na nim zresztą postanowił się skupić. – Imię, nazwisko i nazwisko tego, który cię przysłał! Rozumiesz?

– *Ja niczewo ni panimaju* – jęknął chłopak. Joanna, Horn i Nejman spojrzeli po sobie.

– Skąd jesteście? – zapytał ten ostatni. – *Kakaja strana?!*

– *Rossija* – odpowiedział cicho drugi z leżących.

Po czym obaj... zaczęli płakać.

Lech pochylił się nad jednym z leżących i zaczął go powtórnie przeszukiwać. Tym razem dokładniej i już nie w poszukiwaniu broni.

Po chwili trzymał w ręku paszport z dwugłowym orłem. Przeczytał na głos imię i nazwisko, nie zapominając o ot'czestwie. Leżący poruszył potakująco głową, pociągając nosem.

– Można ich podnieść z ziemi – rzekł Nejman.

– Nie rozumiem. – Joanna zamarszczyła brwi.

Najwyraźniej chciała zaproponować, ale Lech Nejman podał jej paszport chłopaka, który z kolei po chwili policjantka przekazała Hornowi. Ten spojrział na blade zdjęcie Rosjanina. Oleg, bo tak miał na imię, był ledwo osiemnastoletnim licealistą z Moskwy. Wiza wbita została przed trzema dniami w Terespolu, wszystko było więc zgodne z prawem. Nie mógł być bandytą. Kim zatem był on i jego leżący obok druh, rok młodszy Nikołaj?

Łamaną, przesyconą rusycyzmami, ale zrozumiałą polszczyzną Oleg i Nikołaj opowiedzieli, że są w Polsce na wakacyjnej wyprawie. Jako pasjonaci historii, wytyczyli sobie trasę szlakiem bojowym II Frontu Białoruskiego z ostatniej wojny, a właśnie jeden z jego korpusów zajął

Olsztyn zimą 1945 roku. Szlak ów wytyczały najlepiej wciąż istniejące w Polsce, choć w różnym stanie pozostające, radzieckie pomniki i cmentarze.

Nie chcieli wcale ukraść tablicy z pomnika, bo przecież taki blok musi ważyć z kilkaset kilogramów. No i jeszcze w biały dzień? Podważona lekko znalezionym gdzieś metalowym prętem, sama odpadła. Akurat tak się złożyło, że zostali na tym nakryci.

– Myślę, że nie mamy powodu, aby nie wierzyć tym gnojkom – wyrokował Horn, gdy we trójkę zastanawiali się na stronie nad najbliższą przyszłością młodych Rosjan.

Ze zdaniem tym zgodził się także Lech. Tylko Joanna Kloś przez cały czas w milczeniu kręciła głową. Zapytana o to przez Horna, odpowiedziała po dłuższej chwili:

– Tak, jasne. Puśćmy ich... – Wydawała się nieco rozkojarzona; zaraz jednak dodała, zupełnie innym tonem: – Zastanawiam się po prostu, co mamy robić dalej.

– I?

– I chyba coś już mam.

Zafrapowała tym Horna. Już miał zamiar zacząć ciągnąć współpracowniczkę za język, gdy odezwała się jego komórka. Wyciągnął aparat z kieszeni, spojrzął na wyświetlacz i uśmiechnął się:

– Wszyscy dziś ode mnie czegoś chcą – rzekł z udawaną pretensją. – Szkoda tylko, że nie ma z tego żadnych pieniędzy. Powinienem zmienić nazwisko na Judym – zaśmiał się, po czym odebrał połączenie: – Słucham cię, Bogdanie!

XLIV

Olsztyn, dzień czwarty

– *Ja?*

Mężczyzna z niechęcią oderwał wzrok od jeziora, którego tafłę obserwował od kilku minut przez okno pokoju. Właśnie na Zatoce Miłej pojawiły się dwa trójkątne żagle: biały i niebieski, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Jakoś zawsze potrafił odróżnić pukanie męskie od kobiecego. W tym przypadku to nie była pokojówka.

– Proszę – dodał jeszcze po polsku, spojrzawszy na zegarek.

Drzwi otworzyły się i na progu stanęli oczekiwani goście: dwaj wynajęci przez niego Polacy. W czasie tych kilku tygodni współpracy udało im się załatwić parę naprawdę ważnych spraw, dzięki czemu poszukiwania, zawieszony jakiś czas temu, znów posunęły się do przodu.

Był z nich zadowolony. Aż do wczoraj, a raczej dzisiaj. Dał się wtedy ponieść emocjom, a to źle. Niech ci Polaczkowie widzą, że mają do czynienia z kimś na poziomie. Z cywilizowanym Europejczykiem.

– Proszę, niech panowie wejdą. Bardzo proszę. – Wstał od stołu.

– Dzień dobry – przywitał się Pleban, a idący pół kroku za nim Józef Święcki tylko wykonał ruch głową.

Zamknęły się drzwi. Po chwili cała trójka zajęła miejsca w niskich fotelikach, ustawionych wokół okrągłego stolika ze szklanym blatem, na

którym spoczywał wczorajszy „Das Bild”.

– Przede wszystkim chciałbym wyrazić największy żal z powodu tego, co spotkało panów dzisiejszej nocy – zaczął gospodarz, patrząc w oczy po kolei każdemu z gości. – Na swoje usprawiedliwienie mam tylko to, iż naprawdę byłem pewien, niemal na sto procent, że nasze poszukiwania zostały zakończone.

– Nie ma problemu – bąknął Pleban.

– Pewnie panowie nie wiedzą, ale sprawa zaginionych cennych pamiątek po mojej rodzinie ciągnie się już od prawie sześćdziesięciu lat. Niestety, nie udało się jej załatwić na drodze oficjalnych porozumień między naszymi krajami, także tych najnowszych, podpisanych przez zjednoczone Niemcy i odrodzoną Rzeczpospolitą...

– Chyba... wyrodzoną – mruknął pod nosem Świącki, co jego kompan od razu próbował zamaskować kilkoma głośnymi chrząknięciami.

Niemiec jednak albo nie dosłyszał, albo tylko udał, że nie słyszy komentarza pracującego dla niego byłego współpracownika polskiej policji politycznej, specjalisty od brudnej roboty. Zrobił tylko przerwę na oddech i po chwili ze spokojem ciągnął dalej:

– Jak panowie zapewne wiedzą, zimą tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, w wyniku ofensywy armii bolszewickiej na zachód, padały po kolei i były niszczone, w wielu przypadkach niemal doszczętnie, wszystkie miasta Prus Wschodnich. Mieszkańcy tych ziem byli zmuszani do porzucania swoich domów i majątków. Niejednokrotnie z jedną tylko walizką uciekali na zachód i północ, gdzie czekały na nich okręty, które miały wywieźć ich w bezpieczne miejsce. Mieszkania opuszczano często w środku nocy, pod ostrzałem artyleryjskim i rosyjskimi bombami, z małymi dziećmi na rękach...

Może mamy cię jeszcze za to przeprosić? – pomyślał Pleban, starając się zachować kamienną twarz, co przy jego umiejętnościach i praktyce nie było trudną sztuką.

– Siedemnastego stycznia – ciągnął mężczyzna – dowódca II Frontu Białoruskiego, marszałek Konstanty Rokossowski, wydał swoim generałom kolejny rozkaz...

INTERMEZZO: MISJA STRACENICÓW

Königsberg, Prusy Wschodnie, 18 stycznia 1945 roku

Na dziedzińcu tymczasowej siedziby nadprezydenta Prus Wschodnich panował ożywiony ruch. Przed głównym wejściem co chwila zatrzymywały się samochody. Na śliskich, kamiennych schodkach portalu stukały ciężkie buty, a wykrzykiwane przez oficerów rozkazy do złudzenia przypominały szczekanie psa.

Czuć było niemal namacalnie napięcie, jakie towarzyszyło przygotowaniom miasta do obrony przed postępującą od południa i wschodu bolszewicką nawałą. Tanio skóry nikt jednak sprzedać nie zamierzał! Na dowód tego służyły między innymi depesze gauleitera, które regularnie szły ze stolicy prowincji do samego Berlina i Führera.

– ...melduję, że Prus Wschodnich będę bronił do ostatniego żołnierza, do ostatniego naboju! *Heil Hitler!* – Stojący przy oknie tyłem do gabinetu ciemnowłosy, postawny mężczyzna w granatowym garniturze w prążki i z czerwoną opaską ze swastyką na ramieniu zakończył dyktowanie kolejnej wiadomości.

Chwilę potem papier ze znakiem wodnym w kształcie gapy przestała drapać stalówka wiecznego pióra marki Pelikan, którym posługiwał się

sekretarz. W pomieszczeniu zaległa cisza.

– To wszystko – powiedział człowiek stojący przy oknie. Nie oderwał przy tym ani na moment wzroku od dziedzińca. Właśnie w tej chwili po pokrywającej go cienkiej warstewce dopiero co opadłego śniegu maszerował pluton wartowniczy; żołnierze wydawali się dziwnie mali, niektórym wręcz nogi plątały się w połach długich płaszczy. – I proszę o zgaszenie światła – dodał jeszcze.

Dopiero gdy gabinet opustoszał, nadprezydent Prus Wschodnich, Erich Koch, odwrócił się od okna. Jego czoło orały zmarszczki, a podkrążone i zmęczone oczy świadczyły o braku snu.

Ogarnął spojrzeniem pogrążony w zimowym półmroku gabinet. Bardziej lubił poprzedni, ten na zamku, który jednak spalił się w wyniku alianckich bombardowań sprzed pół roku. Usiadł za masywnym dębowym biurkiem i przez chwilę próbował porządkować leżące na nim papiery, jednak ta czynność szybko go znużyła.

Wybawienie nadeszło niespodziewanie i miało postać obersturmführera SS, Wenera Rundstedta, którego zjawienie się zostało poprzedzone krótkim, mocnym pukaniem do drzwi.

– Wejść!

Niski, gruby mężczyzna przestąpił próg gabinetu i wyrzucił prawą rękę wysoko w górę.

– *Heil Hitler!* – wydał z siebie ryk. – Obersturmführer Werner Rundstedt melduje...

– Wchodź, siadaj – przerwał mu Koch, wskazując miękkie klubowy fotel z ciemnobrązowej skóry, jeden z czterech, które udało się uratować z płonącego zamku. – I mów.

– Jak zapewne wiesz, dwa dni temu udało się nam schwytać Maksymiliana Lindego, ostatniego ukrywającego się uczestnika zamachu

na Hitlera w Wolfsschanze w lipcu ubiegłego roku. Ten pies od Stauffenberga przez pół roku wodził nas za nos.

– Pół roku – powtórzył jak echo Koch.

– Ale wreszcie go dorwaliśmy, uważasz, w Hannoverze! Zanim dostał kulę w łeb, powiedział nam coś bardzo interesującego.

W miarę jak esesman opowiadał, oczy nadprezydenta powiększały się ze zdziwienia. Po chwili już nie było w nich choćby śladu zmęczenia.

– Musimy wysłać tam jak najszybciej naszego człowieka! – Wstał gwałtownie z fotela, a jego wyciągnięta ręka zawisła nad słuchawką jednego z telefonów.

– Już to zrobiliśmy – uspokoił Kocha obersturmführer Rundstedt.

Hohenstein, Prusy Wschodnie, 19 stycznia 1945 roku

Huk oddalonego wybuchu rozkołysał szyby w oknach od strony rynku. Mimo że farba, którą je wiele miesięcy temu pomalowano celem obowiązującego w całych Niemczech zaciemnienia, wspomagała kit w trudnej sztuce trzymania całej konstrukcji, i mimo że w szpary poutykano pakuły i kawałki szmat, aby zagrodzić drogę mroźnemu powietrzu – szyby i tak odezwały się niczym dzwony na Anioł Pański.

Radca Manfred Bittner, mężczyzna pięćdziesięcioletni, niechętnie podniósł wzrok znad talerza z resztą szybko stygnącej zupy pomidorowej. A raczej wodzianki z pomidorami z puszki, którym to, wykwintnym jak na okoliczności i pomysłowym daniem, żona radcy, młodsza od męża dwa lata Anne-Marie, od tygodnia żywiła całą ich rodzinę.

– Idą – mruknął pod nosem, po czym spokojnym ruchem nabrał na łyżkę nieco płynu i skierował ją do ust. – I dobrze – dokończył jeszcze

ciszej, opuszczając jednocześnie głowę, choć i tak wszyscy zgromadzeni przy stole usłyszeli te słowa.

– Bój się Boga, Manfred! – Anne-Marie wydała z siebie głos omdlewający.

Pokój był zastawiony walizkami, tobołkami, drewnianymi skrzyniami, do których zapakowano wszystko, bez czego nie da się żyć gdzieś tam, dokąd, wraz z innymi rodzinami z Hohenstein, zostaną ewakuowani.

Atmosferę niepewności jutra podgrzewały tak zbliżające się pomruki artylerii bolszewickiej, jak i brak szczegółów co do sposobu ewakuacji. Komendant obrony cywilnej miasta czemuś zwlekał z podaniem ich do publicznej wiadomości.

Swoje, jak zwykle, robiła plotka. Mówiło się o ciężarówkach, które specjalnie wysłano z zachodu kraju do Prus Wschodnich. Innym razem zaś o bardzo długim pociągu, który miał przyjechać z Allenstein, by następnie przez miasta i duże węzły kolejowe Osterode i Deutsch Eylau zmierzać na zachód lub, w zależności od możliwości, północny zachód.

– Dziękuję. – Bittner odsunął od siebie talerz z meandrycznym wzorem na brzeżku, a jego żona utkwiała w nim spojrzenie podkrążonych, zmęczonych oczu. – Było pyszne – skłamał gładko, wszak trening czyni mistrza.

Byli ostatnimi lokatorami, którzy zostali w kamienicy. Sąsiedzi Bittnerów wyjeżdżali regularnie na przestrzeni ostatniego tygodnia, po jednej rodzinie dziennie, za środki lokomocji mając własne samochody, wciąż jeszcze kursującą, choć najmniej pewną kolej, a nawet furmanki.

Wszyscy, żegnając się, zostawiali radcy albo jego żonie adresy, pod które zmierzali. Hamburg, Essen, Dortmund, Hannover – pan Manfred potrafił wymienić z pamięci nazwy wszystkich miast powtarzających się na

karteczkach, zapisanych równym, starannym pismem. Nie pamiętał tylko, kto dokąd zmierza.

Bittnerowie nie mieli rodziny na Zachodzie. Ich syn, Johann, zginął pod Stalingradem w styczniu 1943 roku, córka zaś, Helena, wciąż była przy rodzicach. Pracowała w ratuszu jako sekretarka burmistrza. Dzisiaj, co niepokoiło Manfreda i Anne-Marie, spóźniała się na obiad.

– Mam nadzieję, że będzie coś wiedziała – kobieta nadała formę myślom, które w tym samym momencie przepływały przez głowę radcy. – Podgrzeję zupę – powiedziała jakby do siebie, wstając od stołu. – Może pan Klaus już wstał i też zje.

Po chwili z kuchni doszedł szcęk fajerek. W tej samej niemal chwili skrzypnęły drzwi pokoju zajmowanego wcześniej przez ich Johanna i na progu stanął młody, dość drobnej postury mężczyzna, dopinający złote guziki mundurowej bluzy z epoletami podporucznika Kriegsmarine na rękawach.

– Dzień dobry – przywitał się z bladym uśmiechem, jednocześnie prostując się.

– Dobrze się panu spało, poruczniku? – chciała wiedzieć Anne-Marie.
Oficer tylko przewrócił oczami.

– Przecież prosiłem ciocię, żeby mi mówiła po imieniu – rzekł z udawaną pretensją. – Jestem wciąż tym samym małym Klausem. Zawsze nim będę.

– Jakoś się nie mogę przemóc, panie Klausiku – odpowiedziała pani Bittner w akompaniamencie zgrzytu przesuwanego po płycie garnka. – Jednak mundur zmienia człowieka. Kiedy nasz Hans pierwszy raz na przepustkę do domu przyjechał...

Urwała nagle. Oficer zaszurał nogami; był wyraźnie zakłopotany.
Na szczęście odsiecz nadeszła szybko.

– Chodź do mnie, Klausie. Chodź! – zawołał wesoło radca, a gdy porucznik znalazł się już w salonie, stary zrobił ruch głową w kierunku okna. – Biją dziś od rana. Stalin chyba sraczki jakiej dostał – zachichotał krótko Bittner, upychając papierosa juno w świeżo wyczyszczonej szklanej lufce. – Pewnie jest pan głodny?

– Konia z kopytami, jak to mówią.

– Zaraz żona poda. Niestety, niespodzianek nie będzie.

Niespodzianką za to było, i to wielką, gdy wczoraj wieczorem na progu mieszkania radcy Bittnera stanął przyprószony śniegiem, niemal siny z zimna żołnierz. A właściwie, co dziwiło jeszcze bardziej – był to marynarz!

Nie od razu poznali w przybytku dwudziestotrzyletniego Klause Bittricha, syna dalekiej kuzynki Manfreda, Moniki, mieszkającej w Berlinie, który kilka razy, przed wybuchem wojny, spędzał u nich po parę tygodni wakacji. Bawili się razem z Johannem, niemal jak bracia, byli przecież w tym samym wieku. Chadzali nad jeziora, wyruszali na wycieczki rowerowe. Podobały im się nawet te same dziewczyny, choć nigdy z tego powodu nie doszło między nimi do nieporozumień. A potem przysła wojna i kontakt między rodzinami się urwał.

– Jak pan sądzi, Klausiku? Wejdą? – zapytał Bittner, wykorzystując chwilę przed podaniem gościowi talerza z zupą.

Leutnant zur See Klaus Bittrich wyprostował się na krześle, ale nie odpowiedział na pytanie. Jego spojrzenie powędrowało za okno, za którym właśnie zaczęła padać śnieg.

Tak, pytanie, które zadał mu wuj, słyszał po kilka razy dziennie, odkąd jego okręt, U-491, ruszył z miasta Kohlberg wzdłuż brzegu Bałtyku, w kierunku

portu Königsberg.

U-491 był jednym z serii tak zwanych *Milchkühe*, czyli podwodnych okrętów transportowych typu XIV przewożących, często na duże odległości, amunicję, paliwo, a także części zamienne dla innych U-Bootów.

Tym razem jednak liczba osób, które wiedziały, jaki ładunek znajduje się na pokładzie, była ograniczona. Do pewnego momentu nikt z załogi, a wśród niej znajdowała się spora grupa świeżo upieczonych absolwentów szkoły marynarki wojennej, nie wiedział, co wiozą ani jaka jest istota misji. Sam okręt był okrętem-widmo. Alianci, którzy ze szczególną zaciekleścią polowali na każdą *Milchkühe*, byli bowiem święcie przekonani, że ostatnią jednostkę tego typu, U-490, dowodzoną przez kapitana Gerlacha, zatopili jeszcze w czerwcu 1944 roku.

Tymczasem nadprogramowy U-Boot obrał kurs na wschód i, uszedłszy szczęśliwie sowieckim okrętom podwodnym, polującym na niemieckie transportowce z uciekinierami, bezpiecznie dotarł do Königsbergu.

Tutaj zatrzymał się jednak na krótko; wkrótce ruszył w górę rzeki Pregel. Minął Tapiau, położone na prawym brzegu rzeki, by następnie skręcić w jej jedyny dopływ, Alle. Po przepłynięciu kilometra w kierunku południowym U-491 dotarł do śluzy Allenburg.

Na brzegu utwardzonym za pomocą betonowych płyt czekały ciężarówki. W ruch poszły pokładowe dźwigi, które pod osłoną nocy zaczęły opróżniać luki towarowe, a obciążać kolejne ople kryte plandekami w barwach ochronnych.

Świtało, gdy przeładunek został zakończony. Ciężarówek było dokładnie tyle, ilu młodziutkich podporuczników weszło na pokład U-491.

Klaus Bittrich nie zdążył pożegnać się z kolegami. Może i dobrze, bo nie wiadomo, co w takich sytuacjach powiedzieć. Wszystko wydaje się

banalne, jeśli nie po prostu głupie. Złapał za swój worek, usiadł za kierownicą wskazanego mu samochodu, uruchomił silnik.

Spojrzał w bok, na leżącą na siedzeniu obok szarą, grubą i zalakowaną kopertę, otrzymaną przed chwilą od mężczyzny w cywilnym płaszczu i myśliwskim kapelusiku z piórkiem, który to mężczyzna zjawił się niczym duch na kilka chwil przed zakończeniem opróżniania luków. Zaczął padać śnieg. Gdy młody oficer spojrzał w boczne lusterko, nie zobaczył już swojego okrętu.

Jechał cały dzień i pół nocy, niemal bez przerwy, niezmiennie – na południe. Griesliesen – tylko to jedno słowo, poparte współrzędnymi geograficznymi, znajdowało się na kartce, którą podporucznik Bittrich znalazł w zalakowanej kopercie.

Zatrzymywany co jakiś czas przez patrole, okazywał dokumenty i papiery wozu, po których obejrzeniu żołnierze z blaszanymi półksiężycami na piersiach za każdym razem odstępowali od dalszej kontroli i dawali wolną drogę. Oficer spał tylko raz, kiedy już nie miał siły dalej trzymać kierownicy, w jakiejś leśnej przecince. Ale i tak obudził się nad ranem z krzykiem, bo śnił mu się sąd wojenny, przed którym go postawiono. Za dezercję. Nie mówiąc już o tym, że nie pamiętał, żeby kiedykolwiek wcześniej tak zmarzył.

Kiedy minął Allenstein i znalazł się na drodze, która według map sztabowych znalezionych w skrytce opła miała doprowadzić go na miejsce, nieoczekiwanie naszły go wspomnienia niedawnych lat, gdy spędzał tu wakacje. Jednak myśl, żeby zajrzeć do dawno niewidzianej, dalekiej rodziny, Klaus odpędził od siebie szybko i zdecydowanie.

Wtedy pomógł mu przypadek. Po pierwsze był to objazd, który wydłużył drogę do celu. Po drugie zaś pałacy trzydzieści pięć litrów na sto kilometrów opel zaczął się domagać benzyny.

– Jedz, jedz. Potrzeba nam dużo sił! – zachęcała pani Anne-Marie.

Podporucznik Bittrich półprzytomnie zamrugał powiekami. W oknie kamienicy przy olsztyneckim rynku pojawił się ostry, słoneczny blask.

– Tak, oczywiście. – Pochylił się nad talerzem z meandrycznym wzorem i zaczął wiosłować, niemal z takim samym zapałem, jak podczas studenckich wyścigów po Sprewie.

Po chwili do mieszkania wpadła Helenka Bittner. Włosy miała rozwiane i szalik też, poły zbyt obszernego i zbyt długiego płaszcza plątały się dziewczynie pod nogami, ale, co najważniejsze, dodawały jej sporo lat. Wszędzie chodziły plotki, że Rosjanie gwałcą dziewczęta i kobiety, nie tylko młode. I aby mieć szansę tego uniknąć, trzeba wyglądać dużo starzej i brzydziej, niż się było w istocie. Kto by się spodziewał, że stare, zniszczone i nikomu niepotrzebne elementy garderoby, które dotąd zalegały na dnie szaf, wrócą jeszcze do łask?

– Pociąg jedzie! – krzyknęła, zatrzymawszy się na progu salonu z rękami rozpostartymi na całą szerokość ościeży.

Siedzący przy stole nie zareagowali na tę wieść żadnym, najkrótszym nawet słowem.

– Kwadrans temu nadali wiadomość ze stacji w Osterode, że jedzie! – relacjonowała gorączkowo sekretarka burmistrza, usiadłszy przy stole, na ostatnim, czwartym krześle. – Musimy się spieszyć. Mamo, tato...

Ale radca tylko machnął ręką, którą chwilę wcześniej wyzwolił od osmolonej fifki.

– Zanim się przytelepie, zanim będzie na miejscu... – zaczął, ale córka szybko i bezceremonialnie mu przerwała:

– To się nie dopchamy, ojcze! To, że zostaliśmy sami w kamienicy, nie oznacza, że nie ma już nikogo w Hohenstein. Na szczęście... – Helenka

ogarnęła jednym spojrzeniem wnętrze salonu – jesteście już spakowani. Mam nadzieję – zatrzymała wzrok na marynarzu – że Klaus odwiezie nas na dworzec.

– Nie ma problemu – odpowiedział oficer.

Nikt nie wyczuł nutki wahania, która zagrała w jego głosie.

Okolice wsi Kraplau, Prusy Wschodnie, 19 stycznia 1945 roku

Ciężarówka z napisem „Baum und Giese. Frankfurt am Main” na obu burtach, niemal niewidocznym pod grubą warstwą błota i brudu, rzeźbiła rozpaczliwie, stojąc na skraju szosy z Osterode do Hohenstein. Siedzący w szoferce mężczyzna w czapce z futra nutrii z opuszczonymi nausznikami co chwila ponawiał próbę, za każdym razem jednak kończyła się ona fiaskiem.

– *Zum Teufel!* – Uderzył ze złością w kierownicę.

Nic nie zapowiadało kłopotów, choć powiedzieć tak w momencie, gdy cały świat stawał na głowie w obliczu bolszewickiego zagrożenia, było co najmniej niezręcznością.

Tak czy inaczej – całą dotychczasową drogę, a wiodła ona z Danzig w kierunku południowo-wschodnim, Georg Henschell, bo tak nazywał się kierowca ciężarówki, pokonał bez problemów. Jeśli nie liczyć dwóch poślizgów na oblodzonej szosie, szczęściem w tym momencie pustej zupełnie.

Także i wcześniejsza podróż, pociągiem relacji Stettin-Köslin-Stolp-Danzig, nie należała do trudnych. Mężczyzna spał w najlepsze i gdy wysiadł na peronie stacji docelowej, niewiele pamiętał. Mrużąc oczy od słońca, spojrzął tylko na gotycką wieżę z zegarem, pokazującym kwadrans

na ósmą rano. Wszystko szło jak po przysłowiowym maśle, którego cena ostatnio... Nieważne.

Niespełna godzinę później Georg Henschell zameldował się w warsztacie samochodowym w Langfuhr. Tam zażądał widzenia z właścicielem, a gdy go ujrzał, podał hasło, które przekazano mu podczas pierwszego spotkania w Hamburgu.

Po chwili znaleźli się w jednym z warsztatowych garaży, gdzie stał jeden tylko samochód. Stary mechanik w kilku słowach pochwalił maszynę, klepiąc ją po burcie, jak klepie się kobyłkę. Dłoń o sękatych, noszących wieczne ślady smaru palcach uderzała poniżej napisu z nazwą. Nazwę tę Henschell po raz pierwszy zobaczył, stając kilka dni wcześniej przed siedzibą firmy, mieszczącej się w starych portowych zabudowaniach nad brzegiem Łaby.

Wreszcie właściciel warsztatu przekazał kluczyki od wozu i życzył szerokiej drogi.

Georg z ochotą usiadł za kierownicą, uruchomił silnik. Stary długo patrzył za odjeżdżającą ośnieżoną Hochstriess ciężarówką, jakby żegnał nie samochód, ale osobę najbliższą sercu. Każdy w Danzig wiedział bowiem, że w obliczu zbliżającego się frontu sprawny samochód przedstawia wartość nieocenioną. Ale umowa była umową.

Pół godziny później Georg był już na moście przez rzekę Weichsel. Zmieniał z łatwością biegi, dodawał gazu, hamował – a wszystko to czynił z niemal dziecięcą radością. Jakby zapomniał, że za chwilę w przedniej szybie może ujrzeć zbliżający się ku niemu sowiecki samolot.

Czuł gdzieś głęboko w sobie, że misja, której się podjął, powiedzie się. Tak jak zawsze wierzył, że zamek drzwi, do którego wkłada wytrych, uda się otworzyć. Żywił się tą nadzieją i sucharami, które kupił przed wyjazdem. Aż do chwili, gdy kilka kilometrów za Osterode silnik

ciężarówka zaczął kasłać i dławić się. Pojazd szarpnął raz i drugi. W końcu zatrzymał się na szosie.

Henschell jeszcze raz przekręcił kluczyk w stacyjce, ale znów silnik tylko zarzęził, wreszcie zamilkł zupełnie. Najpewniej zdechł także i akumulator.

To koniec! – pomyślał, zsuwając czapkę na tył głowy.

Spojrzał w przednią szybę. Lewą stroną szosy nadciągała kolumna jakichś ludzi. Z początku myślał, że to wojsko, im jednak pochód ów był bliżej, tym bardziej Georg utwierdzał się w przekonaniu, że bardzo się myli. Że to było, owszem, wojsko, ale kiedyś.

W poszarzałych od brudu, złachmanionych płaszczach, kurtkach i spodniach z trudem dało się rozpoznać mundury pokonanych przed laty armii. Spod czapek, na których niegdyś błyszcząły dumnie godła państw, spoglądały oczy podkrążone, zapadłe, niemal trupie.

Z jednym z idących Georg nawiązał nieopatrznie kontakt wzrokowy. Jeniec zbliżył się do okna i poprosił o papierosa. Georg wyciągnął paczkę.

Widząc, że kierowca wykazuje nieme zainteresowanie przesuwaną się wciąż obok bezgłośnie kolumną, jeniec zrewanżował się informacją.

– Idziemy ze stalagu I B Hohenstein – powiedział łamaną niemczyzną.

Georg czuł, jak sztywnieje na fotelu, i nie działało się tak za sprawą mrozu. Wstrzymał oddech, zacisnął palce na kierownicy. Mimo że ledwo żywi, gotowi rozszarpać go na strzępy. Ilu da radę? Trzem, czterem? Kilku wytłucze ze swojego parabellum. A reszta?

Ale kolumna szła dalej, bez najcichszej skargi. Silniejsi pomagali iść słabszym i nikt nie myślał w tym momencie o szukaniu pomsty.

Po chwili Georg został sam na szosie. Niebo zachmurzyło się, zbierało się na śnieżycę.

Wtedy uszu złodzieja doszedł śpiew prawdziwie anielski. Gwizd lokomotywy...

Złodziej wyskoczył z szoferki, złapał za tobołek i starannie zamknął drzwiczki na klucz. O zawartość paki martwić się nie musiał – od samego początku pod zasznurowaną plandeką wiózł przecież powietrze.

Zorientowanie się, gdzie leży stacja, nie wymagało wielkiego wysiłku. Wkrótce bowiem do rozlegających się co jakiś czas gwizdów parowozu doszły wszystkie pozostałe dźwięki, jakie maszynieria ta zwykle z siebie wydaje: praca tłoków, szum pary – to była najpiękniejsza muzyka, jaką Henschell słyszał w całym swoim trzydziestoletnim życiu złodzieja, utrzymanka hamburskich kurew portowych, czasem wykidajły w knajpach nad Łabą i chłopca na posyłki.

Nie pomylił się! Na maleńką stację kolejową w Kraplau wjeżdżał właśnie pociąg złożony z zielonych pullmanów z białymi literami DB na bokach. Był pusty. Prawie pusty...

– Wsiadasz pan?! – Georg usłyszał tubalny, mocny głos.

Wąsaty konduktor, nie czekając odpowiedzi, gwizdnął przeciągle i pociąg ruszył z miejsca, tak że Henschell musiał wskakiwać do wagonu w biegu.

– Dokąd ten pociąg jedzie? – zapytał konduktora chwilę później.

– Do piekła, miły panie. Nie gdzie indziej – odpowiedział na pytanie kolejarz i choć pasażer czekał, aż ten skwituje słowa swoje śmiechem, nic takiego nie nastąpiło. – Dokąd pisać bilet?

– Bilet? – zdziwił się Georg. – Jaki bilet?

– A co? Myślisz pan, że skoro Iwan u bram, nie obowiązują nas już żadne przepisy? – Konduktor zmarszczył srogo brwi. – Dokąd pan jedziesz?

– Hohenstein.

– Będą dwie marki, fenigów trzydzieści. A na pytanie szanownego pana, czemu nikt tym pociągiem nie jedzie, odpowiadam: bo to pociąg na wschód. Za kilkadziesiąt minut, gwarantuję, nie będzie tu gdzie palca wcisnąć. Może pan za to usiąść w pierwszej klasie.

Georg z powagą uiścił opłatę za przejazd, odliczając stosowną kwotę w zimnym bilonie. Odebrał z rąk konduktora starannie wypisany blankiet biletu, po czym zajął miejsce w przedziale.

Za pokrytą mozaiką mrozu szybą przesuwał się krajobraz zupełnie mu nieznan; nigdy wcześniej Georg nie był na Mazurach. Pociąg mijał drzewa w białych czapach śniegu, jechał przez głębokie parowy, tu i ówdzie bieleły większe płaskie przestrzenie, w których obserwator domyślał się jezior.

Po kilkunastu minutach skład zaczął ponownie zwalniać, w oknie przedziału przesunęła się biała tablica z czarnym gotyckim napisem: Stefenswalde.

Drzwi trzasnęły raz tylko. Gwizdu Georg nie usłyszał, może go nie było, może konduktor i z tego już zrezygnował, oszczędzając siły na drogę powrotną, jeśli w ogóle w nią wierzył...

Pociąg ruszył w dalszą drogę, a Georg Henschell zaczął walczyć ze znużeniem. Uchylił lekko okno, wpuszczając od środka zimne powietrze, dokończył paczkę sucharów, wtulił się w kąt przedziału.

Za oknem zaczynało szarzeć. Koła pociągu stukały na spojeniach szyn. Blask świateł mijanych wsi czy przejazdów kolejowych wpadał do środka przedziału na chwile krótkie niczym myśl. Kilka razy, gdy przemierzali teren równinny, ciemniejące niebo rozświetlały błyski, jak w czasie burzy. Georg wiedział jednak dobrze, że to rakiety zwane „organami Stalina”.

Zapadł już mrok, gdy pociąg zaczął znów zwalniać. Georg, któremu udało się nie zasnąć, wstał z kanapki i zbliżył się do okna. Nie spodziewał

się ujrzeć łun większego miasta, w całych Niemczech bowiem, także i tu, wciąż obowiązywało nocne zaciemnienie.

Z odpowiedzią na pytanie, którego podróżny nie zdążył zadać sobie nawet w myślach, pospieszył konduktor pociągu.

– To już Hohenstein – rzekł przy akompaniamencie hamulców.

– Ale nie widać miasta – zauważył Georg.

– I zgadza się. Jeszcze nie wjeżdżamy do miasta w obawie przed wybuchem paniki. Czekamy na rozkazy władz, rozumiesz pan?

– Ale co ja mam teraz zrobić?

– Do miasta pozostał kilometr, może więcej. Dasz pan radę dojść spokojnie, jeśli się panu spieszy. Co to jest dla takiego byka? Jesteśmy na wysokości Tannenberg-Denkmal...

Ostatnie słowa, które padły z ust konduktora, spowodowały, że serce w piersiach hamburskiego złodzieja zabiło żywiej. W istocie poczuł, jak wracają mu siły i zapał.

Chwycił za swój tobołek leżący na półce i już był przy wyjściu. Otworzył drzwi. Pociąg jeszcze się toczył, gdy runął w głęboki śnieg niczym w miękką, kojący niebyt.

Hohenstein, Prusy Wschodnie, 19 stycznia 1945 roku

Pułkownik Horst Schumacher, dowódca warty honorowej Tannenberg-Denkmal, przesunął czapkę na tył głowy i otarł rękawem pot, który mimo ujemnej temperatury perlił mu się na czole.

– Chłopcy! – zaczął donośnym, choć łamiącym się głosem. – Zebrałem was tutaj, żeby zapoznać z rozkazem, który nadszedł godzinę temu ze sztabu naczelnego dowództwa. Znamie mnie nie od dziś i wiecie, że mówcą

jestem kiepskim. Powiem zatem od razu. W obliczu zbliżającego się frontu, aby nie dopuścić do sprofanowania świętego dla nas miejsca, jutro Tannenberg-Denkmal zostanie wysadzony w powietrze...

Przez szereg przetoczył się pomruk, oficer ciągnął zaś dalej:

– Dziś w nocy przybędą na miejsce samochody, które wywiozą w bezpieczne miejsce ciała marszałka Hindenburga i jego żony. Proszę was o umożliwienie naszym kolegom sprawnego przeprowadzenia akcji. Mamy mało czasu. Zaraz po wywiezieniu trumien na miejscu zaczną działać saperzy. Wtedy nasza wieloletnia misja się zakończy.

Cisza. Najmniejszego nawet westchnięcia.

– Chciałbym podziękować wam, chłopcy, za wspólną i zaszczytną służbę. A także, czy może przede wszystkim, życzyć wam, abyście bezpiecznie dotarli do domów.

To powiedziawszy, oberst skinął głową w stronę stojącego obok oberleutnanta. Młodszy oficer postąpił krok do przodu i huknął:

– Baczość! W tył, do zajęć rozejść się!

Chwilę potem w pomieszczeniu pod Wieżą Dowódców został sam Schumacher. Zdjął z głowy czapkę, znów otarł pot z czoła, oparł się plecami o ścianę.

Tak, to już trzydzieści lat – pomyślał – odkąd strzeże tajemnicy, powierzonej mu ledwie kilka dni po zwycięskiej bitwie pod Tannenbergiem, kiedy to Niemcy pokonali Rosjan. Mało kto jednak wiedział, że szala zwycięstwa chwiała się do końca. I to nie tylko zwycięstwa, o którym potem wszyscy się dowiedzieli.

Odkrycie, którego dokonali w końcowej fazie bitwy żołnierze sto czterdziestego siódmego pułku piechoty, w tym także i młodziutki Schumacher, na zawsze zmieniło życie członków oddziału. Była to skrzynia, do której po zerwaniu plomb i rozbiciu wielkich kłódek zajrzeli.

Czemu nie powiadomili wtedy o swoim odkryciu przełożonych?

Czemu skrzynię ukryli dokładnie zaraz po tym, jak ją posiadli?

Nikt nie potrafił na te pytania odpowiedzieć. Ci, co przeżyli wojnę, związani na zawsze tajemnicą, wrócili na pola pod Tannenbergiem, by odebrać zapłatę za swoje okaleczone ciała i dusze. Skrzynia znajdowała się dokładnie tam, gdzie powinna. Zakopana pod potężnym dębem.

Jednak żaden z nich nie wrócił do domu bogatszy. Gdy wybudowano Tannenberg-Denkmal, znalezisko zostało przeniesione między mury i tam ukryte. Horst Schumacher zaś, który został zawodowym oficerem, wystarał się o służbę wartowniczą przy pomniku. Strzegł wspólnej sprawy przez wiele lat.

Dzisiaj historia zataczała koło.

Schumacher spojrział na zegarek. Wskazówki starej omegi, prezentu od żony z okazji promocji oficerskiej, układały się w godzinę ósmą wieczorem. Właściciel zegarka nie wiedział, że za kilkanaście godzin skórzany pasek omegi będzie opinać szczupły, pokryty czarnymi włoskami przegub dłoni rosyjskiego żołnierza o skośnych oczach. I nie będzie paskiem jedynym.

– Już powinien być – mruknął pod nosem.

Następnie jednym ruchem poprawił pas z kaburą kryjącą parabellum, nałożył czapkę i ruszył w górę po schodach. Kilka chwil później znalazł się przed wejściem do krypty, w której przed ponad dziesięcioma laty został pochowany prezydent Rzeszy i ojciec zwycięstwa pod Tannenbergiem, feldmarszałek Paul von Hindenburg.

Ciszę tego miejsca zakłócił brzęk kluczy, których pęk, uwiązany na metalowym kółku, Schumacher wydobyl z kieszeni. Oficer postąpił krok do przodu, ku łukowato sklepienemu portalowi, w którym znajdowały się drzwi.

Na jednym z ich skrzydeł widniał rok urodzenia zmarłego, na drugich rok śmierci. Poniżej wyrzeźbiono długą inskrypcję, której pułkownik, mimo że miejsce to było niemal jego drugim domem, jakoś nigdy nie przeczytał do końca.

Włożył jeden z kluczy do dziurki, przekreślił. Dawno nieużywany mechanizm zadziałał bez zarzutu. Schumacher pociągnął ku sobie ciężkie drzwi, przeżegnał się.

Nie był tu od dawna, właściwie od początku historii tego miejsca, czyli od przeniesienia trumny z pierwotnego miejsca pochówku, co nastąpiło dwa miesiące po pogrzebie Hindenburga. Tyle czasu bowiem potrzebował inżynier Wilhelm Schmidt z berlińskiej pracowni architektonicznej Waltera i Johannes Krügerów, aby przebudować grobowiec podług dokładnych wskazówek i pod osobistym nadzorem pułkownika Joachima von Belowa.

Tymczasem dwa kilometry w linii prostej na południowy wschód, na stacji kolejowej w Hohenstein, dochodziło do scen iście dantejskich. Przed budynkiem dworca, w jego wnętrzu, a przede wszystkim na peronach od wielu godzin kłębił się nieprzebrany tłum ludzki.

Mieszkańcy miasteczka i jego najbliższych okolic, młodzi i starzy, mężczyźni, kobiety, dzieci, a nawet zwierzęta – obładowani tobołkami, ściskający w omdlewających i zgrabiających od mrozu rękach walizki i kuferki – wszyscy oni mieli cel jeden: dostać się do pociągu, jak mówiła plotka, ostatniego pociągu na zachód.

– Spokojnie, wszyscy wejdą do środka! – Głos dowódcy bahnschutzów, próbujących zapanować nad tłumem, przypominał krakanie starej wrony.

Mało kto jednak go słuchał i stosował się do wykrzykiwanych z coraz większym trudem rozkazów i poleceń, uzbrojeni w schmeissery wartownicy

kolejowi zaś coraz mniej zajmowali się niespokojną tłuszcą, a coraz częściej zerkali w stronę, skąd miał nadejść skład.

Krzyczano, nawoływano się, złorzeczono, wzywano Boga i diabła i nimi też sprawiedliwie straszono się wzajem. Co chwila ktoś wybuchał płaczem. Bywało, że ktoś zepchnięty z peronu lądował pół metra niżej, na szynach, w śniegu, ale od razu wyciągały się po niego ręce i pomagały wejść z powrotem.

Kiedy wreszcie na tle ciemnego już nieba pojawił się słup białego dymu, co potwierdziło wyraźnie sapanie parowozu, tłum zafalował. Już było widać otoczony ze wszech stron parą przód lokomotywy z wielką białą literą V. Ci z ewakuujących się, którzy spoglądali na wjeżdżający na stację pociąg z dalszej odległości, choćby z perspektywy budynku dworca, odnosili wrażenie, że maszyna oto wbija się klinem w tłum, miażdżąc wszystko, na co natrafi na swojej drodze.

Dochodziła dziewiąta wieczorem, kiedy ciężarowy opel wjechał na placyk przed budynkiem dworca. U wejścia wciąż kłębił się tłum, jednak już nie tak wielki jak przed paroma minutami.

– Spóźniliśmy się! – jęknęła Helena Bittner, która jako pierwsza wydostała się z szoferki. – Wszyscy już odjechali.

Tuż za nią zaczęli gramolić się jej rodzice, Manfred i Anne-Marie Bittnerowie. Wszyscy wraz z bagażami musieli odbyć podróż w ciasnocie, bowiem podporucznik Bittrich nie pozwolił nikomu nawet zajrzeć pod plandekę, tłumacząc się tajemnicą wojskową. Rozumieli to. Na szczęście z rynku na dworzec kolejowy nie było daleko.

– Pociąg jeszcze stoi, widzę dym z komina – zauważył przytomnie radca.

– Szybko, szybko! – ponaglała wszystkich matka.

Cała trójka zaczynała zbierać walizki i kuferki. Młody oficer stał przy otwartych drzwiach ciężarówki i w milczeniu przyglądał się tym poczynaniom. W świetle ulicznych latarni lśniły guziki jego marynarskiej kurtki.

– A co będzie z panem, Klausiku? – zaniepokoiła się Anne-Marie.

Także radca i jego córka spojrzeli pytająco na Bittricha. Ten zaś tylko się uśmiechnął.

– Mam jeszcze do wypełnienia pewną misję – odpowiedział. – Muszę zawieść na miejsce ładunek, który... – zawahał się, rozejrzał z zakłopotaniem na boki.

Radca Bittner ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Rozumiem. Doskonale pana rozumiem – rzekł ściszym głosem, serdecznie ściskając dłoń przyjaciela swojego zabitego syna. – Tajemnica służbowa...

Hohenstein, Prusy Wschodnie, 20 stycznia 1945 roku

Kilka minut po północy, na wysadzonej dębami alei między Tannenbergs-Denkmal a miastem, pojawiły się dwie ciężarówki. Przypominały karaluchy biegnące między szpitalnymi łózkami chwilę po tym, gdy zgaszono światło.

Jednak ludzie, którzy w tym momencie znajdowali się w samochodach, wiedzieli dobrze, że jeszcze dużo czasu upłynie, zanim będą mogli udać się na spoczynek. Nie wiedzieli też, gdzie to będzie możliwe – i to nie z powodu instrukcji ŚCIŚLE TAJNE, bo pieczęć o takiej właśnie treści widniała na listach przewozowych.

– Ty, Udo! – Jeden z mężczyzn siedzących w szoferce ciężarówki jadącej jako pierwsza trącił w bok kolegę, pokazując coś w bocznej szybie.

– Co to jest za cudak?

– Lew, nie widzisz? – Gefreiter wzruszył ramionami.

– Lew?

– Nigdy tu wcześniej nie byłeś, Fritz?

– Nie.

– Jak to możliwe?!

– Jakoś się nie złożyło.

W tym samym momencie, gdy żołnierz imieniem Fritz zastanawiał się, jak wielki popełnił błąd, chorując na szkarlatynę akurat wtedy, gdy jego szkolna klasa wybierała się na wycieczkę do mauzoleum Hindenburga, ciężarówka zatrzymała się przed bramą.

Nie czekali ani chwili. Bramę otwarto i oba pojazdy wtoczyły się na dziedziniec budowli. Przez cały czas z daleka dochodził coraz wyraźniejszy pomruk bijącej artylerii. Wzbudzające wciąż strach i popłoch katusze grały już niemal bez przerwy, o czym świadczyły niekończące się błyski na południowo-wschodniej stronie nieba.

Kierowcy nie wyłączyli silników. Obok szoferek zabłysło kilka małych ogników tłących się papierosów. Zaczął prószyć śnieg.

Po chwili w półmroku zamajaczyło kilka, może kilkanaście podłużnych cieni. Ktoś półgłosem wydawał rozkazy. Cienie zniknęły, by po kilku minutach pojawić się znowu, tym razem w skądś znajomym porządku: po cztery przy każdym z dwóch boków podłużnego kształtu.

Oto Paul von Hindenburg, zmarły w roku 1934, ruszał w kolejną, nieoczekiwaną podróż.

– Ostrożnie! – rzucił ktoś.

– Czemu? – prychnął inny. – Niech się zbudzi i jeszcze raz pogoni Iwana! Tym razem na zawsze.

Spód trumny zazgrzytał na deskach paki jednej z ciężarówek. Po chwili zamknięto za nią burtę i opuszczono połą plandeki, którą od razu starannie zasznurowano.

W tym samym momencie kilkanaście metrów dalej, pod jedną z siedmiu wież pułkownik Horst Schumacher rozmawiał z jakimś okutanym szalenie szalikiem mężczyzną.

– Wszystko jest gotowe – powiedział oficer. – Chłopcy za chwilę przeniosą ładunek na twoją ciężarówkę. Mam nadzieję, że dasz sobie radę. Nie muszę ci tłumaczyć, że organizacja postawiła wszystko na jedną kartę. Widnieje na niej twoja twarz i tylko od ciebie zależy, czy będziesz królem karo czy tylko bitym dupkiem żołędnym.

– Lubi pan grać w karty, pułkowniku? – zainteresował się tamten.

Jednak dowódca warty honorowej nie odpowiedział na pytanie. U wejścia do wieży pojawiło bowiem kilka cieni niosących podłużną skrzynię, która po kilku chwilach obciążyla, choć nieznacznie, resory drugiej ciężarówki.

Czemu wybrali właśnie jego? Wiele razy się nad tym zastanawiał.

Że sprawa była śmierzcząca, a jednocześnie bardzo delikatna, o tym wiedział od początku. Mogli wysłać przecież doborowy oddział SS. Pewnie jeszcze jakiś by się znalazł, choćby złożony z nastolatków, nadal wierzących w zwycięstwo.

A jednak wysłali jego, pospolitego złodzieja. Może dlatego, że był sprytny. Najsprytniejszy. Pewnie przekonała ich jego głośna w swoim czasie i w pewnych kręgach akcja, kiedy to dostał się w biegu do ambulansu pocztowego w Rosengarten, wykopał z szoferki kierowcę

i konwojenta i byłby umknął z łupem, gdyby nie prozaiczna sprawa – kontrola drogowa, przy której po prostu się zatrzymał, jak ten baran!

Tej nocy jednak Georg Henschell za barana robić nie zamierzał. Znów czuł się jak lis, drapieżnik, który zniemacka, pod osłoną ciemności rzuca się na swoją ofiarę.

Przyczajony pod murem, przy bramie, której już nikt nie strzegł, odprowadził wzrokiem pierwszą ciężarówkę. Wiedział, że przewozi ona trumnę z ciałami byłego prezydenta i jego żony.

– No, chodź, zajączku, do lasu – mruknął sam do siebie.

Kiedy cień pierwszej ciężarówki małał na drodze, wkrótce znikając za zakrętem, Georg zaczął się niepokoić.

Sprawdził jeszcze raz obecność noża w cholewie buta, parabelki za pasem i kilku metrów mocnego sznurka zwiniętych w kieszeni kurtki.

Wreszcie usłyszał silnik. Wstrzymał oddech, przywarł do ściany.

Sekundę później przed oczami Georga przesunął się cień. Henschell wyskoczył z kryjówki, zaczął biec, jednak źle ocenił stan nawierzchni drogi: stopy zaczęły zapadać się w śniegu, opóźniając bieg. Wytężył wszystkie siły, wyciągnął ręce. Jeszcze trzy kroki, jeszcze dwa...

Odbił się mocno. Palce zacisnęły się na pałaku pod brezentem kryjącym pakę.

Po chwili przeciął nożem sznur plandeki i wszedł do środka. Wyciągnął z zanadru małą płaską latarkę i oświetlił wnętrze.

– *Jaaa...* – mruknął przeciągle, jakby przed chwilą ktoś postawił przed nim litrowy kufel najprzedniejszego bawarskiego piwa.

Miała być jedna skrzynia, a są dwie. To chyba lepiej, prawda? – pomyślał.

Zgasił latarkę i walcząc z przeciążeniami, auto wchodziło bowiem właśnie w zakręt, zbliżył się ku tylnej ścianie szoferki. Zajrzał przez wąskie

okienko. W przedniej szybie ujrzał oświetloną, umykającą pod podwoziem ciężarówki drogę.

Teraz pozostało mu tylko unieszkodliwić kierowcę.

Znów w ruch poszedł nóż, którym Henschell przeciął sznurek zabezpieczający przednią część plandeki. Przed powstałą w ten sposób szparę złodziej przedostał się na zewnątrz. Wsparłszy się na burcie, pochylił się nisko, napał na klamkę. Ustąpiła z łatwością.

Szarpnął za drzwiczki i w mgnieniu oka znalazł się w szoferce. To była naprawdę chwila, bo nim kierowca zdążył się zorientować, widział wycelowaną w swoją pierś lufę parabellum. Ale i Georg był nieco zdziwiony.

Skąd się tu wziął, do cholery, marynarz?!

– Czego chcesz? – zapytał ze spokojem podporucznik Bittrich, któremu kilkoma ruchami kierownicy udało się uspokoić opla. – *Ja nie gawarju po ruski* – dodał po chwili namysłu.

– Nie musisz łamać sobie języka, poruczniku. – Georga bardzo rozbawiło porównanie do rosyjskiego sabotażysty.

– Jadę z ważną misją – oświadczył Klaus. – To misja wagi państwowej, rozumiesz?

– Rozumiem. Inaczej by mnie tu nie było.

Przez kilka długich chwil milczeli. Silnik pracował miarowo, od czasu do czasu koła ciężarówki buksowały na śliskiej powierzchni drogi.

– Na razie jedź, tak jak jechałeś – poinstruował oficera porywacz. – Zakładam, że nie ma innego kierunku niż zachód, prawda?

– Tego to ja nie wiem. – Bittrich wzruszył ramionami. – Mój okręt został daleko stąd.

Wjechali na jakieś nierówności i samochodem zaczęło trząść. Trzęsła się także ręka Henschella trzymająca pistolet.

– Nie musisz we mnie celować, przyjacielu – mruknął porucznik. – Jak widzisz, obie ręce mam zajęte. Po śniegu i lodzie nie da się prowadzić jedną. No, chyba że chcesz, żebyśmy wylądowali w jakimś rowie. Zaręczam ci, że z ładunkiem, jaki wiozę, nie byłaby to miła przygoda.

– Możesz mówić trochę jaśniej, przyjacielu? I szybciej.

– Spiesz ci się gdzieś?

– Owszem. Muszę tam jeszcze wrócić.

– Po co?

– Zainteresowała mnie pewna rzeźba zwierzęcia. Nieważne... Mów, co masz na pace!

– Z chęcią. Otóż na mój ładunek składa się materiał wybuchowy Amatol 40 ze sporą domieszką dinitroanizolu, azpotanu amonu, a także heksogenu. Wiem, że nazwy te niewiele ci mówią. Ale zaręczam, że po wybuchu nie zostałyby po tobie nawet smród. Ślad smrodu.

Blefuje, to pewne – pomyślał Georg. Ale opuścił parabellum. Jeszcze zdąży go zastrzelić.

Ciężarówka pokonywała kolejne kilometry drogi. Georg Henschell nie widział żadnych tablic, ale nie miał innego wyjścia jak zaufać tamtemu. Przynajmniej na razie. Zaczął za to walczyć z ogarniającą go sennością. Kilka razy nie zapanował nad opadnięciem głowy.

Nagle samochodem szarpnęło. Stanęli.

– Co jest?! – krzyknął Henschell, podnosząc znów broń. – Dlaczego nie jedziesz?

W odpowiedzi Klaus Bittrich zrobił nieznaczny ruch głową do przodu.

Złodziej spojrział we wskazanym kierunku. Na drodze przed nimi, w odległości kilkudziesięciu metrów, na tle łuny pożaru, rysowały się kontury dwóch czołgów. Georg oglądał kroniki filmowe i wiedział, że to T-

34, nowoczesne czołgi sowieckie. I wiele by teraz dał, by był to tylko kinowy obraz.

– Masz teraz jakiś pomysł, przyjacielu? – zapytał Klaus.

Ranek tego dnia był piękny i słoneczny. Cień Wieży Dowódców nie oddawał w żaden sposób – może poza dachem o bardzo małym spadku, niemal płaskim – właściwego kształtu ceglanej konstrukcji. Mimo że budowla miała aż dwadzieścia trzy metry i była krępa, wręcz przysadzista – jej cień umykał po ośnieżonej łące daleko ku zachodowi. Bezpieczny. Ilu ludziom tej nocy sztuka ta się nie udała? Ilu jeszcze zostanie tu na zawsze, ściętych serią z pepeszy lub zatłuczonych kolbami karabinów – tego jeszcze nie policzono.

Wspomnianemu cieniowi towarzyszyły cienie pozostałych identycznych siedmiu wież Tannenberg-Denkmal – monumentalnej, przypominającej warowny, krzyżacki zamek, wzniesionej na planie okręgu budowli. Jednak rano to właśnie cień Wieży Dowódców, która swoją nazwę wzięła od tego, iż kryła popiersia piętnastu pruskich generałów, był zawsze zwycięski w wyścigu ku linii lasu. Tylko pory dnia potrafiły zmienić wynik tej nieobchodzącej nikogo rywalizacji.

Dziś gdy szala odwiecznej wojny między Słowianami a Germanami przechyliła się znów na stronę tych pierwszych, nikt nie miał głowy, by podziwiać wschód słońca. Nikt już też nie miał oglądać na własne oczy Tannenberg-Denkmal. Nie mieli go zobaczyć przede wszystkim wrogowie, którzy właśnie, niemal bez jednego strzału wchodzili do opuszczonego Hohenstein.

Bo oto zgrabiała od zimna ręka niemieckiego sapera napała na dźwignię detonatora. Po chwili – zbyt długiej, by nie pomyśleć, że mróz

mógł uszkodzić przewody lub któryś z dzieciaków w za dużym hełmie i mundurze w kolorze feldgrau coś źle połączył – powietrzem wstrząsnął huk.

Mauzoleum marszałka Hindenburga przestało istnieć.

Königsberg, Prusy Wschodnie, 23 stycznia 1945 roku

Dochodziła północ, gdy na nabrzeżu portu w Königsbergu zatrzymał się czarny mercedes. Wyszło z niego trzech mężczyzn: cywil i dwóch w mundurach SS. Po chwili jeden z mundurowych otworzył ostatnie, czwarte drzwi. Z samochodu wysiadł krępy mężczyzna w długim, czarnym płaszczu. Cała czwórka ruszyła w stronę trapu łączącego krawędź nabrzeża i jeden z przycumowanych przy nim lodołamaczy.

– Proszę, panie nadprezydencie. Tędy. – Cywil wskazał drogę krępemu mężczyźnie.

W tym samym momencie wyżej, na pokładzie pojawił się niski, szeroki cień. Erich Koch bez trudu rozpoznał w nim obersturmführera Wenera Rundstedta.

Ta gnida zawsze wie, jak się ustawić – pomyślał, wchodząc dość niepewnie na trap.

Po chwili ciszę zimowej nocy wypełnił tupot kilku par butów.

– *Heil Hitler!* – Rundstedt wyrzucił nad siebie wyprostowaną prawą rękę.

Koch swoją prawicę podniósł w pozdrowieniu dość oszczędnie. Również dlatego, że bardzo niechętnie oderwał ją od poręczy. Trap był śliski, wąski i chybotliwy.

– Obersturmführer Werner Rundstedt melduje... – wyrzucił z siebie grubas, gdy tylko Erich Koch postawił stopę na pokładzie.

– Prowadź do kajuty – polecił mu przybysz.

Nim ruszyli z miejsca, Koch obejrzał się za siebie. W mroku otaczającym nabrzeże nie było widać zbyt wiele. On wiedział jednak doskonale, że za kordonem z samochodów i esesmanów z doborowych oddziałów czają się setki, może nawet tysiące ludzi, którzy chcą zrobić to, co on uczyni za kilka chwil – opuścić Königsberg, zanim do miasta wejdą bolszewickie hordy...

Niespełna minutę później Erich Koch i Werner Rundstedt znaleźli się w kajucie, specjalnie przygotowanej dla nadprezydenta Prus Wschodnich.

– Czy wiadomo coś o Henschellu? – Koch od razu przeszedł do rzeczy.

– Niestety, nie mamy od niego żadnej wiadomości – odpowiedział Rundstedt. – Wszystko wskazuje na to, że zginął...

– Szkoda, naprawdę szkoda – westchnął Koch; wcale nie było widać, że specjalnie zmartwiła go ta wiadomość. – Do końca miałem nadzieję, że po latach uda mi się ułożyć tę układankę do końca. Pomyśl: skarb Piotra I po raz pierwszy w całości!

– Wszystkie skrzynie są już bezpieczne, Erichu – zapewnił Rundstedt. – Osobiście dopilnowałem załadunku.

– A świadkowie?

– Zlikwidowani. Co do jednego.

– Doskonale.

Erich Koch wyjął z szafki butelkę koniaku, otworzył ją i wypełnił dwa kieliszki. Obaj mężczyźni unieśli je. Brzęk szkła zlał się w jedno z dźwiękiem okrętowego dzwonu.

Lodołamacz z partyjnymi dostojnikami właśnie odbijał od nabrzeża.

KSIĘGA DRUGA

PRAESIDIUM

XLV

Łupstych k. Olsztyna, dzień piąty

Nad lasem, jeziorem i stojącym na jego brzegu osiedlem królowała już noc. Noc bez gwiazd i bez księżyca, bowiem niebo nad regionem od kilku godzin było kompletnie zachmurzone. Wokół panowała cisza. Wieczorna bryza zamarła zupełnie.

Na tym tle warkot silnika samochodu mógł się nieść może nawet od połowy drogi łączącej Łupstych z krajową „szesnastką”. Po kilku chwilach ciemności, które spowijały biegnącą przez las ulicę, rozświetliły długie światła zbliżającego się pojazdu. Była to taksówka.

Pojazd zatrzymał się przy jednym z domów przy ulicy Mewy.

– Dziękuję, dobranoc panu. – Tomasz Horn wysiadł z samochodu.

Taksówka odjechała, a przybysz chwilę czekał, aż czerwone światła znikną za rogiem ulicy. Wtedy stanął przed wysoką furtką i nacisnął klawisz wideofonu. Gdy zabrzączał elektromagnes, gość zniknął na terenie posesji.

W otwartych drzwiach domu oczekiwał go gospodarz.

Tomasz Horn, widząc Bogdana Sikorskiego, a w szczególności wyraz jego twarzy, w jednej chwili zrozumiał wszystko. Kilka godzin wcześniej polityk zadzwonił do niego z samochodu. Właśnie wylądował na Okęciu, prosił o jak najszybsze spotkanie. Nie zdziwił się bardzo, gdy Horn

poinformował go, że nie ma go w tej chwili w Warszawie. Umówili się zatem w domu Sikorskiego nad jeziorem.

– Co się dzieje? – rzekł na powitanie Horn.

Europoseł bez słowa podał mu rękę, po czym zaprosił do środka.

– Dzieciaki zasnęły? – chciał się upewnić dziennikarz, ale i na to pytanie nie uzyskał odpowiedzi.

Weszli do salonu. Horna zdziwiło, że Sikorski nie zapalał świateł. Mrok w mieszkaniu rozpraszała jedynie stojąca na ulicy latarnia jodowa.

Usiedli w głębokich, skórzanych fotelach. Twarz Bogdana Sikorskiego była w tym momencie ukryta w cieniu. On sam oddychał ciężko i głośno.

– Moja rodzina, Anka i dzieci... – zaczął, ale głos uwiązł mu w gardle.

– Co?

– Oni zostali porwani...

Sięgnął w dół i podał Hornowi kopertę, którą otrzymał w Brukseli, po czym zapalił światło.

Na kolorowych komputerowych wydrukach dziennikarz ujrzał trzy osoby: Annę Sikorską i ich dwoje dzieci – siedmioletnią córkę Marcelinę i dwa lata młodszego od niej chłopczyka imieniem Szymon. Usta całej trójki były pozaklejane szeroką taśmą. Taka sama taśma krępowała ich dłonie.

– W kopercie była jeszcze karta SIM – powiedział europoseł. –

Włożyłem ją do starego telefonu, wsiadłem czym prędzej do samolotu i przyleciałem do Polski. Potem w samochód i do domu. Nie wiedziałem, co robić.

– Dzwoniłeś na policję?

– Nie. Po tej historii sprzed kilku dni wiem, że mogę ufać wyłącznie sobie. I tobie...

Horn nijak nie skomentował tego wyróżnienia, tylko zapytał rzeczowo:

– Domyślasz się, kto to mógł zrobić?

W odpowiedzi odezwała się komórka Sikorskiego. Ta z przesłaną mu kartą SIM.

XLVI

Olsztyn, dzień piąty

Mimo późnej nocnej pory w jednym ze staromiejskich klubów ruch nie zmniejszał się ani trochę. Właśnie swój koncert zakończył miejscowy zespół folkowy, którego muzycy odpoczywali teraz przy stoliku, pijąc piwo. Z głośników dobiegała już zupełnie inna i o wiele spokojniejsza muzyka, adekwatna do pory. Od strony płynącej nieopodal rzeki ścieliła się mgiełka.

Joanna Kloś i Lech Nejman, siedzący przy stoliku umiejscowionym najbliżej mostu Jana, przez cały czas zerkali na siebie z ciekawością. Joanna kończyła właśnie duże ciemne piwo, jedyne, które zamówiła, odkąd zjawili się tutaj zwabieni muzyką i dobrą zabawą publiczności. Nejman w ciągu tego czasu osuszył dwa kufle.

Rozmawiali niewiele, koncert okazał się chyba wybawieniem dla obojga tych ludzi, pozostawionych niespodziewanie w swoim towarzystwie przez Horna, który zniknął zaraz po odebraniu telefonu, tłumacząc się nieco enigmatycznie ważnymi sprawami osobistymi.

– Wiesz, zastanawiam się nad jedną rzeczą – odezwała się w pewnej chwili policjantka.

– Tak? – zainteresował się Nejman.

– Jeżeli zespół nazywa się folkowym, to powinien grać muzykę, która pochodzi z tego samego miejsca co muzycy. Najprościej rzecz ujmując.

– No, chyba tak.

– W Niemczech, jeżeli jakaś grupa, na przykład z Monachium, mówi o sobie, że gra folk, to idąc na koncert, możesz być pewnym, że usłyszysz stare bawarskie pieśni ludowe, może tylko odpowiednio unowocześnione. Elektronika, trochę mocniejsze uderzenie. Dlaczego w takim razie ci, skoro są na Warmii i stąd pewnie pochodzą, grają piosenki irlandzkie?

Nejman zrobił mądrą minę, po czym wzruszył ramionami. Sam jakoś nigdy się nad tym nie zastanawiał.

– Wiem, wiem! Zaraz mi powiesz, że wspólna Europa, globalna wioska i dziedzictwo chrześcijańskie – zaśmiała się, chyba zbyt głośno, Joanna.

– Nie wiem, co ci odpowiedzieć – mruknął mężczyzna. – Znam tych gości i zawsze podobało mi się, jak grają. Nigdy nie zastanawiałem się, dlaczego wykonują akurat muzykę z Wysp. Może po prostu lubią.

– A dlaczego kulejesz? – Joanna błyskawicznie zmieniła temat.

Nejman nie dał się zaskoczyć. Musiano mu wiele razy zadawać to pytanie, bo mimo że się przy tym zaczerwienił, co na szczęście nie było widoczne przy tak skąpym oświetleniu, odparł bez mrugnięcia okiem:

– Pół roku temu miałem awanturę z kilkoma gentlemanami w niewielkiej miejscowości o nazwie Kholm – odparł z bladym uśmiechem.

– Awanturę?

– Tak. Mimo naszych usilnych próśb, nie chcieli usiąść do stołu i porozmawiać jak ludzie. Trzeba było użyć innych argumentów.

– Kholm? – Joanna zmrużyła oczy. – To chyba gdzieś w Szwecji. Byłeś marynarzem?

Lech Nejman był człowiekiem o żelaznych nerwach. Umiał doskonale panować zarówno nad wybuchami złości, jak i śmiechu.

– Nie Sztokholm, tylko Kholm – sprostował. – To trochę inny rejon świata.

Zamilkła muzyka w barowych głośnikach. Gdzieś w oddali odezwała się syrena karetki pogotowia lub policji. Joanna i Lech odstawili opróżnione kufle na blat stolika niemal w tym samym momencie. Kloś wyglądała na odrobinę wstawioną.

– Późno się zrobiło. Odprowadzę cię do hotelu, OK? – zaproponował Nejman.

– Jesteś prawdziwym gentlemanem – oceniła, podnosząc się z krzesła. – Dziwię się, że tamci nie dali się przekonać.

– Też się dziwię.

A kiedy szli już brzegiem rzeki w kierunku hotelu, powiedziała jeszcze:

– Wiesz, mam wrażenie, jakbyśmy znali się od dawna.

Nejman udał, że nie dosłyszał. Choć kosztowało go to dużo wysiłku, przyspieszył kroku, dla usprawiedliwienia czego spojrzał wymownie na zegarek.

XLVII

Pieckowo k. Kętrzyna, dzień piąty

Samochód podskoczył na wysokim krawężniku. Józef Święcki obudził się. Siedzący za kierownicą Pleban spojrział we wsteczne lusterko, napotykając spojrzenie Niemca. Wcześniej starał się tego nie robić, by nie stwarzać okazji do rozmowy.

– Jesteśmy na miejscu – rzucił przez ramię, aby wiadomość dotarła do obu.

– Jak się nazywa ta wieś? – chciał wiedzieć ich pracodawca.

– Grunwald, najjaśniejszy panie – mruknął Święcki, po czym głośno mlasnął.

Pleban tym razem nie skomentował kolejnego wybryku współnika. Nawet kląć mu się nie chciało. Resztę złości, która w nim jeszcze była, rozładował, zaciągając hamulec ręczny.

Kilka godzin wcześniej, po szybkiej naradzie, zdecydowali wrócić do pominiętego ogniwa w łańcuchu zdarzeń i osób. Czy jest coś warte, mieli dowiedzieć się za kilka chwil.

– Nieważne, jak się nazywa – powiedział Pleban. – Ważne jest, że tutaj pod siedemnastym mieszka człowiek, który przez całe lata pracował w Centrum Szkolenia Straży Granicznej w Kętrzynie. Świtoń Eugeniusz, emerytowany chorąży sztabowy, zajmujący się logistyką...

– Czym? – Niemiec nie rozumiał.

– Zaopatrywał tamtejszą kuchnię w mięso z własnej hodowli, robił przekręty na benzynie i ropie, prawdopodobnie handlował także węglem, bo przecież młodemu wopiście niestraszne nawet największe mrozy. – Świącki z właściwą sobie subtelnością wyręczył kolegę.

– Można i tak powiedzieć – sapnął Pleban z rezygnacją. – W każdym razie człowiek ten przez kilkadziesiąt lat miał pod swoją opieką nie tylko słuchaczy szkoły, ale też lwa, który wyszedł cało i z wybuchu w styczniu czterdziestego piątego roku, i z późniejszej wizyty czerwonoarmistów. Jeszcze przed decyzją o rozbiórce mauzoleum został stamtąd zabrany. Przez kilkadziesiąt lat nikt nie wiedział, gdzie się znajduje. Może nawet nikogo to nie obchodziło. A był niedaleko, w Kętrzynie...

– Rastenburg – przetłumaczył usłużnie Świącki.

– Dokładnie na terenie koszar, gdzie kształcono przyszłych oficerów i chorążych Wojsk Ochrony Pogranicza, a później Straży Granicznej. Kilka lat temu ktoś przypadkowo rozpoznał zgubę i po krótkich negocjacjach zabrał do Olsztynka, gdzie z wielką pompą ustawiono ją przed ratuszem. A dalej to już wiecie.

Zaległa cisza, na której tle szmer pracującego wciąż silnika, w połączeniu z późną porą, działał na zmysły kojąco, jeśli nie usypiająco. Ale żadnemu z mężczyzn już nie chciało się spać – i to z różnych powodów.

– Idzie pan z nami czy poczeka w samochodzie? – Pleban zwrócił się do Niemca, wciąż konsekwentnie starając się nie patrzeć mu w oczy.

– Chyba będzie lepiej, jeśli zostanę – odpowiedział zleceniodawca po krótkim namyśle.

– W takim razie proszę na nas poczekać – rzekł Świącki. – To nie powinno potrwać długo. Pan Świtoń mieszka sam, ponieważ niedawno

zmarła jego ukochana żona, Klementyna.

– Skąd wiecie? – Niemiec zamrugał powiekami.

– Po prostu wiemy. Wiemy też, że jest w domu, ponieważ dzwoniliśmy do niego pół godziny temu – uzupełnił półgębkiem Pleban, upychając za pasem jakiś ciemny kształt, podczas gdy jego druh wydobywał ze skrytki pod deską rozdzielczą duży foliowy worek i zwiniętą linkę; w świetle lampki pod sufitem błysnęła klinga myśliwskiego noża.

Na widok wszystkich tych przedmiotów i szelestu folii siedzącemu na tylnej kanapie mężczyźnie zrobiło się słabo.

– Zaraz wracamy – rzucił jeszcze kierowca.

Eugeniusz Świtoń mieszkał na przeciwnym krańcu wsi, jednak względy bezpieczeństwa kazały pozostawić auto dokładnie tam, gdzie stało teraz. Dodatkowym zabezpieczeniem były kradzione tablice rejestracyjne – białe, nowe, powiat hrubieszowski – których szybkiej zamiany dokonali jeszcze przed hotelem, chwilę po podjęciu decyzji o wyjeździe.

Ponieważ Świącki wtedy gdzieś dzwonił, oszczędzając na stronę, musiał to zrobić sam Pleban, przeklinając przy tym, aż patrzyli na niego jacyś ludzie zmierzający z parkingu do hotelu. Ale miał to w dupie.

Nie pierwszy to zresztą raz i pewnie nie ostatni zmieniał te tablice. Wiele spraw między Polakami wymagało bowiem specjalnego, często szybkiego i dyskretnego załatwienia. Fach, który mieli w rękach Pleban i Świącki, wciąż cieszył się wielkim uznaniem w społeczeństwie. Działali czasami razem, czasami w pojedynkę lub w innych konfiguracjach. Wtedy nie zwierzali się sobie nawzajem. Mniej wiesz, krócej będziesz przesłuchiwany, jak to mówią.

Jakiś czas temu na przykład Świącki otrzymał zlecenie, przez pośrednika oczywiście, by w pewnym domku nad jeziorem podrzucić „konserwę”, dziewczynę, najlepiej młodą i ładną. Wiedział dobrze, gdzie

można znaleźć dziwkę z któregoś z państw byłego Układu Warszawskiego, a gdzie młodych ludzi na gościnnych występach. Zadanie nie nastęczyło mu więc wielu kłopotów. Zaraz potem przyszło następne, roboty było więc wciąż sporo...

– A pamiętasz, Zygmunt, jak robiliśmy tego proboszcza ze Świętej Lipki? – ożywił się nagle Święcki.

– Co mam nie pamiętać.

– To chyba było w osiemdziesiątym trzecim...

– Czwartym.

– Nie będę się upierał. Ale pamiętam, jakby to dzisiaj było: wielebny przyjechał właśnie tutaj swoim dużym fiatem na tęgie picie z sołtysem, Nowakiem. O tam. – Święcki wskazał ręką boczną uliczkę. – Drugi albo trzeci dom po lewej stronie.

– Pamiętam, pamiętam. – Pleban w końcu też się ożywił. – Żaden łańcuchowy burek nawet nie warknął, jakeśmy tego klechę w nocy po jajach kopali. Ciekawe czemu?

– No! To były czasy...

Kilka chwil później znaleźli się w skąpo oświetlonej części wsi. Z otwartego okna jednego z domków, mimo środka nocy, dobiegał wyraźny głos telewizora. Wreszcie zatrzymali się przed furtką, koło której na emaliowanej tabliczce widniała jakby dziecięcą ręką wymalowana cyfra siedemnaście.

Pleban wyciągnął pistolet zza pasa, drugą ręką pchnął lekko furtkę. Nie zaskrzyiała, mimo że wyglądała na wiekową.

– Widać, że pan chorąży robił w „empeesach” – zauważył Święcki.

Szli wąską, może nawet niedawno wyłożoną kostką ścieżką, która szerokim łukiem okrążała piętrowy dom z płaskim dachem. Do głównego wejścia prowadziło kilkanaście stopni schodów. Front budynku ściągał

uwagę kawałkami lustra przyklejonymi do tynku, co miało stanowić ozdobę, większość gości chyba jednak zniesmaczało.

Po chwili Pleban i Święcki stali przed drzwiami. Ten drugi nacisnął przycisk dzwonka. Nie usłyszeli jego dźwięku, widocznie musiał odezwać się gdzieś w głębi domu. Święcki spojrzął na zegarek. Był dopiero – a może już – kwadrans po północy.

– Kto tam? – zza drzwi dobiegł czyjś schrypnięty głos.

Wymienili porozumiewawcze spojrzenie, Pleban nieznacznie skinął głową.

– Dobry wieczór panu. Zakład energetyczny – powiedział zmienionym nieco, za to mocnym głosem Święcki. – Doszło do awarii sieci przesyłowej. Musimy dokonać kontroli u wszystkich mieszkańców wsi... – Chrząknięcie, jakby mówca się zawahał. – Czy mógłby nas pan wpuścić do środka?

– Że co?! – Mimo że oddzielała ich gruba dykta, może obita od wewnątrz niemodnym skajem, wyraźnie dało się rozpoznać charakterystyczny starczy dyszkant. – Jaki... napój energetyczny?

Pleban zaklął pod nosem, Święcki przewrócił oczami. Już otwierał usta, by jeszcze raz powtórzyć swoją bajkę, gdy uszy ich pochwyciły jakże miły dźwięk. Chrobot klucza w zamku.

XLVIII

53°43'N, 20°30'E, dzień piąty

– Muszę stanąć gdzieś dalej, nie na zakręcie – powiedział Bogdan Sikorski. – Drogówka gotowa się przyczepić, mimo że to noc. Znam ja takich nadgorliwych.

– Może i dobrze by się złożyło – wtrącił siedzący na tylnym siedzeniu Tomasz Horn.

– Nie zaczynaj od nowa. Nie mam zamiaru iść na policję. Przynajmniej nie teraz. Dosić się u nich nasiedziałem.

– Jak chcesz.

– Prawdę mówiąc, ciebie również nie powinno tutaj być.

– Naprawdę?

– Powiedzieli wyraźnie, że mam przyjechać sam. Zupełnie sam!

– No i jesteś zupełnie sam. Mam nadzieję, że mnie nie widać z zewnątrz. – Horn jeszcze bardziej opuścił się na tylnym siedzeniu, teraz już niemal na nim leżał. – Zresztą od kiedy ty zacząłeś słuchać poleceń innych ludzi, co? – zapytał po chwili prowokująco.

– Inaczej byś śpiewał, gdyby tobie porwali rodzinę.

– Nie zaprzeczam.

– I nie próbuj.

Na tym dialog między dawnymi szkolnymi kolegami się urwał.

Nissan pathfinder Sikorskiego zatrzymał się na wąskim poboczu, kierowca zmienił światła z mijania na postojowe. Widać stąd było zakręt drogi i znajdującą się przy nim kapliczkę o gotyckim kształcie.

– Co teraz? – zapytał Horn.

– Mam czekać. O pierwszej, czyli dokładnie za piętnaście minut, wysiąść z samochodu, podejść do kapliczki i wyjąć z niej kopertę z dalszymi instrukcjami. Mają się tam znajdować także aktualne zdjęcia Anki i dzieci.

Horn westchnął ciężko. Przez całą drogę, którą przebyli z Łupstychu, nie zamienili ze sobą ani słowa. A przecież należało mu się jakieś wyjaśnienie. Sprawy zaszły zbyt daleko, by bawić się w niedomówienia. W końcu dziennikarz nie narzucał się nikomu ze swoim towarzystwem, bo to sam Sikorski zadzwonił do niego, a potem wręcz nazwał osobą, której ufa.

– Bogdan – zaczął Horn. – Od kilku dni dzieją się wokół ciebie i osób ci bliskich rzeczy co najmniej dziwne. Rzeczy, które nie zdarzają się zwykłym ludziom.

– Zauważyłem. I co?

– Najpierw ktoś wrabia cię w paskudne morderstwo, z którego to powodu zostajesz aresztowany. Potem ktoś do nas strzela na środku jeziora. Wreszcie porywają ci rodzinę jak w jakimś pierdolonym thrillerze! Wydaje mi się, że powinienem coś wiedzieć. Masz jakieś problemy?

– Nie.

– Długi?

– Skąd!

– Wziąłeś od kogoś działkę za lobbing i się nie wywiązałeś? – Horn nie wierzył, że wypowiada te ostatnie słowa.

Siedzący do niego tyłem Sikorski tym razem nic nie odpowiedział.

Horn już otwierał usta, by od nowa zacząć gnębić przyjaciela kolejnymi pytaniami, a miał w tym wprawę, gdy usłyszeli warkot silnika. Potwierdziły to długie światła.

Drogą od strony Jarot zbliżał się jakiś pojazd, jednak mijając stojącego na poboczu nissana, nie zwolnił i pomknął dalej. Po chwili znów otoczyła ich cisza.

Ale wtedy przerwał ją Bogdan. Najpierw westchnął, jak ktoś, komu ciąży na sercu jakiś wielki ciężar. Następnie zaczął mówić.

– To było pół roku temu. Jak pewnie wiesz, jako polski eurodeputowany mam prawo, a nawet obowiązek dbać o to, żeby przybliżać wyborcom, starym albo przyszłym, idee pracy Europarlamentu, Komisji Europejskiej oraz wszystkich tych mądrych ciał. I nie chodzi o żadne tam pogadanki w szkołach, rozdawanie głupich folderów czy inne mydlenie oczu, ale o konkret.

– Czyli?

– Czyli to, że dwa razy do roku mogę zafundować zwykłym ludziom wycieczkę do Brukseli lub Strasburga na koszt parlamentu.

– Owszem, słyszałem coś o tym – mruknął Horn. – Kilka lat temu tak zwani wyborcy z zachodniopomorskiego, a w rzeczywistości koledzy pana eurozjada, uchłali się do nieprzytomności i zrobili burdę, jeszcze zanim wiozący ich autokar przekroczył polsko-niemiecką granicę. A jechali ze Szczecina.

– Tak, to właśnie to – potwierdził Sikorski, nie reagując na sformułowanie, jakim obdarzano przedstawicieli Polski w Brukseli. – Na szczęście nic takiego nie zdarzyło się mnie.

– A przynajmniej nic o tym nie wiesz.

– Daj mi skończyć, dobrze?

– W porządku. Już się nie odzywam.

– Zawsze starałem się zapraszać ludzi z różnych środowisk. Raz byli to licealiści, którzy wzięli udział w organizowanym przeze mnie konkursie wiedzy o Unii Europejskiej, innym razem działacze związkowi, kolejarze z największych węzłów województwa. Nie zapomniałem też o kolegach ze studiów i wcale się tego nie wstydzę. Bywało też, że do autokaru wsiadali ludzie zupełnie ze sobą niezwiązani, poznawali się dopiero podczas podróży.

Ciekawy punkt wyjścia do jakiegoś *love story*. Albo filmu porno – pomyślał Horn nie bez złośliwości.

Bogdan tymczasem ciągnął dalej:

– Za każdym razem, chwilę po przyjeździe do Brukseli, miało miejsce zwiedzanie siedziby Parlamentu, a także spotkanie ze mną, podczas którego mówiłem o swojej pracy i odpowiadałem na pytania. Tych nigdy nie było zbyt wiele, może też dlatego, że ludzie ci pragnęli ponad wszystko znaleźć się w hotelu i wyciągnąć nogi na łóżku.

– Co się dziwić. Doba spędzona w autokarze...

– Na samolot nie dostaję pieniędzy – skwitował Sikorski. – Któregoś dnia podczas takiego spotkania rozgorzała gorąca dyskusja na temat niemieckich roszczeń majątkowych na Warmii i Mazurach. Miałem już wtedy na koncie jedną tego typu interwencję, więc znaleźli sobie we mnie odpowiedniego słuchacza.

– O co dokładnie chodziło?

– O nieruchomości, którą chcieli odzyskać niegdysiejsi właściciele, obecnie mieszkający w Niemczech. Nie miałem za bardzo czasu, żeby specjalnie rozwijać ten temat, bo czekało na mnie zebranie komisji. Na sam koniec podszedł do mnie starszy mężczyzna. Począł cierpliwie, aż wszyscy wyjdą z sali, a potem opowiedział krótką, choć bardzo ciekawą historię.

– Jak pogonił Iwana? Czy Helmuta?

– Nie. Była to historia o ciężarówce, która w styczniu czterdziestego piątego roku, uciekając przed zbliżającą się Armią Czerwoną, wpadła w kocioł. W ostatniej chwili ładunek został przeniesiony przez Niemców i dokładnie ukryty. Ukryty gdzieś w pobliżu miejsca, do którego rodzice tego człowieka przybyli miesiąc później jako polscy osadnicy.

– Co to był za ładunek?

– Plotka głosi, że ciężarówka wiozła jakąś broń, prawdopodobnie rakietę V-1, cudowną broń Hitlera, która wraz z innymi miała być użyta w obronie Prus Wschodnich przed nadciągającymi Rosjanami. Wiadomo było za to, że dzień wcześniej ciężarówkę tę widziano na terenie Tannenberg-Denkmal pod Olsztynkiem...

Horn poczuł nagle, jak zimny dreszcz chłószcze mu plecy, choć w samochodzie było ciepło, a lipcowa noc też nie należała do najchłodniejszych.

Drobne puzzle zaczynają układać się w konkretny obraz – pomyślał.

Choć jeszcze niewiele na nim było widać, on to czuł instynktownie. Przede wszystkim dlatego, że znów pojawiała się ciężarówka.

Czy była to ta sama ciężarówka, którą dostrzegł na jednym ze zdjęć przedstawiających niemieckich uchodźców z Prus Wschodnich? Jeżeli tak, to firmie Baum und Giese nie chodziło wcale o granit, marmur, kamienie ani zaginione popiersia generałów z 1914 roku, którzy wygrali wielką bitwę pod Tannenbergiem!

– Wiesz, skąd był ten staruszek? – zapytał po chwili.

– W tym tkwi problem – westchnął europoseł. – Nie przedstawił mi się ani nie powiedział, skąd jest. A może zrobił to, ale ja po prostu nie zwróciłem uwagi. Wiesz, tyle pracy, komisje, obrady, ciągły pośpiech...

– Domyślam się.

– Szukaliśmy go później według listy uczestników wycieczki, bo przecież takie mieliśmy jako organizatorzy, ale bez skutku. Tak się złożyło, że starszych mężczyzn w podobnym wieku był tam niemal tuzin. Ale nie sprawdziłem jeszcze wszystkich. Miałem zamiar to zrobić podczas tych wakacji.

Cisza. Horn miał wrażenie, że nawet chór żab nieopodal przerwał swój koncert.

– Nie myśl sobie tylko... – Sikorski odwrócił się po raz pierwszy, odkąd się zatrzymali w tym miejscu, i spojrzał wymownie na przyjaciela. – Nie myśl sobie tylko, że miałem w tym jakiś własny interes. Bo co, znalazłbym rakietę i sprzedał? Komu? Al-Kaidzie?! Ja naprawdę mam zamiar bronić ludzi przed roszczeniami. Wykonywać swoje obowiązki poselskie najlepiej, jak potrafię!

– Oczywiście.

– Owszem, to bardzo ciekawa sprawa. W dodatku fakt istnienia gdzieś rakiety o takiej sile stwarza ogromne niebezpieczeństwo. Dowiadywałem się, zresztą wczoraj, z czego składały się niemieckie V-1. A jeżeli na Warmii i Mazurach jest jeszcze więcej tego gówna? Może ktoś postawił sobie na tym chałupę?

Zamilkł. Hornowi to jednak wcale nie przeszkadzało. Usiłował bowiem zapanować nad swoimi myślami. Nie zapytał jeszcze przyjaciela o tę tajemniczą dziewczynę z Pelnika, o której powiedział mu Stawski. Tylko czy powinien? A może to była po prostu tylko kolejna osoba, której Sikorski starał się pomóc?

– Czy wszystko – ciągnął po chwili Sikorski – co mnie spotkało w ciągu tych kilku dni, ma związek z tą sprawą? Nie wiem. Nie wiem nawet, kto mógłby za tym wszystkim stać. Skąd się dowiedzieli. Nie wdepnąłem też w nic innego, naprawdę.

Znów przerwał. Siedzący z tyłu Horn nie mógł widzieć, co robi Sikorski. A ten spojrzał tylko na zegarek.

– Dwie po pierwszej! – krzyknął europoseł. – Zagadałem się. Przecież miałem wyjąć kopertę z kapliczki dokładnie o pierwszej...

Szarpnął klamkę drzwiczek, wyskoczył z auta i już sadył wielkimi krokami w kierunku przydrożnej kapliczki.

– Bogdan! – krzyknął Horn, by zaraz potem zastygnąć w bezruchu; bił się bowiem z myślami, czy ma biec za Sikorskim, czy, tak jak dotychczas, udawać, że go tu nie ma.

Wybrał to drugie. Skulił się jeszcze bardziej i przez szparę między przednimi fotelami i przednią szybą obserwował poczynania przyjaciela. Widział dokładnie, jak tamten dobiegł do kapliczki, zajrzał do jej wnętrza, włożył tam rękę, by po chwili wyjąć ją.

Nie trzymał w niej niczego.

Sikorski powtórzył czynność, może nawet sięgnął dużo głębiej i szukał szybciej, jednak znów z tym samym skutkiem.

– Cholera – mruknął Horn.

I już miał zamiar opuścić kryjówkę, jedna strona odstąpiła przecież od umowy, gdy nieoczekiwanie z leśnej przecinki wyjechał samochód z wyłączonymi światłami, dotąd niewidoczny. Zatrzymał się z piskiem opon kilka metrów od kapliczki.

Horn nie potrafił rozpoznać marki auta. Widział tylko, że jest to potężna maszyna, co potwierdzał basowy głos pracującego silnika.

Z jego wnętrza wyskoczyły dwa cienie. Jeden zarzucił Bogdanowi worek na głowę, drugi zadał cios w żołądek, po którym Sikorski zgiął się wpół. Wrzucili europosła do bagażnika, zatrzasnęli klapę. Samochód odjechał. Przez gałęzie drzew mignęły zapalane dopiero teraz czerwone światła.

XLIX

Droga krajowa nr 16, między Mrągowem a Biskupcem, dzień piąty

Niemiec stał oparty rękami o przydrożne drzewo i rzygał. Jego ciałem wstrząsały spazmy, jeden za drugim, ale efekt tego był mizerny. Sama żółć.

Pleban i Świątki przez otwarte drzwi stojącej na poboczu terenówki obserwowali męczarnię swojego chlebowodawcy. Żaden nic nie mówił. Kierowca nie wyłączał silnika. Dniało.

– Jak w osiemdziesiątym czwartym Karolakowi, temu przewodniczącemu „Solidarności” z zakładów graficznych, żeśmy perswadowali to i owo, mi też żołądek nie wytrzymał – powiedział Świątki. – „Rzeźnik” wtedy trochę przesadził. Baliśmy się, że temu Karolakowi to mózg przez ucho wypłynie...

– Zamknąłbyś się – warknął Pleban. – Widzisz, że się chłop męczy. Wrażliwy jest.

– Wszystko rozumiem. Problem w tym, że trochę mi się spieszy.

– Każdemu się dziś spieszy. Po chuj żeś mu w ogóle ten paluch pokazywał?

– Myślisz, że chuj byłby lepszy?

– Józek, kurwa!

– Chciał wiedzieć, jak było. – Świątki tylko wzruszył ramionami. – Ze wszystkimi szczegółami. Uważam, że postąpiłem właściwie. Chciał

szczegółów, to dostał. Do ręki. – Nie powstrzymał się i zarechotał.

Niemiec jakby usłyszał te słowa, bo zgiął się jeszcze bardziej.

Trudno się było dziwić. Najtwardsi mogli nie wytrzymać widoku palca serdecznego prawej ręki, świeżo uciętego za pomocą obcęgów Eugeniuszowi Świtoniowi ze wsi Pieckowo pod Kętrzynem.

Nie wiadomo, czemu właściwie Święcki to zrobił. Przesłuchiwany przez nich emerytowany chorąży Straży Granicznej powiedział przecież, co zrobił z zawartością znalezionej w brzuchu lwa metalowej tulei. A zrobił to zaraz po tym, jak rzucili go o podłogę, skopali, a następnie przywiązali do krzesła, obili mordę i zaczęli przypalać gołenie za pomocą zapalniczki.

Zawartość owa, a było nią niewielkie, płaskie, metalowe pudełko, leżała sobie spokojnie w garażu, w jednej z szuflad metalowej komódki, w której starszy pan trzymał narzędzia. Nie potrafił powiedzieć, czemu ją zabrał. Zarzekał się też, że nigdy szkatułki nie otwierał, nawet nie próbował. Nie uwierzyli, bo na wieczku i ściance widniały liczne rysy po ostrych narzędziach.

Sprawa była załatwiona. Pleban mówił prawdę Niemcowi, że wróca niebawem. Już mieli wychodzić, gdy Święcki odciął starcowi palec, grożąc jednocześnie, że jeśli piśnie komukolwiek słowo, obetną mu, z podobną łatwością, głowę.

– No co? Miałem nas narażać? – zachnął się, gdy opuszczali dom Świtonia, a po chwili się odgryzł: – Ty też nie musiałeś patroszyć tego gościa w szpitalu.

– Moja sprawa, co zrobiłem. I moje metody. Ja się nie dopytuję, gdzie ty tak ciągle wydzwaniasz.

– Spróbowałbyś, kurwa.

Tymczasem Niemiec wrócił do samochodu. Wycierał sobie usta chusteczką, jakby przed chwilą zjadł smaczny obiad w restauracji,

i uśmiechał się przepaszająco.

– Możemy jechać, proszę pana? – chciał wiedzieć kierowca.

– Tak. Oczywiście – potwierdził tamten. – Przepraszam. Już nie będziemy się więcej zatrzymywać.

Zajął miejsce, zatrzasnął drzwi. Po chwili mknęli pustą szosą w kierunku Olsztyna.

Niemiec sięgnął w bok i wziął do rąk znalezisko, które było przyczyną dramatu nieznanego mu człowieka. Nie był pewien, co jest w środku. Nie uspokoiło go zdanie Święckiego, że jak coś, to jeszcze mogą tam wrócić. I że tamtemu zostało jeszcze dziewięć palców...

Ów Niemiec poruszający się po Europie awionetką, czytający „Das Bild” i mający sporą wiedzę na temat II wojny światowej nazywał się Helmut Baum, miał lat czterdzieści pięć i był właścicielem firmy, którą przed niespełna rokiem odziedziczył po zmarłym stryju, Siegfriedzie.

Atmosfera, która w tym czasie otaczała Baum und Giese, nie była zbyt dobra. Za firmą wciąż bowiem ciągnął się smrodek afery z kamieniami z mauzoleum Hindenburga.

Sam Helmut, z zawodu drukarz, trochę lekkoduch, rozwiedziony, ojciec dwojga dzieci, też za bardzo nie orientował się w kwestiach wyrobu i obrotu materiałami budowlanymi. A przecież tym od niemal stu lat zajmowała się firma – najpierw skromna manufaktura, potem całkiem duże, wreszcie znane w całych Niemczech przedsiębiorstwo.

Z dnia na dzień postawiono przed Helmutem Baumem wielkie wymagania. Chyba największe w jego całym dotychczasowym i, jak często sam Baum powtarzał po wypiciu kilku sznapsów, zasranym życiu.

Jednak handel cegłami, cementem i dachówką to nie wszystko, z czym miał się zmierzyć. Ledwo miesiąc po tym, jak zajął gabinet po swym zmarłym stryju (dymu z cygar, które palił Siegfried, jeszcze nie dało się

wywietrzyć!), zjawilo się w nim dwóch dziwnych mężczyzn. Ubrani w niemal jednakowe garnitury, przekazali mu list. I tylko tyle.

Na początku Helmut przestraszył się, że to wierzyciele. Potem znów, że natrętni producenci tego czy owego, próbujący zainteresować nowego właściciela propozycją współpracy.

Kiedy wziął do trzęsących się rąk list, kiedy otworzył kopertę i zaczął czytać, wiedział już, że to coś zupełnie innego.

W pierwszych słowach listu serdecznie gratulowano mu objęcia w posiadanie firmy Baum und Giese. W kolejnych żywiono nadzieję, że da sobie radę, nie zawiedzie kooperantów i partnerów, a przede wszystkim nie splami dobrego imienia przodków.

Zaśmiał się wtedy, bo obok na biurku leżał akurat list z pogrózkami od jakiegoś pokrzywdzonego przez firmę emeryta z Essen, który koniecznie chciał mieć w domu choćby mały fragment muru z niegdysiejszej dumy Niemców, Tannenberg-Denkmal, ale go nie otrzymał.

W dalszej części listu stało, że firma działa od lat, a szczególną aktywnością wykazała się podczas ostatniej wojny, budując tak przecież potrzebne sierocińce i szpitale, w czym wspierało ją pewne stowarzyszenie o powszechnej, a jednocześnie dość enigmatycznej nazwie Borussia XX. Helmut Baum znał drużyny piłkarskie o tej nazwie, tej z Dortmundu nawet kibicował, gdy grała w międzynarodowych pucharach.

Ale czym była Borussia XX?!

Tego miał się dowiedzieć wkrótce. Nie wiedział wtedy jeszcze, że jedno spotkanie będzie w stanie zmienić całe jego życie.

L

Olsztyn, dzień piąty

Podinspektor Tomasz Stawski patrzył w milczeniu za okno. Wydawało się, że bardziej interesuje się ptakami, które obsiadły drzewa między zapleczem komendy a torami kolejowymi, niż tym, co przed chwilą usłyszał.

Moment ten wykorzystał obecny przy rozmowie komisarz Kontra. Wyprostował się na krześle, odchrząknął i zwrócił się do siedzącego *vis-à-vis* przy konferencyjnym stole Horna:

– Dlaczego pan sądzi, że poseł Sikorski został porwany? – zapytał, mrużąc przy tym oczy. – Może jacyś koledzy zrobili mu kawał? Tak jak niedawno z tym burmistrzem. Zrobiono aferę, prawie jak przy Aldo Moro czy innym Olewniku, a okazało się, że panowie szlachta tak się popili na imieninach u któregoś, że zamknęli człowieka w piwnicy, a potem o nim po prostu zapomnieli.

– Nie wiem, o czym pan mówi – odrzekł z trudem Tomasz Horn.

Był niewyspany, niehumanitarnie zmęczony. Marzył o kawie i prysznicu.

Zaraz po tym, jak Bogdan zniknął, dziennikarz usiadł za kółkiem jego nissana pathfindera i po prostu wrócił do miasta. Przez jakiś czas stał pod domem Sikorskiego, bo nic innego nie przyszło mu do głowy. Miał też nadzieję, że tamten wróci. Poobijany, ale cały.

Wyrzucał sobie, że nie zrobił nic, by go ratować. Że nie ruszył w pogoń za samochodem, do którego wrzucono Bogdana niczym worek ziemniaków.

Że to tylko czyjś głupi żart, też przeszło mu przez głowę. A potem zasnął za kierownicą.

Słońce wisiało już nad jeziorem, kiedy obudził się, sztywny i zmarznięty, z suchym gardłem i bolącą głową. Uruchomił wóz i pojechał prosto na ulicę Partyzantów, do Stawskiego. Szczęśliwie zastał go, żadne portierki ani sekretarki, mundurowe czy po cywilnemu, nie robiły problemów. Zresztą gdyby tylko która spróbowała...

Powiedział koledze o wszystkim. Podinspektor wezwał Kontrę, nie wiadomo czemu.

Tak, zaraz pewnie usłyszę, że to ja porwałem Sikorskiego – pomyślał ze złością Horn.

– Nie denerwuj się, Tomasz. – Stawski poczuł się w obowiązku interweniować. – Staramy się wyjaśnić wszystkie okoliczności tej sprawy. Jak wiesz, jest ona dość pogmatwana. Delikatnie mówiąc. Człowiek zostaje aresztowany pod najcięższym zarzutem, potem wychodzi za kaucją, ktoś do niego strzela. Wreszcie porywają mu rodzinę i on sam też gdzieś znika.

– Został porwany – warknął Horn. – Sam widziałem, jak naciągali mu worek na łeb i wrzucali do samochodu.

Kilka minut później dostał do podpisania zeznania. Przeczytał jednostronicowy dokument. Wszystko było tak, jak powiedział. Nie widział sensu stawać okoniem. Reszta należała do policji.

– Znajdźcie go – mruknął, patrząc na Stawskiego.

Pożegnali się i Horn opuścił pokój. Po chwili wyszedł także z gmachu komendy wojewódzkiej. Na skwerku czekała na niego Joanna, do której zadzwonił godzinę wcześniej.

– Dawno znasz tego Lecha Nejmana? – zapytała, gdy już szli w stronę centrum miasta.

– Od dość dawna. Może z dziesięć lat – odpowiedział Horn. – A co?

– Nic. Jakiś dziwny.

– To prawda.

– A co się dzieje u ciebie?

Horn nie widział powodów, by nie opowiedzieć o wszystkim, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilkunastu godzin.

– Myślę, że powinniśmy złożyć wizytę w pewnym biurze poselskim – rzekł na koniec.

LI

Olsztyn, dzień piąty

– Zdejmijcie mu ten worek z głowy, do cholery!

Siedzący na twardym krześle Bogdan Sikorski poruszył się niespokojnie, słysząc głos, który poprzedził dźwięk otwieranych drzwi. Ręce, które trzymał na zimnym blacie stołu niczym pierwszoklasista, zaczęły się trząść.

Choć nikt go nie bił, pomijając moment pojmania pod kapliczką i mało subtelne wrzucenie do bagażnika, ani na niego nie krzyczał, bał się jak nigdy wcześniej w życiu. W równym stopniu o siebie, jak i o swoją rodzinę. Jedyne plus było takie, że Anka i dzieci prawdopodobnie byli blisko. Być może porywacze pozwolą mu zaraz zobaczyć się z bliskimi.

Ledwo o tym pomyślał, ktoś jednym ruchem ściągnął mu z głowy worek.

Sikorski zamrugał oczami, pomieszczenie było bowiem dobrze oświetlone, choć nie posiadało okien. Nie zobaczył przed sobą nikogo, choć wiedział, że prócz niego są tu co najmniej dwie osoby.

– Przepraszam – usłyszał za plecami znajomy głos.

Odwrócił się gwałtownie, tamten człowiek też zmieniał już miejsce.

– Wójcik?! – Sikorski nie wierzył własnym oczom. – Co ty tutaj robisz?
– zapytał, by zaraz się poprawić: – Co ja tutaj robię?

Major Marcin Wójcik, oficer łącznikowy w głównej kwaterze NATO, z którym europoseł widział się niespełna dwadzieścia cztery godziny temu w odległej o co najmniej tysiąc kilometrów Brukseli, z zakłopotaniem drapał się za uchem. Minę miał niewyraźną. Jak winowajca.

– Co to wszystko znaczy, kurwa?! – warknął Sikorski, zaciskając w pięści leżące niezmiennie na blacie stołu dłonie.

W odpowiedzi Wójcik rzucił na stół szarą kopertę.

– Zobacz sam.

Sikorski drżącymi rękami otworzył kopertę, skąd po sekundzie wyjął zdjęcia swoich bliskich. Były to dokładnie te same zdjęcia, które dostał wczoraj w Brukseli.

– Nie rozumiem.

– To jest koperta, która czekała na ciebie w kapliczce pod Bartążkiem. Wyjęliśmy ją chwilę przed tym, jak się tam zjawiłeś. Czekaliśmy, aż wyjdiesz. Dokładnie do pierwszej. Na pytanie pana posła, skąd wiedzieliśmy w ogóle, że tam się pan pojawi, odpowiadam: od czasu afery z martwą dziwką masz w domu założony podsłuch.

– Co?!

– Potem się będziesz sądził, a teraz posłuchaj uważnie. – Oficer pochylił się nisko nad Sikorskim. – Powiedziałem ci wczoraj wszystko, co wiem o niemieckich rakietach V-1. Teraz ty musisz powiedzieć mi wszystko, co wiesz. Dla dobra nas i wszystkich mieszkańców okolicy. A być może całego kraju.

– A co z moją rodziną?

– Szukamy ich. Sam widzisz, że porywacze chcieli cię tylko rozdrażnić. Te zdjęcia nic nowego przecież nie wnoszą. Tym bardziej nie są żadnym dowodem życia. Nic więcej w kopercie ani w kapliczce nie było. Zrozum,

Bogdan... – Wójcik potarł dłonią czoło. – Chcemy ci pomóc i zrobimy wszystko, żeby odnaleźć twoją żonę i dzieci. Ale ty też musisz nam pomóc.

– Ale ja nic nie wiem!

Oficer westchnął ciężko.

– Twój asystent mówi co innego – rzekł po chwili.

Sikorski wysoko uniósł brwi, następnie je zmarszczył.

– Wyhodowałem zmię na własnej piersi. – Pokręcił głową z niedowierzaniem i niesmakiem. – Gdyby nie ja, biedowałby jako nauczyciel w jakiejś zaszraniej wiejskiej szkółce. Albo na bezrobociu.

– Nie oceniałbym go tak pochopnie. Radziszewski bardzo nam pomógł. A kto wie, czy nie uratował ci życia...

Przerwał im dzwonek telefonu. Ogolony na pałę osiłek, który przez cały czas stał za plecami Bogdana, podał swojemu dowódcy aparat. Sikorski dopiero teraz rozpoznał swoją komórkę.

– To chyba porywacze – stwierdził major, spoglądając na mrugający wyświetlacz, po czym przekazał telefon Sikorskiemu. – Odbierz po trzech sygnałach. I spokojnie. Pamiętaj, że gramy do jednej bramki.

LII

Olsztyn, dzień piąty

Ingeborg Schwarz ani na jedną chwilę nie odstępowała swojego męża, Ericha. Przez cały czas trzymała się jego ramienia, prawego bądź lewego, albo chwytła się dłoni, gdy musieli się przemieścić.

Zamieszanie wokół wyjazdu ich grupy wycieczkowej do Niemiec było bowiem spore: noszenie walizek, kuferków, upychanie bagażu w lukach umieszczonych pod cielskiem autokaru, charakterystyczna dla takich chwil krzątanina i nerwowość.

Jeszcze ostatnia, szybka decyzja, co zabrać ze sobą na górę – wodę, termos, książki, gazety, zakupiony dzień wcześniej album ze zdjęciami *Warmia i Mazury – Ermland und Masuren*, a może i poduszkę, bo pewnie zachce się spać. Droga przed nimi przecież długa. Zanim dotrą do granicy, gdzie czekają już normalne autostrady, dzień cały zleci, a może i pół nocy.

Przewodnik wycieczki, Stefan Ludwiszewski, dwoił się i troił, pomagając swoim – póki co – podopiecznym. A to zniósł z pokoju ogromną walizę Ilsy Braun i umieścił ją w bagażniku, a to pożartował z Christianem Weberem. Śmiali się z jakiegoś opowiedzianego przez emeryta dowcipu. Opowiedzianego zresztą po raz trzeci, ale Polak absolutnie nie dał tego po sobie poznać.

– Wyborne! Świetne, naprawdę! – chichotał, trzymając się za brzuch. – Dawno się tak nie ubawiłem, *Herr Weber*.

Prawda była taka, że Ludwiszewski cieszył się z każdego przejawu wesołości. Po tym wszystkim, co się wydarzyło... Wycieczka wracała przecież do Niemiec bez dwóch uczestników: Franka Prochnova i Klause Miehkego.

Tymczasem Schwarz z szarmanckim uśmiechem i ukłonem podszedł do koleżanki-wycieczkowiczki, wyjął z jej rąk uchwyt i już dźwigał walizę w kierunku stojącego na przyhotelowym parkingu autokaru, w którego oknach pojawiała się coraz więcej głów.

Umieścił walizkę w przegrodzie, wyprostował się i dopiero wtedy głośno sapnął. Spojrzenie Ingeborg, które go na tym złapało, nie było spojrzeniem pełnym podziwu. Wręcz przeciwnie: było spojrzeniem wyrażającym najwyższą dezaprobatę.

Erich wiedział jednak dobrze, co robi. Wszystko było dokładnie zaplanowane.

Kiedy wrócił do żony, dał jej dyskretny znak oczami. Ingeborg nie złapała już męża za rękę jak wcześniej, tylko przybrawszy nieco obrażoną minę, ruszyła zwawym krokiem przed siebie, ku przednim drzwiom autokaru. Wspięła się po schodkach, znikając we wnętrzu pojazdu.

Po kilku chwilach wyszła zeń, ale już środkowymi drzwiami, jednak nie wróciła do męża, stojącego z obojętną miną cały czas w tym samym miejscu, czyli w połowie drogi między bocznym wyjściem z hotelu a burtą pojazdu, tylko skierowała się w stronę głównych drzwi hotelu.

– Jeśli tak się będą grzebać, to nigdy stąd nie wyjedziemy – mruknął z niezadowoleniem Ludwiszewski do kierowcy neoplanu.

LIII

53°52'N, 20°15'E, dzień piąty

Józef Świącki był niewyspany i zły. Zły z niewyspania, to oczywiste, szczególnie w jego słusznym wieku. Zły także z powodu złośliwości rzeczy martwych. Jego samochód, kilkunastoletni ford, znów nie chciał bowiem zapalić.

Od dłuższego czasu nosił się z zamiarem zmiany auta. Ktoś, kto wykonuje taki zawód, nie powinien przecież jeździć byle złomem. Chociaż taki niepozorny pojazd nie rzucał się w oczy. Świącki nie szpanował jak na przykład Pleban w swojej terenówce, która zwracała uwagę i zainteresowanie, raz większe, raz mniejsze. Zawsze mógł się zjawić ktoś, komu wóz wpadłby w oko. A wtedy kłopoty. No ale z kolei miło się podróżowało takim autem.

Grunt, że Józef Świącki wciąż jeździł starym, tu i ówdzie odrapanym gratem i ten grat dziś, właśnie dziś odmówił mu posłuszeństwa. Nie po raz pierwszy. Trzeba było znów prosić znajomego taksówkarza, pana Zenka, żeby podłączył do akumulatora „wąsy” ze swojego mercedesa. Chwilę trwało, zanim dotarł na miejsce i zanim silnik samochodu Świąckiego wreszcie zaskoczył. Stąd blisko godzina spóźnienia.

Kiedy dojeżdżał na miejsce, na skrzyżowanie polnych dróg, człowiek, z którym się umówił, wysoki blondyn o obojętnym wyrazie twarzy,

jasnorudych włosach i charakterystycznej, wysuniętej szczęce, opierający się plecami o maskę samochodu, wymownie spoglądał na zegarek.

– Dzień dobry panu – przywitał się spóźnialski, wychodząc trochę niezdarnie z auta. – Przepraszam. Kłopoty z wozem.

– Trzeba nowy kupić, panie... Święcicki! – powiedział na to blondyn, szczerząc w uśmiechu garnitur białych zębów. – Tyle się tego teraz sprowadza. Od nas.

– To prawda.

– Na pewno coś by pan sobie upatrył.

Tamten źle mówił po polsku, ale nawet nie próbował udawać kogoś innego. Samochód, którym przyjechał na miejsce spotkania, mówił sam za siebie: był to terenowy mercedes najwyższej klasy, na niemieckich tablicach rejestracyjnych.

Uścisnęli sobie ręce, chwilę pomilczeli. Ciszę przerwał Święcki.

– Jeśli chodzi o nasze sprawy, to chciałbym pana uspokoić, że wszystko jest w jak najlepszym porządku – rzekł. – Przedsięwziąłem odpowiednie kroki i mam nadzieję, że to wreszcie przekona naszego wspólnego przyjaciela do trwałej zmiany frontu.

– Ja też mam taką nadzieję – odparł Niemiec, zezując gdzieś na bok, może zainteresowany kolorowym motylem, który właśnie przysiadł na antenie samochodu.

Święcki potrafił doskonale wyczuć, kiedy go ignorują. Lata praktyki i obcowania z klechami oraz świętojebliwcami z „Solidarności”. Czasem też ze studentami, najbardziej pyskatymi, bo co drugi to niemal Reytan pierdolony.

Ale Józef Święcki potrafił także opanować nerwy, kiedy sytuacja tego wymagała.

– Każdy może się zmienić. Wystarczy tylko odpowiednio nacisnąć – powiedział.

Dziwna rzecz, że ostatnimi czasy robię interesy z samymi Szwabami – pomyślał. Obrzydzenie brało, ale pieniądze regularnie spływały na konto. Coś za coś. Życie to, jak mówią, sztuka kompromisów.

– Kiedy pan przewiduje zakończenie sprawy? – zapytał po chwili właściciel mercedesa.

– Jeszcze w tym tygodniu – odparł bez wahania Święcki.

– W takim razie dziękuję.

Pożegnali się znów uściskiem dłoni – trzeba będzie nowy pumeks kupić – pomyślał ze złością Święcki – po czym zleceniodawca wsiadł do auta i odjechał, wzburzając na drodze kurz.

Święcki posłał za nim wiązanekę i po chwili sam też zasiadł za kierownicą. Tym razem silnik zaskoczył bez najmniejszych problemów.

Lubił te okolice. Tutaj zaczynał pracę, tu, nomen omen, święcił swoje największe triumfy. Z Zygmuntem Plebanem pracowali w Departamencie IV Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, który zajmował się zwalczaniem Kościoła katolickiego w PRL. Byli od brudnej roboty. Takiej, której nikt nie chciał wykonać. A oni nie mieli oporów. Nigdy. Mimo nazwisk, jakie nosili. Zawsze się z tego śmiano.

Po upadku komuny pojawiła się myśl, żeby stąd wyjechać. Do Warszawy albo nawet z kraju. Wszystko to jednak pozostało w sferze planów, gdybań, mrzonek. Ktoś ze starych znajomych załatwił Święckiemu pracę na etacie nocnego stróża w banku. Przesiedział tam blisko dwa lata.

Potem jakiś inny znajomek spotkany przypadkowo na ulicy zaczął mu się żalić na kłopoty z łobuzami, którzy zażądali od niego pieniędzy za tak zwaną ochronę prowadzonego przez niego osiedlowego sklepiku

spożywczego. Święcki obiecał pomoc. Skrzyknął znajomych z dawnych lat, z których część nudziła się na bezrobociu i biedowała tak jak on.

No i poszli we trzech na miejsce, gdzie szantażowany sklepikarz miał przekazać pieniądze. Tamtych też było trzech, młokosy, obszcymury takie.

Zaczęło się od pyskówki. Ludzie od sklepikarza apelowali o rozwagę, ale tamci nie chcieli o tym nawet słyszeć. Jeden, chyba herszt bandy, zdążył jeszcze coś powiedzieć o podwyższeniu haraczu o pięćdziesiąt procent. Za karę. Zdążył, zanim ludzie Święckiego... wyrwali mu język za pomocą metalowych obcęarów, uprzednio powaliwszy delikwenta z łatwością na ziemię i obłożywszy kopniakami.

Pozostałym dwóm obili gęby, a następnie połamali nogi. Każdą dokładnie w trzech miejscach.

Ktoś może zastanawiałby się nad tą skrupulatnością, oni jednak wiedzieli dobrze, co robią. Znajdujący się bowiem na skraju załamania nerwowego, a wręcz choroby alkoholowej, potrzebowali czegoś, co obudziłoby w nich wrodzoną dokładność. Tęsknili za regularnością czynności, innych niż poranne wstawanie z łóżka, jedzenie, sranie i kładzenie się spać.

Problem bandy wymuszającej haracze od drobnych przedsiębiorców został rozwiązany ostatecznie, a właściciel osiedlowego spożywcza nie posiadał się z radości. Nie wiedział, że lista korzyści jest nieco dłuższa. To było bowiem pierwsze zlecenie w nowej Polsce, jakie wspólnie wykonali Józef Święcki i Zygmunt Pleban.

O tym, co teraz robił Święcki, Pleban nie wiedział. Nie wiadomo zresztą, jak zareagowałby czy skomentował, widząc swojego kompana zatrzymującego samochód w pobliżu opuszczonego gospodarstwa rolnego, idącego przez wysoką trawę, którą zarosła droga. Następnie mocującego się

z przerdzewiałą kłódką i dodatkowym zamkiem w drzwiach, schodzącego w dół po schodach i otwierającego kluczem kolejne drzwi.

Nie wiadomo, co zrobiłby Pleban. Ale Święcki nawet nie mrugnął okiem, patrząc na wlepione w niego przerażone oczy trojga osób spętanych, zakneblowanych i siedzących w półmroku na podłodze zaimprovizowanej celi: Anny Sikorskiej i jej dwojga dzieci.

LIV

Olsztyn, dzień piąty

– *Bitte?* – Helmut Baum podniósł wzrok znad stolika.

Był starannie ogolony i uczesany. Miał na sobie czystą, białą koszulę, rozpiętą nisko. Nie było po nim zupełnie znać ani nieprzespanej nocy, ani tym bardziej emocji, które spowodowały wydarzenia w Pieckowie. Dochodziła jedenasta rano.

– Proszę – poprawił się po polsku, głośniej.

Do pokoju wszedł Zygmunt Pleban, głupio się uśmiechając. Za to przez twarz Bauma przebiegł cień. Po tym, co się stało, coraz mniejszą sympatią darzył tego człowieka. Wiedział, kim jest i jakich metod używa. Mimo to nie spodziewał się takiego obrotu spraw. Jednak nie miał czasu, by teraz szukać w Polsce nowych współpracowników.

– Pan dzwonił – Pleban zaczął bez zbędnych grzeczności.

– Tak. Proszę, niech pan siada.

Przybysz klapnął ciężko. Z trudem powstrzymał się przed ziewnięciem. Potem jego uwagę przyciągnęło to, co leżało na stoliku. Niemiec wertował album z fotografiami rzeźb Xawerego Dunikowskiego, który Pleban kupił dla niego. Zapłacił zresztą od razu, i to dwadzieścia euro, czyli dużo więcej niż Zygmunt zapłacił bukiniście z Dywit.

– Ogląda pan? – Polak wskazał brodą książkę.

– Tak. I właśnie w tej sprawie poprosiłem pana – zaczął Helmut Baum.
– Pewnie pan wie, że ten pomnik – wskazał palcem na „Szubienice” – zbudowano z elementów, które wcześniej znajdowały się w mauzoleum Hindenburga w Tannenbergu.

– Owszem, słyszałem o tym. Dawno temu. Przyznam, że kiedyś się nawet tym interesowałem, więc gdy tylko poprosił pan o...

– Czy wie pan – przerwał mu Baum tonem, który pojawił się u niego całkiem niedawno, gdy przejął firmę – gdzie prócz tego pomnika mogą znajdować się pozostałości po mauzoleum?

– Pozostałości?

– Płyty, kolumny, jakieś większe bloki.

Pleban podrapał się po głowie.

– Mam na myśli najbliższe okolice Olsztyna – uściślił Niemiec.

– Chyba wiem.

– Czy to daleko?

– Nie.

– W takim razie pojedziemy tam zaraz.

– Czy to ma jakiś związek z naszymi poszukiwaniami? – zapytał Pleban. – Przecież ma pan już tę szkatułkę...

– Chciałbym wyruszyć jak najszybciej – uciął Baum, wstając. – A gdzie pana kolega?

– Nie wiem. Coś załatwia.

– Dobrze. Proszę poczekać na mnie na dole. Będę za pięć minut.

LV

Olsztyn, dzień piąty

Kto by pomyślał, że wiadomość o aresztowaniu europośła, która pięć dni temu przypadkowo wpadła mi w oko, pociągnie za sobą tyle zdarzeń – pomyślał Tomasz Horn.

Spojrzał w bok, napotykać wzrok Joanny. Twarz policjantki była poważna i skupiona.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Klose.

– Tak – odparł Horn.

Terenowe volvo minęło tablicę z przekreślonymi budynkami. Po chwili kolejna tablica informowała, że do Warszawy pozostało sto dziewięćdziesiąt kilometrów. W tym samym momencie Horn uzmysłowił sobie, że po raz pierwszy od wielu lat nie spieszy mu się do stolicy.

Kilkadziesiąt minut temu, w biurze poselskim Bogdana Sikorskiego, otrzymali listę uczestników wycieczki do Belgii. Znajdowało się na niej nazwisko starszego mężczyzny, który kilka miesięcy wcześniej wyjawiał Bogdanowi swoją tajemnicę, a raczej jej część. Mieli ją w ręku, chociaż...

Asystent eurodeputowanego, Piotr Radziszewski, którego zastali na miejscu, aż usiadł, kiedy usłyszał opowieść Horna o porwaniu szefa. Zapewnienia, że policja została powiadomiona i już działa, nie zrobiły na nim chyba wielkiego wrażenia. Nie chciał też nawet słyszeć o udostępnieniu interesującej ich listy. Tłumaczył się najpierw tajemnicą

służbową, potem ochroną danych osobowych, wreszcie brakiem zgody przełożonego. Pisemnej, względnie ustnej.

W jego zachowaniu Horn wyczuwał coś dziwnego, czego jednak nie potrafił nazwać. Znał go trochę i wiedział, że jest człowiekiem bardzo upartym. Typowy urzędnik, choć z zawodu przecież nauczyciel.

Kiedy Horn zaczął już tracić nadzieję na to, że uda im się trafić na kolejny ślad, do akcji wkroczyła milcząca dotąd i stojąca z boku komisarz Joanna Klose. Radziszewski widział ją chyba po raz pierwszy. Dziennikarz spodziewał się, że dziewczyna zaraz podetknie mu pod nos swoją policyjną legitymację. Tymczasem ona zapytała Horna, czy... mogą z Radziszewskim zostać sami.

Horn zbaraniał. Ale posłusznie wyszedł z biura, nie mówiąc ani słowa.

Nie minął kwadrans, kiedy Joanna wróciła, wymachując triumfalnie kilkoma kartkami papieru. Nie chciała jednak powiedzieć, jak to zrobiła.

– Na liście uczestników wycieczki zostały trzy nazwiska starszych mężczyzn, do których Sikorski nie zdążył dotrzeć – powiedziała Joanna, gdy mijali Dorotowo.

– Na szczęście wszyscy mieszkają niedaleko od siebie – zauważył Horn. – Jak to się ma do ruchów Armii Czerwonej zajmującej Prusy Wschodnie w styczniu czterdziestego piątego roku, nie wiem.

– Nieważne! – Klose machnęła ręką. – Sprawdzajmy ich po prostu wszystkich po kolei. Muszę tylko zatankować, bo już jeździmy na oparach...

– Pierwszy na liście jest Eugeniusz Syska ze wsi Bolejny.

LVI

Droga nr 527 między Olsztynem a Morągiem, dzień piąty

Zygmunt Pleban nie mierzył czasu, ale było wielce prawdopodobne, że Niemiec z albumem pod pachą pojawił się w hallu równe pięć minut po tym, jak on zamknął za sobą drzwi hotelowego pokoju. Potem poszli do samochodu. Helmut Baum nie odzywał się słowem. Jakby był obrażony.

Ruszyli na północny zachód. W pewnym momencie, już za Olsztynem, Plebanowi wydało się, że w jednej z bocznych dróg mignął mu samochód Świąckiego. Pewny jednak nie był.

Z kolei Baum, który siedział jak zwykle na tylnym siedzeniu, przez cały czas wyglądał, jakby drzemał. Ożywił się dopiero wtedy, gdy kierowca zwolnił przed wsią Wrzesina. Jak się okazało, miał nosa.

– To tutaj? – zapytał.

– Tak – odparł Polak.

Helmut Baum tak naprawdę nie spał, tylko pogrążony był w rozmyślaniach. Wtedy, w nocy, w chwili, gdy wziął do rąk szkatułkę wyniesioną z domu emerytowanego chorążego Straży Granicznej, przypomniał sobie o skandalu, w który była zamieszana firma Baum und Giese. Chodziło o sprzedaż kamieni pochodzących z Tannenberg-Denkmal, których autentyczność została zakwestionowana.

W chwili gdy przejął firmę, o skandalu mało kto już pamiętał. Tak się przynajmniej Baumowi z początku wydawało. Dopiero potem,

w rozmowach ze współpracownikami zaczęły powracać echa tamtej sprawy. Wtedy też postanowił przyjrzeć się jej z bliska. Okazja nadarzyła się bardzo szybko. Była szansa, by upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Baum bardzo lubił to przysłowie.

Przed wyjazdem do Polski kazał nieznanemu jeszcze współpracownikowi odszukać i kupić album ze zdjęciami przedstawiającymi prace Dunikowskiego. „Szubienice” obejrzał nazajutrz po przyjeździe. Nic nie wydało mu się godne uwagi. Przecież nie kupi pomnika! Choć słyszał, że taka propozycja ze strony firmy wyszła. Jeszcze w 1989 roku.

– Pokaże mi pan te płyty? – zapytał Plebana, na co ten coś mruknął pod nosem; chyba było to przytaknięcie.

Wysiedli z samochodu. Baum zdążył już trochę poznać metody tych ludzi, więc wiedział, że miejsce, do którego zmierzają, jest położone kilkadziesiąt lub kilkaset metrów dalej. Nie miał nic przeciwko spacerowi. Pogoda była bardzo dobra. Aż szkoda, że nie mógł się nią rozkoszować jak jego rodacy, których samochody wraz z ogromnymi przyczepami mijali na drodze.

Kilka minut później doszli do kościoła. Niemiec pytająco spojrzął na współpracownika. Pleban nieznacznie skinął głową.

– Kilkanaście takich płyt parę lat temu przekazał w darze tutejszemu proboszczowi były prezydent Olsztyna – powiedział niegłośnie. – Nie wiem po co. Może na budowę schodów lub polowego ołtarza. Nie wiem też, skąd je miał. Tak czy siak, niczego jeszcze z nich nie zbudowano.

– Wie pan, gdzie dokładnie leżą?

– Za kościołem. – Pleban pchnął bramkę, broniącą dostępu na teren.

– A tu można tak normalnie wejść? – zdziwił się Niemiec, który do kościołów zaglądał rzadko lub wcale.

– Dom boży jest zawsze otwarty.

Okrążyli budowlę i szli w kierunku jakichś krzaków, gdy za ich plecami coś stuknęło. Jakby ktoś otworzył okno. Pleban obejrzał się, ale nikogo nie dostrzegł.

– Boże, miał pan rację! – wykrzyknął Baum, przyglądając się stercie grafitowych płyt leżących w pobliżu płotu; miała ona wysokość około metra i zajmowała powierzchnię jednopokojowego mieszkania. – Ile tego jest, ile dobra!

Pojebało gościa – pomyślał Pleban.

Nie zauważył, że ktoś skrada się do niego od tyłu. Gdy się zorientował, było już za późno.

– Czego tu szukasz, gnoju? – usłyszał gniewny głos.

Zygmunt Pleban, zanim się odwrócił, uniósł obie ręce do góry. Zawsze tak robił, widząc wycelowaną w swoją stronę broń. Choćby była ona w rękach... księdza.

Po chwili także i Helmut Baum ujrzał mężczyznę w czarnej koszuli, rozpiętej i bez koloratki, mierzącego do nich z pistoletu. Broń trzymana była fachowo i wyglądała na prawdziwą. Wyraz twarzy duchownego, najprawdopodobniej proboszcza, mężczyzny około pięćdziesiątki, też nie wróżył nic dobrego.

– Szczęść Boże – rzucił Pleban półgębkiem. – Kopę lat, jak to mówią.

– Nie bluźnij – prychnął proboszcz, marszcząc srogo brwi.

– Gościa z Niemiec przyprowadziłem. – Zygmunt uśmiechnął się niewinnie, po czym wskazał ruchem głowy na Bauma. – Płyty chciałby kupić.

Proboszcz lekko uniósł rękę z pistoletem.

– Nie wiem, czego tu szukasz, bandyto, ale ostrzegam. Po tym, co mi zrobiłeś, a za co jeszcze nie odpowiedziałeś, nie rękę za siebie.

– Ksiądz jeszcze chowa urazę. Tyle lat?

– Won, bo ubiję.

– Ta pukawka naprawdę strzela. Proszę uważać – powiedział Pleban, po czym skinął na swojego towarzysza. – Chodź pan, panie Baum.

– Ale... przecież... – Helmut rozpaczliwym wzrokiem spojrzał na płyty.

– Lepiej będzie, jak pan tu wróci kiedy indziej. Dziś ksiądz Andrzej jest w złym humorze...

– Won – powtórzył proboszcz, nie przestając mierzyć do intruzów.

Gdy kilka minut później znaleźli się z powrotem w samochodzie Plebana, Baum usiadł na tylnej kanapie i ukrył głowę w dłoniach. Coś pod nosem mamrotał po niemiecku.

– Nerwowo się księżulo zrobił po tym, jakeśmy go z Święckim obili. Tyle lat – westchnął były tajniak, po czym obrócił się i dodał: – Jest jeszcze jedno miejsce, gdzie są te płyty. Niedaleko, w Szczęsнем, obok jeziora Skanda. Leży tam kilkadziesiąt takich płyt jednostronnie szlifowanych...

– Do hotelu – burknął Helmut.

– Co? A płyty? To naprawdę powinno pana zaciekać. Wiem, że interesował się nimi honorowy konsul w Olsztynie.

– Jedź, kurwa, do hotelu! Natychmiast!

– Dobra już, dobra.

LVII

Bolejny, dzień piąty

Joanna Kloś zatrzymała samochód na rozstaju dróg. Nie gasiła jednak silnika.

– Co się dzieje? – zapytał Tomasz Horn, podnosząc nieprzytomny wzrok znad trzymanej na kolanach, rozłożonej mapy samochodowej regionu, której osobiście bardziej ufał niż wszystkim cudownym systemom satelitarnym. – To chyba jeszcze nie tutaj?

– Za tym zakrętem. – Policjantka wskazała brodą przednią szybę. – Tak mi się przynajmniej wydaje.

– To dlaczego nie jedziemy?

– Nie wiem. Mam jakieś złe przeczucia...

– Złe przeczucia? – prychnął Horn. – To dobre dla starszych pań, a nie dla oficera policji!

Wzdrygnęła się. Przez jej twarz przemknął krótki, wymuszony uśmiech.

– Masz rację. Przepraszam. Już jedziemy. – Wrzuciła pierwszy bieg.

Minutę później zatrzymali się przed skromnym domostwem. Przekrzywiona tabliczka o zardzewiałych krawędziach informowała, że tutaj mieszka E. Syska.

– Ciekawe, czy jest w domu – powiedział Horn, gramoląc się z siedzenia pasażera. – Mało kto teraz nie dzwoni przed wizytą.

Joanna nic nie odpowiedziała. Przez cały czas bacznie przyglądała się obejściu.

Nagle skrzypnęły drzwi, choć nie te, w których spodziewali się ujrzeć gospodarza. Sekundę później usłyszeli ryk:

– Jebane hitlersyny!

Oto ścieżką między jabłonkami, które rosły na lewo od wejścia, wielkimi krokami sadył w ich kierunku wysoki, chudy chłop. Z poszarzałą od zarostu twarzą kontrastowały żywo białka oczu. Na głowie miał spłowiały kapelusz, w kąciku ust tkwił ogryzek papierosa.

Ale najgorsze było to, co człowiek ów trzymał w rękach. Była to dwururka. Na razie wycelowana w niebo.

– Żywcem mnie nie weźmiecie, skurwysyny! – wykrzykiwał. – Ani piędzi ziemi wam nie oddam, ani jednej cegły!

Wszystko stało się jasne w jednej chwili: samochód, którym przyjechali, a który Joanna zaparkowała tyłem, miał przecież niemieckie tablice rejestracyjne i literę D na owalnej naklejce.

– Niech się pan uspokoi, panie Syska! – zawołał Horn przytomnie i, co ważne, po polsku, zatrzymując się i odruchowo ramieniem zagrządzając dalszą drogę towarzyszcze.

Jednak Eugeniusz Syska ze wsi Bolejny nie miał zamiaru się uspokoić. Przeciwnie – podniósł fuzję i wystrzelił, płosząc gołębie, które siedziały w rzędzie na dachu jego domu. Horn i Joanna wycofali się rakiem, znajdując schronienie za samochodem.

Strzał zaalarmował sąsiadów. Od strony wsi szybkim krokiem zbliżała się grupka ludzi.

– Boże święty, znów zaczyna – jęczała kobieta w chustce na głowie, załamując rękę.

– Nic państwu nie jest? – jakiś młody mężczyzna zwrócił się do przybyszy po polsku.

– Nie – odpowiedział Horn.

Tymczasem Syska dalej coś wykrzykiwał, klął, pluł. Na szczęście już nie strzelał.

– Kilka razy dostał już pozwy w sprawie domu i ziemi – wyjaśnił ten sam młody mężczyzna. – Powiedział, że prędzej się zabije, niż odda. A wcześniej tych, którzy przyjdą. Wasz samochód go musiał zdenerwować. Bo nie jesteście tutaj w tej sprawie, prawda? – Spojrzał badawczo to na Joannę, to na Horna.

– Jestem przyjacielem europoła Bogdana Sikorskiego – rzekł dziennikarz, mając nadzieję, że nazwisko przyjaciela skojarzy się tym ludziom z działalnością polityka, a nie z najnowszymi prasowymi rewelacjami.

Kilka kobiet z przybyłej grupki weszło na posesję Syski. Ten już się uciszył. Sytuacja wyglądała na opanowaną.

– Nie trzeba wezwać policji? – zapytał Horn.

– Sami to załatwimy – odparł młody mężczyzna. – Przepraszam państwa w imieniu sołtysa.

Gdy zostali sami, Horn spojrzął z ukosa na policjantkę.

– Lepiej nie ryzykować, co? – mruknął.

– Ale to może być on.

– W razie czego można tu jeszcze wrócić.

– Można.

– Ale już piechotą.

– I nie mów mi więcej, że przecucia są dobre dla starszych pań. – Spojrzała na niego koso.

Usiedli z powrotem na swoich miejscach w samochodzie. Horn nacisnął guzik zamykający wszystkie drzwi od wewnątrz.

– Drugi jest Józef Florczak z Witramowa – Joanna, jakby nic się nie stało, ze spokojem przeczytała kolejne nazwisko z krótkiej listy, którą otrzymała od asystenta europosła. – To niedaleko. Musimy się cofnąć do „siódemki”.

LVIII

Olsztyn, dzień piąty

– Jaki piękny widok. – Ingeborg Schwarz odchyliła firankę w oknie hotelowego pokoju znajdującego się na najwyższym piętrze budynku stojącego nad Zatoką Miłą.

– Zupełnie jak w Möhnesee.

– Gdzie? – Erich podniósł nieprzytomny wzrok znad leżącej na łóżku otwartej walizki.

– W Möhnesee. To na zachód od Dortmundu. Przecież musiałeś tam być choć raz, skoro mieszkałeś tak niedaleko. Wszyscy jeździli tam na wycieczki szkolne i podczas wakacji.

– Nie pamiętam.

A ty masz za to zbyt dobrą pamięć – pomyślał, patrząc bykiem na swoją żonę. Na samym środku jego czoła zaświeciła się pojedyncza kropelka potu, niczym ostrzegawcza lampka.

Erich czuł, że wybuchnie, odkąd pod zamkiem wsiedli do taksówki, która przywiozła ich tutaj, do hotelu przy ulicy Sielskiej.

– Szkoda, że nie zatrzymaliśmy się tu na początku wycieczki. – Ingeborg popadała w coraz większą egzaltację. – Nie ma to jak budzić się co rano i oglądać wschód słońca.

– Raczej zachód – burknął znów pod nosem mąż pani Schwarz.

Klapnęła miękko zamykana pokrywa plastikowej walizki.

– Co mówiłeś, *meine Liebe*?

– Nic – fuknął. – Najważniejsze, że tu jest bezpiecznie.

Ingeborg zwiesiła głowę. Następnie puściła firankę, spojrzała na męża, który stawiał, nie bez trudu, zamkniętą już na zamek walizkę na podłodze wyłożonej ciemną wykładziną.

– Ciekawe, dokąd już dojechali – zastanawiała się.

Jeszcze kilka godzin temu było wiadomo, że wycieczka wraca do Niemiec bez dwóch uczestników: Franka Prochnova i Klause Miehkego. Potem okazało się, że już bez czworga, bowiem Ingeborg i Erich Schwarz postanowili zostać w Olsztynie jeszcze jakiś czas i wrócić do Niemiec na własną rękę.

Choć przewodnik próbował ich od tego zamiaru odwieść, starszycy uparli się. „Chcielibyśmy odwiedzić jeszcze rodzinę żony” – tłumaczył Erich Schwarz, a Ingeborg tylko niemo potakiwała. „Cóż, jesteście państwo dorośli” – rzekł na to Ludwiszewski.

Rozmowy takie miały miejsce dwukrotnie. Pierwszy raz wczoraj po południu, ostatni zaś dzisiaj rano, jeszcze przed śniadaniem.

Dlatego rano, gdy wszyscy już pakowali się i zajmowali miejsca w autokarze, przewodnik odpuścił i postanowił skupić się na pozostałych uczestnikach wycieczki. Gdy jedna ze starszych pań walczyła z ogromną walizką i schodami, a Ludwiszewski miał do niej ruszyć, by pomóc, nagle wyręczył go Schwarz. Aby to zrobić, musiał wcześniej wyrwać się z kurczowego uścisku żony. Nikt, kto specjalnie nie przyglądałby się tej parze, nie zauważyłby tego.

– Znajac polskie drogi, muszą być jeszcze całkiem niedaleko – skwitował Erich. – Taksówką byś ich jeszcze dogoniła. Droga wolna!

Przycupnęła obok niego na krawędzi łóżka.

– Mam czasami wrażenie, jakbym w ogóle cię nie znała.

Stary Schwarz nic nie odpowiedział, tylko wstał gwałtownie z łóżka.

– Głodny jestem jak jasna cholera – warknął. – Chodź na dół coś zjeść.

– Oczywiście, *meine Liebe*.

– Mam nadzieję, że kuchnię mają tu tak samo dobrą jak widoki za oknem.

LIX

Trasa S7, między Olsztynkiem a Ostródą, dzień piąty

Także i Józef Florczak ze wsi Witramowo nie okazał się tym, którego szukali Tomasz i Joanna.

Mężczyzna, którego zastali w kuchni, siedzącego nad talerzem z zupą pomidorową, zrobił wielkie oczy, widząc legitymacje niemieckiej policjantki i polskiego dziennikarza. Z uniesionej łyżki ulało się nieco zupy. Przełknął dopiero wtedy, gdy Horn w kilku prostych zdaniach wytłumaczył, z czym przyszli.

Nie, to nie on rozmawiał wtedy z europosem Sikorskim, choć bardzo go szanuje i będzie na niego głosować w następnych wyborach. Samą wycieczkę też bardzo miło wspomina. Mimo że łóżko w pokoju hotelowym było za krótkie i twarde, śniadanie jakieś chude i murzyńska kelnerka nie pozwoliła zabrać niczego na zapas. I na dworcu głównym w Brukseli, przez który przechodzili całą grupą, chcąc dostać się z okolic pałacu belgijskiego króla do centrum, ktoś wołał za nimi: „Ruski! Ruski!”. A to dla Florczaka, którego rodzice przyjechali tu z za Buga, obelga największa.

Horn i Joanna przeprosili za najście i ruszyli ku drzwiom.

Wtedy w gospodarzu przebudził się duch gościnności: wstał z za stołu i dalej do lodówki po wódkę sięgać. Wymigiwali się, jak potrafili, Florczak zaś przyznał się, że on i tak się napije, choćby do lusterka. Z radości.

Dlaczego? Bo był święcie przekonany, że przyszedł, by zabrać mu nowy traktor i kombajn, które kupił za pieniądze z unijnych dotacji.

– Swoją drogą to miałem ochotę na jednego – przyznał się Horn, kiedy już jechali szosą w stronę wsi, gdzie mieli nadzieję znaleźć poszukiwanego mężczyznę, ostatniego na liście uczestników wycieczki.

– Nie lubię wódki – stwierdziła Joanna. – Z mocnych rzeczy bez koloru wolę tequilę.

– Może być.

Następny na liście był niejaki Roman Czaja, lat sześćdziesiąt pięć, rolnik ze wsi Rychnowo, do której zmierzali teraz zatłoczoną w obie strony, jak to latem, „siódemką”.

Gdzieś tutaj kilka dni wcześniej zostali odbici z rąk porywaczy-amatorów przez policję i przy pomocy amerykańskich sojuszników. Jednak odkąd wylecieli z Warszawy żadne z nich nie wracało do tamtych, przecież nie tak odległych, wydarzeń. Samochodowe radio gdało wesoło, słońce nad Warmią i Mazurami świeciło mocno, więc po co było psuć sobie humor?

Terenowe volvo zaczęło wspinać się po wzniesieniu, jednocześnie pokonując kilka ostrych, niebezpiecznych zakrętów. Miejsce to cieszyło się złą sławą, pochłonęło bowiem wiele ofiar.

– Myślisz, że znajdziemy tego człowieka? – zapytała Joanna, gdy zbliżali się do szczytu wzniesienia.

– Może. – Horn wzruszył ramionami. – Problem jest chyba nieco inny, co?

– Owszem, nieco inny...

– Czy powie nam to, co chciał powiedzieć Bogdanowi – dokończył dziennikarz.

Milczeli aż do Rychnowa. Wieś była dość duża, ładna i nowoczesna. Ale była też tradycyjna, a to za sprawą sklepiu spożywczo-przemysłowego, przed którym dyżurowało kilku mężczyzn. Oni to, grzecznie i zadziwiająco kompetentnie, pokierowali wędrowców. Któryś próbował nawet po niemiecku, ale Horn litościwie oszczędził mu trudu.

– Dzięki! – zawołał.

– Tylko się spieszcie państwo, bo już zaczęli – zawołał jeszcze jeden z mężczyzn.

Ręka Joanny zawisała nad drążkiem zmiany biegów.

– Co zaczęli? – powiedzieli jednocześnie Horn i Klose, spojrzawszy na siebie.

Kiedy podjeżdżali pod dom, wszystko stało się jasne: na podwórku, w otoczeniu może nawet z dziesięciu samochodów, stał karawan, czarny mercedes ze złotymi ozdobami. Pokrywa bagażnika była podniesiona, a w pobliżu kręcili się żałobnicy.

– To jeszcze nic nie oznacza – powiedziała cicho Joanna.

– Nie dowiemy się, póki tego nie sprawdzimy.

Kilka chwil później podchodzili do głównych drzwi piętrowego, otynkowanego domu. Horn czuł się odrobinę nieswojo w marynarce, podkoszulku i dżinsach na tle ubranych uroczyście ludzi. Podobnie pewnie Joanna. Nie wyglądali nawet na urzędników, ale co poradzić. Zawsze można było uciec się do pomocy służbowej legitymacji.

Sięgnęli po nie niemal jednocześnie w chwili, gdy drogę zastąpił im rosły młodzieniec w nieco za krótkich spodniach od garnituru.

– W czym mogę państwu pomóc? – zapytał.

– My do pana Romana Czai – odpowiedział Horn, nie podnosząc jednak ręki z dokumentem, jakaś siła bowiem nie pozwoliła mu tego uczynić.

Przez twarz tamtego przebiegł krótki, ale zauważalny skurcz.

– Ojciec nie żyje – odpowiedział głucho. – Zmarł trzy dni temu.
Właśnie trwa pogrzeb...

LX

Olsztyn, dzień piąty

Państwo Schwarz weszli do hotelowej restauracji i zajęli stolik przy oknie wychodzącym na hotelowy parking. Ledwo usiedli, zjawiała się kelnerka. Przywitała się nienaganną niemczyzną, przed każdym położyła oprawną w półskórek kartę dań.

Erich pominął przystawki i od razu zaczął studiować dania główne. Miał ochotę na befsztyk. Krwisty i duży. Do tego wódka. Zmrożona. Może nawet dwie setki. Czuł, że dopiero wtedy będzie w stanie próbować poczuć się lepiej.

Szybko znalazł danie, które go interesowało. Teraz tylko wystarczyło poczekać na kelnerkę. Da jej suty napiwek, jak się sprawi.

Podniósł wzrok. Niemal wszystkie stoliki w restauracyjnej sali były w tej chwili zajęte.

Erich Schwarz zawsze potrafił rozpoznać Niemca. O, na przykład ten rudzielec z obojętnym wyrazem twarzy i wysuniętą mocno szczęką, siedzący nad strzelistą szklanką piwa. Obok której leżały kluczyki z błyszczącym breloczkiem z charakterystyczną gwiazdą mercedesa.

Chyba się nigdzie nie wybiera po dużym piwie... – przeszło przez myśl staremu.

Tamten rozmawiał z kimś przez telefon. Wyglądał na zadowolonego. Pewnie udał mu się jakiś interes z Polakami.

Po drugiej stronie, nieco bliżej stolika Schwarzów siedział inny rodak Ericha, starszy od rudego. Przy talerzu z niedokończonym schabowym leżał złożony na pół „Das Bild”. Ten facet również rozmawiał z kimś przez komórkę, ale minę miał raczej nietęgą. Mimo gwaru panującego w sali jadalnej Erichowi udało się złowić kilka słów wypowiedzianych przez sąsiada:

– Tak, proszę pana. Mieliśmy początkowo pewne trudności, ale teraz wszystko idzie zgodnie z planem. Spróbuję to otworzyć... Tak... Dam znać...

Erich Schwarz tak bardzo był skupiony na obserwacji swoich bliźnich, że nie zauważył, iż sam jest – i to od dłuższego już czasu – bacznie obserwowany. Pewien człowiek siedzący kilkanaście kroków od niego nad talerzem zupy widział każdy, najmniejszy nawet ruch starca.

LXI

Rychnowo k. Ostródy, dzień piąty

Horn i Joanna siedzieli za stołem w największym pokoju domu, do którego zaprowadził ich syn zmarłego. Oboje sztywni, bo i chyba każdy czułby się skrępowany w takiej sytuacji.

Na pokrytym politurą blacie leżała biała serwetka, na niej ustawiono wielką kryształową popielnicę. Była czysta, chodziła po niej duża mucha. Z sąsiedniego pomieszczenia dochodziły głosy kilku, a może nawet kilkunastu kobiet, starszych i nieco młodszych, zgromadzonych nad otwartą trumną. Trumną, w której spoczywał Roman Czaja.

– Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie...

Dziennikarz otarł ręką pot z czoła, spojrział zezem na Joannę. Oczy policjantki były nieruchome, utkwione w jakimś punkcie na ścianie. Może był to obraz Jezusa w łodzi, lustro w poślacanej ramie, a może grzyb pod sufitem.

Mimo że kilka minut wcześniej, przed drzwiami domu, każde z osobna podjęło decyzję o natychmiastowym odwrocie i mimo że nie zdążyli nawet powiedzieć, w jakiej sprawie nachodzą pograżony w żałobie dom, młody Czaja zaprosił ich do środka. Szerokim gestem.

Od minuty, a może dziesięciu czekali na wdowę.

– ...a światłość wiekuista niechaj mu świeci.

Horn nie wytrzymał.

– Może to jednak nie on! – wyrzucił z siebie.

Joanna powoli odwróciła głowę, spojrzała na współnika.

– Musimy to sprawdzić. Żona powinna coś wiedzieć – odpowiedziała cicho. – A raczej wdowa. W każdym razie pamiętaj, żeby się grzecznie przywitać i być delikatnym. I złożyć kondolencje.

– Myślę, że powinniśmy stąd jak najszybciej wyjść.

Od strony korytarza dobiegły jakieś głosy. Po chwili w drzwiach stanęła stara, zabiedzona i dodatkowo złamana tragedią kobieta ubrana w czerń. Wyglądała na lat siedemdziesiąt kilka, jednak mogła mieć mniej, bo kobiety na polskiej wsi starzeją się szybciej.

– Dzień dobry – przywitała się głosem niemal niesłyszalnym; w tle mignął jej syn.

Kobieta sprawiała wrażenie, czemu trudno się było dziwić, osoby obecnej tu tylko ciałem.

– Proszę przyjąć najszczerze wyrazy współczucia – rzekł Horn, pochylając się nad spracowaną, pokrytą zmarszczkami i brązowymi plamkami dłońią gospodyni.

– Dziękuję – westchnęła pani Czaja. – Zdzisio, to znaczy syn, mówił, że macie państwo jakąś bardzo ważną sprawę, tylko że... zaraz przyjeżdża ksiądz proboszcz.

Horn już otwierał usta; nadarzyła się przecież doskonała okazja, być dać stąd nogę!

Ale Joanna ubiegła go.

– Jesteśmy pracownikami biura europośła Bogdana Sikorskiego – skłamała bez mrugnięcia okiem i z przyklejonym uśmiechem akwizytorki.

Wdowa jakby się ożywiła.

– Bogdana Sikorskiego? – powtórzyła. – Boże przenajświętszy! Ileśmy się z mężem na pana europośła naczekali, Jezus Maria! Że też mój biedny Romuś tego nie doczekał...

Horn i Kloze spojrzeli po sobie. Czyżby jednak?

Ale przecież spóźnili się. Świadek nie żyje. Wszystko przepadło!

– Czy pani mąż był na wycieczce do Brukseli pół roku temu? – drążyła mimo wszystko policjantka.

– Oczywiście, że był.

To powiedziawszy, kobiecina zadziwiająco żwawo i sprawnie obróciła się na pięcie i ruszyła w stronę meblościanki o tak wysokim połysku, że mogła z powodzeniem służyć za lustro. Po chwili otworzyła jedną z szuflad i wydobyła zeń jakąś grubą księgę.

Był to album ze zdjęciami.

– Tyle fotografii przywiózł z tej ekskursji... – Głos uwiązał wdowie w gardle, gdy ujrzała męża żywego i uśmiechniętego, stojącego na jakiejś ulicy, a w tle ciemniał jakiś pałac, zapewne króla Leopolda.

Wdowa usiadła przy stole. Wyciągnęła z mankietu sukni chustkę i wytarła głośno nos. Następnie, podparwszy głowę na łokciu, zaczęła przewracać kolejne strony albumu.

– Szkoda, że pan europoseł miał wtedy tak mało czasu. Romek tyle chciał mu powiedzieć. Bo my tutaj, proszę państwa, w ciągłej niepewności o jutro żyjemy. Czy będziemy mieli jeszcze dach nad głową, czy nie...

Kobieta przewróciła ostatnią stronę albumu. Wtedy ujrzeli białą kopertę formatu A5, na której niezbyt starannie, ale dość wyraźnie czyjaś ręka (może znajdująca się w tej chwili w pokoju obok zimna ręka w kolorze wosku, wokół której opleciono różaniec i wetknięto płonąca gromnica) wypisała imię i nazwisko europośła.

– Roman wszystko spisał kilka miesięcy temu. Jakby spodziewał się, że odejdzie – załkała staruszka, by nagle przybrać uroczystą minę. – Obiecałam mu, że list ten dostarczę do rąk własnych Bogdana Sikorskiego.

– My możemy to zrobić – zaproponował Horn, po czym wstrzymał oddech.

Pani Czaja spojrzała na niego wyniośle, a może nawet z wrogością, takim samym spojrzeniem obrzuciła Joannę. Po czym z trzaskiem zamknęła album, a z nim także i list.

– To niemożliwe – rzekła twardo. – Miało być do rąk własnych i będzie do rąk własnych.

Horn chciał coś jeszcze powiedzieć, Joanna też już otwierała usta, ale w drzwiach pokoju pojawił się syn zmarłego i zaanonsował, że ksiądz proboszcz już przyszedł.

W tej samej chwili rozległ się kobiecy krzyk. Tupot kilku par nóg, także na wysokim obcasie, bo okazja przecież szczególna.

Wdowa zerwała się z krzesła i ruszyła biegiem w stronę korytarza. Usłyszeli płacz, a potem męski głos:

– Ciocia Krysia zemdląca.

– Zanieście ją na górę – zaordynowała gospodyni.

Gdy wdowa po Romanie Czai, podążająca za dwoma siostrzeńcami, którzy nie bez trudu transportowali po schodach bezwładne i dość sporych rozmiarów ciało rzeszonej cioci Krysi, obejrzała się za siebie, stwierdziła, że dwojga nieznajomych nie ma już w salonie.

LXII

Olsztyn, dzień piąty

Helmut Baum zgasił za pomocą pilota mały telewizor, umieszczony w rogu pokoju, pod sufitem. Podeszedł do szafy, skąd wydobył skórzaną walizkę wielkości futerału do laptopa. Położył ją na zasłanym starannie łóżku, podniósł wieko i wyciągnął coś ze środka.

Następnie zapalił górne światło i zasiadł przy niskim stoliku. Zrzucił na podłogę zawłaszczającą najwięcej miejsca kolorową płachtę gazety, by po chwili położyć na szklanym blacie jakąś kartkę. Rozłożył ją, wygładził brzegi.

Oto miał przed sobą starą, pożółkłą, poprzecieraną nieco na załamaniach, ale wciąż wyraźną mapę. Nie był może w szkole orłem z geografii, jakoś też szczęśliwie uniknął zajęć z topografii podczas służby wojskowej. Jednak z łatwością odróżniał, gdzie na skrawku papieru znajduje się jezioro, a gdzie las, zabudowania i droga.

Problem był jedynie w tym, że plan, mimo że sporządzony niezwykle starannie, choć odręcznie, pozbawiony był napisów. Owe jezioro więc, droga, las mogły znajdować się zarówno w Meklemburgii, jak i na Pojezierzu Drawskim. Na Mazurach lub na Warmii.

Jednak Helmut Baum, już w momencie kiedy stał się posiadaczem tego szczególnego skrawka papieru, wiedział, gdzie należy szukać. Ale po kolei...

Czym była Borussia XX, stowarzyszenie, które skontaktowało się z Helmutem krótko po tym, jak przejął on po zmarłym stryju Siegfriedzie zarządzanie firmą budowlaną Baum und Giese?

Ludzie w Niemczech i Europie wciąż budowali nowe domy i remontowali stare, więc firma działała dobrze. Miano co prawda świadomość chińskiego zagrożenia, jak we wszystkich gałęziach przemysłu, może prócz branży wydawniczej, bo Chińczyk nie zredaguje ci przecież artykułu ani nie napisze książki. Dobrzy managerowie i technolodzy robili jednak to, co dotychczas.

Baum nie zwolnił nikogo, no bo właściwie po co miałyby to robić? Mając więc względny spokój na tym polu, zagłębił się w inne sprawy. To znaczy miał zamiar się zagłębić. Problem w tym, że po liście, który otrzymał miesiąc po przejęciu schedy po stryju, nie działało się właściwie nic, co kazałoby mu zaprzętać sobie głowę Borussią XX.

Któregoś dnia, a był to piątek, deszczowy i nieprzyjemny, Helmut wstąpił po pracy do jednego z pubów znajdujących się nad Menem. Lubił tu przychodzić, bo zawsze było z kim pogadać i napić się piwa. Nawet nosząc dobry garnitur, tak jak on teraz.

Tego dnia w lokalu nie było zbyt wielu gości. Mimo to Helmut postanowił zostać. Zamówił w barze swoje ulubione pilzneńskie, podawane w litrowym kuflu z grubego szkła. Sprawdził też, co dziś można wziąć na ząb, pożartował z barmanem.

Otrzymałszy zamówienie, usiadł przy jednej z długich drewnianych ław w rogu pubu. Było tu ciepło, miło i przytulnie. Z głośników leciała piosenka z najnowszej płyty U2, w sam raz na tę pogodę, a i szczególnie słuchało się jej w takim właśnie miejscu.

– Można? – usłyszał nad sobą w pewnej chwili.

Podniósł wzrok. Stał przed nim jakiś mężczyzna. W ręku trzymał taki sam kufel.

– Proszę. – Baum przesunął się na ławie, choć miejsca było dosyć; nieznajomy usiadł zresztą po drugiej stronie, niemal *vis-à-vis*.

Miał na sobie ciemny, elegancki garnitur, więc tym chętniej Helmut zgodził się, aby gość zajął miejsce właśnie tutaj, przy nim. Nie widział go wcześniej w tym lokalu. A na geja tamten też nie wyglądał. Był na oko trochę po czterdziestce.

Pewnie jakiś urzędnik albo przedsiębiorca. Ewentualnie makler-broker, co przez całe dni tylko przelewa z pustego w próżne – próbował katalogować Helmut napędce i tylko w myślach.

– Parszywa pogoda, prawda? – Gość uczynił głową ruch w kierunku okna.

– Owszem, bywało lepiej – zgodził się Baum.

– Ostatnio, jak byłem na Mazurach... Wie pan, w Polsce.

– Tak. W Polsce.

– No to też tak lało. Całe dwa tygodnie! Z hotelu nie chciało się nawet wychodzić.

Szef firmy Baum und Giese uczył nagle coś jakby ukłucie igłą w serce. I nie był to żal z powodu nieudanego urlopu, który spędził siedzący przed nim nieznajomy.

Nic nie powiedział. Piana opadła nieco, więc podniósł swój kufel i pociągnął kilka łyków.

– Ładna kraina te Mazury, wie pan – rzekł znów tamten. – Był pan może kiedyś?

– Niestety, nie.

– Ale na pewno pan wie, że dawniej, przed wojną, Mazury wraz z Warmią były nasze. Niestety, mało co z tamtego kraju zostało do dzisiaj. Tyle dobra, ech! Gdybym tak dorwał tego Stalina w swoje ręce...

Baum skrzywił się. Nie wiedział, co odpowiedzieć, jak zareagować na takie deklaracje. Wypadało może jakoś wyrazić solidarność z rodakiem, który pewnie zostawił tam groby swoich bliskich, a może nie tylko.

Jednak Baum, prosty drukarz, rzadko wdawał się w dysputy polityczne, nawet jeżeli ktoś wzniecał je w tak niezobowiązującym miejscu jak piwiarnia, albo traktujące o ostatniej wojnie, a tym bardziej o tym, kto tak naprawdę ponosi winę za jej wybuch.

Tymczasem siedzący naprzeciwko pociągnął z kufła – nie było już połowy płynu; kiedy on to zdążył wypić?! – odstawił go może trochę zbyt głośno, po czym sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, skąd wydobył jakiś złożony na czworo arkusz pożółkłego papieru.

No i się teraz zaczniesz! – pomyślał z trwogą Baum.

Przecież przyszedł tutaj, żeby znaleźć rozrywkę, odpocząć, pogadać, owszem, ale niezobowiązująco. O futbolu, szansach reprezentacji narodowej w eliminacjach. Albo nawet o dupach! A teraz ktoś, komu nieopatrnie pozwolił się do siebie dosiąść, choć miejsc wokół nie brakowało, zaraz wygłosi historyczny wykład, zacznie pokazywać pamiątki rodzinne i tak dalej. Dosyć miał babrania się w przeszłości, odkąd został szefem firmy ze stuletnią tradycją!

– Przepraszam pana bardzo, że zawracam głowę – rzekł tamten, a jego prawa ręka zawisła w próżni.

W tym momencie Baum złapał się na tym, że bardzo, ale to bardzo chce, by człowiek ów przestał wreszcie gadać, tylko... pokazał mu, co jest na tej kartce.

– Nie ma problemu – bąknął.

– Mówię tak, bo przecież nie każdy lubi te klimaty. Pamiątki przeszłości, jakieś nikomu niepotrzebne bajania starszków. Było, minęło. Koniec i kropka.

– Co to jest? – Helmut nie wytrzymał.

Mężczyzna przez chwilę spoglądał na trzymany w ręku papier, jakby sam dziwił się, co ów robi między jego palcami.

– Kiedyś, kilkanaście lat temu, kiedy byłem jeszcze studentem, jakiś facet przysiadł się do mnie, ot, dokładnie tak, jak ja przysiadłem się do pana. To było też w pubie, nad rzeką, ale w Hamburgu, gdzie wtedy mieszkałem. Przychodzili tam wtedy różni ludzie, zazwyczaj przemytnicy i marynarze, złodzieje i obieżyświaty. Początkowo miałem jednak pewne problemy z nazwaniem człowieka, który wybrał sobie właśnie mnie na spowiednika. Choć słowo spowiednik też nie było chyba odpowiednie, ponieważ mężczyzna ten, w mocno podeszłym wieku, mówił niewiele. A właściwie nic nie mówił, tylko zapytał mnie, czy nie kupiłbym mu kufła piwa, względnie dwóch, w zamian za towarzystwo. Gdy go wyśmiałem, chcąc nie chcąc, musiał sięgnąć po inne, nieco mocniejsze argumenty. Mianowicie po to.

To powiedziawszy, nieznajomy położył na stole kartkę gestem, jakim wytrawny gracz kładzie na zielonym suknie kartę, która przesądzi o jego zwycięstwie. Następnie rozłożył papier – raz, potem drugi. Dokument był albo ciężki, albo jego zagięcia bardzo poprzecierane, gdyż raz poruszony, nie wracał do poprzedniego stanu.

Oto i oczom Bauma ukazała się dziwna mapa.

– Sprzedał mi to wraz z opowieścią – rzekł tamten ściszone głosem, rozejrzawszy się na boki. – Georg Henschell, bo tak się nazywał ów starzec, opowiedział mi o skarbie, który ukrył na Mazurach na krótko przed wkroczeniem tam watahy bolszewickiej.

– Skarbie?!

– Tak powiedział. Był stary, wyglądał na schorowanego. Za kołnierz też najpewniej nigdy nie wylewał. Ale gdy opowiadał o tamtych czasach, oczy niemal pały mu ogniem. On mówił, ja słuchałem, bo i co miałem lepszego do roboty? Na postawienie mu piwa też było mnie przecież stać. Siedzieliśmy tak kilka dobrych godzin, osuszyliśmy po parę kufli. Na sam koniec Henschell po prostu wstał z za stołu i wyszedł, zostawiając na stole mapę.

– Tak po prostu wstał i wyszedł?

– Dopiero potem zorientowałem się, że przecież na mapie nie ma żadnych napisów. Niczego, co pozwoliłoby na identyfikację miejsca. Szukałem go potem, w podobnych pubach, w noclegowniach, na dworcach, ale bez skutku. Przepadł. Wkrótce ja sam, choć byłem w posiadaniu mapy, powoli zapomniałem o całej sprawie. Wie pan, jak to jest. Zaczyna się praca, zakłada rodzinę, bierze kredyt w banku, wpada w kierat codziennych obowiązków.

Nieznajomy dokończył piwo. Popatrzył na słuchacza nieco mętym wzrokiem, a następnie... wstał i skierował się ku drzwiom. Nie w stronę toalety, gdzie przecież prędzej czy później musiał się udać, ale właśnie ku drzwiom. Do tego jeszcze na stoliku została mapa, o której opowiadał.

Mapa z zaznaczonym miejscem ukrycia skarbu!

– Proszę pana! – krzyknął za nieznajomym Helmut.

Tamten zatrzymał się, odwrócił. Sprawiał wrażenie, jakby bardzo się dziwił, że ktoś go w ogóle zaczepia.

– Tak?

– Zostawił pan... – Helmut na chwilę zawahał się; przecież nie powie głośno, nad czym rozprawiali. – Zostawił pan swoją własność.

– To teraz pana własność, panie Baum – odpowiedział tamten, by zaraz dodać: – I pański problem.

Helmut zbaraniał.

Skąd ten człowiek znał jego nazwisko? Już miał o to zapytać, ale tajemniczy mężczyzna był szybszy.

– Wie pan, panie Baum, jak brzmi łacińska nazwa Prus? – zapytał.

– Nie.

– Borussia.

I wyszedł z pubu nad rzeką Men, zostawiając osłupiałego towarzysza biesiady.

A kiedy następnego dnia Helmut Baum przyszedł do pracy, na biurku w swoim gabinecie znalazł szarą, niepozorną kopertę.

W kopercie znajdowało się zdjęcie jakiejś monumentalnej budowli. Na jej odwrocie widniał odręczny napis: *Liczymy na Pana. Borussia XX.*

Co to wszystko miało znaczyć – nie miał pojęcia. Powodowany z jednej strony ciekawością, z drugiej obawą, zaczął szukać. Studiował książki o historii II wojny światowej, śledził ruch wojsk. Przypatrywał się mapom Warmii i Mazur, tak starym, jak i nowym, próbując znaleźć pośród tamtejszych jezior akwen, którego kształt odpowiadałby umieszczonemu na planie. Kandydatur było, niestety, co najmniej kilka.

Kilka miesięcy temu skontaktował się z ludźmi poleconymi mu przez znajomego, byłego funkcjonariusza wschodnioniemieckiej Stasi. Zaczął szukać. Przyleciał do Polski.

Wtedy znów odezwała się Borussia XX...

Helmut wstał od stołu i sięgnął po niewielkie, płaskie, metalowe pudełko, leżące na nocnym stoliku przy łóżku. Była to jego zdobycz, za którą ktoś inny zapłacił utratą palca u ręki.

Nie, nie wspominać, nie myśleć! Ważny jest cel. Tylko cel.

W rozmowie telefonicznej, którą odbył kilka godzin temu z przedstawicielem organizacji (nie znał nawet jego nazwiska), zadeklarował się, że spróbuje otworzyć szkatułkę. W tym celu zamierzał użyć narzędzi, w które zaraz po tamtej rozmowie zaopatrzył się w sklepie. Udał się tam taksówką, nie niepokojąc już swoich polskich współpracowników.

A może raczej rzeźników – pomyślał z pogardą; na wspomnienie tamtej eskapady znów zrobiło mu się niedobrze.

Postanowił posłużyć się najpierw lżejszymi narzędziami. Wziął do ręki ostre dłuto i jął podważać wieko w miejscu, gdzie zostało przyspawane do właściwej części szkatułki.

Ku jego wielkiemu zdziwieniu lut puszczał z łatwością.

Przez chwilę Helmut nawet zastanawiał się, czy ktoś aby nie dostał się do pudełka przed nim. Zaczął się spieszyć. Ostrze dłuta pośliznęło się, omal nie kalecząc go w rękę.

Helmut usiadł na łóżku, otarł rękawem koszuli pot z czoła.

Co ja robię? W co się, do cholery, wpakowałem?

Odпочzął chwilę, uspokoił się. Pomyślał o swoich dzieciach, które mieszkały na co dzień wraz z matką w Bremie i których dawno już nie widział. Włączył ponownie mały telewizorek, sprawdził pogodę na następny dzień. Zapowiadał się ciepły i pogodny dzień.

Usiadł, położył przed sobą na stoliku szkatułkę. Ponownie wziął do ręki dłuto i w skupieniu pochylił się nad wiekiem. Nacisnął raz, mocno. Potem raz jeszcze.

Spaw nieoczekiwanie puścił, ukazując ciemne wnętrze szkatuły. Helmut zaczął pracować szybko, metodycznie. Po kilku chwilach jego trud został nagrodzony: wieko odskoczyło...

LXIII

Trasa S7, między Ostródą a Olsztynkiem, dzień piąty

Nie odzywali się do siebie ani nie patrzyli w swoją stronę. Horn miał ułatwione zadanie, bo tym razem on prowadził samochód. Mógł więc przynajmniej udawać, że zależy mu wyłącznie na bezpieczeństwie jazdy. Znów znajdowali się bowiem na tym niebezpiecznym odcinku trasy, gdzie zakręt gonił zakręt. W dodatku zaczął padać deszcz.

Tak znów znaleźli się w Olsztynku.

– Nie wiem jak ty, ale ja bardzo zgłodniałem – rzekł wreszcie Horn.

Joanna nic nie odpowiedziała.

– Wedle umowy, którą zawarliśmy, od czasu do czasu mam zaprosić cię na pizzę – drążył uparcie dziennikarz. – Mam nadzieję, że nie masz jakiejś wielkiej traumy po tamtym porwaniu, bo znam tu tylko jedną pizzerię.

Skinęła nieznacznie głową.

Po chwili znaleźli się na jednej z uliczek miasteczka. Zatrzymali się na rynku. Charakterystyczny zapach pieczonego ciasta było czuć w promieniu kilkudziesięciu metrów od lokalu, więc Horn tym bardziej wydłużał kroki. Przed drzwiami poczekał na Joannę, szarmancko przepuścił ją przodem.

– Z czego się tak cieszysz, do cholery?! – fuknęła Kloś, gdy byli już w środku. – Kolejny ślad przepadł, być może na zawsze, a ten zadowolony.

– Cieszę się na pyszną pizzę.

– Mężczyzna to jednak prosta istota.

– Nie zaprzeczę.

W pizzerii było pusto. Z radia leciała muzyka. Horn porwał w locie menu i zaraz usiedli za stołem. Był to dokładnie ten sam stolik, przy którym siedziała policjantka z towarzystwem na kilka chwil przed porwaniem. Wtedy się jeszcze nie znali, dzisiaj spędzali ze sobą niemal całą dobę.

Czy nie tego właśnie chciałem? – zapytał sam siebie w myślach Horn.

Szybko wybrał pizzę, Joanna też długo nie grymasiła. Złożyli zamówienie. Teraz czekało ich kilka, może nawet kilkanaście minut krępującej ciszy.

– Chyba musimy dopisać jakiś aneks do tej umowy – rzekł w pewnej chwili dziennikarz.

– Jaki aneks?

– Pizza, owszem, ale konsumpcja musi być koniecznie połączona z konwersacją.

Joanna patrzyła, jak dziennikarz powoli wyjmuje z kieszeni długopis.

– Cholera, chyba nie mam na czym pisać – mruknął, po czym niezbyt szybkim, obojętnym ruchem wy dobył z zanadru kopertę i położył ją na blacie niezapisaną stroną do góry.

Komisarz Kloze omal nie podskoczyła.

– Czy... Co to jest? – wyjąkała, a gdy Horn twierdząco kiwnął głową, aż otworzyła usta ze zdumienia graniczącego z oburzeniem: – Ukradłeś?!

– W filmach, także tych wyświetlanych w starym kinie w Starych Kiejkutach, mówi się: zdobyłem metodami operacyjnymi.

– Nie wierzę...

– Nie musisz. Powiedz mi lepiej, co teraz robimy.

Przez kilka chwil patrzyli na siebie. Przerwała im dopiero kelnerka, która położyła na stole wiklinowy koszyczek ze sztucami. Znajdowały się tam także dwa noże.

Sięgnęli po nie jednocześnie, jakby w ich rękach miały być zaraz użyte jako broń. Ostatecznie Horn oddał pole policjantce.

Joanna przygryzła wargi i zaczęła odrywać delikatnie zakładkę koperty przylepioną do niezapisanej strony. Z koperty wysliznął się niewielki, złożony na pół arkusz papieru.

– To chyba nie jest list – mruknął Horn.

– Chyba nie.

– W takim razie co?

Znów pojawiła się kelnerka, tym razem z dwoma parującymi talerzami. Aby zrobić miejsce, oboje sięgnęli po tajemniczy papier, co nieuchronnie mogło skończyć się jego rozerwaniem. Na szczęście Joanna w porę cofnęła rękę. Dopiero gdy talerze stanęły na stole, Horn otworzył kartkę i położył między nimi na środku stołu.

Widzieli teraz dokładnie. To była mapa.

LXIV

Olsztyn, dzień piąty

Erich i Ingeborg Schwarz nawet nie spostrzegli, kiedy oświetlona aleja, którą szli od hotelu, zamieniła się w wąską, krętą ścieżkę. Biegła ona wzdłuż brzegu jeziora, którego plama, jaśniejsza nieco niż niebo, przebijała między pniami drzew. Tak bardzo byli zaprzątnięci dyskusją.

A już dawno tak dobrze im się nie rozmawiało! Ta nieoczekiwana zmiana planów, zrobienie czegoś wbrew wcześniejszym ustaleniom, odrobina szaleństwa – wszystko to sprawiło, że oboje poczuli się znów młodzi.

Żadne z nich nie pamiętało już o niesnaskach, jakie były między nimi jeszcze kilka godzin temu, o przykrościach, które sobie nawzajem wyrządzili. Aby zapewnić sobie i mężowi dobry sen, Ingeborg zaproponowała wieczorny spacer nad jezioro.

– A pamiętasz, w sześćdziesiątym piątym, tę wycieczkę na Rugię? –

Kobieta po raz kolejny tego wieczora postanowiła wypróbować pamięć swojego męża i znów jej się to udało, bo Erich aż zaklaskał, a potem niemal krzyknął:

– Do Sassnitz! Oczywiście, że pamiętam. Jakby to było wczoraj. Kąпалиśmy się wtedy zupełnie na golasa.

– Erich... – zawstydziała się starsza pani.

– No co? Tak było!

Gdzieś niedaleko zerwał się z wody jakiś spłoszony ptak. Ingeborg złapała męża za dłoń, drugą ręką chwyciła go kurczowo za przedramię.

– Po powrocie musimy koniecznie znaleźć jakąś zagraniczną wycieczkę – rzekł z mocą Schwarz. – Najlepiej do jakiegoś ciepłego kraju.

– Do Egiptu?!

– Może być Egipt.

Znów musieli się zatrzymać, ponieważ starsza pani rzuciła się mężowi na szyję i zaczęła go obściskiwać.

– Daj już spokój, już... – bronił się trochę nieporadnie mężczyzna.

– Kochany jesteś!

Kiedy ponownie ruszyli przed siebie, w odległości kilku metrów ujrzeli jasne, pomarańczowe światełko, coś, co mogło być ognikiem tłącego się papierosa. Ogienek był nieruchomy. Odruchowo zatrzymali się.

I chyba dopiero teraz zdali sobie sprawę z tego, gdzie się znaleźli. Stopy zapadały się w podmokłe podłoże, gdzieś z bliska dochodził miarowy rechot żab. Ingeborg Schwarz ze wstrętem zerwała pajęczynę, która przykleiła jej się do twarzy, i zacisnęła palce na przegubie ręki męża.

– Lepiej chodźmy stąd – powiedziała szeptem, ale żadne z nich się nie poruszyło.

To pewnie jakiś wędkarz. Nie ma powodu do obaw – pomyślał Erich.

Już chciał zamienić myśli na słowa, kiedy nagle ogienek poruszył się. Gibnął najpierw w lewą stronę, następnie w prawą. A potem zaczął się przybliżać.

Schwarz odruchowo dał krok do tyłu, pociągając za sobą żonę. Jego lewa stopa natrafiła na jakąś kałużę, zimna woda wlała mu się do buta.

– *Hilfe!* – krzyknęła Ingeborg.

Ale coś szybko zdławiło ten głos. Ogienek z papierosa zniknął.

W tej samej sekundzie, kiedy nozdrza Ericha Schwarza pochwyliły zapach dymu, padł cios. Pierwszy, wymierzony precyzyjnie w splot słoneczny, pozbawił go tchu. Drugi, o wiele silniejszy, zadany od góry i z tyłu – przytomności.

LXV

Olsztyn, dzień szósty

– To musi być to! – Horn opuścił wskazujący palec na zakupioną kilka godzin wcześniej mapę Warmii i Mazur, leżącą na kawiarnianym stoliku. – Według mnie nie ma innej możliwości.

Joanna musiała chyba dość sceptycznie podchodzić do tego, co twierdził jej współnik. Patrzyła na niego, a ręce jej były splecione ma piersiach.

W ten sposób myślało jej się najlepiej. Gdyby miała przy sobie broń, prawa dłoń bawiłaby się teraz kaburą od pistoletu, noszoną na szelkach. Nie było przypadku, żeby przesłuchiwany przez nią przestępca nie zauważył tego pozornie tylko nic nieznaczącego gestu.

Siedzieli w ogródku jednego z pubów na północnej pierzei Starego Miasta. Piwna piana dawno już ściekła po ściankach dwóch szklanek.

Ruch powoli zamierał, bowiem właśnie minęła północ. Oni nie przestawali jednak myśleć i dyskutować nad tajemniczym znaleziskiem. I choć Joanna wciąż miała wątpliwości co do trafności wyboru, Horn, który nadal trzymał palec na mapie, mógł mieć sporo racji. I nie był w tym sam.

Kilka godzin wcześniej, dokończywszy pizzę, od razu pojechali do Olsztyna, gdzie mieli zamiar zaopatrzyć się we wszystkie możliwe mapy Pojezierza Olsztyńskiego, włącznie z mapami sztabowymi o bardzo niskiej skali, których nie chroniła już tajemnica wojskowa.

Wtedy Horn właśnie wpadł na jeszcze jeden pomysł: żeby najpierw zwrócić się o pomoc do specjalisty. Był nim wybitny znawca okolicznych jezior, rzek, sadzawek, bagien i wszystkich większych kałuż Warmii i Mazur.

Doktor Jacek Paliwoda, bo tak nazywał się ów znajomy, był hydrologiem, adiunktem na Wydziale Ochrony Środowiska i Rybactwa miejscowego uniwersytetu. Urzędował w kampusie studenckim w Kortowie. Szczęśliwie był na miejscu, mimo wakacji i późnej pory.

Paliwoda okazał się wysokim i szczupłym mężczyzną z niemodnym już wąsem. Wydawał się nieco roztargniony, jakby nieobecny. Mruk. Typowy naukowiec, żyjący w swoim świecie. Bez wahania zgodził się jednak pomóc.

Na mapie nie było żadnych nazw i to przede wszystkim różniło ją od innych. Pokolorowane na niebiesko rozlewisko przybrało na niej kształt konika morskiego. Takie przynajmniej było pierwsze skojarzenie Joanny i Horna. Zgodził się z tym także naukowiec, zastrzegając jednak od razu, że to tylko luźne skojarzenie.

Następnie kilka zgrupowań czarnych kwadratów i prostokątów, co prawdopodobnie symbolizowało wsie, przy głowie i końcu ogona konika. Wreszcie kilka różnej grubości linii, które oznaczać mogły tak drogi, dróżki, szosy, jak i linie kolejowe. Ta ostatnia była zaznaczona bardzo wyraźnie, starannie – linia poprzedzielana w równych odstępach krótkimi ukośnymi kreskami – i nie budziła większych wątpliwości.

– To typowe jezioro rynnowe, jakich na terenie Warmii i Mazur jest kilka tysięcy – Horn powtórzył słowa, którymi kilka godzin wcześniej zaczął swój krótki, ciekawy wywód doktor Paliwoda. – Innym problemem jest to, że nie wiemy, gdzie na planie Romana Czai jest północ. Nie ma ani

róży wiatrów, ani wypisanych nazw topograficznych. A to bardzo wiele by wyjaśniło.

– Oko konika morskiego musi być wyspą – przyszła mu w sukurs Joanna.

– Wyspy są dwie – zauważył Horn, wskazując na drugą kropkę.

– Tak czy inaczej jezior z wyspami jest w okolicy kilkadziesiąt.

– Pamiętajmy też, że nie możemy się zanadto oddalać od Rychnowa.

Gdybali i rozważali, mimo że wszystkie te obserwacje, tropy i spekulacje, zebrane do kupy, dwie godziny wcześniej pozwoliły doktorowi Paliwodzie, posiłkującemu się zgromadzonymi w pracowni specjalistycznymi mapami, wskazać wstępnie dwa typy: Jezioro Łańskie i jezioro Mielno.

Pierwsze, owszem, przypominało nieco konika morskiego, jednak jego głowa była zbyt uniesiona w porównaniu z mapą gospodarza z Rychnowa. Było to jedno z największych jezior w okolicy, na jego brzegu znajdował się słynny ośrodek rządowy.

Jezioro Mielno za to, położone bardziej na południowy wschód, było dużo bliższe pierwowzorowi. Ale tylko wtedy, gdy patrzyło się na nie od wschodu.

– No i przy żadnym nie przebiega linia kolejowa – zakończył Horn zupełnie tak samo, jak kilka godzin temu pożegnał ich hydrolog.

Kelnerka sprzątała już ze stołów. Byli ostatnimi gośćmi w ogródku, a być może i w całym pubie. Nagły powiew wiatru zgasił w jednej chwili połowę świeczek na ich stoliku.

– Chyba trzeba się zbierać – sapnął Horn i zaczął składać wszystkie rozłożone na stoliku papiery.

Zapłacił kelnerce i po chwili szli już jedną ze staromiejskich uliczek, wciąż rozmawiając.

– Dlaczego powiedziałaś, że w naszych poszukiwaniach nie możemy oddalać od Rychnowa? – zapytała w pewnej chwili Joanna.

Westchnął głośno.

– Dlatego, że według relacji Romana Czai ładunek z ciężarówki został ukryty gdzieś w pobliżu miejsca, do którego jego rodzice przybyli miesiąc później, jako polscy osadnicy, jedni z pierwszych.

– Ale nie wiemy, czy to było akurat Rychnowo – naciskała dziewczyna. Miała rację, cholera.

– Nie. Nie wiemy – przyznał Horn.

– Możemy zapytać o to wdowę po gospodarzu.

Tylko się zaśmiał. Wymuszony był to śmiech i sztuczny.

Gdy mijali Wysoką Bramę, Horn po raz kolejny przypomniał sobie o spotkaniu, które nie doszło do skutku. Dziwne, dni mijały, a tamten jakoś nie dzwonił z wyjaśnieniami, nie mówiąc już o przeprosinach. Horn obraźliwi nigdy nie był, lubił jednak jasne sytuacje. No, może poza kwestią rozwiązywania zagadek, gdzie dojście do jasności albo oznaczało koniec sprawy, albo zmuszało do przyznania, że zagadka nie jest wcale zagadką.

Chciał już przejść do meritum sprawy, a mianowicie do tego, czemu jego zdaniem należy szukać w okolicach jeziora Mielno, kiedy zadzwoniła komórka Joanny.

Dziewczyna sięgnęła po aparat, spojrzała na wyświetlacz i skrzywiła się. Jednak odebrała połączenie.

– *Ja?*

Słuchała przez kilka chwil; mimo że trzymała telefon przy uchu, Horn wyraźnie słyszał podniesiony, kobiecy głos.

Gdy rozmowa zakończyła się, Joanna miała zacięty wyraz twarzy.

– Co się stało? – zapytał.

– Morderca zaatakował po raz trzeci – odpowiedziała głucho. – Musimy tam natychmiast pojechać.

– Dokąd?

Ale komisarz Klose już zmierzała szybkim krokiem w kierunku parkingu, na którym zostawili samochód.

To dlatego wypła tylko jedno małe piwo – pomyślał Horn.

LXVI

53°52'N, 20°15'E, dzień szósty

Anna Sikorska wiedziała, że do końca życia nie zapomni tej twarzy. Twarzy człowieka, który porwał ją i jej dzieci, a teraz, od kilkudziesięciu godzin, więził.

Była pewna, że jest w stanie współpracować z policyjnym specjalistą od portretów pamięciowych, a nawet najzwyczajniej w świecie wziąć do ręki ołówek i tę gębę po prostu narysować. Brak talentu z powodzeniem uzupełniłaby gniewem. Na pewno nie zadrżałaby jej ręka. Także wtedy, gdyby ktoś życzliwy włożyłby w nią nabity pistolet. Bez wahania pociągnęłaby wtedy za spust i strzeliła skurwysynowi w sam środek czoła.

Znała dobrze zapach wsi, więc od pierwszej chwili wiedziała, że znajdują się w jakimś opuszczonym gospodarstwie rolnym. Wstawał dzień, kiedy ocknęła się po działaniu chloroformu, którym uspioło całą trójkę poprzedniego wieczora. Ktoś wszedł do ich samochodu, gdy byli na zakupach w centrum handlowym, i zrobił to.

Dzieci również zaczęły się budzić, zziębnięte, głodne, a przede wszystkim przerażone. Ona była nie mniej przerażona od nich. Nie mogła przecież wytłumaczyć Marcelince i Szymonowi, co się dzieje. Miała zaklejone szeroką taśmą usta. One też. Widziała tylko wpatrzone w nią oczy. Myślała wtedy, że serce jej pęknie z bólu, strachu i bezradności.

Siedzieli na podłodze, na jakiejś resztkę słomy. Śmierdziało obornikiem i stęchlizną. Szymon się zsikał, mocz kapał mu przez materiał spodni. Anna zaczęła się szarpać, ale więzy, którymi była spętana, nawet nie drgnęły.

Tymczasem minął dzień, zaczęła się kolejna noc i nikt, poza ich prześladowcą, się nie zjawił. Człowiek, którego twarz Sikorska obiecała sobie zapamiętać, nic nie powiedział. Popatrzył tylko na swoich więźniów i zniknął bez słowa. Gdzieś nad nimi trzasnęły zamykane drzwi.

Anna wiele by dała, żeby móc odezwać się teraz do swoich dzieci, powiedzieć im, że wszystko będzie dobrze, że ten pan nie chce im zrobić tak naprawdę krzywdy, że tata zaraz po nich przyjedzie. Przecież wiedzą, że pracuje bardzo daleko, ale już na pewno leci do nich samolotem.

Wykonywała ustami ruchy, dzięki którym miała nadzieję rozluźnić nieco ucisk taśmy. Wypychała ją językiem, ale na próżno.

Niewielkie pomieszczenie mogło być albo chlewikiem, albo piwniczką, gdzie kiedyś trzymało się ziemniaki. Przez wąskie okienko wpadało blade księżycowe światło, dzięki czemu nie otaczały ich zupełne ciemności. Anna dziwiła się nawet, że jest tak jasno. Przynajmniej przez jakiś czas, wszak księżyc porusza się po niebie.

Postanowiła wykorzystać ten moment. Podniosła się, choć nie bez wysiłku, z ziemi, odwróciła. Marcelina i Szymon nie spali, oboje śledzili z uwagą poczynania mamy. Mrugnęła do nich porozumiewawczo, rodzeństwo odpowiedziało tym samym. Już po chwili twarz kobiety była tam, gdzie znajdowały się, powiązane niczym szparagi, rączki siedmioletniej Marceliny.

Szkoda, że wcześniej się w to nie bawiliśmy – pomyślała.

Dziecięce palce już operowały przy krawędzi taśmy. Udało im się złapać za jej koniec. Pociągnęła mocniej. Tak! Dobrze. Jeszcze trochę...

Po chwili usta Anny były wolne.

– Wszystko będzie dobrze, kochani – powiedziała łamiącym się głosem, dysząc ciężko. – Tatuś już po nas jedzie. Musimy wytrzymać jeszcze trochę.

Marcelina i Szymon patrzyli na nią tak samo jak godzinę temu, jak w chwili, gdy ocknęli się w tym strasznym miejscu. Anna wiedziała, że same słowa nie wystarczą.

Wstrząsnął nią dreszcz. W piwniczce zrobiło się ciemno; księżyc prawdopodobnie skrył się za chmurą.

Wiedziała już, że prędzej umrze, niż zostanie tutaj do rana. Po chwili stanęła na równych nogach.

I wtedy ją olśniło. Przypomniała sobie o pewnym zakupie, dość problematycznym, bo wymuszonym płaczem i tupaniem. Zakupu tego dokonała w centrum handlowym, na kilkanaście minut przed tym, jak zostali porwani.

Jej syn, Szymon, bardzo chciał mieć scyzoryk. I w końcu go wyprosił.

LXVII

Olsztyn, dzień szósty

Joanna Kloze działała jak w transie. Przez całą drogę, którą pokonali ze Starówki w stronę zachodnich rogatek miasta, nie mówiła nic. To znaczy nic, co byłoby skierowane do siedzącego obok Horna. Przez cały czas rozmawiała bowiem z kimś przez telefon komórkowy po niemiecku.

Ze strzępów zdań dziennikarz wywnioskował tylko tyle, że kolejny z uczestników pechowej wycieczki, który rano odłączył się od niej wraz z żoną, nie został zamordowany, tylko porwany.

– To był mój pomysł, cholera... – powiedziała Joanna, wreszcie po polsku, więc Horn odebrał to jako komunikat przeznaczony dla niego.

– O czym mówisz?

– To ja podsunęłam tym ludziom myśl, żeby odłączyli się od grupy. Stało się to podczas naszej ostatniej rozmowy, nazajutrz po śmierci Klause Miehkego w Malborku. Erich Schwarz zgodził się na to od razu. Jego żona była początkowo dość sceptyczna, ale też dała się namówić. Byłam przekonana, że to zmyli przeciwnika. Niestety, jak widać, nie dał się przechytrzyć.

– Jeszcze nie wszystko stracone.

– Też mam taką nadzieję.

Ruszyli spod świateł na skrzyżowaniu Warszawskiej z Jagiellończyka.

– Co masz zamiar teraz zrobić? – zapytał po chwili Horn. – Przecież jesteś odsunięta od śledztwa.

– Teoretycznie jestem odsunięta, ale... Nie oglądasz filmów kryminalnych? – Joanna spojrzała na towarzysza, na jej twarzy przez bardzo krótką chwilę zagościł uśmiech.

– Jasne, że oglądam.

– No to pewnie wiesz, że najlepsze wyniki osiąga zawsze policjant, którego właśnie, z takich czy innych powodów, odsunięto do śledztwa.

– Wiem, wiem. Podobnie jak ten, który mści się za śmierć swojego partnera. Innym znanym motywem jest to, że detektyw, który jadąc samochodem, otrzymuje zgłoszenie przez telefon albo radio, musi zawsze zawrócić z piskiem opon.

– Na szczęście my już jesteśmy na miejscu.

Zaparkowali przed hotelem. Było tu pusto i cicho. Tylko w kilku oknach dwupiętrowego budynku paliły się światła.

Wysiedli z samochodu. Joanna rozejrzała się dokoła. W pewnej chwili, nie wiadomo skąd, pojawił się przy nich jakiś mężczyzna.

– Cześć, Böhme – rzuciła w jego kierunku i do razy przystąpiła do rzeczy: – Gdzie jest w tej chwili pani Schwarz?

– W pokoju. Lekarz się nią już zajął – relacjonował partner Joanny. – Kilka siniaków, nic takiego. Ale jest w głębokim szoku. Aż dziw, że była w stanie sama do ciebie zadzwonić.

– Redaktor Tomasz Horn – Niemka przedstawiła swojego współnika, stojącego dotąd skromnie z boku i przysłuchującego się prowadzonej po niemiecku rozmowie.

– Miło mi. Böhme. – Komisarz błysnął białymi zębami, by następnie zwrócić się znów do Klose: – Co robimy?

– Wszystko według planu – odpowiedziała. – Polacy już wiedzą o sprawie. Będą tu za kilka minut. Na razie musimy porozmawiać z panią Ingeborg Schwarz. Tomek idzie z nami.

Böhme skinął potakująco głową.

Po chwili cała trójka zniknęła w głównych drzwiach hotelu. Minęli pusty kontuar recepcji i zaczęli piąć się po schodach na najwyższe piętro.

W pokoju na końcu korytarza zastali leżącą na łóżku starszą kobietę. Czuwał przy niej mężczyzna w białym lekarskim kitlu, ze stetoskopem na szyi. Ujrawszy gości, wstał energicznie z miejsca, rozkrzyżował ramiona, broniąc dostępu do chorej.

– Właśnie podałem jej silne leki uspokajające – poinformował. – Powinna zaraz zasnąć.

– Zasnąć jeszcze zdąży. Nie możemy czekać ani chwili – syknęła Klose.

Bezceremonialnie odsunęła ramię lekarza, zbliżyła się do Ingeborg Schwarz i usiadła na krawędzi łóżka.

– Jak się pani czuje? – zapytała zmienionym, łagodnym głosem.

– Dobrze. Już dobrze – odrzekła starsza pani cicho, by po chwili wybuchnąć płaczem. – To było straszne, pani komisarz! Po prostu straszne. Czego oni od nas chcą? Co myśmy im zrobili?!

– Sprawdzamy to.

– Znajdźcie go, proszę.

– Oczywiście. Tylko po to tutaj jesteśmy. – Joanna ujęła oburącz dłonie staruszki. – Proszę mi tylko jeszcze powiedzieć, gdzie to się stało.

– Nad jeziorem. Byliśmy na spacerze, kiedy ten ktoś nas zaatakował.

– Widziała pani jego twarz?

– Nie. Nie widziałam. Tam było ciemno. Zupełnie ciemno.

– Jakież znaki szczególne? Cokolwiek.

– Ten ktoś palił papierosa. Nic więcej nie było widać, tylko ten papieros.

Joanna Kloś wstała, odwróciła się do towarzyszących jej mężczyzn i dała im dyskretny znak oczami.

– Proszę mi obiecać, że pani znajdzie mojego Eryczka – zawołała jeszcze słabym głosem Ingeborg Schwarz.

Wyszli na korytarz. Dopiero gdy lekarz zamknął za nimi drzwi, policjantka mówiła dalej:

– Przystępujemy do kolejnych punktów planu.

Przerwała, bo właśnie otworzyły się drzwi jednego z pokoi i wyjrzał z nich jakiś zaciekawiony mężczyzna. Przewróciła oczami, po czym ruszyła szybkim krokiem w kierunku klatki schodowej. Horn i jej partner posłusznie poszli za panią komisarz.

– Böhme zostaje i czeka na Polaków – komenderowała dalej półgłosem.
– Ja i Tomasz idziemy nad jezioro. Erich Schwarz ma przy sobie, dokładnie ukryty, nowoczesny nadajnik GPS. Dzięki niemu mamy szansę namierzyć go z dokładnością do dwóch metrów.

A mają pretensje, że mapy Google pokazują ich domy! – pomyślał Horn.

Z samochodu Joanna zabrała laptop, który od razu uruchomiła. Następnie nałożyła szelki z kaburą, wyjęła i przeładowała berettę.

Horn w milczeniu przypatrywał się wszystkim tym działaniom. Napotkawszy jego spojrzenie, Kloś jeszcze raz zanurkowała w czeluściach bagażnika terenówki, skąd wyciągnęła kamizelkę kuloodporną.

– Ubieraj się.

– Z ochotą – odparł. – Nie mam zamiaru zgrywać bohatera spod Grunwaldu.

– A teraz najważniejsze. – Joanna pochyliła się nad ekranem komputera umiejscowionego na masce wozu, uruchomiła jakiś program, chwilę klikała i operowała teleskopową anteną.

– Antyterroryści będą za niecały kwadrans – poinformował ją Böhme, który znów pojawił się znikąd. – Masz go już? – Spojrzał partnerce przez ramię.

– Chyba tak – mruknęła. – Cholera, to niezły kawałek stąd. Musiał mieć motorówkę.

Spojrzał i zaciekawiony Horn, który właśnie uporał się z zapięciami kamizelki.

Od razu rozpoznał kształt jeziora Ukiel. Czerwony mrugający punkt – to musiał być Erich Schwarz albo, jak pokazywała praktyka i przywołane wcześniej filmy kryminalne, tylko znaleziony przez porywacza i rzucony gdzieś w zarośla nadajnik GPS. Może nawet z jakąś częścią ciała...

Miejsce, gdzie znajdował się pełgający punkcik, wydało się Hornowi znajome. Wystarczyło wysilić nieco pamięć, cofnąć się do nie tak odległych przecież czasów, gdy spędzał tu licealną młodość.

– Chyba wiem, gdzie to jest – powiedział, a kiedy oboje na niego spojrzeli, zaczął wyjaśniać. – To przystań żeglarska. Sporo budynków, hangarów i składzików. Niektóre prawdopodobnie od dawna nieużywane. Dobre miejsce, żeby przetrzymywać zakładnika. Przynajmniej w nocy.

– Jak szybko możemy tam być? – zapytała Joanna.

– W kilka minut. Znam skrót.

Klose już zabrała komputer z maski samochodu i nie odrywając wzroku od ekranu, zaczęła przemieszczać się w stronę siedzenia kierowcy.

– Franz! – rzuciła znów do partnera. – Porozum się szybko z Polakami. Niech otoczą teren!

Zapуściła silnik. Horn jeszcze nie zdążył zamknąć swoich drzwi, kiedy volvo wyrwało z przyhotelowego parkingu, by po chwili przeciąć pas zieleni ogradzający jezdnie dwupasmówki, zrywając z niego darń.

Dziennikarz złapał się kurczowo uchwytu nad drzwiami. Mimo to instruował policjantkę:

– Teraz w le... lewo.

Znaleźli się na wąskiej, otoczonej z obu stron drzewami drodze, jednak żadne z tych jednoznacznych określeń nie spowodowało zdjęcia zgrabnej nogi Joanny z gazu. Wręcz przeciwnie – policjantka gnała coraz szybciej, strzałka szybkościomierza zbliżała się do setki.

– Znów w lewo – jęknął Horn cicho, a mimo to Joanna usłyszała komendę pilota.

Zanim skręcili w ulicę Żeglarską, w przedniej szybie mignęły światła w oknach pociągu, jadącego do Elbląga albo nawet Gdańska. W tym momencie Horn znów coś sobie przypomniał.

– Przecież to oczywiste... – mruknął sam do siebie, na co Joanna, zajęta prowadzeniem pojazdu, nie zwróciła uwagi.

Z kolei w lewej szybie rozpędzającego się już na bocznej drodze auta było teraz widać rozświetloną księżycowym blaskiem tafłę jeziora. Horn, wciąż targany myślami, oderwał wzrok od tego widoku i spojrzał znów na ekran trzymanego na kolanach komputera. Czerwony punkt nie przemieszczał się, mieli więc spore szanse zastać na miejscu tak Schwarza, jak i jego porywacza lub – oby nie! – porywaczy...

– To tutaj.

Zatrzymali się. Kloze wyłączyła silnik, odebrała komputer z rąk dziennikarza. Chwilę operowała na klawiaturze, manewrowała anteną, wpatrywała się w kolorowy ekran. Wreszcie zastukała w szybkę paznokciem wskazującego palca.

– Wszystko wskazuje na to, że znajdują się w tym budynku. Co to może być?

– Szkutnia albo magazyn żagli.

Joanna zamknęła komputer i odłożyła go na tylne siedzenie. Sama wyjęła kluczyki ze stacyjki i wyszła na zewnątrz. Stojąc przy samochodzie, wyciągnęła z kieszeni telefon, spojrzała na wyświetlacz, następnie poprawiła broń w kaburze i podkasała rękawy bluzy.

Baba-terminator – pomyślał Horn, który dopiero teraz powoli otwierał drzwi pasażera i nieco niezdarnie gramolił się z fotela.

– Nie czekamy na posiłki? – zapytał; w tym samym momencie księżyc skrył się za chmurą, a przez plecy dziennikarza przebiegł zimny dreszcz.

– Nie mamy na to czasu.

To powiedziawszy, Joanna wyciągnęła z kabury berettę i trzymając ją oburącz, pchnęła furtkę. Weszli na teren przystani. Joanna musiała nauczyć się drogi na pamięć, bo kierowała się prosto w stronę szopy, w której według wskazań przyrządów miał znajdować się zakładnik.

Kilka chwil później ujrzeli budynek. W jedynym okienku, jakie posiadał, paliło się światło, którego źródłem była prawdopodobnie świeca lub lampa naftowa.

Joanna odwróciła się i ruchem lewej ręki nakazała Hornowi pozostanie na miejscu. Kiedy jednak oddaliła się o pięć, może sześć kroków, zaczął iść za nią.

Dziewczyna zbliżała się do okna, kiedy nagle otworzyły się drzwi szopy, umiejscowione trzy metry na lewo, i ukazał się w nich cień.

– Ręce do góry! – wrzasnęła Kloze; wykonawszy półobrót, na lekko ugiętych nogach mierzyła teraz oburącz w przeciwnika.

Mężczyzna, którego rysów nie można było rozpoznać, ale sądząc z postury, nie był to Erich Schwarz, zamiast wykonać polecenie, nagle

uskoczył w bok, jednocześnie sięgając ręką w zanadrze.

Klose jednak nie dała się zaskoczyć. Powietrze rozerwał huk wystrzału, po nim kolejny.

Horn runął wprost na mokrą od rosy trawę i wstrzymał oddech. Wrodzona ciekawość kazała mu jednak po chwili podnieść głowę.

– Leżeć, kurwa! – usłyszał krzyk Joanny.

To zaś, co zobaczył, wprawiło go w osłupienie: napastnik leżał na brzuchu, kilka metrów od otwartych drzwi, twarzą do ziemi. Rękaw koszuli na ramieniu był rozdarty, materiał barwił się na czarno. Policjantka, przydusiwszy go kolaniem jeszcze bardziej do podłoża, z wprawą zakładała kajdanki na nadgarstkach wykręconych do tyłu rąk.

W tej samej chwili od strony bramy dobiegł tętent kilkunastu par ciężkich butów. Nadciągały obiecane posiłki. Horn rozpoznał głos komisarza Franza Böhmeego.

Joanna tymczasem odtrąciła kopniakiem leżący na ziemi pistolet bandyty, po czym pochyliła się nad nim, chwyciła go za włosy i podniosła do światła.

– No, pokaż teraz swoją gębę, ptaszku! – wycedziła przez zęby.

Przypatrującemu się przez cały czas tej dość osobliwej i niecodziennej scenie Hornowi zrobiło się zimno. A po chwili poczuł się, jakby ktoś oblał go wiadrem wrzątku.

Leżącym człowiekiem, prawdopodobnie także porywaczem i zabójcą uczestników niemieckiej wycieczki, był Lech Nejman. Były oficer GROM-u.

LXVIII

53°49'N, 20°18', dzień szósty

„Dzisiaj jestem tutaj, jutro w Dortmundzie. Taki krzyż” – te słowa były najlepszym komentarzem do życia Adolfa Szpaka z Dywit. No może z tym Dortmundem lekka przesada, bo ostatnimi czasy nie chciało mu się jeździć po towar aż do Niemiec. Nie ten wiek, a i konkurencja wyrosła nowa, bezwzględne gnojki, co własną babkę by sprzedali za sto euro.

Ale na Warmii i Mazurach Szpak wciąż czuł się najlepiej. Upodobał sobie kram na Targu Rybnym w Olsztynie, gdzie sprzedawał antyki, które wyszukiwał na strychach, w piwnicach i domowych graciarniach dawnych Prus Wschodnich.

Tego dnia wracał z objazdu po okolicy z wyjątkowym łupem. Był to stary, z pewnością przedwojenny księżowski biret. Nie mógł się powstrzymać, by nie włożyć go na głowę. Pasował idealnie.

Samochód Adolfa Szpaka, bynajmniej nie zabytkowy, jechał przez las, po pustej drodze, więc kierowca używał długich świateł. W pewnym momencie, za wsią Wrzesina, po pokonaniu jednego z licznych na tej strasie ostrych zakrętów, snop silnego światła złapał trzy sylwetki idące poboczem, zgodnie z przepisami. Jedna z nich, kobieta, przysłoniła oczy ręką.

Pewnie młodzież wraca z dyskoteki – skonstatował w myślach, jednocześnie zmieniając światła na mijania.

Już miał zamiar nacisnąć mocniej na gaz, kiedy kobieta, którą mijał, odjęła rękę od oczu i kilka razy machnęła. Dostrzegł to niemal w ostatniej chwili. Jednocześnie coś go tknęło. Coś, co nie pozwoliło mu uznać owego gestu za zwyczajny wygłup. Pewnie dziewięciu na dziesięciu kierowców jechałoby dalej.

Zahamował. Autem zarzuciło. Koła załapały pobocze. W bagażniku zajęczał jakiś metal. Szpak wrzucił wsteczny bieg i patrząc w lusterko, powoli, aby nie rozjechać przechodniów, zaczął się cofać. Wreszcie zrównał się z zagadkową grupką. Była to kobieta i dwójka małych dzieci.

Otworzył drzwi, wyskoczył na jezdnię i okrążywszy pojazd, podszedł do autostopowiczów.

– Czy mogę w czymś pomóc? – zapytał.

Dzieci, dziewczynka i młodszy od niej chłopczyk, ukryły się za plecami matki. Jedno z nich zaczęło płakać.

– Czy to jest ksiądz, mamusiu? – zapytała słabym głosem dziewczynka. – Czy my już umarliśmy?

– Cholera – zaklął po nosem, zorientował się bowiem, że ma na głowie ów biret, swoją najważniejszą dzisiejszą zdobycz. – Czy mogę w czymś pomóc? – powtórzył, poprawiając nerwowo okulary.

Anna Sikorska mogła tylko pokiwać głową. Odgarnęła ręką z twarzy zmierzwione włosy, na chwilę przymknęła oczy. Wiedziała już, że są uratowani. Że nie na darmo rozcinała więzy w iście akrobatycznej pozie, kalecząc się w palce, nie na darmo przeciskała się przez wąską szczelinę okna, zdzierając sobie znów skórę do krwi, że jej kilkugodzinna wędrówka przed siebie, byle dalej, do ludzi, z omdlewającymi z głodu i wysiłku dziećmi miała jednak sens.

– Zostaliśmy porwani – wyszeptała i w tej samej chwili nogi się pod nią ugięły. – Proszę nas zawieźć na policję...

LXIX

Olsztyn, dzień szósty

Joanna Kloze nie chciała, by zabójcę jej rodaków zabrała ze sobą miejscowa policja. Któryś ze starszych stopniem funkcjonariuszy wdał się z nią nawet w dyskusję, przywoływał jakieś przepisy. Ale ona nie miała zamiaru go słuchać. I postawiła na swoim.

Ostatecznie umówili się nazajutrz w komendzie wojewódzkiej, w gabinecie Stawskiego, aby dopełnić wszelkich formalności. Potem razem ze swoim partnerem zaprowadziła więźnia do samochodu. Wszystko wyglądało na fachową robotę: więzień był skuty, jego rana opatrzona, a Böhme chronił głowę Nejmana podczas umieszczania go w samochodzie.

Ericha Schwarza, któremu Nejman na szczęście nie zdążył nic zrobić, nie licząc kilku guzów, pogotowie zabrało do szpitala na obserwację. Staruszek był bowiem bardzo wystraszony, miał problemy z krążeniem i oddychaniem.

Joanna siadła za kierownicą samochodu. Trzasnęły zamykane drzwi.

– Wiedziałam. Wiedziałam, że skądś go znam – mruknęła pod nosem, przekręcając kluczyk w stacyjce. – Monitoring to jednak dobra rzecz.

Ruszyli.

– Nic nie rozumiem. Zupełnie nic – nie przestawał powtarzać Tomasz Horn. – Dlaczego ty to robiłeś, człowieku?

Siedzący obok niego Nejman milczał. Odkąd został zdekonspirowany i pojmany, skutecznie udawało mu się unikać także wzroku znajomego. Horn zaś jakoś ochłonął i od czasu do czasu instruował policjantkę, jak ma jechać.

Głowę zaprzętały mu jednak inne myśli i inne pytania, których pozbyć się nie potrafił.

– Dlaczego?!

– Bo to jest moja praca. – Były oficer GROM-u spojrział w boczną szybę na śpiące przedmieście. – Co ja mam ci powiedzieć?

– Wszystko. Od początku.

Żołnierz westchnął.

– Początku tej sprawy – zaczął – trzeba szukać dość daleko, bo aż w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku. Wtedy to właśnie, w czerwcu, Niemcy utworzyli nową jednostkę wojskową, składającą się z więźniów skazanych za kłusownictwo.

Horn zauważył, że także Joanna, skupiona na prowadzeniu auta, nieznacznie przechyliła głowę, aby lepiej słyszeć.

– Później zaczęli do nich dołączać ludzie skazani także i za inne, dużo cięższe przestępstwa. Twórcą jednostki i jej pierwszym dowódcą został niejaki Oskar Dirlewanger, esesman, psychopata, mający na koncie wyrok za gwałt na nieletniej.

Joanna gwałtownie kopnęła hamulec, auto stanęło dęba, aż siedzący z tyłu mężczyźni uderzyli czołami o zagłówki przednich foteli.

– Myślisz, że mnie tym wzruszysz?! – ryknęła, odwróciwszy się; w jej oczach znać było autentyczny gniew. – Co to za jakaś pierdolona lekcja historii? I kim jesteś, by mi jej udzielać?

– Nikim. Jestem nikim. Wiem to. – Nejman wzruszył ramionami.

– Kropnę cię tu i teraz bez mrugnięcia okiem i nikt mi nic za to nie zrobi! W raporcie napiszę, że stało się to podczas próby ucieczki. Standard. Dla mnie to tyle co splunąć. Oficjalnie nie ma tu ani ciebie, ani mnie.

Patrzył na nią nieporuszony. Pewnie nie takich grózb i nie w takim wykonaniu już słuchał.

Z kolei Horn nigdy nie widział tej dziewczyny w podobnym stanie. Ale znali się przecież zaledwie kilka dni.

– Ja jednak chciałbym posłuchać – rzekł twardo, ale ze spokojem, choć serce w piersiach waliło mu jak oszalałe.

Dziewczyna odwróciła się równie gwałtownie jak wcześniej. Splotła ręce na piersiach, przez co wyglądała teraz jak obrażona nastolatka.

– To i tak niczego nie zmieni – burknęła. – Ale proszę bardzo. Mamy mnóstwo czasu.

Minęła długa chwila, nim Nejman zaczął mówić dalej:

– Trzydziesta szósta dywizja grenadierów SS zaczęła swoją niechlubną karierę od zbrodni wojennych dokonanych na tyłach frontu wschodniego. Palono, grabiono, gwałcono kobiety i mordowano wszystkich, bez wyjątku. Gdy więc pierwszego sierpnia czterdziestego czwartego roku w Warszawie wybuchło powstanie, dowództwo wojsk niemieckich nie miało wątpliwości, kogo skierować na ulice zbuntowanego miasta. Współpracując z oddziałami policji dowodzonymi przez Heinza Reinefartha, dirlewangerowcy zapisali jedną z najkrwawszych kart w historii powstania podczas pamiętnej rzezi Woli, w której śmierć poniosło blisko sześćdziesiąt pięć tysięcy warszawiaków. Ludzie Dirlewangera z wyjątkowym okrucieństwem mordowali, pacyfikowali szpitale, zabijając pacjentów i personel. Podobnie było w innych dzielnicach: na Starym Mieście, Powiślu i Czerniakowie.

Lech przerwał. Oddychał ciężko. Stojący wciąż na poboczu samochód, w którym siedzieli, minęło kilka taksówek.

Po chwili mówił dalej:

– Kiedy zakończyła się wojna, podobnie jak w przypadku wszystkich niemieckich formacji, część dywizji została pojmana przez Armię Czerwoną, inni zaś poddali się Amerykanom. Problem w tym, że zbrodniarze ci nie stanęli nigdy przed polskim sądem za to, co zrobili w Warszawie. Wszyscy żyli sobie spokojnie w Niemczech lub wyemigrowali do innych krajów Europy albo nawet poza nią. Sytuacja zmieniła się w maju dwa tysiące ósmego roku.

– Co się wtedy stało? – zapytał Horn.

– Austriacki Czerwony Krzyż przekazał nam nieznane dokumenty, które zawierały nazwiska, a także adresy blisko dziewięćdziesięciu byłych członków oddziału. Wkrótce okazało się też, że dziewięciu z nich nadal żyje i mieszka w Niemczech. Instytut Pamięci Narodowej wszczął śledztwo, którego celem było postawieniem tych ludzi przed polskim sądem. Mało kto wie bowiem, że za pacyfikację powstania skazano po wojnie zaledwie cztery osoby. Cztery! Śledztwo jednak ślimaczyło się, zaczęto robić trudności, wreszcie stanęło w martwym punkcie. Aż do momentu, gdy sprawą zainteresowała się specjalna, nowo utworzona, tajna komórka. To właśnie ci ludzie zwrócili się między innymi do mnie, człowieka skazanego na wegetację, którego, jako kaleki, nie chciała już polska armia. Wiedzieli, co potrafię.

– Żałosne – mruknęła Joanna.

– Dałem tego wiele razy przykład w Iraku i Afganistanie, wcześniej na Haiti i w Bośni – wymieniał z dumą Nejman. – Kilka tygodni temu dostałem wiadomość, że dwóch byłych członków oddziału kryminalistów Dirlewangera, którzy po wojnie, co oczywiste, zmienili nazwiska, ale których udało się namierzyć, będzie w Polsce. Na zwyczajnej wycieczce autokarowej.

– Dwóch? – odezwała się milcząca dotąd Joanna. – Prochnov, Miehle, Schwarz?

– W Malborku miał zginąć Schwarz – wyjaśnił Nejman. – Być może komisja lekarska miała rację, wysyłając mnie na zieloną trawkę. Gdybyśmy spotkali się półtora roku temu, pewnie nie dałbym się tak szybko załatwić. Tym bardziej kobiecie.

Klose aż otworzyła usta. Horn widział to dokładnie we wstecznym lusterku. Ale nic nie powiedziała. Tylko przekręciła kluczyk w stacyjce.

Po chwili jechali dalej. Lekcja historii była zakończona.

– To wszystko – powiedział Nejman, patrząc na Horna. – Chciałeś wyjaśnienia, dostałeś je.

Było wpół do drugiej w nocy, gdy zatrzymali się przed bramą aresztu śledczego przy alei Piłsudskiego. Tu miał zostać na noc aresztowany.

Joanna bez słowa opuściła auto, zniknęła w drzwiach aresztu. Horn nie wytrzymał długo – również opuścił wóz. Kilka chwil chodził wzdłuż auta z rękami w kieszeniach. W pewnej chwili coś przykuło jego uwagę.

Nie wierzę – pomyślał. To przypadek albo... A jeśli to prowokacja i ktoś pociągnie z więziennej wieżyczki serią z kałacha?

Teraz to on działał jak w transie: otworzył drzwi kierowcy, zgarnął leżący na siedzeniu kluczyk od kajdanek i kazał wyjść Nejmanowi, po czym rozkuł go.

– Jak ona powiedziała? Oficjalnie nie ma tu ani ciebie, ani mnie?

– Chyba tak – bąknął Nejman. – A ty?

– Co?

– Jesteś pewien?

– Jestem. Dasz sobie radę? Mieszkanie pewnie będzie spalone.

– Nie z takich opresji się wychodziło.

– Nie zazdrozczę ci.

– Dzięki, Tomek.

Po chwili cień utykającego mężczyzny rozpląnął się w ciemnościach.

Gdzieś blisko odezwał się pierwszy ptak. Horn zajął swoje wcześniejsze miejsce, zatrzasnął drzwiczki samochodu. Twarz mu płonęła. Jednak serce biło teraz spokojnie.

LXX

Rychnowo k. Ostródy, dzień szósty

Zdzisiek Czaja, który tego dnia wstał jako pierwszy, przez uchyloną firankę w kuchni obserwował podwórko. Zaalarmował go nosowy pomruk silnika samochodu. Z początku myślał, że to ktoś z rodziny czegoś zapomniał (ostatni żałobnicy wyjechali nad ranem).

Kiedy po chwili ujrzał idących przez podwórze dwóch dobrze ubranych mężczyzn – za dobrze ubranych! – w ciemnych okularach, wstrząsnęło nim nagłe zimno.

Ojciec długów narobił – pomyślał z trwogą, przypomniawszy sobie, że stary Mielewczuk z Sztyldaka też taką niespodziankę rodzinie zostawił...

Ale było już za późno, by cokolwiek zrobić. Rozległo się pukanie do drzwi. Po chwili z głębi mieszkania odezwała się matka:

– Już idę, idę!

Młody Czaja przetarł czoło dłonią. Na skórze jej wewnętrznej strony, twardej i spękanej od pracy, został wilgotny ślad.

Kiedy matka weszła do kuchni, a za nią dwaj mężczyźni, chłopak zrobił krok do tyłu, po nim jeszcze jeden, aż zatrzymała go ściana.

– A może chodźmy od razu do salonu. – Wdowa wyglądała na bardzo podekscytowaną, a na odchodne rzuciła jeszcze synowi przez ramię: – Zdzisiu, ubierz się zaraz i chodź szybko do nas.

No tak, lepiej mieć na dupie portki, słysząc takie rzeczy – pomyślał Czaja z rezygnacją.

Kiedy po minucie wszedł do największego salonu, zastał gości siedzących za stołem. Akurat matka, jak wczoraj, kładła na nim album ze zdjęciami, pochlipując przy tym.

– Boże przenajświętszy! Ileśmy się z mężem na pana posła naczekali! Szkoda, że Romuś tego nie doczekał...

Jedno spojrzenie wystarczyło i Zdzisiek już wiedział. Że też wcześniej nie skojarzył!

W ich salonie siedział nie żaden boss mafii, a sam europoseł Bogdan Sikorski.

– Trochę to trwało, niestety. – Polityk uśmiechnął się przepaszająco do pani Czai. – Problem w tym, że mąż nie zostawił nam swojego adresu. To znaczy adres był, ale nie wiedzieliśmy, o kogo chodzi. No i teraz spóźniliśmy się...

– Na szczęście Roman zostawił dla pana posła list – rzekła z dumą wdowa. – Obiecałam, że do rąk własnych oddam, i tak się stanie. Gdzie to jest? Gdzie to...?

Gospodyni zaczęła nerwowo przerzucać kartki w albumie. Syn zbliżył się do matki i z uwagą obserwował jej ruchy, spoglądając też od czasu do czasu na gości.

Sikorski i towarzyszący mu oficer wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Nie ma. Jezu! Nie ma. – Pani Czaja zaczęła się chwiać na nogach, na szczęście syn w porę podsunął jej jedno z krzeseł, na które kobiecina ciężko klapnęła.

Po chwili słabość zamieniła się w gniew.

– To musieli zrobić oni. – Oskarżycielskim gestem wycelowała, nie wiadomo czemu, w okno pokoju.

– O kim pani mówi? – chciał wiedzieć Sikorski.

– Było tu wczoraj dwoje ludzi, mężczyzna i młoda kobieta, ładna blondynka – relacjonował w zastępstwie matki Zdzisław Czaja. – Powiedzieli, że są pracownikami biura pana pośła.

Sikorski i Wójcik znów na siebie spojrzeli.

– Dlaczego ja im w ogóle pokazałam ten album? Dlaczego?! – biadoliła gospodyni ze łzami w oczach. – Żeby tak oszukać starą kobietę...

– Jak oni wyglądali? – zapytał Zdziśka Czaję milczący dotąd oficer.

Chłopak w kilku nieskładnych zdaniach opisał wczorajszych, kłopotliwych gości.

Potem goście wstali, podziękowali i obiecawszy wciąż rozemocjonowanej wdowie szybkie załatwienie sprawy, włącznie z ukaraniem winnych kradzieży, pożegnali się z Czajami.

– Jak na razie wszystko się zgadza – rzekł major, gdy wsiadali już do auta, odprowadzani spojrzeniami zza firanek. – Horn i ta Niemka odwiedzili po kolei staruszków z listy, której... nie otrzymali od twojego asystenta.

– Porozmawiać z Romanem Czają też co prawda nie zdążyli. Tak ja my.

– Ale za to mają coś, czego my nie mamy, a mieć powinniśmy.

Bogdan Sikorski zapiął pas, zapatrzył się w przednią szybę. Wyglądał w tym momencie na osobę, której jest zupełnie wszystko jedno. I tak było! Mało obchodziła go teraz sprawa kradzieży skierowanego do niego listu, jak i jego treść.

Myślał o swojej rodzinie. Nie potrafił inaczej. Mimo zapewnień Wójcika, że odpowiednie służby robią, co w ich mocy. Banalnie to brzmiało i bynajmniej nie był ani trochę spokojniejszy.

Wyjechali z podwórka na drogę. Sikorski nie pytał, dokąd teraz zmierzają. Tak naprawdę żałował, że dał się namówić na eskapadę. Powinien siedzieć w domu i czekać na najbliższych. Albo jeszcze lepiej – szukać ich, pomagać policji (tak, Horn miał rację!) czy komukolwiek, kto się tym zajmuje...

A tak stracił niemal całą dobę. Poprzedniego dnia, krótko po tym, jak okazało się, kto napadł na niego przy kapliczce, zadzwonił telefon, ten z przesłaną mu kartą SIM. Gdy Sikorski odebrał połączenie, ktoś po drugiej stronie rozłączył się. Powtarzało się to siedem, może osiem razy. Stary sposób, by doprowadzić człowieka na skraj załamania nerwowego.

Wreszcie, około pierwszej po południu, w słuchawce odezwał się niski, jakby specjalnie zniekształcony głos. Człowiek, który dzwonił, poinformował Sikorskiego, że jeśli chce ujrzeć żonę i dzieci żywe, niech przyjedzie na tamę na rzece Wadąg. O piątej po południu. Oczywiście sam. Bogdan pojechał, ale nikogo tam nie było. Tam ani w najbliższej okolicy, co potwierdzili ludzie Wójcika, którzy przez cały czas monitorowali teren. Porywacz więcej się nie odezwał. To też był element gry. Nie udało się go również namierzyć.

Późnym popołudniem Sikorski wpadł do swojego biura. Widząc go, jego asystent, Piotr Radziszewski, złapał się za głowę. Potem usiadł. Wreszcie zaczął coś dukać o porwaniu. Polityk uspokajał go, jednocześnie szukając listy uczestników tamtej wycieczki do Brukseli. Znalazł ją.

Mogli ruszać od razu, jak planował Wójcik.

Odwiedzili tego dnia dwóch starszych panów. Żaden jednak nie okazał się tym, którego szukali. Już mieli jechać do ostatniego na liście Romana Czai z Rychnowa, gdy w Sikorskim coś pękło. Mimo próśb i gróźb, kazał Wójcikowi odwieźć się natychmiast do domu. Umówili się z na szóstą rano. A w nocy i tak nie przespał ani jednej minuty...

Ech, gdyby wtedy jednak przyjechali do Rychnowa. Przynajmniej ta sprawa byłaby być może załatwiona.

– Jedenaście zero trzy, zgłoś się! – zaskrzeczało głośno CB-radio, na który to dźwięk Sikorski, zatopiony w rozmyślaniach, niemal podskoczył.

Wójcik powolnym, niedbałym ruchem sięgnął po mikrofon.

– Co jest?

– Melduje się sierżant Niewiadomski, panie majorze.

– Nadawaj.

– Przed chwilą otrzymaliśmy meldunek z komendy miejskiej policji w Morągu. W nocy została tam dostarczona kobieta z dwojgiem dzieci...

Sikorski gwałtownie wyprostował się na fotelu.

– Mówi, że nazywa się Anna Sikorska. Powtarzam: Anna Sikorska.

– Boże... – jęknął Bogdan.

– Policji udało się właśnie potwierdzić jej tożsamość. To żona europośla i ich dwoje dzieci. Cała trójka czuje się dobrze. Odbiór.

Zamiast odpowiedzieć swojemu podwładnemu, major spojrzął z ukosa na Sikorskiego. Mimo że polityk odwrócił głowę, Wójcik dostrzegł w jego oczach łzy.

– I co? Mówiłem, że wszystko będzie dobrze – rzekł.

– Mówiłeś, że ich znajdziesz.

– Widać to ona powinna przejąć dowodzenie w moim oddziale. Nie wiem tylko, czy zniósłbyś w domu babę-oficera... A teraz poważnie, jeśli pozwolisz, wróćmy do naszych spraw. Poeta pisał: „Szczęścia w miłości nie zaznał, bo go nie było w ojczyźnie”. Czy jakoś tak. Mam nadzieję, że teraz pan europoseł pomoże mi zająć się ojczyzną, co?

– Jedź do Olsztyna – warknął Sikorski.

– Ale potem będziemy razem szukać skarbów? – Major uniósł w górę brwi.

– Mam cię w dupie, Wójcik.

– Ku chwale ojczyzny, panie europośle!

LXXI

Olsztyn, dzień szósty

Helmut Baum spał tej nocy bardzo źle. Męczyły go koszmary, coś nie pozwalało swobodnie oddychać. Kiedy był małym chłopcem, babcia Gudrun mówiła, że to zhora siada człowiekowi na piersiach i dusi. Musi wtedy coś złego na sumieniu mieć, choć niekoniecznie. Są przecież sprawy na ziemi, których nie ogarniesz.

Dlatego kiedy po tysięcznym przewracaniu się z boku na bok Helmut wreszcie ujrzał pasek dziennego światła w nie do końca zasuniętych zasłonach w oknie, poczuł zadowolenie.

Dwie mocne kawy i jakoś stanę na nogach – pocieszał się w duchu.

Krzążając się po pokoju, przypomniał sobie wczorajszą awanturę na hotelowym korytarzu. Tak myślał, że to awantura, bo tamci bardzo się maskowali. Zdaje się, jego rodacy mieli z tym coś wspólnego. Nieważne.

Ważne jest, co teraz on powinien zrobić. Na dziesiątą zaprosił do siebie tych dwóch Polaków. Mieli się wspólnie zastanawiać, co robić dalej. Oby tylko z daleka od kościołów...

Helmut Baum właśnie mydlił sobie twarz, aby się ogolić, gdy zadzwonił jego telefon komórkowy. Zaklął pod nosem, ale postanowił, że odbierze połączenie. Numer mrugający na wyświetlaczu nie mówił mu nic poza tym, że dzwoni do niego ktoś z Polski.

– Pewnie jakaś pomyłka – skwitował to spostrzeżenie, po czym nacisnął guzik odbioru i przyłożył aparat do ucha w taki sposób, by nie pobrudzić go pianą, w którą na jego twarzy zamieniał się żel do golenia. – Halo!

– *Guten Morgen* – przywitał się ktoś po drugiej stronie zgodnie z regułami, do południa wszak pozostało jeszcze sporo czasu.

– *Morgen* – odpowiedział Baum.

– Mówi Jacek Paliwoda z Wydziału Ochrony Środowiska i Rybactwa w Kortowie. Rozmawialiśmy przedwczoraj.

– Tak, oczywiście – ożywił się Helmut; nie był człowiekiem aż tak zajęтым, żeby nie kojarzyć ludzi, a znał osobiście takie typy, prezesów i dyrektorów z minami, jakby przez tydzień nie mogli się wysrać. – Pamiętam pana doskonale. Dzień dobry, doktorze.

Przez dłuższą chwilę trwała cisza. Kilka dni temu, gdy widzieli się po raz pierwszy i zarazem ostatni, po kilku minutach rozmowy Niemiec zdążył wyrobić sobie zdanie na temat polskiego naukowca: indywidualista, dziwak, jak każdy naukowiec (choć Baum wcześniej, bo ledwie po dwóch semestrach, zakończył swoją przygodę ze studiami na politechnice). Długie chwile milczenia były rzeczą normalną.

Teraz jednak piana, którą miał wciąż na twarzy, zaczynała go już łaskotać, więc postanowił, mimo że to nie on dzwonił, sam pokierować rozmową.

– Co u pana słyhać? – rzucił do słuchawki, bo tylko takie pytanie, najbardziej banalne z banalnych, przyszło mu na myśl.

To jednak poskutkowało: doktor Paliwoda odblokował się.

– Gdy się widzieliśmy, pytał mnie pan o pewne jezioro – zaczął wybitny hydrolog. – Długo nad tym myślałem i nagle: olśnienie. Przecież to oczywiste, wręcz dziecinnie proste...

Baum, który w międzyczasie usiadł na krawędzi łóżka, teraz musiał wstać. Czuł, że zaczyna tracić cierpliwość. Zrobiło mu się gorąco. I nie była to tylko sprawka pianki do golenia, zasychającej już na jego policzkach, podbródka i szyi.

– Niech pan mówi – wykorzystał chwilę, jaką tamten zrobił na zaczerpnięcie oddechu.

– Według mnie na pańskiej mapie zostało narysowane jezioro Mielno – rzekł Paliwoda.

– Mielno?

– Tak, to na pewno ten akwen. Konik morski, ale widziany od zachodu.

Kiedy rozłączyli się, doktor Paliwoda za cholerę nie potrafił sobie przypomnieć nazwiska Niemki, która wczoraj późnym popołudniem przysłała do niego z taką samą bądź podobną mapą. Nie wiedział też, gdzie szukać numeru telefonu do Horna, który towarzyszył kobiecie. Zresztą w tej samej chwili ktoś zapukał i do gabinetu weszło dwóch przestraszonych studentów.

LXXII

Trasa S7, między Olsztynkiem a Nidzicą, dzień szósty

– Zapraszam za chwilę do radiowozu – powiedział sierżant drogówki, po czym z prawem jazdy Joanny i dowodem rejestracyjnym w ręku odmaszerował w kierunku stojącego za nimi na poboczu nieoznakowanego radiowozu, volskwagena passata w kolorze srebrnym.

Niespełna dwie minuty temu Joanna dostrzegła we wstecznym lusterku jadący blisko za nimi samochód, na którego desce rozdzielczej obracał się niebieski sygnalizator. Horn nie wiedział, z jaką prędkością jechali. Pewnie zbyt wielką, skoro tamtym się to nie spodobało. Nie wiedział też, czemu dziewczyna nie wymachuje legitymacją służbową.

Gdy o to zapytał, tylko wzruszyła ramionami.

– Nie jestem już na służbie – odpowiedziała niewinnie. – Ale iść do nich na kanapkę też nie zamierzam. Niech mnie w dupę pocałują.

Nie poznawał jej. Odkąd odebrała telefon od Ingeborg Schwarz, której porwano męża, z jej twarzy zniknął uśmiech, który tak się Hornowi podobał.

Gdzie się podziała ta miła dziewczyna, która kilka dni temu sama zaproponowała mu spółkę w celu rozwiązania zagadek przeszłości? – zastanawiał się.

Sześć godzin temu, gdy siedział, już sam, w samochodzie zaparkowanym przed bramą aresztu śledczego w Olsztynie, był bliski

decyzji, by samemu uciekać śladem Nejmana. Nie wiedział przecież, czy kluczyk od kajdanek został tak naprawdę „zgubiony” czy zgubiony.

Nie był tego pewny aż do chwili, gdy policjantka wróciła do samochodu, usiadła za kierownicą, westchnęła głośno, by wreszcie powiedzieć: „Mam nadzieję, że użyjesz całego swojego dziennikarskiego talentu, by pomóc mi napisać raport, który przekona moich szefów. Przydałaby się również jakaś obdukcja, bo przecież musiałeś stoczyć walkę, próbując zatrzymać złoczyńcę. Niestety, mimo najszczerzych chęci, bezskutecznie...”. A na koniec zapytała, wciąż nie patrząc na niego, dokąd go odwieźć.

Umówili się nazajutrz. Ich spółka, jak zapewniała Joanna, wciąż działała. Horn nie był do końca pewien, czy spotka policjantkę w miejscu, w którym się umówili. Ale była tam.

Wrócił sierżant drogówki. Nachylił się nad opuszczoną do połowy szybą.

– Proszę uważać, pani komisarz – rzekł. – Naszym drogom daleko do waszych autostrad.

Po czym oddał jej dokumenty, życzył szerokiej drogi, zsalutował i wrócił do swojego volkswagena uzbrojonego w wideorejestrator, postrach kierowców.

Joanna bez słowa uruchomiła silnik. Na jej ustach błąkał się uśmiech. Satysfakcja w czystej postaci. Nie, Horn, mimo że z każdym rokiem wraz z siwymi włosami przybywało mu kolejnych życiowych doświadczeń, wciąż nie potrafił zrozumieć kobiet.

Po kilku minutach ich volvo zjechało z głównej drogi. Horn sięgnął do schowka po wojskową mapę sztabową, tak zwaną dwusetkę, którą kupił wczoraj. Porównał ją z mapą, którą Czaja chciał przekazać Bogdanowi Sikorskiemu. Podobieństwo było dość duże.

Czemu był przekonany, że chodzi właśnie o Mielno? Chwilę zwlekał z odpowiedzią na takie właśnie pytanie, które przed momentem zadała mu Joanna.

– Przecież tu nie ma żadnej linii kolejowej – zauważyła. – Powinna przebiegać dokładnie pod ogonem konika morskiego.

– Nie ma – zgodził się. – Ale była. Jeszcze zimą czterdziestego piątego roku przejechał po tych torach pociąg z uchodźcami ze wschodniopruskich miast.

– I co się potem stało?

– Nie wiesz? Za Armią Czerwoną, która zajmowała, z większą lub mniejszą trudnością, kolejne niemieckie miasta, szły wojska inżynieryjne. Ich zadaniem było między innymi rozbieranie torów kolejowych. Mało kto wie, że przed wojną można było przejechać pociągiem bez przesiadki z Ostródy do Olsztynka, z Mrągowa do Rucianego, z Reszla do Lidzbarka Warmińskiego i dalej do Ornety czy z Orzysza do Giżycka. To zresztą tylko przykład, niewielki wycinek tego, co zrabowano. Dziś zostały tam tylko stojące w szczerym polu wiadukty, mosty i nasypy.

– A co się stało z szynami? – dopytywała dziewczyna. – Przetopiono je na pociski, armaty?

– Nie. Służą do dziś zgodnie z ich przeznaczeniem, ale na Bajkało-Amurskiej Magistrali Kolejowej. Niektórzy Polacy śmieją się, że Rosjanie pożyczili tylko szyny do... posrebrzenia i wciąż nie mogą oddać.

– Czy przez Mielno też przebiegała linia kolejowa?

– Owszem. Łączyła miasta Osterode i Hohenstein, czyli dzisiejszą Ostródę i Olsztynek. Przystanek zaś nazywał się Mühlen. Tak jak wieś.

Minęli Pawłowo. Droga, choć asfaltowa, była kręta i dość wąska, bez pobocza, Joanna musiała więc pohamować swoje zapędy, którym dała upust

na ekspresowej „siódemce”. Tutaj spotkanie po zmroku na przykład z wracającym z pola kombajnem mogło zakończyć się niezbyt przyjemnie.

Teraz jednak ruch był umiarkowany, minęli zaledwie kilka samochodów, które zmierzały od strony Pól Grunwaldzkich.

– Skoro już wiemy – odezwała się Klose – o które jezioro chodzi, to powiedz mi, co sądzisz o pozostałych znakach na tej mapie.

Horn z uwagą, mimo że po raz nie wiadomo już który, przyjrzał się rysunkowi.

– Na wąskim przesmyku jeziora, mniej więcej w połowie ogona konika morskiego, znajduje się mostek, po którym przebiega szosa.

– Właśnie nią jedziemy.

– Zgadza się. Gdybyśmy jednak skręcili w lewo... O, właśnie tutaj! – Horn skręcił głową tak gwałtownie, że aż syknął z bólu; nie spodziewał się, że Joanna równie szybko zareaguje, w wyniku czego zostanie przyduszony przez pasy.

– Tu? – zapytała niewinnie Klose.

– Owszem – jęknął, prostując się na fotelu. – Tą drogą dojedziemy do miejsca, które na mapie Czai zostało oznaczone za pomocą czarnego krzyżyka.

– Albo iksa.

– To też krzyżyk.

Droga, którą jechali teraz, wiodła przez las i wymykała się wszelkim oficjalnym klasyfikacjom i kategoriom. Na szczęście samochód dzielnie znosił niedogodności.

Po kilku minutach ujrzeli w oddali zabudowania z czerwonej cegły. Była to gajówka. Minęli ją, odprowadzani szczekaniem dużego łańcuchowego psa. Widać już było brzeg jeziora. Gdzieś tutaj, na krótkim i szerokim półwyspie, powinno znajdować się miejsce zaznaczone

krzyżykiem bądź też, jak chcieli inni, iksem. Samochodem kołysało coraz bardziej.

– Lepiej zostawmy wóz – zaproponował Horn. – To musi być gdzieś niedaleko. Czuję to.

Wysiedli. Mapy w rękach dziennikarza zatrzepotały na wietrze.

Okolica była bezludna. Nad wodą krążyło kilka mew, w przybrzeżnych trzcinach furkotały mniejsze ptaki. Zbliżało się południe. Słońce na czystym niebie prażyło mocno, jednak silny wiatr sprawiał, że nie czuło się dokuczliwego gorąca. Ludzie siedzący teraz w biurach z pewnością marzyli o takich miejscach jak to.

Horn i Joanna szli wąską i krętą ścieżką, która, jak sądzili, prowadziła wprost nad jezioro. Po kilku chwilach znaleźli się na dużej polanie.

– I co? – zapytał Horn. – Krzyżyk czy iks?

LXXIII

53°38'N, 20°23'E, dzień szósty

Ewa Rimmel oraz dwóch młodych archeologów, Klata i Wójcicki, wprost nie posiadali się ze szczęścia, kiedy miejscowym policjantom udało się odzyskać skradziony im przed czterema dniami sprzęt. Wróciło wszystko – od szpadli po georadar. I to w nienaruszonym stanie.

– Co teraz? – bąknął Klata, kiedy już nacieszyli się ze zwróconych im fantów.

– Trzeba będzie chyba wziąć się do roboty – rzekł dość niewyraźnie Wójcicki.

Po czym obaj spojrzeli pytająco na swoją szefową. Ewa tylko przewróciła oczami.

Zbliżała się trzecia po południu, pogoda była wymarzona, więc właściwie czemuż by nie?! Byli do tyłu kilka dni.

Teraz pokażę tym leserom, jak się pracuje na wykopaliskach! – pomyślała.

Podparła się pod boki (Klata i Wójcicki zdążyli dobrze poznać ten gest; nie zapowiadał nic dobrego) i już otwierała usta, żeby udzielić swoim podwładnym reprimendy, gdy usłyszeli pomruk samochodowego silnika.

– Kogo tam znowu niesie?! – fuknęła ze złością, odwróciwszy się.

Ani samochód, ani jego rejestracja nic jej nie mówiły. Po chwili w otwartych drzwiach ujrzała Tomasza Horna.

– Cześć, Ewa! – rzucił wesoło dziennikarz. – Nie byłem pewien, czy cię jeszcze tu zastanę. Potrzebujemy twojej pomocy.

Niecałe pół godziny później wyładowywali georadar z bagażnika samochodu, którym tym razem zdecydowali się podjechać pod same ruiny. Zarośnięte chwastami, tu i ówdzie z całkiem sporym drzewkiem wyrastającym spomiędzy czerwonych cegieł, były pozostałością czegoś, co rzeczywiście wybudowano na planie krzyża greckiego.

Horn i Joanna spędzili tu może dwie godziny, nie zdając sobie sprawy z upływu czasu. Ich największe zainteresowanie wzbudziła piwnica. Wejście do niej było dobrze ukryte i zarośnięte zielskiem. Solidne dębowe drzwi z przerdzewiałymi okuciami. Brak kłódki, ale też i klamki. Gdy jednak Horn pchnął je, ustąpiły.

Piwniczka miała kilkanaście metrów kwadratowych powierzchni. Mimo kiepskiego oświetlenia, od razu można było zauważyć, że miejsce to cieszy się lub cieszyło niemałym powodzeniem: wszędzie wałały się puszki i butelki po piwie, zardzewiałe kapsle, puste pudełka po papierosach. Pod jedną ze ścian leżała wiązka mokrej słomy, służąca prawdopodobnie za posłanie dla kogoś, kto mocno przesadził.

– O to jakoś nikt się nie procesuje – mruknął Horn pod nosem.

Ewa Rimmel patrzyła na to wszystko z obrzydzeniem i powątpiewaniem. Pracowała już w różnych miejscach, nigdy jednak w podobnym śmietniku.

– Jesteś w stanie sprawdzić, czy czegoś tu nie zakopano? – zapytała ją Joanna.

Archeolożka kiwnęła potakująco głowę.

Horn, który swego czasu liznął nieco fachowej wiedzy, pomógł jej w przygotowaniu sprzętu. Po kilku minutach georadar był gotowy do działania. Na ekranie pojawiło się coś, co nie oznaczało nic, oczywiście tylko dla laika. Archeolodzy z wieloletnim stażem, a takim była Ewa, mogli w krótkim czasie stwierdzić, czy badane miejsce jest w stanie ich zatrzymać na dłużej.

– I co? – nie wytrzymała Joanna.

Ewa nie odpowiedziała na pytanie. Policjantka już otwierała usta, by dążyć temat, jednak Horn powstrzymał ją.

– Lepiej wyjdźmy i rozejrzyjmy się trochę na zewnątrz – zaproponował półgłosem.

– Dobrze.

Po chwili stali przed ruinami. Słońce wisiało już nad zachodnim horyzontem, choć przygrzewało jeszcze dość mocno. Wiatr wzmógł się, na jeziorze tu i ówdzie pojawiały się grzywy białej piany. Dookoła nadal nie było żywego ducha.

– Zobaczę, jaki tu jest brzeg – powiedziała Klose, po czym ruszyła ścieżką prowadzącą ku wodzie.

Horn odprowadził ją wzrokiem. Potem jeszcze raz okrążył ruiny, jednak nic nie przykuło jego uwagi. W pewnym momencie zaczął nawet wątpić, że cokolwiek tu znajdują. Potem ruszył śladem Joanny. Spotkali się na brzegu.

– Gdybym ja miała coś ukryć, wybrałabym raczej tę wyspę. – Ruchem głowy wskazała na jezioro.

– Wyspę Kormoranów? – Horn zaszeleścił mapą.

– Nie. Wyspa Kormoranów jest tutaj. – Stuknęła paznokciem w papier.
– Ta nie ma nazwy.

– Za to z drugiej strony jeziora jest nawet do niej lepszy dostęp...

– Dobra, wracajmy – powiedziała Klose. – Nie ma co gdybać.

W chwili gdy zbliżali się do ruin, w drzwiach piwnicy pojawiła się Ewa.

– I co? – wyrwało się jednocześnie obojgu.

Archeolożka tylko pokręciła głową.

– Nic tutaj nie ma. – Szeroko rozłożyła ręce, by po chwili dodać: – Ale było.

– Może powinnaś dłużej poszukać? – nie ustępował dziennikarz.

Joanna usiadła na niskim murku. Twarz miała zaciętą, dziwnie obcą.

– Mogę wskazać wam za to dokładnie, gdzie to coś było zakopane – dodała Ewa.

– A czy jesteś w stanie określić, kiedy opróżniono tę skrytkę? – zapytał Horn. – Skrytkę, jamę, dół. Cokolwiek to jest. Chodzi mi o to, czy ktoś zrobił to w tym tygodniu czy kilkadziesiąt lat temu.

– Jestem pewna, że nie stało się to ani wczoraj, ani przed miesiącem.

LXXIV

Frankfurt nad Odrą, 12 marca 1965 roku

– Panie Bittrich, dojeżdżamy już do Polski – rzucił przez ramię kierowca dostawczego robura do drzemiącego na tylnym siedzeniu mężczyzny. – Panie Bittrich, niech się pan obudzi!

– Nie śpię – mruknął Klaus, nie otwierając oczu. – Nie musisz się tak drzeć.

– Bo ja myślałem...

– Nie myśl, Uwe, nie myśl. Już ci to mówiłem.

– Że co?

– Żebyś lepiej uważał, bo znów do jakiegoś rowu wpadniemy.

– Dobrze już, dobrze – mruknął dwudziestokilkuletni chłopak z długimi, jasnorudymi włosami, niezbyt zadowolony, że mu się wypomina tak stare dzieje, bo sprzed trzech dni.

Inżynier Klaus Bittrich, ceniony specjalista od budowy okrętów, wyprostował się na obciągniętym skajem fotelu. Przetarł oczy, nałożył okulary, spojrzał zmęczonym wzrokiem w okno. Szyby samochodu były mokre po deszczu ze śniegiem, w który wpadli za Berlinem.

A miała być wiosna. Tak przynajmniej zapowiadali w prognozach – pomyślał z żalem.

Kilka godzin temu wyjechali z Berlina Zachodniego. Chcieli, z czystej ciekawości, obejrzeć mur, który ledwo przed czterema laty podzielił miasto. Rzeczywiście, robił wrażenie. Najczęściej złe. Niekończąca się ściana szarego betonu, druty kolczaste, posterunki strażnicze, skąd Niemcy gotowi byli strzelać do Niemców. Ostrzegawcze napisy z rysunkami trupich główek z piszczelami. I nie zmieni tego nawet prezydent Kennedy, który dwa lata temu przed ratuszem w Schönebergu wygłosił płomienne przemówienie, zakończone słowami „*Ich bin ein Berliner!*”.

– Jak ze mnie ksiądz – dodał, już na głos, Klaus Bittrich.

– Mówił pan coś? – zainteresował się Uwe.

– Żebyś trzymał się mocno kółka. Polskie drogi nie są tak szerokie i wygodne jak nasze.

– Był pan wcześniej w Polsce?

– Pamiętasz, Uwe, jaka była między nami umowa? – W głosie siedzącego z tyłu mężczyzny zagrała wyraźnie irytacja.

– Jasne. Że o nic nie pytam, tak jak pan o nic nie pytał, wpłacając za mnie kaucję – wyrecytował chłopak z niezbyt szczęśliwą miną, przygaszony.

– No właśnie.

Przez kilkanaście kolejnych minut słyhać było Beatlesów, którzy śpiewali w radiu *I Don't Want to Spoil the Party*, piosenkę z najnowszej płyty. A gdy utwór się skończył – tylko pomruk silnika żółtego robura, tego cuda wschodnioniemieckiej techniki, które jak na razie popsuło im się podczas tej eskapady tylko raz. Na szczęście był to drobiazg.

A Klaus Bittrich, były porucznik Kriegsmarine, stacjonujący, choć bardzo krótko, na okręcie podwodnym U-491 w bałtyckim porcie Kohlberg, noszącym dziś nazwę Kołobrzeg, z chęcią opowiedziałby młodemu

człowiekowi o tym wszystkim, co robił, będąc w jego wieku. Niestety, najpiękniejszy czas młodości przypadł na lata wojny.

W styczniu 1945 roku dostał się do rosyjskiej niewoli, z której jednak, jako marynarz, a sprawdzali bardzo dokładnie, czy nie ma aby pod pachą gustownego tatuażu w formie dwóch błyskawic, czyli znaku esesmanów, został zwolniony i wrócił do domu.

Udało mu się ukończyć studia inżynierskie, następnie dostał pracę w jednej z hamburskich stoczni, ożenił się z piękną, czarnowłosą Ute, wkrótce został ojcem – najpierw małej Anne-Marie, a po dwóch latach słodkiego psotnika imieniem Otto. Zbudował dom, kupił samochód. Wciągnęło go normalne życie. Życie, o którym zawsze marzył.

Kilka tygodni temu jednak otrzymał pocztą niespodziewaną przesyłkę. Z początku myślał, że to od ciotki z Essen, która lubiła pisać długie listy, a i często pocztówki na święta – zbliżała się Wielkanoc – wysyłała z dużym wyprzedzeniem.

Bittrich był o tym niemal święcie przekonany, dopóki nie otworzył koperty i nie zaczął czytać. Miał ten list nawet teraz przy sobie, mógł sięgnąć do kieszeni marynarki i przeczytać. Ale nie musiał tego robić, ponieważ znał jego treść na pamięć.

Nie spodziewał się, że jeszcze się do niego odezwą, i to po niemal dwudziestu latach! Ludzie, którzy tamtej styczniowej nocy wysłali go do Tannenberg-Denkmal, wiedząc, że ma on do spełnienia jeszcze inną, równie ważną misję przewiezienia jednego z pocisków V-1 w głąb Prus Wschodnich, co miało odwrócić bieg wojny i pogonić precz bolszewików.

Wiele razy się nad tym zastanawiał, głównie siedząc w niewoli, i za każdym razem dochodził do przekonania, że zrobiono to właśnie dlatego, żeby w pewnym momencie musiał wybierać: Hitler albo oni. Wybrał ich.

Teraz miał... dokończyć misję sprzed dwudziestu lat.

– Przecież to czyste szaleństwo – mruknął do siebie, zresztą nie po raz pierwszy.

– Mówił pan coś? – zainteresował się czujny Uwe.

– Żebyś, chłopcze drogi, szykował paszport do kontroli – powiedział inżynier Klaus Bittrich, sięgając w zanadrze po dokumenty. – Widać już most na Odrze.

Dochodziła piąta po południu, gdy Andrzej Wojdak, młodszy chorąży Wojsk Ochrony Pogranicza, przepuścił przez granicę Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej kolejny samochód z białymi tablicami rejestracyjnymi i naklejką z literą D. Na początku swojej służby, a w Słubicach pracował od pół roku, próbował nawet liczyć odprawiane przez siebie auta. Jednak szybko mu się to nudziło. Albo mylił się w rachunkach i zarzucał postanowienie.

– Czego się te fryce tak pchają do nas, co? Czesiek? – zapytał celnika, z którym dziś pełnił służbę.

– Cholera ich wi! – Tamten pogładził wąsa i poprawił czapkę na głowie. – Może zostawili jakie skarby jeszcze podczas wojny i teraz po nie jadą...

Wojdak spojrzał krzywo na starszego kolegę. Kilka razy już próbowali robić sobie z niego, żółtodzioba przecież, żarty. Nie, nie z nim takie numery!

– Skarby, tak? – zaśmiał się, dotykając wskazującym palcem skóry pod okiem, co powszechnie łączyło się z pytaniem „Jedzie mi tu czołg?”, choć coraz częściej wystarczał sam gest. – Ciekawe, jak te skarby potem przez granicę przewiozą.

– Mają swoje sposoby. Wiesz, gdzie ludzie potrafią schować fanty? Wykłady, które żeś miał na szkółce, to chuj w porównaniu z praktyką na

przejściu. O, na przykład w takim mercedesie. – Wskazał brodą zbliżającą się zieloną furgonetkę.

Wojdak machnął ręką, by zaraz unieść ją i zasalutować.

– Dzień dobry. Witamy na terenie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej – wypowiedział stosowną formułę. – Poproszę pana paszport.

Starszy mężczyzna z pogrzebową niemal powagą podał mu dokument.

– Siegfried Baum – przeczytał pogranicznik z paszportu, by następnie podnieść wzrok; nie miał już trudności z gotycką czcionką, a właśnie nią wypisano na burcie ciężarówki: Baum und Giese. Frankfurt am Main.

Warszawa, 12 marca 1965 roku

– Ile to jeszcze może potrwać?

– Nie wiem. Pracujemy nad tym.

Mężczyzna, który zadał pytanie, łysiejący czterdziestolatek w rozpiętym milicyjnym mundurze z dystynkcjami majora, wolnym krokiem podszedł do biurka.

Mebel był wielki, dębowy. Z pewnością ciężki jak nieszczęście. Na blacie stało kilka telefonów, gipsowa główka Lenina, biało-czerwony proporczyk, tudzież miniaturowa armata, wykonana prawdopodobnie przez artystę, który umiłował sobie w ten sposób czas spędzany w którymś z licznych zakładów karnych.

Mężczyzna pochylił się nad nią, nacisnął jakiś guzik. Po chwili u wylotu lufy pojawił się niebiesko-żółty płomynek. Major zapalił od niego papierosa. Po chwili nad biurkiem, główką wodza rewolucji i telefonami zakłębił się szary, gryzący dym.

Że też stary zawsze musi palić taką podłą machorkę – pomyślał drugi z mężczyzn.

Ubrany był w źle skrojony garnitur w jodełkę i błękitną koszulę z CDT z krawatem w grochy. Mimo że siedział dobrych kilka metrów od biurka, na jednym z krzesełek ustawionych wzdłuż stołu służącego zazwyczaj do odpraw, skrzywił się.

Minę tę zauważył zwierzchnik, ale nic nie powiedział. Aby wybrnąć z kłopotliwej sytuacji, cywil zaczął przerzucać zgromadzone przed sobą dokumenty, niektóre już nieźle pożółkłe, o postrzępionych krawędziach.

– Tak jak powiedziałem, towarzyszu majorze, pracujemy nad tym, wspomagani przez towarzyszy radzieckich...

Huk uderzenia pięścią w blat, a dłoń jeszcze nie odwykła od pług. Cywil dobrze znał ten dźwięk. Aż za dobrze.

– Nie pierdolcie mi tu, Wasiak, o towarzyszach radzieckich! – ryknął oficer.

– Tak jest.

– Dość ich mam na co dzień. Ja chcę wiedzieć, co mam powiedzieć ministrowi, a on pierwszemu sekretarzowi Wiesławowi!

Porucznik w ostatniej chwili powstrzymał się, żeby nie wzruszyć ramionami.

– Czemu ten jebany Koch jeszcze nie zaczął mówić? – chciał wiedzieć major.

Na to już Wasiak przygryzł wargę. Wrażliwą skórę ust podrażnił niedokładnie ogolony zarost.

Koch. Ciągłe ten przekłety Koch! – zaklął w duchu.

Gauleiterem Prus Wschodnich, nazistą odpowiedzialnym za ludobójstwo w Polsce, a także na Ukrainie, porucznik Milicji Obywatelskiej Rajmund Wasiak zajmował się od sześciu lat. Dokładnie od dnia, w którym

miała odbyć się egzekucja zbrodniarza, czyli 9 maja 1959 roku, dokładnie w rocznicę pokonania hitlerowskich Niemiec.

Ale się nie odbyła. Zamiast tego grupa kierowana przez Wasiaka dostała więźnia wraz z kilkunastoma tomami akt. Porucznik znał je niemal na pamięć. Obudzony w środku nocy, potrafiłby recytować bez jednego zająknięcia: Erich Koch. Urodzony 19 czerwca 1896 roku w Elberfeld, w Nadrenii. Wcielony do armii cesarskiej podczas I wojny światowej, następnie dawał się we znaki powstańcom śląskim jako żołnierz Freikorpsu. W szeregach NSDAP od 1922 roku. Legitymacja partyjna numer 88. Szybko piął się po szczeblach partyjnej kariery. Sześć lat później mianowany gauleiterem Prus Wschodnich. Poseł do Reichstagu.

Podczas Nocy Długich Noży miał zostać zlikwidowany, jednak zdołał się ukryć. Potem Hitler już go nie ścigał, gdyż prawdopodobnie zawarli jakiś układ. W 1938 roku awansowany na stopień SA-Obergruppenführera. Po wybuchu wojny działał na Ukrainie, gdzie deportował do obozów zagłady tysiące ludzi. Po kontrofensywie Armii Czerwonej wrócił do Prus, które obiecał bronić do ostatniego żołnierza.

Zimą 1945 roku udało mu się uciec w głąb Niemiec, gdzie ukrywał się pod fałszywym nazwiskiem. Jednak po czterech latach został schwytany przez Brytyjczyków w Hamburgu. Następnie wydany Polsce. Jego proces rozpoczął się dopiero latem 1958 roku. Uznany za winnego śmierci niemal pół miliona Polaków, skazany na karę śmierci, której nie wykonano. Oficjalnie ze względu na chorobę Kocha.

Z zamyślenia wyrwał Wasiaka głos majora, spokojniejszy niż przed paroma chwilami:

– Powiedz mi jeszcze raz, co wiemy o rozmowie Kocha z profesorem Olderogge?

Porucznik znów zaszeleścił leżącymi przed nim dokumentami. Z łatwością udało mu się znaleźć właściwy, zapisany bladym maszynowym pismem.

– Profesor Dimitryj Oberogge... – zaczął czytać, ale szef mu przerwał:

– Oberogge czy Olderogge, do kurwy nędzy?!

– Ja mam tak napisane. – Wasiak pokazał stenogram, ale major nawet nie spojrział, tylko machnął niecierpliwie ręką.

– Mów!

Porucznik odchrząknął, by po chwili referować dalej:

– Ten profesor to etnograf, wybitny specjalista od Afryki. Jednak Rosjanie wyznaczili go do tej rozmowy z powodu jego niemieckiego pochodzenia, a także faktu, że studiował w Berlinie. Profesor rozmawiał z Kochem w więzieniu, dwudziestego pierwszego oraz dwudziestego trzeciego września ubiegłego roku. Wszystko, co zostało powiedziane, nagraliśmy za pomocą aparatury podsłuchowej.

– Do rzeczy.

– Podczas tego spotkania Koch obiecał Rosjanom pomoc w poszukiwaniu Bursztynowej Komnaty, którą najprawdopodobniej sam zrabował, a w obliczu zbliżającego się frontu ukrył. Z tego, co mówił, w Królewcu. Wiadomo, że Niemcy przewieźli skarb spakowany w skrzyniach do tamtejszego zamku w czterdziestym drugim roku, nie wiadomo jednak, co stało się z nim potem.

– Co wiesz o Bursztynowej Komnacie? – Major niespodziewanie zmienił tor rozmowy, jednak Wasiak nie dał się zbić z pantałyku, był gotowy także i na to.

– Powstała na początku osiemnastego wieku na zamówienie króla Prus Fryderyka I Hohenzollerna i miała formę gabinetu o wymiarach dziesięć i pół metra na jedenaście i pół. Nad jej wykończeniem pracowano przez

ponad jedenaście lat, wszystko bowiem, każdy szczegół ornamentyki, ściany, meble, a nawet żyrandole i świeczniki wykonane zostały z najprawdziwszego bursztynu bałtyckiego. Wszystko miało być przekazane w darze przez Fryderyka Wilhelma carowi Rosji, Piotrowi I w tysiąc siedemset szesnastym roku. Tak też się stało. Choć inna wersja głosi, że car najpierw się zachwycił komnatą, a potem król mu ją podarował.

– Ruska mentalność – bąknął major.

– Pewne jest, że przypieczętowano w ten sposób sojusz rosyjsko-pruski. Bursztynowa Komnata stała najpierw w Pałacu Zimowym w Petersburgu, gdzie cieszyła oko carycy Katarzyny Wielkiej i jej córki, która kazała zamontować tam dwadzieścia cztery lustra, a następnie w Carskim Siole, skąd nie ruszono jej przez dwieście lat, aż do agresji hitlerowskiej na Związek Radziecki. Tym samym zabytek znów trafił w ręce niemieckie, spakowany do kilkudziesięciu skrzyń.

Dym nad biurkiem rozwiął się. Major podszedł do okna i otworzył je. Chwilę stał w przeciągu, wdychając chłodne jeszcze, ale pachnące już wiosną, marcowe powietrze.

– Nie mamy wątpliwości – zaczął mówić, nie odwracając się – że jedyną osobą, która cokolwiek wie na temat zaginionej komnaty, jest Erich Koch.

– Tak jest – zgodził się porucznik Wasiak.

– Jutro Koch zostanie przewieziony z więzienia mokotowskiego i osadzony w zakładzie karnym w Barczewie. Można więc powiedzieć, że wraca do domu. Choć wątpię, czy to spowoduje, że stanie się bardziej rozmowny. Jedźcie tam, Wasiak, i spróbujcie się rozejrzeć. A nuż coś wypatrzycie...

Olsztynek, 13 marca 1965 roku

Siegfried Baum wysiadł z samochodu, rozejrzał się dookoła i westchnął głośno:

– A więc tyle zostało ze słynnego Tannenberg-Denkmal.

Nikt jednak nie odpowiedział mu na jego ni to pytanie, ni to stwierdzenie. Jeśli nie liczyć krakania stada wron, kołujących nad białymi jeszcze od śniegu łąkami oraz chodzących po ziemi w poszukiwaniu pierwszych tej wiosny robaków. Któż bowiem wie lepiej, że idzie nowe, jak nie zwierzęta i ptaki?

Nowe, które nastało w tym miejscu wiosną 1945 roku, niezbyt podobało się Siegfriedowi Baumowi. Był tu kilka razy, jeszcze jako smarkacz. Zwiedził wtedy także mauzoleum Hindenburga. Mało co pamiętał z tamtego wydarzenia, prócz monumentalnej, przytłaczającej wręcz bryły z cegły i kamienia. Wydawała mu się wówczas taka, bo przecież patrzył na nią dzieciak.

Tym bardziej więc przykro było patrzeć na to, co zostało. Nawet pogoda była przeciwko niemu: zimno, wiał przejmujący wiatr, słońce z trudem przebijało się przez grubą warstwę chmur, a na brezentowej burcie z nazwą firmy osiadła wilgoć.

Nagle usłyszał głos za plecami:

– Szukasz pan czegoś?

Odwrócił się powoli, wietrząc zaczepkę. Był na to przygotowany, odkąd przejechał po moście na Odrze.

Kilka metrów od mercedesa stał jakiś staruszek w papasze na głowie i kusym paletku z wyliniałym kołnierzem z jakiegoś zwierzęcia futerkowego, którego nie rozpoznałby już chyba żaden zoolog. Opierał się

na kierownicy starego roweru i ćmił papierosa. Ot, miejscowy rolnik albo emeryt, którego zaciekawił samochód, jakich chyba tu się na co dzień nie spotykało.

– Nie. Tak tylko patrzę – odpowiedział Baum po polsku.

Staruszek jednak nie miał zamiaru ustąpić.

– Bo ja myślał, że pana ruiny po niemieckim zamku interesują – rzekł.

– Zamku?

– No, tego, co to tu przed wojną światową stał. – Starzec wykonał ruch ręką na wprost, żeby nie było żadnych wątpliwości.

Baum zbliżył się do miejscowego. Wyciągnął z kieszeni papierosy, poczęstował rozmówcę.

– Dziękuję, dziękuję. Melbory, zagraniczne – rzekł z uznaniem właściciel roweru.

– Pan weźmie wszystkie. – Siegfried z uśmiechem wcisnął mu paczkę; postanowił bowiem wykorzystać nadarzącą się okazję. – Ale chyba nic z tego zamku już nie zostało, co? – zapytał, ściszywszy głos.

Staruszek pokazał wszystkie swoje cztery żółte zęby w krzywym uśmiechu.

– Bo trza wiedzieć, gdzie szukać – rzekł z mądrą miną. – Tutaj, panie, ludzie zaczęli zabierać cegły, bo dobre były, całe, porządne, zaraz jak kacapy poszły dalej na zachód. Trza było przecie dziury w ścianach załatać, chlewik postawić, a nawet i obórkę jaką, jak człek miał szczęście. Większość, oczywista, zabrały takie wielkie ciężarówki wojskowe do Warszawy, na odbudowę.

Baum podrapał się po głowie. Potem ta sama ręka zanurkowała w kieszeni spodni, natrafiając na zwitek banknotów. I aż się uśmiechnął.

A gdyby tak... – przeszło mu przez myśl.

Ludzie są przecież sentymentalni. Nawet w Niemczech. Ciekawe, ile ktoś dałby za jedną taką cegłę z Tannenberg-Denkmal. Dziesięć marek? Dwadzieścia? Może nawet więcej. A może wystarczy tylko głębiej pokopać, choć to pewnie będzie już wymagało zgody polskich władz. Tak, trzeba się będzie nad tym poważnie zastanowić.

Szef firmy Baum und Giese pożegnał się ze staruszką, życząc mu zdrowia. Wcześniej spisał jego adres, obiecał się odezwać. Zbył też milczeniem pytanie, skąd przyjechał. Trzeba było być ostrożnym. Tym bardziej teraz.

Godzinę później siedział w barze na dworcu kolejowym w Olsztynku i sączył podłg herbatę, a raczej coś, co było nią jedynie z nazwy. Mógł wziąć pepsi, której kilka butelek zauważył na półce za barmanką, ale pragnął się rozgrzać.

Wokół snuli się szarzy, smutni ludzie, jakiś pijak w kącie coś mamrotał. Na dworcu w Hamburgu czy Monachium nie usiedziałyby taki nawet minuty. A tu żadnego milicjanta. Do tego śmierdziało.

Przez megafony zapowiadano kolejne pociągi. Padały znajome skądś, a jednak czemuś obce nazwy dalekich i bliskich miast: Olsztyn, Działdowo, Ełk, Warszawa.

Cholera z zasraną konspiracją. Niech szlag trafi tę całą misję! – W mężczyźnie narastał coraz większy bunt.

Odsunął ze złością od siebie szklanę z niedopitą nawet w połowie herbatą. Potem się jednak uspokoił. Zaczął wspominać.

Jak to wszystko właściwie się zaczęło? – zastanawiał się. Kiedy przyszli do niego po raz pierwszy?

Dobrze wiedział, że przejmując zaraz po wojnie firmę po zmarłym stryju Wolfgangu Giesem, przejmuje także jej długi, zobowiązania, nie wspominając już nawet o siatce zależności, w której tkwiła. Nie spodziewał się jednak, że będą to aż takie zależności. Niemcy po przegranej wojnie były bardzo dziwnym krajem, po którym chodzili różni dziwni ludzie.

Pierwszą prośbą, z którą zwróciła się do niego organizacja Borussia XX – był pewien, że wszystkie zostały zdelegalizowane przez władze okupacyjne we wszystkich czterech strefach! – było znalezienie zatrudnienia dla kilku weteranów.

Ładnie powiedziane: weteranów! O tym, że byli to żołnierze złożonej z kryminalistów dywizji SS Dirlwängera, dowiedział się dużo później. Nic jednak z tym nie zrobił. Tym bardziej że poleceni ludzie okazali się całkiem dobrymi pracownikami i nie sprawiali kłopotów. Sam zdążył być w Hitlerjugend, za co nie spotkały go na szczęście żadne restrykcje.

Zaczął jednak drażnić temat, szukać odpowiedzi na pytania, które nie pozwalały mu spokojnie spać. W tym celu od rana do później nocy przeglądał wszystkie księgi, także rachunkowe, prowadzone od kilkudziesięciu lat. Była to praca godna skryby-benedyktyna, jednak mężczyzna był w stanie podjąć się największych trudów i wyzwań, aby tylko poznać prawdę.

I poznał ją.

Nie było najmniejszych wątpliwości, że przejęta przez niego firma to nic innego jak przykrywka dla działalności organizacji o enigmatycznej nazwie Borussia XX. To właśnie ona, w czasach kryzysu i szalejącej w Niemczech inflacji, uratowała skromną fabryczkę materiałów budowlanych przed niechybną plajtą, a ludzi w niej zatrudnionych od głodu, a może i śmierci.

Mało kto pewnie wówczas przeczuwał, że związek ten będzie tak mocny i tak długotrwały. Że trzeba się będzie kiedyś odwdzięczyć za okazaną pomoc, nie zadając pytań, nie wdając się w niepotrzebne dyskusje. Tak jak z pewnością nie zadawał pytań stryj Giese, gdy zimą 1945 roku wysyłał ciężarówkę z Gdańska do Prus Wschodnich, do których już zbliżała się Armia Czerwona. Człowiek, który ruszył wtedy ze straceńczą misją, pospolity złodziej z Hamburga, ponoć nigdy już nie wrócił do domu...

– Wujek Siegfried? – Baum usłyszał nagle blisko nad sobą czyjś głos.

Odwrócił się tak gwałtownie, że omal nie strącił szklanki ze stołu. Ujrzał przed sobą dwóch mężczyzn: wysokich, jasnowłosych, niebieskookich.

Toż brakuje im tylko czarnych mundurów i czapek z trupa główką na łbach – pomyślał.

– Tak, to ja – odpowiedział bezgłośnie.

– Jesteśmy z orkiestry – powiedział drugi z mężczyzn i na dowód tego podniósł wyżej prawą rękę, trzymającą, w istocie, futełał na skrzypce; ten sam gest wykonał jego towarzysz.

– Tak. O... oczywiście... – Baum zaczął się jąkać, choć jak dotąd wszystkie hasła wypowiedział zgodnie z instrukcją. – Zapraszam do samochodu. Weselnicy już czekają.

Gierzwałd, 13 marca 1965 roku

Dochodziła czwarta po południu, kiedy inżynier Klaus Bittrich przekroczył próg starego kościoła w Gierzwałdzie. Rudowłosy Uwe został w samochodzie, wymawiając się koniecznością dokonania jakiejś drobnej naprawy w kokpicie. Klaus nie dziwił się temu, nie naciskał. Wiedział

dobrze, że chłopak po prostu nie przepada za takimi miejscami. Sam też nie pamiętał, kiedy po raz ostatni był w kościele. Tym bardziej obrządku rzymsko-katolickiego.

Poza tym on i Uwe pokłócili się. Inżynier, zamiast pilotować kierowcę, mówić: „w lewo”, „w prawo”, „prosto”, nieopatrznie podał nazwę miejscowości. Rudzielec był przekonany, że chodzi o Gietrzwałd, zresztą niedaleką miejscowość. I tam właśnie chciał skierować ich robura. Stąd ich kłótnia.

Zresztą bardzo dobrze, że idę sam – pomyślał Bittrich.

Wnętrze świątyni było ciemne i chyba puste. Na ołtarzu paliła się lampka oliwna. Wzrok Bittricha kilka chwil przyzwyczajał się do półmroku. Na ten czas, niezbędny do adaptacji, Niemiec zajął miejsce w jednej z długich, drewnianych ław.

Pochylony i skulony, Bittrich udawał, że pochłania go modlitwa. Tak naprawdę jednak usiłował przypomnieć sobie tę mroźną, styczniową noc sprzed ponad dwudziestu lat, jedną z kilku koszmarnych nocy, podczas których razem z Georgem Henschellem, ukrywszy najpierw skrzynię z mauzoleum Hindeburga, a potem, w innym miejscu, raketę, uchodzili pogoni bolszewickiej szpicy. Los zaprowadził ich właśnie tutaj, do tego kościoła, a dokładnie do jego podziemi.

Gdzie teraz jest wejście do krypty?

Coś poruszyło się w głębi kościoła. Bittrich wstrzymał oddech, skulił się jeszcze bardziej na wychłodzonej ławie.

Czyżby jednak nie był tu sam? Właściwie niby dlaczego ktoś miałby tak po prostu zostawić otwarty kościół i iść sobie. Że co? Że żaden Polak nie dopuści się grzechu świętokradztwa? A jeśli w okolicy znajdzie się ktoś z innego kraju, tak jak on i Uwe? Przecież kolekcjonerzy w zachodniej Europie tylko czekają na zabytki skradzione z polskich kościołów!

Odgłos jednak nie powtórzył się, a w pamięci Bittricha zaczęły otwierać się kolejne drzwi. Tak, wejście do podziemi jest z pewnością w pobliżu lewej nawy. Tam trzeba iść.

A jeżeli przez ten czas pomalowali ściany? – zmroziła go kolejna wątpliwość.

Wstał, wykonał przed sobą gest podobny do odpędzania komara, po czym powoli, na palcach, starając się nie robić niepotrzebnego hałasu w akustycznym wnętrzu, jął przemieszczać się w stronę lewej nawy.

Mimo że kościół wypełniała cisza, mężczyzna w istocie nie był w nim sam. Każdy ruch Niemca był śledzony z ukrycia przez nastoletniego ministranta, który ukrył się za ołtarzem.

Ministrant nazywał się Roman Czaja, mieszkał z rodzicami na obrzeżach Gierzwałdu i właśnie był na wagarach. W szkole czekała go bowiem klasówka z matematyki, której nie rozumiał ni w ząb, należało więc ratować się przed niechybną klęską. A że w takiej wsi jak Gierzwałd, choć całkiem sporej, ale zawsze wsi, iść za bardzo nie było dokąd, szczególnie teraz, Romek, chcąc nie chcąc, skierował kroki do kościoła.

Od dwóch lat był ministrantem, służył do mszy. Ksiądz proboszcz go lubił, wikary nieco mniej. Choć nie było tu ciepło, przynajmniej na głowę deszcz ze śniegiem nie leciał. Można było przeczekać w spokoju, bezpiecznie, tych kilka godzin, aż w szkole skończą się lekcje. No i na katechezie zameldować się jako pierwszy!

Teraz jednak nastolatek całą swoją uwagę skupił na tajemniczym gościu. Od razu mu się nie spodobał. Za dobrze ubrany. A już z pewnością nie miejscowy, bo tych przecież Romek zna co do jednego. Kto wie, czy nie zagraniczny.

Tymczasem inżynier Klaus Bittrich, niemający świadomości, że jest obserwowany, stał już w lewej nawie kościoła i ciekawie rozglądał się na

boki, przypominając przez to turystę. Były to jednak tylko pozory, bo choć jego głowa była zadarta, wzrok ślizgał się po podłodze, podobnie jak podeszwy butów, które badały każdą wypukłość. Jeszcze krok. Może za tamtym załomem muru?

– Jest... – omal nie krzyknął; w jednej chwili wróciły wspomnienia tamtych nocy.

Stał oto przed wejściem do podziemi, które na jedną noc 1945 roku stały się bezpiecznym schronieniem dla niego i jego towarzysza.

Kilka kroków i już był przy wejściu. Wielka, metalowa, przerdzewiała kłódka chroniła jednak dostępu do krypty.

Inżynier obejrzał się za siebie, po czym wyciągnął z kieszeni wytrych i zbliżył się do drzwi. Nie pracował długo, nie wysiłał się zbytnio. Mimo że było tu jeszcze zimniej niż w innych częściach kościoła, na jego czole pojawiły się kropelki potu.

Kilkanaście sekund później pochylona lekko ku przodowi postać zniknęła za drzwiami.

Romek Czaja wypuścił z ust powietrze. Słyszał, jak serce bije mu niczym membrana głośnika podczas szkolnego apelu. Ukryty za murem, we wnęce, nie był w stanie się ruszyć.

Kim jest ten facet, co tutaj robi? Złodziej, a może szpieg? Im więcej zadawał sobie pytań, tym częściej przebiegały mu po plecach zimne dreszcze.

Naraz czujne uszy chłopaka złowiły kolejny dźwięk. To tamten wracał, piął się po schodach. Ile czasu upłynęło, odkąd zszedł do podziemi – tego Czaja nie był w stanie określić.

Już zamykał drzwi, już nakładał kłódkę, zacierając wszystkie ślady przestępstwa.

Wtem ciszę kościoła przerwał huk zatraskiwanych drzwi wejściowych. Mężczyzna obejrzał się, po czym odstąpił od drzwi prowadzących do krypty i zniknął w półmroku.

Romek Czaja, niewiele myśląc, wyskoczył ze swojej kryjówki. W paru krokach dopadł drzwi. Wszedł do środka, przyświecając sobie zapalkami, które poprzedniego wieczora starszy brat, palacz, ukrył w jego tornistrze.

Schody prowadziły stromo w dół, do niewielkiego pomieszczenia. Nic tu nie było prócz pajęczyn i kurzu, choć koledzy z wyższych klas opowiadali cuda o trumnach i leżących w nich nieboszczykach, gotowych wstać, gdy ktoś zakłócił ich spokój.

W pewnym momencie uwagę chłopaka przykuł rysunek węglem na otynkowanym fragmencie ściany. Dziwny był. Przypominał jakieś zwierzę otoczone zawijasami. Czy po to właśnie schodził tu tamten mężczyzna?

Wyciągnął ze swojego tornistra zeszyt, ołówek i wciąż paląc kolejne zapalki, zaczął przerysowywać wszystkie elementy. Znow stracił poczucie czasu.

Gdy wychodził na powierzchnię, niespodziewanie spadło na niego coś ciężkiego, czyjaś ręka zaczęła szarpać go za włosy, podniosła za kołnierz do góry.

– Mam cię, urwisie, bezbożniku jeden! – ryknął na niego ksiądz wikary, bo to on był. – Paliłeś papierosy w miejscu świętym?! Łatwo się z tego nie wywiniesz.

W tym samym czasie, gdy ministrant cierpiał katusze za swoją ciekawość, a także niechęć do matematyki, Klaus Bittrich i Uwe mknęli roburem szosą na południe. Wciąż się do siebie nie odzywali, ale Klaus nie krył zadowolenia. Był w tej chwili w stanie wybaczyć smarkaczowi wszystko. No, może prawie wszystko.

– Właśnie, mój drogi Uwe, znalazłem coś, co nie dawało mi spokoju przez dwadzieścia lat.

– Przecież pan wie, inżynierze, że nie lubię tych waszych historii, jak to jednym pancenfaustem pokonałem cały pułk bolszewicki czy coś w ten deseń!

– Wierz mi... – Klaus dotknął odruchowo kieszeni marynarki na piersiach, gdzie spoczywała kartka, a na niej plan, który tamtej pamiętnej nocy, ukryci w kościele, tropieni przez Rosjan, narysowali wraz z Henschellem na jednej ze ścian w podziemiach, bo przecież nie było innego sposobu. – Wierz mi, że naprawdę mało brakowało.

Tak, teraz historia zataczała koło. Oto zmierzali do celu. Do skrzyni zakopanej w bezpiecznym, odludnym miejscu: w pobliżu głowy konika morskiego.

W tym samym momencie jednak poczuł niepewność.

A jeśli się spóźnił?

53°39'N, 20°23'E, 13 marca 1965 roku

Dochodziła szósta wieczorem i szarzało, kiedy mercedes z napisem „Baum und Giese. Frankfurt am Main” na plandecce zatrzymał się na wąskiej leśnej przecince. Pachniało intensywnie igliwem i mokrą ziemią, z której lada dzień wyrosnąć miały pierwsze wiosenne kwiaty.

Siegfried Baum wyłączył światła i wysiadł z szoferki. Obszedł pojazd, zapadając się kilka razy w błocie, odchylił mokrą od rosy plandekę i zajrzał pod nią. Dwaj muzycy poznani na dworcu w Olsztynku właśnie wyjmowali z futerałów swoje instrumenty.

Okazało się, że pierwszy z nich grał na pistolecie maszynowym MP 40, drugi zaś na MP 3008, będącym kiedyś na wyposażeniu oddziałów Volkssturmu. Było pewne, że żadna z tych broni nie przekroczyła granicy polsko-niemieckiej w ostatnich dniach czy nawet miesiącach.

Kilka minut wcześniej postawili też na szosie znak ograniczający prędkość do trzydziestu kilometrów na godzinę.

Siegfried Baum domyślał się wszystkiego. Teraz miał już pewność, że gra idzie o naprawdę wysoką stawkę.

– Lepiej niech wujek zawczasu znajdzie bezpieczne schronienie – powiedział pierwszy z muzykantów.

– Bo jak się zacnie... – drugi z mężczyzn nie dokończył zdania.

Nie musiał: Baum był i tak blady ze strachu, choć w zapadającym mroku nie było tego na szczęście widać.

Dygotały mu również łydki, ale można było wytłumaczyć to chłodem.

Jeden z mężczyzn spojrzał na zegarek.

– Osiemnasta trzy – poinformował pozostałych, chociaż nikt o to nie prosił. – Spóźniają się, cholera.

– Jesteś pewien, że wyjechali? – chciał wiedzieć drugi.

– Tak. Dzwoniłem przecież. Nasz człowiek powiedział, że wyjechali.

– Ufasz mu?

– Pewnie.

– W takim razie zapalmy.

Mężczyzna, który zaproponował papierosa, podsunął najpierw sfatygowaną paczkę cameli Siegfriedowi, ten jednak zdecydowanie pokręcił głową. Właściciel MP 3008 i drugi z muzykantów zapalili.

Mrok panował już taki, że widać było tylko dwa pomarańczowe ognienki, w chwili zaciągania się oświetlające twarze palaczy. Baum,

któremu dym zaczął przeszkadzać, wsiadł z powrotem do szoferki. Podniósł kołnierz palta, wtulił policzki w miękkie futerko. Nie wiedział nawet, kiedy przymknął oczy.

Obudziła go kanonada. Zupełnie jak miesiąc temu w chiński Nowy Rok...

Wzdrygnął się, przetarł oczy, spojrzał przed siebie, w przednią szybę, jakby spoglądał we własnym domu w telewizor, w którym pokazywali ponury francuski kryminał z Jeanem Gabinem.

Lepiej niech wujek zawczasu znajdzie jakieś bezpieczne schronienie – przypomniał sobie radę, ale strach nie pozwolił mu wykonać jakiegokolwiek ruchu.

Palba była coraz głośniejsza i gęstsza. Języki ognia u luf automatów i pistoletów błyskały to tu, to tam. Nieco dalej, w poprzek szosy stała jakaś furgonetka z zapalonymi światłami.

Co robić?!

Niewiele myśląc, Siegfried sięgnął ręką w dół i również zapalił reflektory mercedesa. W tej samej sekundzie doszło do niego, że w ten sposób się zdekonspirował...

Po chwili tuż przed sobą ujrzał ludzki cień. Poznał jednego z muzykantów. Ułamek sekundy później mężczyzna rozrzucił szeroko ramiona i padł na ziemię. Coś krzyknął, ale Siegfried widział tylko jego rozwarte usta.

Baum przekręcił kluczyk w stacyjce, silnik ciężarówki zaburczał cicho. Wrzucił pierwszy bieg, gwałtownie puścił sprzęgło, naciskając na pedał gazu.

Pojazd wyrwał z miejsca, kołysząc się na boki i rozpryskując błoto. Niemiec przestraszył się, że zaraz utknie kołami w namięklej ziemi, jednak auto przesunęło się do przodu. Wrzucił dwójkę, mocniej nacisnął na gaz.

W bocznych szybach mignęły jakieś ludzkie cienie, silne drogowe światła mercedesa razily jakichś ludzi w długich płaszczach – czyżby mundurowych?! – przemykających tuż przed maską niczym leśne zwierzęta.

– Zatrzymaj się! – ryknął ktoś po polsku, jednak Baum nie miał zamiaru go słuchać.

Trafiona kulą boczna lewa szyba rozsypała się w drobny mak. Kilka kryształków szkła poślaskotało go w prawy policzek i szyję.

Nie wiedział nawet, jak udało mu się pokonać wąski odcinek leśnej drogi i znaleźć się na szosie. Opony zabuksowały na zmarzniętym asfalcie, kilkutonowym cielskim ciężarówką zarzuciło. Kątem oka Baum zauważył, że w pobliżu stoi więcej niż jeden samochód.

Przed sobą miał wolną szosę. Wrzucił trójkę, znów napał stopą na pedał.

– Gońcie go! – zawołał porucznik Rajmund Wasiak, dając znak ręką, trzymającą służbowe P-64 z opróżnionym w połowie magazynkiem.

Szara warszawa garbus wyminęła stojącą na środku szosy więźniarkę, by po chwili zniknąć w ciemności. Wasiak w rozpiętej jesionce, zadyszany, szybkim krokiem ruszył w kierunku furgonetki z okratowanymi okienkami.

– Co z tamtymi? – rzucił w bok.

– Obaj gotowi – odpowiedział mu jakiś schrypnięty głos. – Mieli hitlerowską broń.

– Nieźle, kurwa... Sprawdźcie, czy czasem nie było ich więcej.

Oficer zbliżył się do więźniarki. Ciemnoniebieska nysa z literami SW na boku nie miała przedniej szyby i lewego reflektora. Tyle tylko zdołały zdziałać kule zamachowców. Kierowca siedział w otwartych drzwiach i próbował opatrywać sobie przedramię.

– To tylko draśnięcie – rzekł z uśmiechem. – Nic nie czuję.

– Zaraz przyjedzie lekarz – rzekł porucznik. – Już wezwaliśmy pogotowie przez radio.

– Mieliście nosa, żeby jechać z nami – usłyszał od wychodzącego właśnie z bocznych drzwi karetki kaprała w granatowym mundurze funkcjonariusza Służby Więziennej, z kałasznikowem przewieszonym przez ramię.

– Co z nim? – Wasiak wykonał nieznaczny ruch głową w kierunku wnętrza okratowanej części samochodu, gdzie siedział jeden z najważniejszych więźniów w tym kraju, Erich Koch.

– W porządku.

– Nie zesrał się ze strachu, to pewnie wiedział, że go chcą odbić, a nie utłuc – podsumował milicjant, chowając pistolet do kabury pod pachą, by następnie mruknąć sam do siebie: – Coś musi być na rzeczy.

Trzeba będzie wziąć skurwiela mocno w obroty – dokończył w myślach.

– Mówił pan coś, obywatelu poruczniku? – zainteresował się towarzyszący mu w tej podróży sierżant, który nieoczekiwanie wyszedł z ciemności.

– Nie, zupełnie nic. – Wasiak wyraźnie się zmieszał. – Mam tylko nadzieję, że jeszcze dziś dojedziemy do tego Barczewa.

W tym samym momencie siedem i pół kilometra w linii prostej na północny wschód prowadzący robura długowłose Uwe zezował na swojego towarzysza siedzącego na miejscu pasażera. Klaus Bittrich chyba drzemał; choć jego prawa ręka tkwiła w uchwycie nad drzwiami, to oczy były zamknięte.

Kilkanaście minut wcześniej on i Uwe wykopali w ruinach nad jeziorem sporą skrzynię, którą następnie nie bez trudu wtachali do robura. Przez cały czas rudzielec o nic nie pytał. Wykonywał tylko polecenia człowieka, który tydzień temu wpłacił za niego poręczenie w areszcie w Hamburgu.

Wtedy myślał, że to jakiś stary pedał. Potem jednak okazało się, że chodzi o coś zupełnie innego. Choć, jak mówił, nie lubił wojennych opowieści, wiele razy słyszał o pamiątkach rodzinnych, kosztownościach czy starodrukach, które ludzie naprędce ukrywali w Prusach Wschodnich, uciekając przed Rosjanami.

Klaus Bittrich z trudem panował nad emocjami, które towarzyszyły mu od chwili, gdy znaleźli się w ruinach. Jednocześnie nie ukrywał, że w skrzyni znajdują się właśnie takie pamiątki.

– Listy, stare albumy ze zdjęciami, świadectwa chrztu i ze szkół – wymienił z uśmiechem, zapytany o to wprost przez swego młodego towarzysza. – Wasze pokolenie nie zwraca już uwagi na takie sprawy. Żyjecie z dnia na dzień. Ale jak będziesz, Uwe, w moim wieku, zupełnie inaczej spojrzysz na wiele rzeczy. Jeszcze wspomnisz moje słowa.

Tak właśnie gadał stary. Robur trząsał się na nierównościach wąskiej drogi, zgrzytając resorami, a gałęzie mijanych drzew bębniły o przerdzewiały dach. Kiedy wyjechali wreszcie na normalną szosę i wszystko się uspokoiło, inżynier zaczął przysypiać. Jednak w rudej, kudłatej głowie Uwe trwała prawdziwa burza.

Wreszcie podjął decyzję. Nacisnął hamulec i zatrzymał wóz na poboczu drogi. Wokół żadnego światła, zupełne odludzie. Doskonałe miejsce, żeby załatwić sprawę szybko, ostatecznie i, co najważniejsze, po cichu.

Bittrich ocknął się po kilku sekundach.

– Dlaczego nie jedziemy, Uwe? – spytał, patrząc nieco nieprzytomnie przed siebie.

– Bo ty już nigdzie nie pojedziesz – syknął rudzielec.

Inżynier Klaus Bittrich wyprostował się na fotelu, spojrzął na kierowcę, który w prawej ręce trzymał pistolet, starą, ale pewnie jeszcze skuteczną parabelkę.

– O co chodzi? – zapytał spokojnym głosem.

– Myślisz, że dam się nabrać? – rzekł Uwe. – Łapy do góry.

– Nie rozumiem – rzekł Klaus, ale wykonał polecenie rudzielca.

– Rozumiesz bardzo dobrze. Listy, stare albumy ze zdjęciami, świadectwa chrztu i ze szkół? Bajaj-bajaj, będziesz w raju. Mam uwierzyć w to, że dla jakichś papierków tłukliśmy się tym złomem przez pół Europy? Mam uwierzyć, że w tej skrzyni są tylko jakieś pierdolone dokumenty?

– Masz rację. Tam nie ma żadnych dokumentów ani zdjęć.

– Nie można było tak od razu?

– Jednak tego, co się tam znajduje, nie spieniężysz u pierwszego lepszego handlarza dziełami sztuki.

– To się jeszcze zobaczy. Myślisz, że złodziej tak szybko przestaje nim być? Że wystarczy wpłacić kaucję i zagrać dobrego wujka? To nie jest takie łatwe, staruszk. Złodziej będzie zawsze złodziejem.

– Dostaniesz pieniądze. Przecież już o tym rozmawialiśmy.

– Mam w dupie twoje pieniądze.

– Czego w takim razie chcesz?

– Chcę tę skrzynię.

– To niemożliwe.

– Powiedziałem, że chcę tę skrzynię!

Nagle usłyszeli warkot silnika zbliżającego się do nich od tyłu samochodu. Potem w szoferce robura zaczęło się robić coraz jaśniej. Ktoś najwyraźniej jechał na długich światłach.

– Cholerny kraj! – zaklął Uwe, którego poraziły światła.

I były to ostatnie słowa, jakie wypowiedział.

W chwili gdy były oficer Kriegsmarine podjął decyzję, że wykorzysta nadarzającą się okazję i jednym zdecydowanym uderzeniem wytrąci smarkaczowi broń z ręki, w ich robura z impetem uderzył drugi samochód.

Był to dostawczy mercedes z napisem na brezentowej plandecie.

Siedzący za jego kierownicą właściciel firmy, Siegfried Baum, któremu kilka minut wcześniej szczęśliwie udało się ująć pogoni polskiej milicji, nie wiedział, nawet po latach, gdy po wielokroć wracał do tej feralnej nocy we wspomnieniach, dlaczego nagle zjechał na bok i to akurat w miejscu, gdzie zatrzymał się inny samochód. Wokół żadnego światła, to fakt, ale i zupełna dzicz. Droga szeroka, pusta. Tylko pruć dalej, bo może postawili już blokady na drogach...

Pewnie zasnął. Tak, chyba jednak musiał się wyłączyć. Na sekundę przed uderzeniem zdążył tylko nacisnąć ze wszystkich sił na hamulec, jednocześnie gwałtownie szarpnął kierownicą w lewo. Być może właśnie to uratowało mu życie.

Siła uderzenia była mimo to ogromna. Rudowłosy Uwe poleciał w przód jak szmaciana lalka i walnął twarzą w kierownicę. Trzasnęła czaszka i chłopak już się nie poruszył.

Inżynier Bittrich miał nieco więcej szczęścia. Przynajmniej z pozoru. Przynajmniej, jak miało pokazać życie, na razie.

– Co się dzieje? Co się stało? – mamrotał.

Nawet w takiej sytuacji myślał tylko o jednym: o swojej skrzyni, którą dwadzieścia lat wcześniej wywiózł z mauzoleum Hindenburga, a którą

potem musiał ukryć, porzucić, nie wykonując tym samym zadania, jakie powierzyła mu organizacja.

Zataczając się jak pijany, brocząc krwią z rozbitej głowy, obszedł samochód. Siła odrzutu sprawiła, że mercedes stał o dwa metry od robura.

Klaus zajrzał do kabiny, ale nie zauważył w niej kierowcy. Wrócił do swojego samochodu. Tylne drzwi były otwarte.

Inżynier pociągnął jedno ze skrzydeł i ujrzał swój skarb. Skrzynka, którą unieruchomili parcianymi pasami, co prawda przesunęła się na podłodze, ale była, przynajmniej na pierwszy rzut oka, nienaruszona.

Klaus odetchnął głęboko, otarł dłonią czoło. Na skórze została gruba, ciemna smuga.

– Przepraszam... – usłyszał nagle za plecami. – Czy mówi pan po niemiecku?

Olsztyn, 14 marca 1965 roku

Było krótko po północy, gdy Klaus Bittrich zatrzymał robura w okolicach dworca głównego. Zgasił silnik. Furgonetka, mimo że kilka godzin wcześniej uderzył w nią z impetem inny samochód, była sprawna. Coś tylko miarowo stuknęło, rzeziło, obcierało, jednak można się było przyzwyczaić. No i, co najważniejsze, nie miało to wpływu na prędkość jazdy czy jej tor.

Inżynier modlił się tylko w duchu, by nie napatoczyli się na polską drogowkę. O to było nietrudno, bo tylne lewe światło było zbite. Wtedy musiałyby się tłumaczyć. Nie tylko zresztą ze stanu, w jakim znajdowało się jego auto.

– Śpi pan? – rzucił w bok, gdzie siedział Siegfried Baum. Ciało rudzielca zostawili w rowie w pobliżu miejsca wypadku. Pistolet, z którego mierzył w Bittricha, też.

– Nie. Myślę wciąż o tym, co się stało – odparł cicho Baum. – Wiele bym dał, żeby to wszystko okazało się tylko koszmarnym snem.

– Ja też.

Podmuch wiatru przywiał z dworca głos megafonu. Słyszeli bardzo wyraźnie: kobiecy głos zapowiadał odejście pociągu pospiesznego do Wrocławia. To chyba sprowokowało pytanie, które zadał Siegfried Baum.

– Co pan zamierza, inżynierze?

– Przede wszystkim warto by było wstąpić do jakiegoś szpitala – przyznał były oficer Kriegsmarine z uśmiechem, który sam na sobie wymusił, także po to, by nie skrzywić się z bólu. – Nie powinni chyba odmówić pomocy obywatelowi Niemiec Zachodnich, co?

– Nie wiem. Nie znam Polaków. – Baum wzruszył ramionami.

Prawda była taka, że Bittrich, owszem, prowadził robura, jednak w wyniku zderzenia doznał jakichś wewnętrznych obrażeń. Bolały go żebra i głowa, oddychał z coraz większym trudem. Wcześniej jednak nie skarżył się. Być może tak działała adrenalina. Doświadczył tego dwadzieścia lat wcześniej podczas misji w Prusach Wschodnich.

Żaden z nich nie powiedział drugiemu, co stało się przed wypadkiem. I mimo wszystko cieszyli się, że Niemiec trafił na Niemca. Kto by pomyślał...

Zarówno Klaus Bittrich, jak i Siegfried Baum zdawali sobie sprawę, że prędzej czy później trzeba będzie zacząć mówić. Wszak pozbycie się zwłok Uwe już czyniło ich przestępcami. Każdy czuł, że ten drugi coś ukrywa. I żeby wyjść z tego cało, muszą współpracować.

Baum cieszył się. Uszedł szczęśliwie pogoni milicji i, co ważne, znalazł inny środek lokomocji, choćby i zdezelowany. Samochód, którym przyjechał do Polski, nie nadawał się do niczego, więc został na poboczu. Milicja znajdzie go pewnie bardzo szybko.

Na szczęście Baum zdążył zabrać ze skrytki wszystkie dokumenty. Gdy go zapytają, powie po prostu, że auto zostało mu skradzione.

Bittrich w ciągu jazdy do Olsztyna kilka razy odwracał się przez ramię albo spoglądał w lusterko wsteczne, by zobaczyć skrzynię, unieruchomioną parcianymi pasami. Nie uszło to uwadze Bauma. Gdy kierowca zrobił to teraz, nie wytrzymał.

– Towar, jak widzę, ocalał – powiedział.

– Na szczęście. To nie tyle towar, co bardzo cenne rodzinne pamiątki, które zostały w Prusach Wschodnich po wojnie.

– Rozumiem, wielu rzeczy nie udało się nam zabrać ze sobą – westchnął przedsiębiorca. – Gdzie pan to wykopał?

Klaus Bittrich nie odpowiadał. Baum zapytał raz jeszcze i dopiero wtedy się przestraszył. Nachylił się nad kierowcą i dotknął palcami miejsca na jego szyi, gdzie powinno się wyczuć puls. Albo jego brak...

LXXV

Droga krajowa nr 51, między Olsztynem a Olsztynkiem, dzień szósty

Jeszcze dwa dni temu Zygmunt Pleban bał się pytać o cokolwiek swojego niemieckiego zleceniodawcę. Dzisiaj czuł się w jego towarzystwie bardzo dobrze: żartował, śmiał się. Jeszcze parę dni, a z pewnością wypiją razem po piwku i będą klepać się po plecach.

– Zaczyna mi się podobać ta zabawa, panie Baum – rzekł, zmieniając bieg na niższy, auto, którym się poruszali, znalazło się bowiem na drodze pełnej dołów, kolein i kamieni.

– Co pan ma dokładnie na myśli? – Siedzący tradycyjnie z tyłu Helmut Baum chyba został wyrwany z zamyślenia; nie zwrócił nawet uwagi, że Polak zwraca się do niego po nazwisku, a nie nazywa, jak wcześniej, prezesem.

– No, to całe poszukiwanie skarbów!

– Jakich tam skarbów... – Helmut próbował zbagatelizować sprawę, sam jednak wiedział, że jest w tym nieskuteczny.

– Dobra, dobra. My już swoje wiemy. Ale muszę panu powiedzieć, że w to ja się jeszcze nie bawiłem. Właściwie powinienem się domyślić od razu, o co panu chodzi. Jakiś lew i ukryta w nim szkatułka. Teraz jakieś stare mapy. Kiedyś słyszałem, że ten Koch coś ukrył na tych terenach. Skarby jakieś. Najczęściej mówiło się o Bursztynowej Komnacie. Ale to chyba nie to, co?

– Nie – odparł nieswoim głosem Baum.

– W każdym razie fajnie jest. Chyba nawet ten cały Dan Brown by tego lepiej nie wymyślił.

– Czytał pan książki Browna?

– Jasne, że tak. Znam wszystkie części Harrego Pottera! Albo ten Stephen... Luther King. Czytał pan?

Niemiec nic nie odpowiedział. Z trudem dzielił uwagę na to, co dzieje się tu i teraz, i swoje myśli. Czyżby rzeczywiście był już blisko? Wiele na to wskazywało, stuprocentowej pewności jednak nie miał. Mimo to zabrał ze sobą szkatułkę, którą udało mu się otworzyć przed dwoma dniami. Czuł przez skórę, że jej zawartość może się teraz przydać.

Z kolei siedzący obok Plebana Józef Świącki, słysząc przechwałki kolegi, tylko westchnął. On z kolei, odkąd wyjechali spod hotelu, nie odzywał się wcale. Był niewyspany i zły. Na pytania kumpla, czy coś go gnębi, odpowiadał opryskliwie, więc Pleban dał sobie spokój.

Znał jednak Świąckiego kilkanaście lat i wiedział, że coś go musi trapić. Prawdopodobnie nie udał mu się jakiś sztos, planowany od dawna albo zrobiony *a vista*. Wiedział też, że jak sobie popiją, a taki moment prędzej czy później nastąpi, bo ten fryc nie będzie ich męczył w nieskończoność, Józek nie wytrzyma i zacznie mówić. Zawsze tak było, więc dlaczego teraz miałyby być inaczej?

– Pan mi pokaże jeszcze raz tę mapę. – Zygmunt odwrócił się do Bauma; samochód zatrzymał się bowiem przy jakichś zabudowaniach z czerwonej cegły. – To mi wygląda na leśniczówkę. Albo gajówkę...

– A co to, kurwa, za różnica? – prychnął nagle Świącki.

Pleban puścił tę niemiłą uwagę mimo uszu. W głębi ducha ucieszył się, że u jego starego druha idzie wreszcie ku dobremu.

Tymczasem pochylił się nad podaną mu przez Bauma mapą, porównał ze starą mapą sztabową, która służyła mu, jeszcze gdy był związany z resortem.

– Musimy dalej jechać tą drogą – rzekł po chwili. – To już, zdaje się, całkiem niedaleko.

– Musimy się również spieszyć. Zaraz zacznie się szarówka – odezwał się Helmut.

– Się da załatwić, panie Baum.

Ponownie potoczyli się nierównym duktem, odprowadzeni przez szczekanie łańcuchowego psa, ale i czujne oko gajowego, który zza zażółconej od dymu firanki oglądał dziś na tej drodze już kolejny dobry samochód.

LXXVI

Okolice wsi Mielno, dzień szósty

Tomasz Horn, Joanna Klose i Ewa Rimmel skończyli badanie piwnicy za pomocą georadaru. W jego efekcie archeolożka wskazała stanowczo na kąt między ścianką działową a oknem, najbardziej oddalony od drzwi wejściowych, a teraz zasypany gruzem, śmieciami i zarośnięty szczelnie przez sto gatunków chwastów.

– Skrzynia prawdopodobnie miała wymiary siedemdziesiąt centymetrów na półtora metra, trzydzieści centymetrów wysoka – podała Ewa. – Leżała w tym miejscu około dwudziestu, trzydziestu lat. To chyba wszystko, co mogę na ten temat powiedzieć.

Horn i Joanna pochylili się nad skrawkiem ziemi. Nie trzeba było długo i uważnie się przypatrywać, żeby stwierdzić, że niczym nie różni się od pozostałych fragmentów podłoża.

– Idę po łopatę – zdecydował dziennikarz.

Wrócił po minucie. Zaczęli kopać na zmianę.

Tymczasem we wnętrzu starej piwnicy robiło się coraz ciemniej i coraz mniej przyjemnie. Horn, widząc miny towarzyszących mu kobiet, zaczął operować szpadlem z jeszcze większą zajadłością.

– Może jednak spróbujemy rano? – zaproponowała Ewa, spojrzawszy na zegarek.

Horn udał, że nie słyszy. Albo w istocie nie dosłyszał, co mówiła jego znajoma.

Cała trójka znajdowała się na tyle daleko od drzwi do piwnicy, by nie dosłyszeć, że ktoś się do nich skrada. Oderwali się od swojego zajęcia dopiero wtedy, gdy trzasnęły.

– Co to?! – krzyknęły jednocześnie Joanna i Ewa.

Pierwszy dopadł drzwi Horn. Pchnął je, ale nawet nie drgnęły. Naparł na nie ramieniem, ale efekt był taki sam.

– Ktoś sobie robi żarty?! – krzyknął.

W odpowiedzi Pleban tylko poprawił kopniakiem solidną drewnianą belkę szalunkową, którą skutecznie zablokował drzwi. Potem wymienił z Święckim porozumiewawcze spojrzenie. Ich twarze nie zdradzały żadnych emocji. W przeciwieństwie do twarzy Helmuta Bauma: szef fabryki materiałów budowlanych otworzył usta. Zaskoczenie mieszało się na jego twarzy z przerażeniem.

– Nic... nic im nie będzie? – wyjąkał, wskazując palem na zaryglowane drzwi.

– Złe pytanie – odparł Święcki, przewracając oczami, po czym spojrzał na towarzysza. – Powiedz panu, mój drogi Zygmuncie, jak powinno brzmieć prawidłowe pytanie.

– Prawidłowe pytanie powinno brzmieć: czy nie wyjdą? – rzekł z powagą Pleban.

Przez kilka chwil nie odzywali się do siebie. Słyszeć było za to tylko dochodzące z piwnicy stłumione, z każdą chwilą bardziej gniewne i buńczuczne krzyki uwięzionej trójki. Robiło się coraz chłodniej, na niebie rozbłysły pierwsze gwiazdy.

– I co teraz? – zapytał wciąż drżącym głosem Baum.

– Co pan powie, to będzie – odpowiedział Pleban. – Pan jest kierownikiem tej ekspedycji. Ja wiem jedno: jesteśmy na miejscu, ale to towarzystwo, może zupełnie przypadkowo, weszło panu w szkodę. Może coś już znaleźli, może jeszcze nie. Tego nie wiem.

– Co pan radzi?

– Rozwiązanie jest tylko jedno – wyręczył towarzysza w odpowiedzi Święcki, w którym znów odezwała się złość z powodu wczorajszej ucieczki jego cennych zakładników: żony europośła i dwójki dzieci.

Helmut z przerażeniem patrzył, jak dwaj byli ubecy wyciągają z zanadrza broń.

– Wy chyba żartujecie...

– Tam gdzie gra idzie o skarby, a wszystko na to wskazuje, choć za bardzo rozmowny pan wciąż nie jesteś, nie powinno być sentymentów – wyjaśnił Święcki. – Kiedyś mogliśmy kopać księży po jajach, odbijać nery działaczom opozycji, łamać palce pyskatym studentom. Było z tego trochę zabawy, nie powiem, bo i pieniądze były, jakie były.

– Boże... – jęknął Baum.

– Ale teraz mamy kapitalizm, gonimy Stany i żarty się skończyły. Murzyni w Harlemie się nie pierdola, gdy coś idzie nie po ich myśli. Tylko wyciągają gnata i naciskają spust. Taki jest współczesny świat, okrutny. Większy zjada mniejszego. Pan jako kapitalista powinien to rozumieć najlepiej, panie Baum.

– Tak – odpowiedział bezwiednie Niemiec.

– Idź więc pan do samochodu, jak masz słabą pompkę – poradził Zygmunt Pleban.

Helmut Baum posłuchał tej rady. Oddalił się szybkim krokiem, ze zwieszoną głową, nie oglądając się za siebie ani razu.

Nie zdążył jeszcze zamknąć za sobą drzwi samochodu, kiedy rozległy się dwa strzały...

LXXVII

Łupstych k. Olsztyna, dzień szósty

Bogdan Sikorski chyba jeszcze nigdy nie czuł się tak szczęśliwy jak teraz. Nawet moment, w którym komisja wyborcza policzyła wszystkie głosy i okazało się, że został wybrany posłem do Parlamentu Europejskiego – chyba nawet to nie umywało się do tej chwili, w której kładł do łóżeczek swoją córkę i synka. Poprawiał poduszki i kołderki, głaskał dzieci po główkach. Wreszcie zgasił światło, choć niechętnie, bo mógł tak jeszcze stać i patrzeć na swoje szczęście.

– Zasnęły – powiedział do Anny, stojącej za drzwiami pokoju.

– Lekarz powiedział, że potrzebują teraz dużo odpoczynku i spokoju – powiedziała. – Siniaki i zadrapania będą się goić szybko. Gorzej z psychiką.

– A jak ty się trzymasz?

– Może być – odparła niegłośnie. – Myślałam, że będzie gorzej. Mogą mnie teraz porywać codziennie. Jakoś wytrzymam.

Znał ją i wiedział, że za tą fasadą luzu czy wręcz kpiny kryje się cierpienie.

– Chodźmy do salonu – powiedział, objąwszy Annę ramieniem.

Kiedy kilka godzin wcześniej Bogdan ujrzał swoją rodzinę, całą i zdrową, w gabinecie Stawskiego w komendzie wojewódzkiej, ugięły się

pod nim nogi.

Dzieci od razu rzuciły się ojcu na szyję, matka dołączyła chwilę później. Płacz, spazm, uchodzące niczym powietrze z balonu przerażenie i strach. Wreszcie radość, w którą jeszcze ciężko uwierzyć. Wszystko w jednym momencie. Stawski taktownie opuścił na tę chwilę swój gabinet.

Potem jednak trzeba było stawić czoło rzeczywistości. Anna złożyła zeznania, wspomagana przez dzieci wzięła udział w sporządzaniu portretu pamięciowego porywacza. Na miejsce, gdzie byli przetrzymywani, Stawski wysłał ekipę, której celem była obserwacja odludnej kryjówki. Kiedy byłych zakładników obejrzał lekarz, można było wreszcie wracać do domu.

Dom. Jakże pięknie to brzmiało, jak magicznie. I jak kiedyś banalnie! Sikorski zawsze uważał bowiem za wielką przesadę, gdy ktoś roztkliwiał się nad podobnymi sprawami. Owszem, od kilku lat żył w drodze, wciąż kursował między Brukselą, Strasburgiem, Warszawą a Olsztynem. Nigdy jednak, jak bardzo by nie był zdrożony, nie czuł po powrocie tego, co czuł dziś, gdy do pustego jeszcze wczoraj domu wrócili jego bliscy, o których życie i zdrowie drżał przez ostatnie kilkadziesiąt godzin.

– Napijesz się czegoś? – zapytał.

– Co zrobisz, będzie dobrze – odparła Sikorska, moszcząc sobie wygodne legowisko na obszernej sofie. – Byle nie kawę, bo nie zasnę.

Europeoseł zdawał sobie doskonale sprawę, że najważniejszą i najtrudniejszą rozmowę z żoną ma jeszcze przed sobą. Wydarzenia ostatnich dni zmieniły całe ich życie. Nad tym przecież nie przechodzi się do porządku dziennego.

Krzątał się w kuchni, Anna tymczasem włączyła telewizor i skakała po kanałach. Jakże niewinne wydawały jej się powtarzane tam złe wiadomości w porównaniu z nocą, którą spędziła z dziećmi w zimnej, brudnej piwnicy, niepewna swojego losu.

Zagotowała się woda w czajniku. Sikorski zaczął nalewać wrzątek do kubków, następnie sięgnął do lodówki po cytrynę.

Teraz jej powiem. Lepiej mieć to już za sobą – postanowił w duchu.

Ledwo postawił naczynia na stole, zadzwoniła jego komórka, leżąca na parapecie okna. Spojrzenie Anny, na które nie mógł nie trafić, mówiło wiele. A właściwie wszystko.

– Muszę. Przepraszam... – bąknął. – Sikorski, słucham.

Po drugiej stronie po chwili odezwał się znajomy głos. Był to major Marcin Wójcik. Słyszając go, europoseł aż zazgrzytał zębami.

– Czego chcesz?

Oficer jednak się tym nie przejął. Przynajmniej tak wynikało z tonu, jakim zadał swoje pytanie:

– Jak samopoczucie?

– Jeżeli dzwonisz tylko po to, żeby zapytać, jak sobie radzę, to dzięki. Jakoś wszyscy dajemy sobie radę. Dzieci już śpią, a ja zaraz się będę tłumaczył przed żoną.

– Musisz w takim razie odłożyć tę rozmowę.

– Co?! – Sikorski aż zaczął się śmiać, głos majora jednak wciąż pozostawał poważny:

– Tak jak mówię. Pogadacie trochę później. Może jutro. Teraz ojczyzna wzywa.

– To jakiś żart, prawda?

– Nie. Pamięta pan europoseł? Rozmawialiśmy o tym dzisiaj rano. Ojczyzna. Wielki zbiorowy obowiązek i tak dalej...

Sikorski westchnął ciężko. Spojrzał na żonę, która właśnie przerwała zabawę telewizyjnym pilotem i wpatrywała się badawczym wzrokiem w swojego męża.

Zabije mnie. Po prostu mnie zabije – pomyślał, po czym usiadł ciężko na oparciu fotela.

– Jesteś tam? – odezwał się Wójcik.

– Jeszcze jestem. Mów szybko, o co chodzi.

– Właśnie dostaliśmy meldunek z posterunku policji w Olsztynku o znalezieniu jakiegoś tajemniczego żelastwa. Prawdopodobnie jest to coś, co może zrobić wielkie „bum”.

– Tutaj codziennie znajduje się jakieś żelastwo, które może zrobić wielkie „bum” – zauważył Sikorski.

– Mam jednak przeczucie, że to jest dokładnie to, czego kiedyś z takim uporem szukałeś, a czego od niedawna szukamy w zgranym, jak sądzę, kolektywie. Jeśli oczywiście możemy polegać na znajomości języka niemieckiego miejscowych stróżów prawa. W każdym razie wysłałem po ciebie samochód. Już powinien dojeżdżać.

LXXVIII

53°30'N, 20°14'E, dzień siódmy

– Kurwa, chyba nigdy się już nie wyśpię – mruknął komisarz Grzegorz Solnicki do stojącego obok sierżanta sztabowego Szczypały, z trudem tłumiąc odruch ziewania.

Stali na północnym brzegu jeziora Mielno. Kilkadziesiąt metrów od nich, na niewielkiej wysepce, paliły się silne światła halogenowe. Wyglądało to bardzo efektownie.

– Zrobię zdjęcie, bo mi nikt nie uwierzy. – Szczypała sięgnął po komórkę. – Żeby po tylu latach znaleźć śmiercionośne dziadostwo z czasów wojny? Szczęście, że mieli ze sobą łódkę, co?

– Saperzy są zawsze gotowi na wszystko.

W tym samym momencie z przeciwnej strony rozbłysły długie światła. Droga od Nowej Wsi Ostródzkiej zbliżał się do nich jakiś pojazd.

Jeszcze tylko gapiów nam brakuje – pomyślał ze złością Solnicki.

Minutę później na drodze zatrzymał się terenowy samochód. Wyszło z niego dwóch mężczyzn. Gdy przybysze znaleźli się w kręgu światła, Solnicki rozpoznał europośła Sikorskiego.

– Dobry wieczór, major Wójcik, komenda garnizonu – przedstawił się jeden z przybyszy, unosząc w górę jakąś legitymację, był bowiem bez munduru.

Następnie oficer podniósł do ust krótkofalówkę.

– Jak to wygląda, kapralu?

– Nieduże, ale wystarczająco niebezpieczne, żeby nas wszystkich posłać w sekundę do Bozi – zaskrzeczało w głośniczku. – Hitlerowskie gówno.

– W takim razie róbcie swoje.

– Niestety, panie majorze, możemy zacząć... dopiero rano.

– Co?!

– Takie przepisy. Nie rozbijamy ładunku po zmierzchu.

Wójcik zmełł w ustach przekleństwo.

– Bez odbioru – rzucił.

Potoczył wzrokiem po obecnych.

– Kto to zgłosił? – zapytał.

Policjanci w jednej chwili obejrzelili się za siebie. W półmroku zamajaczyła jakaś postać. Wójcik przymrużył oczy.

– Ja – mruknął mężczyzna.

– „Ja” to w wojsku dupa.

– Czaja Zdzisław.

Major i Sikorski spojrzeli na siebie.

– Po prostu bałem się, że pan poseł... pan europoseł nie potraktował nas poważnie – wyjęczał chłopak. – Dlatego zacząłem kopać. Ojciec by tak zrobił. Czy coś mi grozi?

Wójcik chętnie postraszyłby sapers-amatora, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Uspokoił go. Potem popatrzył na Bogdana.

– No i po problemie – sapnął, by za chwilę zapytać: – Co cię gryzie?

– Zastanawiam się, gdzie jest Horn – rzucił Sikorski w półmrok i coraz bardziej przejmujący chłód. – Przecież wysłał mi wiadomość, że właśnie

zaczął kopać...

LXXIX

Łupstych k. Olsztyna, dzień siódmy

Anna Sikorska wyłączyła telewizor i odłożyła pilota na stolik. W oglądaniu telewizji czy nawet przerzucaniu kanałów zawsze znajdowała sposób na ukojenie nerwów. A teraz było co koić – począwszy od porwania jej i dzieci przez zwyrodnialca, poprzez brawurową ucieczkę z piwnicy, gdzie ich przetrzymywał, a na niedawnym wyjściu z domu Bogdana skończywszy.

Właściwie powinna już się przyzwyczaić do tego, że nigdy go nie ma, kiedy jest potrzebny. Ale jakoś nie potrafiła. Tak czy inaczej, na reelekcję i kolejną kadencję męża w Brukseli absolutnie się nie zgodzi. Nawet za cenę standardu życia.

Wstała z fotela i nie zapalając światła, poszła w stronę pokoi, w których spały dzieci. Córkę przykryła kołderką, synkowi wyciągnęła z rączki metalowy samochodzik, którym bawił się przed snem. Żadnej z jej pociech nic nie groziło. Oby o wszystkim szybko zapomnieli.

Ech, jak niewiele do szczęścia potrzeba – pomyślała Sikorska, zamykając cicho drzwi dziecięcego pokoju.

Nie chciało jej się spać. Wiedziała, że nie zmruży oka, póki Bogdan nie wróci do domu. Ale nie miała już ochoty na siedzenie przed telewizorem.

Niemal podskoczyła, gdy zadzwonił telefon. Sikorscy korzystali wciąż z aparatu stacjonarnego, który stał, jak jeszcze w wielu polskich domach, w przedpokoju.

– Cholera.

Aby nie dopuścić do obudzenia dzieci, Anna jednym susem dopadła stoliczka, na którym stał aparat, i podniosła słuchawkę.

– Halo – szepnęła.

Odpowiedziała jej cisza. Słyszała tylko bicie własnego serca. Może nie została usłyszana?

– Słucham – powiedziała nieco głośniej, osłoniwszy dłonią dolną część słuchawki.

Wtedy ktoś po drugiej stronie przerwał połączenie. Sikorska słyszała tylko przerywany sygnał. I jeszcze szybsze bicie serca...

Odłożyła słuchawkę. Po tym, co przeszła w ciągu ostatnich kilkadziesiąt godzin, nie powinna już bać się byle czego. A jednak poczuła niepokój.

– Gdzie ten Bogdan...? – szepnęła sama do siebie.

W tym samym momencie od strony kuchni doszło jej uszu pojedyncze, ciche stuknięcie. Ktoś jakby małym kamykiem rzucił w szybę. Tak jej się przynajmniej z początku dźwięk ten skojarzył.

Na palcach ruszyła w kierunku kuchni. W chwili gdy przestąpiła jej próg, ktoś pchnął skrzydło okna od zewnątrz. Jeszcze tydzień temu być może wycofałaby się w głąb mieszkania. Teraz Anna Sikorka chwyciła za leżący na szafce tasak do mięsa – skąd się tam wziął, czemu nikt go schował? – drugą ręką zaś zapaliła górne światło.

Nagły blask rozświetlił wysuniętą ku przodowi szczękę i jasnorude włosy intruza. Mężczyzna, zaskoczony tak niespodziewanym obrotem sprawy, aż wybałuszył oczy i szeroko otworzył usta.

– Czego chcesz?! – ryknęła ze wszystkich sił kobieta, nie poznając swojego głosu.

Jeszcze niedawno byłoby to wszystko, na co by ją było stać. Ale nie dzisiaj. W ułamku sekundy Anna dopadła otwartego okna. Nie widziała już twarzy napastnika. Widziała tylko jego dziesięć palców zaciśniętych na ościeżnicy. Uniosła w górę rękę z tasakiem...

LXXX

Droga krajowa nr 51, między Olsztynkiem a Olsztynem, dzień siódmy

– Jutro wyjeżdżam – oświadczył Helmut Baum, kiedy minęli biały drogowskaz z napisem Gryźliny, cyfrą oznaczającą odległość i rysunkiem samolotu.

Pleban i Święcki spojrzeli na siebie, ale za pośrednictwem lusterka wstecznego. Tym razem Niemiec siedział bowiem z przodu, na fotelu pasażera.

Nie trzeba było też być wielkim znawcą, psychologiem, by stwierdzić, że w tym człowieku coś pękło. Łatwo było też wskazać przyczynę. Ledwo bowiem dwaj polscy współpracownicy Bauma wrócili z ruin nad jeziorem, ten na nich napadł.

Czerwony na twarzy, rozgestykulowany, zaczął wykrzykiwać, wymyślać im od bandytów i morderców. Nie pierwszy to raz słyszeli podobne epitety pod swoim adresem, padające zazwyczaj od ich zleceńodawców. Obaj zdążyli się jednak do tego przyzwyczaić.

Potem zapanowała cisza, którą przerwał dopiero teraz Baum.

– Jutro wrócimy na miejsce i dokładnie wyczyścimy teren – rzekł na to Pleban. – Będziesz pan mógł szukać w spokoju tych swoich skarbów czy, jak pan woli, zaginionych pamiątek po swojej rodzinie. Do tych ruin nikt więcej się nie zbliży. Mogę to panu zagwarantować.

– Nigdzie nie wrócimy i niczego nie będziemy szukać – odpowiedział na to Niemiec spokojnie i stanowczo. – Powtarzam panom: jutro wylatuję. I nie musicie mnie odwozić na lotnisko. Pojadę taksówką. Poradzę sobie.

Znów spojrzenie w lusterko.

– A nasze honorarium? – zainteresował się Świącki.

– Wypłacę panom, jak tylko wrócimy do hotelu.

– Jak tylko wrócimy do hotelu – powtórzył jak echo Świącki, zaś Baum sprecyzował:

– Tyle, ile było uzgodnione. Ja dotrzymuję obietnic i wywiązuję się z umów.

Pleban chrząknął. Baum, widać z coraz większym trudem panujący nad sobą, wziął to od razu do siebie.

– To i tak zbyt wiele jak na to, co mnie tu spotkało – wycedził przez zęby. – Uważam się za cywilizowanego Europejczyka i zakładałem, że będę współpracował z równie kulturalnymi ludźmi. Tymczasem wy napadacie po nocach niewinnych ludzi w ich domach, straszycie ich, wreszcie ucinacie im palce, a teraz... *Mein Gott!* Przecież nas wszystkich z pewnością aresztuje jutro policja. Może już na nas czekają!

– Z pewnością – bąknął pod nosem Pleban. – Cała jednostka GROM. Wspomagana przez jezuitów.

Minęli uśpioną Stawigudę. W pewnym momencie Świącki zaczął się wiercić na tylnym siedzeniu, po chwili także cicho jęczeć i syczeć.

– Co ci jest? – zainteresował się kierowca.

– Nie wiem. Coś jest nie tak... – padła odpowiedź.

– Może to serce? – zaniepokoił się Helmut Baum, wykręcając szyję, by móc spojrzeć na swojego współpracownika; w jednej chwili gdzieś ulotniła się cała jego złość.

– Nie wiem. Chyba tak.

– Zatrzymajmy się! – polecił Niemiec, na co Pleban przystał od razu.

Kamyczki pobocza zachrzęściły pod kołami samochodu. Pleban nie wyłączał silnika.

Józef Święcki, postępując, wygramolił się z auta i stanął na krawędzi szosy. Pochylony nad rowem, jakby miał za chwilę wymiotować, oddychał ciężko, trzymając się za serce. Chwilę potem z samochodu wyszedł także Niemiec, stanął krok od Święckiego, nieco z tyłu. Wyglądał na bardzo przejętego sytuacją.

– Może powinniśmy pojechać do szpitala? – zaproponował. – Ja, wie pan, też miałem niedawno podobne problemy. Wszystko przez ten nasz styl życia. Papierosy, alkohol, pośpiech...

Nie widział, że ręka, którą chory trzyma się za serce, tak naprawdę tkwi pod połą kurtki. Wystarczyła chwila, aby ją wyciągnąć.

I Święcki to zrobił. Palce jego dłoni zaciskały się na kolbie pistoletu, którego lufę przedłużał tłumik.

– Tak. Spieszyć się nigdy nie należy – powiedział.

I nacisnął spust dwa razy.

Helmut Baum jęknął coś po niemiecku, wyprężył się, zachwiał, po czym runął na twarz wprost do przydrożnego rowu.

Święcki pochylił się nad ciałem i strzelił jeszcze trzy razy. W tym samym momencie, gdy chował broń, z samochodu wyszedł także Pleban.

– Przecież musimy go przeszukać! – krzyknął.

Na szczęście ciało nie leżało w wodzie. Sprawnie przeszukali Bauma. Efektem tej pracy był skórzany portfel, w którym, prócz dokumentów, znajdowały się karty kredytowe i, na oko, kilkaset euro gotówką.

Była tam jeszcze jakaś pożółkła kartka, złożona na czworo. By ją przeczytać, Pleban musiał przyświecić sobie zapalniczką. Widniały tam jakieś cyfry, starannie wykaligrafowane, prawdopodobnie za pomocą wiecznego pióra.

– Pewnie to jego lista wydatków – prychnął z pogardą Świącki, zaglądając przez ramię Plebana. – Wyrzuć to w cholerę!

Zygmunt zrobił więcej: przyłożył płomyk zapalniczki, która służyła mu za źródło światła, do brzegu kartki. Ta po kilku sekundach zamieniła się w popiół...

Następnie obaj zaczęli energicznie wyrywać kępy wysokiej trawy i przysypywać nimi zwłoki. Trwało to może ze trzy minuty. Na szczęście przez ten czas nie minął ich żaden samochód.

Kiedy skończyli, Świącki zapalił papierosa, Pleban zaś odszedł kilka metrów dalej, rozpiął rozporek i zaczął sikać do rowu.

– Dobra, dobra – sapnął z zadowoleniem. – Teraz nikt już nie będzie nam wchodził w paradę.

– Myślisz, że słusznie zrobiliśmy?

– Pewnie, że tak. Prędzej czy później trzeba było to zrobić. Poza tym on chyba rzeczywiście miał zamiar stąd wyjechać do Reichu, a potem czekać tatka latka.

– Mam tylko nadzieję – wtrącił Świącki – że tamci, kimkolwiek są, doprowadzą nas do celu o wiele szybciej niż ta szwabska pierdoła. Europejczyk, Helmut zasrany...

LXXXI

Okolice wsi Waplewo, dzień siódmy

Właściwie można było się do tego przyzwyczaić. Porwania, przetrzymywanie w jakiejś ciemnicy, groźby – co to dla nas! W ciągu zaledwie kilku dni miała miejsce już druga tego typu historia. Hornowi nagle aż zachciało się śmiać.

Ciekawe, czy Joanna myśli podobnie – przeszło mu przez myśl.

Mijała kolejna godzina, odkąd we trójkę zostali uwięzieni w ruinach nad jeziorem Mielno. Strzały, które usłyszeli chwilę po tym, jak zablokowano drzwi, skutecznie poskromiły zapędy dziennikarza, który był gotów walić w nie do utraty sił i świadomości. Odskoczył od nich, jakby były pod napięciem. Wtedy chyba każde z nich zapragnęło, by drzwi, które jeszcze przed chwilą chcieli otworzyć, a potem wyważyć, okazały się drzwiami pancernymi, nie do sforsowania!

Kto strzelał? I po co? Czy tylko w celu postraszenia ich, niechcianych gości w ruinach, czy może obok wykonano właśnie na kimś wyrok?! W grę wchodziła także opcja, że może to leśniczy, na którego terenie się znaleźli, huknął na postrach z dwururki, bo tylko na takie argumenty reagowali zwykle pijaczkowie, którzy urządzali tu libacje.

– Jeśli tak, to po prostu wyjdźmy stąd!

– A jeśli nie?

– Może ten ktoś tylko czeka, aż któreś z nas pojawi się w drzwiach piwnicy.

Potem już nic nie mówili. Znieruchomiali z przerażenia, tylko nasłuchiwali. Nic więcej się jednak nie wydarzyło. Czas stanął w miejscu.

O tym, że ziemia nadal się kręci, świadczyła zapadająca coraz szybciej ciemność, która wkrótce otoczyła kucających pod ścianą, wciąż niepewnych swojego losu.

– Czy ten georadar nie ma czasem właściwości grzejnika? – zapytał Ewę Horn.

– Owszem, ma – odparła szeptem archeolożka. – Nieraz już nas ratował, gdy się zasiedzieliśmy na stanowiskach, szczególnie na pustyni.

– No to czemu go nie włączasz?

– Bo padło zasilanie.

Znów cisza. Nieznośna i niekończąca się jak reklamy przed kolejnym odcinkiem głupiego serialu.

– Muszę ci coś powiedzieć, Tomek – odezwała się w pewnej chwili Joanna Klose.

– Co?

– Nie byłam z tobą do końca szczerą.

– O czym mówisz?

Policjantka westchnęła.

– Morderstwo Franka Prochnova nie jest jedynym powodem mojego przyjazdu do Polski – powiedziała. – Jest tylko powodem oficjalnym. I nie jest prawdą, że prowadziłam swoje prywatne śledztwo, gdy odsunięto mnie od sprawy.

– Ciekawie się zapowiada – mruknął Horn.

– Kiedy spotkałam cię najpierw na komendzie w Olsztynie, a potem w Olsztynku, wiedziałam, że będziemy pracować razem.

– Ale to nie ty kazałaś mnie zwolnić z mojej gazety?

– Nie. To nie ja. I nie skłamałam, mówiąc, że twoje wcześniejsze odkrycie odbiło się szerokim echem nie tylko w Polsce.

– Podpowiadam, że właśnie się zaczerwieniłem – zaśmiał się, a gdy Joanna zamilkła, zaciekawiony, domagał się dalszej opowieści: – No i co dalej?

– Powinnam chyba zacząć od początku. Od samego początku. To dość długa historia, ale obawiam się, że mamy przed sobą sporo czasu.

– Oby nie – wtrąciła Ewa.

– W każdym razie można spróbować. Zapewne wiesz, redaktorze, czym była Bursztynowa Komnata?

– Bursztynowa Komnata?! – powtórzyli jednocześnie Ewa i Horn.

– Zgadza się. Chodzi o wykonany na początku osiemnastego wieku na zamówienie Fryderyka I Hohenzollerna gabinet z bursztynu bałtyckiego, przekazany w darze w tysiąc siedemset szesnastym roku Piotrowi I, carowi Rosji w dowód przyjaźni rosyjsko-pruskiej. Komnata rzeczywiście mogła zachwyć, składała się bowiem z niezliczonej ilości ornamentów, mebli, lusterek, żyrandoli i rzeźb, z których każde mogło z powodzeniem stanowić osobne, a jednocześnie niezwykle cenne dzieło sztuki. W zamian car przysłał królowi na służbę doborowy oddział żołnierzy. Mało kto jednak wie, że podczas transportu do Petersburga uległa zniszczeniu jedna rzeźba.

– Pierwsze słyszę – przyznała się Ewa.

– Była to rzeźba przedstawiająca Sif, żonę boga Thora, złotowłosą germańską boginię zbóż, urodzaju, płodności, miłości, a także urody, którą zwykle przedstawiano jako piękną kobietę trzymającą w ręku róg wypełniony winem. Car Piotr, kiedy dowiedział się o stracie, kazał

wychłostać ludzi, którzy byli za to odpowiedzialni, a byli jego poddanyimi. A potem zamówił u niemieckich wykonawców nową Sif, bez niej podarek wydawał mu się bowiem niepełny. Duplikat wykonano, jednak podczas podróży do Rosji znów stało się nieszczęście.

– Niech zgadnę – wtrącił Horn. – Sif zaginęła?

– Stało się to w Prusach, gdzie pośród jezior, gęstych lasów i zdradliwych bagien łatwo było o takie wypadki. Nikt nie wiedział, kto za tym stoi. A stał niejaki Friedrich von Johannesberg, właściciel ziemski i awanturnik, lubiący terroryzować okolicę. To właśnie z tego powodu, o czym mało kto wiedział, Bursztynowa Komnata stała nierozpakowana aż do śmierci Piotra I. Z biegiem lat o pięknej Sif zapomniano, gabinet został przeniesiony i złożony w całość.

– W Carskim Siole – uzupełniła tym razem Ewa Rimmel.

– Kilka lat po zakończeniu zwycięskiej dla Niemców wojny z Francją – ciągnęła Joanna – w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym piątym, na terenie Prus powołano do życia organizację, skupiającą między innymi byłych żołnierzy walczących w tej wojnie, często okrutnie okaleczonych w jej wyniku. Coś na kształt amerykańskiego Ku-Klux-Klanu, który powstał wkrótce po zakończeniu wojny secesyjnej, założony przez weteranów armii Południa...

– Ale przecież w Niemczech nie było Murzynów – zauważył Horn, by zaraz się poprawić: – Przepraszam: Afroamerykanów.

– Mało kto wie, że początkowo Ku-Klux-Klan niósł pomoc wdowom i sierotom po zabitych żołnierzach Konfederacji – wyjaśniła Joanna. – Tak samo miało być w Niemczech. Chodziło przede wszystkim o odzyskiwanie pieniędzy za poniesione w wyniku konfliktu straty. Pośród członków organizacji byli zarówno zwykli żołnierze, jak i oficerowie, wywodzący się ze szlachty. Jednym z założycieli Borussii XX, gdzie rzymska liczba

oznaczała po prostu przyszły wiek dwudziesty, był prawnuk Friedricha von Johannesberga, Otto, kapitan piechoty. Któregoś dnia znalazł w piwnicy z winami w swoim majątku ukrytą w skrzyni Sif. Czas nie uczynił jej najmniejszej nawet krzywdy.

– Wiedział, co to za rzeźba? – zapytała Ewa.

– Tak. A kiedy dowiedzieli się o niej inni członkowie organizacji, postanowili uczynić ją swoją patronką. Któż bowiem nie pragnął urodzaju, płodności i miłości? Wiedziano też, że Sif to brakujący element Bursztynowej Komnaty, a ta była niegdyś symbolem sojuszu łączącego dwa potężne państwa. Z tym że niegdysiejszy sojusz jutro mógł przerodzić się w najgłębszą nienawiść. Historia zna wiele takich przykładów. Wkrótce Rosjanie i Niemcy znów mieli się o tym przekonać.

Joanna Kloze przerwała na chwilę. Przysłuchujący się jej z uwagą Horn uświadomił sobie, że zapomniał o strachu, a także głodzie, zimnie i niewygodzie.

Po chwili ciągnęła dalej:

– Lata mijały. Organizacja wciąż działała, choć nie żyli już jej założyciele. Zmieniały się też jej cele. W latach tysiąc osiemset osiemdziesiąt – tysiąc dziewięćset członkowie związku brali czynny udział w pozyskiwaniu kolonii w Afryce. Kiedy wybuchła I wojna światowa, a Rosjanie weszli do Prus latem tysiąc dziewięćset czternastego roku, organizacja została zaalarmowana doniesieniami z frontu. W okolicach Insterburga, w przeddzień przegranej przez wojska cesarskie bitwy pod Gąbinem, w ręce Rosjan wpadła kasa jednego z oddziałów Borussii XX, a także pewna skrzynia. To była właśnie Sif.

– Jak się tam znalazła? – chciał wiedzieć Horn.

– Miała być przewieziona w bezpieczne miejsce przez doborowy oddział, którego dowódca zapewne nawet nie wiedział, co wiezie.

Zagubiony oddział został jednak okrążony przez żołnierzy armii generała Samsonowa. Organizacja na zwołanym naprędce spotkaniu w Marienburgu zleciła odzyskanie, a dokładnie wykupienie skrzyni pewnemu berlińskiemu detektywowi. Zrobił to, jednak jego ciężarówka zagubiła się w bitewnym ferworze i została zaatakowana przez inny rosyjski oddział. Ten z kolei rozbili żołnierze sto czterdziestego siódmego pułku piechoty. Oni to bez ceregieli otworzyli skrzynię jeszcze w lesie pod Tannenbergiem.

– Czyli jesteście w domu – mruknął dziennikarz.

– I znów dziwnym trafem wśród żołnierzy znalazł się ktoś, kto w pięknej pani rozpoznał brakującą część Bursztynowej Komnaty. O swoim odkryciu żołnierze nie poinformowali przełożonych, tylko ukryli rzeźbę w bezpiecznym miejscu. Gdy powstało mauzoleum, skrzynia znalazła bezpieczną kryjówkę w jego murach. Sprawiono zamek szyfrowy, a szyfr ukryto. A gdy umarł Hindenburg, podczas przebudowy schowano ją dokładnie w jego krypcie.

– Niesamowite – westchnęła Ewa.

– Wkrótce na bazie grupki żołnierzy sto czterdziestego siódmego pułku piechoty powstała nowa organizacja, coś na kształt włoskiego Związku Kombatantów. Jednak w przeciwieństwie do niego nie przerodziła się w organizację faszystowską. Wręcz przeciwnie: głoszono w niej hasła pacyfistyczne i demokratyczne. Nazwano ją imieniem męża Sif, Thor.

– Bóg burzy, piorunów i sił witalnych. Patronował także ognisku domowemu i małżeństwu – wtrącił Horn.

– Borussia XX nigdy nie pogodziła się ze stratą, wkrótce jednak górę wzięła doraźna polityka. Najpierw był to plebiscyt na Warmii i Mazurach, w którym za wszelką cenę należało pokonać Polskę. Niebawem w słabnących z dnia na dzień gospodarczo i militarnie Niemczech powstała

NSDAP, na której czele stanął Adolf Hitler. Członkowie Borussii XX popierali nazistów, wciąż jednak pozostając organizacją tajną.

Joanna znów przerwała. Przez chwilę słyszeli tylko jej przyspieszony oddech.

– Po nieudanym zamachu na Hitlera w Wilczym Szańcu, a dokładnie po schwytaniu jednego z ostatnich spiskowców, Maksymiliana Lindego, także członka organizacji, Borussia XX dowiedziała się, gdzie ukryto skrzynię, i poznała szyfr do jej zamka, który ukryty był w brzuchu lwa wyrzeźbionego przez Micheangelo Pietrobello. W obliczu zbliżającego się frontu wysłano po skrzynię hamburskiego złodzieja, Georga Henschella. Działano w porozumieniu z Erichem Kochem, który, a tego z kolei już nie wiadomo, za jednym zamachem mógł mieć kompletną, po raz pierwszy w dziejach, Bursztynową Komnatę, bo prawdopodobnie to właśnie on ukrył ją gdzieś na tych terenach.

– Na czym łamią sobie zęby kolejne pokolenia archeologów i poszukiwaczy skarbów – skwitowała kwaśno Ewa Rimmel.

– Także i organizacja Thor postanowiła ratować skarb, wysyłając z misją młodego porucznika marynarki wojennej, Klause Bittricha, który i tak miał znaleźć się w Prusach Wschodnich z inną, nie mniej ważną misją. Wiadomo, że skrzynia wyjechała z Tannenberg-Denkmal w tym samym momencie co trumna z ciałem marszałka. Potem jednak ślad po niej zaginął. Na szczęście istniała mapa, pozostawiona na ścianie podziemi kościoła w Gierzwałdzie.

– Chwileczkę – przerwał jej Horn. – To ty znałaś mapę Czai?!

– Nie. Wiedzieli o niej tylko Bittrich i Henschell. Pierwszy, po latach, dotarł do niej Henschell. Przerysował plan, ale z jakichś powodów nie udało mu się dotrzeć do miejsca ukrycia skrzyni. Wkrótce jego zwłoki wyłowiono z kanału portowego w Hamburgu. To właśnie to wydarzenie,

prasowa notatka, a może nekrolog spowodowały, że Klaus Bittrich, wówczas już ceniony inżynier budowy okrętów, działając w porozumieniu z wciąż istniejącym Thorem, postanowił przyjechać do Polski i odnaleźć śpiącą bursztynową boginię.

– Chciał ją wywieźć? – zapytała Ewa.

– Niekoniecznie. To pewnie byłoby trudne, jeżeli nie niewykonalne, znając szczelność ówczesnych granic. Po prostu pragnął upewnić się, że wciąż istnieje. Czternastego marca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku centrala organizacji, mieszcząca się w Berlinie, otrzymała od niego telegram wysłany z Olsztyna. Dzień później rodzina Klause Bittricha została powiadomiona o jego śmierci. Znaleziono go martwego na ulicy. Prawdopodobnie zmarł w wyniku obrażeń odniesionych w wypadku samochodowym, trafiono bowiem na rozbity samochód, którym wjechał na terytorium Polski...

Joanna przerwała. Długa opowieść kosztowała ją z pewnością sporo wysiłku.

– Skąd o tym wszystkim wiesz? – zapytał po chwili Horn.

– Klaus Bittrich był moim wujkiem, a dokładnie bratem mojej babci – odpowiedziała dziewczyna. – Ja zaś rok temu wstąpiłam do organizacji Thor, która wciąż działa na terenie Niemiec, skupiając różnych ludzi, także policjantów. To właśnie ona kazała mi się przyjrzeć bliżej sprawie, gdy ktoś załatwił zatrudnionego kiedyś przez firmę Baum und Giese Prochnova. W tym samym czasie ktoś zaczął interesować się znów Erichem Kochem, nachodząc jednego z jego byłych strażników w Barczewie. Prawdopodobnie właśnie dlatego sprzed ratusza w Olsztynku został skradziony lew, którego losu wciąż nie znamy...

Uszu uwieczonych doszedł złowróżbny głos puszczyka. Ewa zatrzęsała się, może ze strachu, a może tylko z zimna.

– I jeszcze jedno – odezwała się znów Joanna. – Asystent europosła nie dał mi nazwisk uczestników tamtej wycieczki.

– Jak to?! – zdziwił się Horn.

– Zadzwońłam do Brukseli, do jednego z członków organizacji, który pracuje w europarlamencie. To on podał mi nazwiska mężczyzn, którzy spełniali interesujące nas kryteria. To, że za trzecim razem trafiliśmy na Romana Czaję, to po prostu... szczęście.

Z odgłosów, które się nagle rozległy, obie kobiety wywnioskowały, że Horn podniósł się gwałtownie z ziemi.

– Co się dzieje? – zapytała Joanna.

– Nic. Muszę odetchnąć świeżym powietrzem!

Nim którakolwiek z kobiet zdążyła zareagować, napał z impetem na drzwi. Jednak zamiast głuchego uderzenia, ku swojemu zdziwieniu i przerażeniu Ewa i Joanna usłyszały skrzypnięcie otwieranych drzwi.

LXXXII

Olsztyn, dzień siódmy

Dochodziła druga w nocy, gdy samochodem Joanny, którego nikt nie ukradł ani nie uszkodził, dojechali do Olsztyna i zameldowali się w hotelu w pobliżu zamku. Po drodze zostawili Ewę Rimmel, która koniecznie chciała wracać do swoich archeologów.

Horn wiedział coraz mniej, mimo że właśnie dowiedział się wszystkiego – i to od osoby, po której się tego nie spodziewał. Tajna organizacja Thor? Tajna organizacja Borussia XX? Bursztynowy posąg germańskiej bogini Sif, swego rodzaju jabłko niezgody, przez które Rosjanie i Niemcy od wieków brali się za łby?

Brzmiało to nieprawdopodobnie. No ale czy nie na to właśnie czekał? Czy nie to podniecało najbardziej detektywa mimo woli?

Ledwo otworzył rano oczy, w jego głowie pojawiło się pytanie. Dla lepszego efektu, ale też dlatego, że był w pokoju sam, zadał je sobie na głos, wyraźnie:

– Co inżynier Klaus Bittrich napisał w telegramie, który wysłał z Olsztyna do Berlina na chwilę przed śmiercią?

Dziennikarz powtarzał je sobie jeszcze wiele razy: myjąc zęby, biorąc prysznic, ubierając się, a nawet ścieląc łóżko. Wreszcie gdy pukał do drzwi znajdującego się na tym samym piętrze pokoju zajętego przez Joannę.

Policjantka była już ubrana, w dodatku rześka i wypoczęta, jakby przespała dwanaście godzin, a nie ledwo pięć. Właśnie kończyła wiązać włosy w kok.

Jest naprawdę ładna – pomyślał Horn, a głośno zaproponował:

– Chodźmy na śniadanie. Jestem głodny jak wilk...

Niewielki, uroczy hotelik mieścił się w secesyjnej willi, będącej kiedyś własnością niejakiego Waltera Sperla, syna szefa działającej na przełomie XIX i XX wieku w Olsztynie loży masońskiej o nazwie Kamień nad Łyną.

Horn i Joanna zeszli do niewielkiej, bardzo miłej hotelowej restauracyjki. Właśnie opuszczała ją spora grupa Niemców w starszym wieku.

Zajęli stolik. Dziennikarz przyniósł dla obojga herbatę. W miarę jak zapełniały się ich żołądki, z ciał uchodziło zmęczenie, a także strach, którego przecież najedli się ubiegłej nocy, spędzonej w zimnej piwnicy, niepewni niczego, a już z pewnością swojego losu.

– Co inżynier Klaus Bittrich napisał w telegramie, który wysłał z Olsztyna do Berlina na chwilę przed śmiercią? – zapytał Horn, uporawszy się z talerzykiem jajecznicy.

Joanna musiała się spodziewać tego pytania, bo bez słowa sięgnęła do kieszeni, skąd wydobyła kartkę papieru, na której wypisane było:

534702-203035

DBH

Gross Frankfurter. Die Leiden 6 IX

– To wszystko?

– Wszystko.

– No to zabiłaś mi ćwieka.

– Od tego jesteś.

– Nie wracajmy może do tego. Nie lubię, jak ktoś robi mnie w balona. A tylko w ten sposób to należy nazwać, nie inaczej.

Horn wrócił do przerwanej konsumpcji. Sięgnął do koszyka z pieczywem, sprawnie rozkroił kajzerkę. Od czasu do czasu zerkał na kartkę z tajemniczymi cyframi, która wciąż leżała na stole, wetknięta jednym rogiem pod talerzyk.

Co mógł oznaczać ciąg dwunastu cyfr i trzech liter? – zastanawiał się. Czy był to jakiś szyfr? DBH. DB to oznaczenie niemieckich kolei, ale w połączeniu z H nie oznacza nic. Chyba.

A dalej? *Gross Frankfurter* to w tłumaczeniu na język polski „wielki frankfurtczyk”. *Die Leiden* to „cierpienia”. No i jakaś data na końcu – 6 IX.

Co kołatało się w głowie trawionego śmiertelną gorączką człowieka, który kazał nadać krótki telegram o takiej właśnie treści niemal pół wieku temu? Wreszcie: czy Joanna znów zna odpowiedź na wszystkie te pytania, tylko z jakichś powodów udaje głupią?!

– Kto jest najbardziej znanym frankfurtczykiem? – zapytał Horn.

– Z tego, co wiem, to Johann Wolfgang Goethe. – Policjantka odstawiła z uwagą filiżankę z kawą na spodeczek. – Widzę, że próbujesz od końca, tak jak wszyscy.

– Czyli wiesz, co znaczy: *Gross Frankfurter. Die Leiden 6 IX*?

– Tak.

Powinienem teraz wstać i wyjść – pomyślał ze złością.

– Ty też wiesz. Miałeś go na półce.

– Co?!

– Owszem. To Goethe! Chodzi prawdopodobnie o rozdział *Cierpień młodego Wertera*, który nosi datę szóstego września. Jest krótki, a przekład,

który masz ty, niewiele różni się od dotychczasowych... – Joanna sięgnęła z uśmiechem po drugą kartkę i przeczytała na głos: – „Dużo mnie kosztowało, zanim się zdecydowałem rozstać z moim błękitnym, skromnym frakiem, w którym po raz pierwszy tańczyłem z Lotą. Ale zniszczył się już bardzo. Kazałem sobie zrobić zupełnie podobny, z kołnierzem i wyłogami i takąż żółtą kamizelkę i spodnie”.

– Co, do cholery, mają wspólnego spodnie, kamizelka i frak biednego Wertera z tym, czego szukamy?! – zastanawiał się Horn głośno i niezbyt subtelnie, powoli bowiem zaczynał mieć wszystkiego serdecznie dosyć.

Wtem zadzwoniła jego komórka. Przełknął kęs pieczywa i nacisnął guzik na klawiaturze.

– Tak.

– Cześć, Tomasz! – w słuchawce rozległ się głos historyka sztuki, Wieńczysława Żarka.

– Cześć. Co się dzieje?

– Słuchaj, myślałem długo na temat pomnika Dunikowskiego, pod którym się spotkaliśmy kilka dni temu, wiesz. Zajrzałem nawet do starych albumów, bo coś mnie tknęło. No i znalazłem! Myślę, że to ważne. Czy jesteś jeszcze w Olsztynie i możemy się spotkać w tym samym miejscu co wtedy? Na przykład za pół godziny?

LXXXIII

Olsztyn, dzień siódmy

Parking przed „Szubienicami” był całkowicie zapchany, więc Horn i Joanna zostawili samochód na prostopadłej ulicy. Odcinek do przejścia nie był duży.

Dochodząc do przeciwległego brzegu arterii, widzieli już wyraźnie oczekującego ich Żarka. Spacerował w tę i z powrotem na krótkim odcinku chodnika, niczym zakochany przed randką. Pod pachą ścisnął, w miejsce bombonierki dla swojej lubej, gruby album, w którym Horn niemal od razu rozpoznał książkę bliźniaczą tej, którą pobieżnie przeglądał kilka dni temu na stoisku ze starociami na niedalekim Targu Rybnym.

– Dobrze, że jesteście – przywitał się Żarek.

Wydawał się podekscytowany: znali się średnio dobrze, ale akurat to Horn potrafił stwierdzić ponad wszelką wątpliwość.

– Co się dzieje? – powtórzył swoje pytanie sprzed pół godziny.

W odpowiedzi historyk sztuki otworzył album, po czym, jakby się nagle zreflektował lub przestraszył, zatrzasnął okładki i rzekł ściszym głosem:

– Najpierw chodźmy tam.

Szli slalomem, między zaparkowanymi na placu samochodami. Po kilku chwilach stanęli u podnóża schodów pomnika. Na pierwszy rzut oka

nic się w tym miejscu nie zmieniło od chwili, gdy w takim samym składzie spotkali się tutaj po raz pierwszy.

– Tak jak mówiłem – rzekł Żarek. – Coś mnie tknęło i zajrzałem wczoraj do starego albumu z fotografiami prac Dunikowskiego. No i znalazłem!

Zatrzepotały przewracane szybko kartki kredowego papieru, wreszcie ujrzeli czarno-białą fotografię, przedstawiającą jeden z pylonów, ten bez postaci rosyjskiego żołnierza.

– Popatrzcie na ten czołg. – Żarek dotknął palcem zdjęcia.

Pochylili się nad otwartą książką, by za chwilę spojrzeć na ów czołg w rzeczywistości.

Były identyczne.

– Podpowiem – powiedział historyk sztuki. – Chodzi o numer na wieżyczce.

Miał rację! Na fotografii wykonanej przed pół wiekiem go nie było, teraz – owszem. Na wieżyczce T-34 czyjaś ręka wyryła wyraźne trzy cyfry: cztery, dwa i osiem.

– Chodźcie. Trzeba się przyjrzeć temu bliżej – zakomenderował pan Wieńczysław.

Wspięli się po schodach, podeszli do lewego pylonu, z którego kilka dni wcześniej została oderwana jedna z płyt. Następnie weszli na podstawę wieży w kształcie sześcianu. Hornowi przeszło przez myśl, że jeszcze dwadzieścia kilka lat temu takie zachowanie mogło spowodować rychłe pojawienie się patrolu nadpobudliwych milicjantów.

– Rzeczywiście. Na wieżyczce czołgu ktoś wykuł, odrobinę nieporadnie, może po ciemku i w pośpiechu, numer czterysta dwadzieścia osiem – stwierdziła Joanna.

– A na fotografii go nie ma – powtórzył swoje Żarek.

Także i Tomasz przyjrzał się z bliska tajemniczemu znalezisku.

Płaskorzeźba znajdowała się na tyle nisko, że cyfry te mógł za pomocą ostrego narzędzia wyryć dorosły człowiek. Ale kto? Kiedy? I najważniejsze: co to miało wspólnego z prowadzoną przez nich sprawą?

– Czy coś jeszcze rzuciło ci się w oczy? – zapytał Horn Żarka, bardziej przez grzeczność niż w nadziei usłyszenia jeszcze jakichś ciekawostek o pomniku.

W odpowiedzi historyk sztuki pokręcił energicznie głową. Wyglądał na nieco zawiedzionego tym brakiem entuzjazmu z ich strony.

– Mam o dziesiątej zajęcia ze studentami. – Spojrzał na zegarek.

Zeszli wolnym krokiem po schodach. Gdy byli już na parkingu, zadzwoniła komórka. Tym razem Joanny.

– *Ja?*

Mężczyźni kurtuazyjnie oddalili się kilka kroków. Parę metrów od nich rozkaszała się mały fiacik, coraz rzadziej spotykany na polskich drogach. Skwitowali to jednoczesnym uśmiechem.

Joanna wróciła zadziwiająco szybko.

– Dzwonili z Berlina – wyjaśniła. – Dziś rano znaleziono pod Olsztynem w przydrożnym rowie ciało niejakiego Helmuta Bauma, obywatela Republiki Federalnej, właściciela firmy... – policjantka zrobiła krótką pauzę, by zaczerpnąć oddech, jednocześnie utkwiała nieruchome spojrzenie w Hornie. – Właściciela frankfrunckiej firmy Baum und Giese. Właśnie polecono mi wrócić do śledztwa.

Ledwie to powiedziała, ponownie podniosła do oczu komórkę i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w wyświetlacz.

– Niechący włączył mi się GPS w telefonie... – powiedziała mimowolnie, choć nikt o nic nie pytał. – O cholera!

– Nie możesz wyłączyć? – zgadywał Horn. – Też niedawno miałem z tym problemy.

Wyciągnął w jej stronę rękę, ale Joanna nie oddała mu telefonu.

– Nie, to niemożliwe! – szepnęła.

– Co jest niemożliwe? Pokaż.

Tym razem posłusznie oddała mu aparat.

Horn spojrział na ekran, uniósł w górę brwi, otworzył usta, by za chwilę zacząć recytować niczym stary wilk morski:

– Pięćdziesiąt trzy stopnie, czterdzieści siedem minut i dwie sekundy szerokości geograficznej północnej. Dwadzieścia stopni, trzydzieści minut i trzydzieści pięć sekund długości geograficznej wschodniej.

– Trzydzieści cztery – sprostowała Joanna. – Trzydzieści pięć sekund będzie tam! – Wskazała palcem monumentalny, czteropiętrowy gmach z czerwonej cegły.

Z tej okazji nie mógł nie skorzystać Wieńczysław Żarek.

– To były gmach rejencji, przez dziesiątki lat siedziba dyrekcji regionalnej Polskich Kolei Państwowych, dziś zaś mieści biura sejmiku województwa – wyrzucał z siebie z szybkością godną specjalisty prowadzącego sesję giełdy papierów wartościowych. – Gmach wybudowali junkrzy pruscy w latach tysiąc dziewięćset osiem – tysiąc dziewięćset jedenaście na potrzeby ówczesnej *Regierungsbezirk*, czyli Rejencji, jednej z pięciu, na które podzielone były Prusy. Budynek ma cztery piętra i ogromne podziemia, w sumie ponad jedenaście tysięcy metrów kwadratowych powierzchni.

Ani Joanna, ani Horn nawet przez sekundę nie byli jednak znużeni tym niespodziewanym wykładem.

– Czy budynek przetrwał wojnę? – zapytał dziennikarz.

– Był uszkodzony, nawet bardzo. Ale tak.

– W takim razie Bittrich musiał go pamiętać jeszcze sprzed wojny – stwierdził Horn.

– Jeśli miał zostawić gdzieś skrzynię, to tylko w miejscu, które znał – zgodziła się Joanna.

– Poza tym, jak mówiłaś w nocy, był oficerem marynarki wojennej. Dla niego nie było żadnym problemem określić położenie geograficzne. Dwanaście cyfr, które wysłał w telegramie...

Joanna zmarszczyła czoło.

– A litery DBH? – zapytała. – Mnie się z niczym to nie kojarzy. Przynajmniej po niemiecku.

– Daj mi chwilę pomyśleć – odpowiedział Horn.

Zrobił to już przez ramię, idąc szybkim krokiem w kierunku głównego wejścia do byłego gmachu rejencji. Do siebie zaś, dużo ciszej, dodał jeszcze:

– Czuję, że to musi być albo bardzo trudne, albo wręcz dziecinnie proste.

LXXXIV

Olsztyn, dzień siódmy

– Dobrze. Już nie będę pana dzisiaj dłużej męczył. – Komisarz Kontra zamknął gruby służbowy notes i pstryknął długopisem; czas na wykonanie tych czynności z powodzeniem wystarczył siedzącemu za nim tłumaczowi do przełożenia jego słów na język niemiecki.

– *Gut* – odpowiedział leżący na szpitalnym łóżku Erich Schwarz. – *Danke*. Dziękuję.

Policjant wstał z taboretu, podciągnął odruchowo mundurowe spodnie, dał dyskretny znak tłumaczowi, po czym obaj pożegnali się i wyszli z izolatki. Wychodząc, spojrzął jeszcze raz na staruszkę, którego włosy miały dokładnie kolor poszewki poduszki, na której spoczywała głowa.

Starość jest straszna – pomyślał.

W drzwiach sali minęli się z żoną pacjenta, Ingeborg. Kobieta pozdrowiła ich krótkim uśmiechem. Miała zafrasowaną twarz i podkrążone z niewyspania oczy. W ręku miętoszyła chusteczkę do nosa.

Drobiąc kroki, zbliżyła się do łóżka, na którym leżał jej mąż.

– Bardzo cię wymęczyli? – zapytała z troską.

– Nie – odpowiedział Erich. – Pan komisarz był bardzo miły. Chciał tylko wiedzieć, co się wydarzyło wczoraj w nocy. Ale przecież ja prawie nic nie pamiętam...

– Nie denerwuj się. Tylko się nie denerwuj.

Minęła doba, odkąd pogotowie przywiozło do szpitala wojewódzkiego turystę porwanego w okolicach hotelu nad Jeziorem Krzywym. Lekarz, który badał Schwarza, nie stwierdził poważnych urazów czy ran, poza kilkoma siniakami i zadrapaniami. Nakazał mu jednak pozostanie w szpitalu na obserwacji, co najmniej przez dwie doby.

Niemiec nie oponował, tym bardziej że naprawdę czuł się kiepsko. Także psychicznie. Nie pomogła mu nawet pewność, że porywacz i zabójca Prochnova i Miehlkego, bo to z pewnością był on, został aresztowany i z jego strony absolutnie nic już nie może Erichowi grozić.

Skończył się największy koszmar w jego życiu. Za parę dni będą mogli spokojnie wrócić z Ingeborg do domu.

– Wiesz, Inga? Zjadłbym coś – powiedział w pewnej chwili Erich.

– A na co masz ochotę?

– Sam nie wiem. Może pomarańczę?

– Widziałam w sklepie na dole. Zaraz ci przyniosę. – Pani Schwarz aż zaklaskała w dłonie z zadowolenia, po czym skierowała kroki ku drzwiom izolatki.

Dokładnie w chwili, gdy czekała na windę, która miała zabrać ją na parter, gdzie znajdowały się sklepy i kioski, schodami na górę wspinał się młody mężczyzna. Miał na sobie biały kitel, a na nosie okulary w grubej, czarnej oprawie. O jego przynależności do elitarnego grona świadczył również stetoskop przewieszony przez szyję. Prawa dłoń lekarza tkwiła nonszalancko w kieszeni fartucha.

Wkrótce znalazł się na właściwym piętrze i maszerował długim korytarzem. Kiedy mijał pielęgniarkę siedzącą za krótkim kontuarem,

nieznacznie przyspieszył kroku.

Kobieta podniosła niezbyt przytomny wzrok znad jakichś zapisków i uśmiechnęła się. Nieznany doktor wydał jej się bowiem bardzo przystojny. Miał również miły, dość niski głos; mogła to stwierdzić, gdyż lekarz przywitał się:

– Dzień dobry, siostrze.

– Dzień dobry, doktorze – odpowiedziała.

Lech Nejman skręcił do pierwszej sali, którą napotkał. Dopiero tam wypuścił z płuc powietrze, machinalnie poprawił okulary.

Widząc lekarza, kilku pacjentów oderwało się od wykonywanych właśnie czynności, którymi jak co dzień urozmaicali sobie pobyt w szpitalu: partyjki szachów, żmudnego obierania owoców czy czytania gazety. Już któryś otwierał usta, z pewnością po to, by poskarżyć się na jakąś dolegliwość.

Ale Nejman w porę salwował się ucieczką.

Gdzie jest ta cholerna izolatka? – zastanawiał się, idąc znów korytarzem i mijając kolejną pielęgniarkę z tacą pełną fiolek z lekarstwami, która zmierzyła go podejrzliwym wzrokiem.

Po chwili, mijając kolejne wejście do sali, rozpoznał wreszcie człowieka leżącego na łóżku.

Obejrzał się za siebie, wsunął drugą dłoń do kieszeni i wszedł do środka, dokładnie i cicho zamykając za sobą drzwi.

LXXXV

Olsztyn, dzień siódmy

Pierwsze wrażenie i pierwsza myśl zwykle bywają najbardziej trafne, choć rzadko kiedy człowiek im ufa. Zawsze pojawia się przecież sto dodatkowych „ale”!

Tomasz Horn tym razem postanowił zaufać bezgranicznie intuicji, właśnie owemu pierwszemu wrażeniu. Mianowicie, że ciąg cyfr to szyfr. I o ile pierwszych dwanaście dało im przed chwilą odpowiedź, w którym budynku szukać zaginionego skarbu Fryderyka Wilhelma i Piotra Romanowa, o tyle...

– Dzień dobry. My do naczelnika Kowalskiego – rzucił pospiesznie portierowi, który podniósł się zza kontuaru, widząc dwoje ludzi zmierzających od wejścia ku głównym schodom szybkim, zdecydowanym krokiem. Zbyt szybkim i zbyt zdecydowanym jak na jego oko.

Portier usiadł na miejscu dopiero wtedy, gdy machnęli mu przed nosem jakimiś legitymacjami. Nic nie powiedział. Tylko mlasnął.

A niech szlag trafi tego całego naczelnika Kowalskiego! – pomyślał ze złością na koniec, po czym wrócił do przerwanej przed chwilą lektury sportowych stron „Super Expressu”.

– A jeżeli już znajdziemy ten pokój, to co? – dopytywała półgłosem Joanna, zrównawszy się z Hornem we wspinaczce po schodach.

– To nic. Będziemy się cieszyć – odpowiedział dziennikarz.

Tak naprawdę jednak nie miał pojęcia, co zrobi, gdy okaże się, że gdzieś tam na górze naprawdę istnieje pokój o numerze czterysta dwadzieścia osiem – numerze dopisanym, być może przez samego Klausea Bittricha, na płaskorzeźbie czołgu jadącego dokładnie w stronę gmachu rejencji. I jednocześnie powstałym, gdy zamieniło się litery z telegramu na cyfry.

Proste, wręcz dziecinnie łatwe! Może nawet zbyt łatwe?

Wpadł na to kilka minut temu, gdy zatrzymali się przed portalem gmachu, aby pożegnać Żarka, który rzeczywiście spieszył się na zajęcia ze studentami. Horn zrobił to machinalnie, wydawał się nieobecny duchem. W jego głowie jedna myśl goniła następną. Gdy o tym wreszcie powiedział Joannie, ta musiała to sobie najpierw rozrysować ołówkiem na kartce notesu.

Idąc po schodach do góry, mijali urzędników obojga płci, ubranych z bazarową elegancją. Weszli już na trzecie piętro, gdzie numery na drzwiach zaczynały się cyfrą 3, a jednocześnie... kończyły się schody.

– To niemożliwe – jęknął Horn. – Tu z pewnością musi być gdzieś jeszcze jakaś inna klatka schodowa. Przecież patrzyliśmy z zewnątrz, tak?

– Chyba...

– Nie licząc parteru, a jednocześnie wliczając strych, muszą być cztery poziomy!

Horn usiadł na krawędzi schodów, ale zaraz podniósł się, aby nie prowokować spojrzeń ani tym bardziej komentarzy przechodzących wciąż koło nich ludzi.

– To jest przecież bardzo stary budynek, pełen zakamarków i korytarzy – dodała Joanna, rozglądając się naokoło. – Kilka razy zdarzyło się, że zabłądziłam w budynkach sądów w Berlinie, niemal identycznych jak ten. Raz nawet sędzia pomyślał, że bandyta, którego eskortowaliśmy, dał dyla.

– Przez tych kilkadziesiąt lat mogła się też zmienić numeracja.

– Czy mogę państwu w czymś pomóc? – usłyszeli nagle czyjś głos.

Horn poczuł się nieswojo. Gdzieś po drodze zagubiła się chyba ta jego pewność siebie granicząca z bezczelnością, z którą kilka chwil wcześniej przekroczył próg gmachu. Zagubiła się, a może nigdy jej nie było?

Pierwsza odwróciła się Joanna.

– *Guten Morgen* – zaatakowała bez pardonu niewinnego człowieka, a był nim, sądząc po ubiorze, pracownik urzędu.

Urzędnik przez chwilę przypatrywał się Hornowi, mrużąc oczy. Ale ten był pierwszy.

– Stefan? – Wycelował wskazującym palcem gdzieś w okolice węzła granatowego krawata, który nosił tamten.

Urzędnik uśmiechnął się.

– Cześć. Kopę lat.

– Czy ty wszędzie masz znajomych? – Joanna ujęła się pod boki.

Horn nie odpowiedział, Stefan Gwiżdż za to wyglądał na nieco skołowanego.

– Nie zwracaj na nią uwagi – zaśmiał się dziennikarz. – Co słyhać? Pracujesz tu?

– Zgadza się. Szczęśliwie, odpukać, od dziesięciu lat. Bez względu na zmiany władzy. Zajmuję się współpracą z Unią Europejską. Dotacje i tego typu rzeczy, więc ta pani...

– Joanna – przedstawiła się policjantka.

– ...raczej mnie nie przestraszyła – zakończył z uśmiechem.

– A wracając do twojego pytania – Horn postanowił iść na całość – to szukamy pokoju czterysta dwadzieścia osiem.

– Obawiam się, że w tym budynku nie ma takiego pokoju – odpowiedział urzędnik powoli, jakby jednocześnie nad czymś się zastanawiał.

Horn i Joanna popatrzyli na siebie.

– Chyba że... – odezwał się po krótkiej chwili Gwiżdż, zezując nieco bojaźliwie na boki. – Chociaż nie ma w tym budynku pokoju o numerze czterysta dwadzieścia osiem, to wydaje mi się, że jest taki, który nosi numer... minus czterysta dwadzieścia osiem.

– Minus czterysta dwadzieścia osiem? – powtórzył Horn jak echo i niemal w tym samym momencie stanął mu przed oczami ów Klaus Bittrich, były oficer marynarki, którego twarzy nie znał, ale poznał przecież historię ostatnich chwil jego życia.

Jeżeli Bittrich był ranny w wyniku wypadku, a rany były tak poważne, że doprowadziły do jego śmierci, to z pewnością takiemu człowiekowi było o wiele łatwiej wciągnąć w pojedynek skrzynię na dół niż dźwigać ją po schodach na górę. Oczywiście, że tak!

Starszy referent Stefan Gwiżdż zaczął schodzić w dół, Horn i Joanna posłusznie się za nim.

– Jeszcze podczas studiów historycznych słyszałem, że były gmach rejencji ma prawie tyle samo pięter w dół co w górę – opowiadał Stefan z coraz większą pasją, jakby był przewodnikiem po muzeum i właśnie oprowadzał po nim wycieczkę. – Nigdy za bardzo nie chciało mi się w to wierzyć, póki kilka lat temu Urząd Marszałkowski nie przejął gmachu od kolejarzy.

– Podejrzewam, że nie wiecie do dzisiaj, co mieści się w większości podziemi – wtrącił Horn.

– Prace nad tym wciąż trwają, ale wiecie, jak to jest. – Stefan rozłożył szeroko ręce. – Na razie mamy zbyt dużo roboty z teraźniejszością, żeby

babrać się w historii. Póki nie wejdzie tam woda, nikt się z tym specjalnie nie spieszy. Zresztą co tam można znaleźć po kolejarzach? Odwołania od kar za jazdę pociągiem na gapę?

Zaraz zapyta, po cholere nam ten numer czterysta dwadzieścia osiem – przestraszył się Horn, był bowiem niemal pewien, że zasadnicze i niezwykle kłopotliwe pytanie za chwilę padnie.

Ale wtedy niespodziewanie odezwała się Joanna.

– Wie pan, jest jeszcze kilka innych historycznych spraw, o wiele starszych, na które odpowiedzi znajdują się w tych podziemiach.

Co ona knuje, do cholery? – zastanawiał się dziennikarz z narastającą złością. Chyba nie ma zamiaru wszystkiego mu powiedzieć?

A może trzeba to zrobić? Działać oficjalnie, zaopatrzyć się w specjalne glejty z pieczętkami IPN-u, które w tym kraju otwierają ostatnio wszystkie drzwi, bo przecież wszystkim zależy na odkryciu prawdy...

Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, Kloś rozwijała przed Gwiżdżem swoją historię.

– Razem z redaktorem Hornem z Warszawy wykonujemy specjalną, poufną misję dla rządu niemieckiego – powiedziała ściszym głosem. – Chodzi o stare dokumenty rejencji olsztyńskiej, o których dowiedzieliśmy się niedawno, że ocalały z wojny.

No to powiedziała! Teraz już się z pewnością nie obejdzie bez drogi służbowej! – pomyślał Horn, potykając się o stopień. Udało mu się na szczęście zachować równowagę, co jednak nie uszło uwadze portiera, którego z łatwości minęli kilka chwil wcześniej.

Gwiżdż zatrzymał się na środku obszernego hallu, popatrzył na Horna, potem zmierzył wzrokiem Joannę.

– Poczekajcie chwilę – powiedział. – Muszę tylko wziąć z portierni klucz do piwnic.

Chwilę po tym, jak portier Urzędu Marszałkowskiego przekazał klucze do piwnic referentowi Gwiżdżowi, przed kontuarem stanęło dwóch mężczyzn.

– Cześć, kolego – przywitał się jeden z nich. – Kopę lat.

LXXXVI

Olsztyn, dzień siódmy

Bogdan Sikorski wysiadł z samochodu majora Marcina Wójcika jeszcze na peryferiach miasta, tłumacząc się, że dotrze stamtąd do domu taksówką. Był nieswój, nie chciał rozmawiać. Prawdopodobnie wciąż myślał o Hornie.

– Spotkamy się w Brukseli, co? – zapytał jeszcze.

– Jakiej Brukseli? – Major sprawiał wrażenie niezbyt przytomnego, za co mogła odpowiadać nieprzespana noc.

– No przecież tam pracujesz. Jako oficer łącznikowy w Głównej Kwaterze NATO...

– Ja? Urzędnikiem? W życiu! – obruszył się Wójcik. – Znasz mnie i wiesz, że zawsze działałem w polu, z moimi żołnierzami.

– Ale przecież mówiłeś...

– Nie wierz we wszystko, co słyszysz. Cześć.

– Do zobaczenia.

Zbliżała się dziewiąta rano, gdy major Wójcik otworzył pilotem bramę byłych koszar przy ulicy Jagiellońskiej i wjechał na obszerny plac przed neogotyckim budynkiem byłej komendantury. Chwilę potem za samochodem Wójcika zatrzymał się wojskowy star, nad którego kabiną

umieszczona była pomarańczowa tabliczka z rysunkiem pocisku i napisem „UWAGA! NIEWYBUCHY”.

– Nic z tego nie rozumiem, panie majorze – zaczął swoją starą śpiewkę kapral, dowódca patrolu minerskiego, który wyskoczył z kabiny ciężarówki, ledwo jej kierowca zaciągnął ręczny hamulec. – Po co właściwie tu przyjechaliśmy?

– Już mówiłem. Takie mamy procedury – odparł ze spokojem Wójcik, starannie zamykając drzwi samochodu.

– Wy macie swoje procedury, a ja mam swoje! – zachnął się saper. – Moje procedury mówią wyraźnie, żeby wszystko, co zostało wykopane, zawozić jak najszybciej w wyznaczone miejsce i detonować. Nie mamy czasu na żadne ceregiele, panie majorze.

– To nie są żadne ceregiele, kapralu.

– Muszę porozumieć się ze sztabem w Giżycku.

– Proszę to zrobić. – Wójcik niespiesznym ruchem sięgnął do kieszeni na piersi i założył na nos przeciwsłoneczne okulary, bo właśnie słońce wychynęło zza wieżyczki jednego z opuszczonych budynków koszarowych. Oparł się plecami o bok samochodu, z lubością wystawiając twarz na działanie życiodajnych promieni.

Tymczasem kapral, coraz bardziej zakłopotany, przestąpił z nogi na nogę. Bezradnie rozejrzał się dookoła. Na terenie jednostki, którą znał i pamiętał jako zawsze tętniącą życiem, nie było żywego ducha. Kierowca stara, młody chłopak w stopniu starszego szeregowego, siedział za kierownicą, trąc oczy z niewyspania.

– To co teraz zrobimy? – zapytał dowódca patrolu saperskiego.

– Na razie zapraszam panów w cień. – Wójcik oderwał plecy od nagrzewającej się karoserii auta. – Myślę, że powinniśmy napić się czegoś zimnego. To z pewnością robi nam dobrze, szczególnie po takiej nocy.

Pana kierowcę i pomocnika oczywiście też zapraszam. Chyba należy mu się duża kawa.

Chwilę potem wszyscy czterej wojskowi zniknęli za drzwiami byłej komendantury.

Pół minuty później zza jednego z budynków wyjechał niemal bezgłośnie jakiś pojazd, prawdopodobnie napędzany silnikiem elektrycznym. W kilka chwil zbliżył się do stary, przy którym z kolei nie wiadomo skąd znalazło się kilku mężczyzn. Dwóch z nich sprawnie i bez hałasu opuściło burtę i wskoczyło na pakę. Dwaj pozostali podnieśli w górę niewielką skrzynię, którą przywieźli meleksem.

Zamiana identycznych, jak się okazało, skrzyń trwała kilkanaście sekund.

– Gotowe – rzucił do kolegów jeden z mężczyzn, po czym melex zniknął tak szybko i tak cicho, jak się pojawił.

W tej samej chwili sączący schłodzoną wodę mineralną kapral odebrał telefon od swojego dowódcy, który, zaniepokojony wyraźnym losem wysłanego na interwencję patrolu, nakazywał podwładnemu jak najszybszy powrót do Giżycka. Tym razem major Wójcik, popijający w spokoju wodę z plastikowego kubeczka, nie widział żadnych przeszkód.

– Na władzę nie poradzę. – Rozłożył ręce tak szeroko, że aż kilka kropel wody rozlało się po podłodze.

LXXXVII

Olsztyn, dzień siódmy

W długim, półkolistym sklepionym i wąskim korytarzu czuć było stęchliznę. Tomasz Horn pomyślał, że wcale nie trzeba dużej powodzi, by wszystko to, co jeszcze znajduje się w podziemiach, szlag trafił. Wystarczy po prostu poczekać kilka lat.

Kiedy parę minut wcześniej całą trójką weszli za drzwi, za którymi znajdowała się klatka schodowa z prowadzącymi w dół stopniami, serce żywiej zabiło mu w piersiach. I nie spowodowały tego stare transparenty i rozlatująca się mównica, na które to zabytki wpadli zaraz za progiem.

Także idąca tuż za nim Joanna zagryzła z emocji wargi. Z emocji, a może ze wstrętu przed szczurami, wszak miejsce, w którym się znaleźli, mogło w nie obfitować. A kobieta, choćby i policjantka, zawsze jest kobietą.

Na wszelki wypadek Horn postanowił nie wywoływać tematu. Tym bardziej że wszystkie wnętrza, które pokonywali, były oświetlone za pomocą okratowanych i przykurzonych lamp, a szczury, jak wiadomo, nie przepadają za światłem.

Zeszli w dół kilka pięter.

Ile? Dwa, może trzy. Horn próbował liczyć, ale szybko stracił rachubę. Z pewnością musieli znaleźć się na dość znacznej głębokości, bowiem

w pomieszczeniach było głucho, wilgotno, a stęchlizna była coraz bardziej wyraźna i nieprzyjemna.

Podobnie było z czasem – mogli znajdować się w podziemiach trzy minuty albo trzydzieści.

Kilka razy Hornowi wydawało się, że ktoś za nimi idzie. Oglądał się, ale nikogo nie dostrzegł, więc zrzucił to na karb nieprzespanej nocy oraz obfitujących w niebezpieczeństwa ubiegłych dni. Przecież każdy, nawet najbardziej odporny organizm powie w końcu: dość!

Tymczasem Joanna nie przestawała zastanawiać się, w jaki sposób jej wuj Klaus, którego nigdy nie poznała, dał sobie wtedy radę z ciężką skrzynią. Sam, ciężko ranny, w dodatku ktoś mógł go zobaczyć.

Pokonali korytarz, zakończony kwadratowym pomieszczeniem z kilkoma drzwiami, tym razem wykonanymi z grubej blachy.

Stefan Gwiżdż stanął przed jednymi z nich.

– Z tego, co się orientuję, za tymi drzwiami znajdują się boksy o numerach od czterysta dwadzieścia dwa do czterysta dwadzieścia osiem – poinformował swoich gości.

Nacisnął klamkę, a gdy drzwi nie ustąpiły, naparł na nie ramieniem. Udało się. Coś zazgrzytało przy podłodze, prawdopodobnie drobny kamyk, przesuwany teraz po betonowej nawierzchni.

Za drzwiami ziało pustką, wobec czego Gwiżdż po raz pierwszy użył latarki, którą niósł ukrytą w kieszeni marynarki. Poświecił, popatrzył, a następnie wychylił się i namacał kontakt.

Krótki korytarzyk zalało słabe, żółte światło. Horn i Joanna od razu zauważyli szerokie, solidnie wyglądające drzwi – drzwi z numerem czterysta dwadzieścia osiem namalowanym białą farbą za pomocą szablonu.

– To chyba to. – Urzędnik otarł krawędzią dłoni pot z czoła.

– Nie mam pojęcia, jak ci się odwdzięczymy... – bąknął Horn.

– Wystarczy wspomnieć moje nazwisko w napisach końcowych dokumentu, który będziecie kręcić. Kilka miesięcy temu też była tu ekipa, chyba z kanału 3 Sat. Realizowali film o tym budynku. Już go nawet widziałem na kablówce. Całkiem udana rzecz, choć tylko dla tych, którzy mają pojęcie o historii, także tych ziem. To dlatego nie zdziwiła mnie wasza prośba.

Podczas gdy panowie rozmawiali sobie tak miło, Joanna działała dalej. Nacisnęła klamkę drzwi, jednak gdy te okazały się otwarte, zawahała się.

– Sam chętnie zobaczyłbym, co nasi poprzednicy tu zostawili, ale, niestety, muszę wracać do biura – rzekł referent. – Nie siedźcie długo. I jakby co, możecie powołać się na mnie.

– Dzięki za wszystko – powiedział Horn, także w zastępstwie Joanny, zatopionej w tym momencie we własnych myślach, za których poznanie dałby wiele.

Gdy Gwiżdż wyszedł, Horn dopadł uchylonych drzwi, na których klamce spoczywała dłoń spadkobierczyni tajemnicy.

– Jeszcze w to nie mogę uwierzyć – powiedziała przez ściśnięte gardło, po czym zdecydowanym ruchem pchnęła drzwi i skierowała strumień światła przed siebie.

Oto zobaczyli trzy kolejne, wąskie wejścia, znajdujące się dokładnie na przeciwległej do drzwi ścianie. Drzwi z neoheblowanych sztachet, jakie spotyka się jeszcze czasem w piwnicach, broniły dostępu do wąskich i niskich boksów.

Między szczeblami nie było widać nic. Strumień światła, skierowany po kolei za każde z drzwi, oświetlał bardzo słabo pobielone wapnem ściany.

Horn podszedł do pierwszych z brzegu drzwi, wyciągnął przed siebie rękę...

– Nie! – krzyknęła Joanna. – Stój.

Popatrzył na nią pytająco. O co jej może chodzić?

W odpowiedzi policjantka skierowała strumień światła w miejsce, gdzie końce belek, z których zbito drzwi, spotykały się z sufitem.

Spojrzał tam także i Horn. I serce zamarło mu w piersiach. Wisiały tam... trzy granaty ręczne typu Eihandgranate 39, umiejętnie zamontowane. Taka sama niespodzianka czekała na kogoś, kto chciałby poruszyć drzwi numer dwa. I trzy.

Pierwsza myśl: jakakolwiek próba dostania się do środka, najmniejsze poruszenie tych drzwi spowoduje wybuch.

– Nie. Niemożliwe, że to wszystko jest w stanie jeszcze zadziałać po tylu latach – rzucił sceptycznie Horn.

– Wierz mi, że może – odparła głucho Joanna, podchodzący bliżej i przyglądając się bacznie wszystkim granatom. – Takie pamiątki spotyka się do dzisiaj w niektórych częściach Niemiec. Zresztą nie tylko tam, bo i u was, choćby na Wale Pomorskim. Nie dziwię się też, że wujek Klaus był zdolny przygotować takie zabezpieczenie.

– To znaczy?

– Ostatni rocznik szkoły oficerskiej Kriegsmarine był przecież szkolony nie tylko do tego, żeby pływać na okrętach, ale też po to, by prowadzić działania sabotażowe na tyłach wroga. Ale widać, że ktoś, kto jest wtajemniczony, może pokonać tę przeszkodę. – Oświetliła po kolei wszystkie trzy „kłodki”.

Niemal niewidoczne pod kozuchem kurzu jaśniały tam trzy przewody łączące każdą wiązkę. Każdy z nich miał inny kolor: czerwony, niebieski i żółty.

– Miałam kiedyś taką interwencję – powiedziała Joanna. – Jeden facet we wschodnim Berlinie urządził niespodziankę dla najbliższych. Sprawę

rozwiązywało przecięcie odpowiedniego kabla.

– Ale przecież to się dzieje tylko na filmach! – Horn aż złapał się za głowę. – Czerwony, żyjesz. Niebieski, bum! Albo odwrotnie. Nie. To nie ma prawa działać...

– Wierz mi, że tak – powtórzyła swoje Joanna. – Przypomnij sobie pułapki templariuszy. Wielu poszukiwaczy skarbów wpada w nie do dzisiaj.

– Poza tym niemożliwie, żeby przez prawie pół wieku nikt z naszych tu nie zajrzał i nie znalazł czegoś takiego.

Dziewczyna westchnęła ciężko.

– Zamiast gdybać, lepiej zastanów się, którą z wiązek granatów zdjąć, żeby bezpiecznie dostać się do skrzyni.

Oboje jeszcze raz zaczęli po kolei przyglądać się zabezpieczeniom.

– Próba manipulacji przy nieodpowiednim granacie spowoduje detonację – ostrzegła. – To w największym skrócie.

– A można to jakoś rozwinąć?

– To jest naprawdę robota dobrego specjalisty. Dziwię się tylko, że Bittrich zdołał to wszystko zrobić, będąc w tak ciężkim stanie. Ale podobno wtedy organizm potrafi wykrzesać z siebie wyjątkowo dużo.

– Jedyne plus jest taki, że to nie jest żadna bomba zegarowa i nie goni nas czas.

– Jesteś tego pewien? Otworzyliśmy drzwi nieruszane prawdopodobnie od pół wieku...

Aż zrobiło mu się gorąco. Wyprostował się, zrobił krok w kierunku wyjścia, ale zaraz odwrócił się i znalazł dokładnie w tym samym miejscu.

Zanim zdołał wykrztusić z siebie słowo, odezwała się Joanna:

– Uspokój się. Tylko żartowałam.

– Żartowałam?

– Tak przynajmniej myślę. I lepiej zacznij też ruszać głową, bo chyba zaczyna słabnąć bateria w tej latarce.

Tak oto wyczerpały się wszystkie możliwości. Wyjścia z sytuacji pozostawały dwa: odejść stąd, potem opuścić podziemia byłego gmachu rejencji i szybko, choć pewnie z żalem, zapomnieć o sprawie. Albo próbować w jakiś sposób wydostać skrzynię.

Czyżby naprawdę mieli na wyciągnięcie ręki brakujący, a w tej chwili bodajże jedyny element słynnej Bursztynowej Komnaty?!

– Który? – zapytała szeptem, ale mimo to tonem wymuszającą szybką odpowiedź.

Dziennikarz chwycił ją za rękę.

Nie, to nie może być jawa. Takie rzeczy się nie zdarzają przeciętnym ludziom! – przeszło mu przez myśl.

– Poczekaj – sapnął. – Wydaje mi się, że chyba coś mam...

– Co?

– Możesz mi pokazać jeszcze raz ten cytat z *Cierpień młodego Wertera*?

Joanna uniosła w górę brwi, ale posłusznie wyciągnęła z kieszeni złożoną na czworo kartkę z cytatem z Goethego.

Horn, przyświecając sobie latarką, przebiegł wzrokiem po kilku zdaniach, które składały się na ustęp powieści.

– „Dużo mnie kosztowało – zaczął czytać półgłosem – zanim się zdecydowałem rozstać z moim błękitnym, skromnym frakiem, w którym po raz pierwszy tańczyłem z Lotą. Ale zniszczył się już bardzo. Kazałem sobie zrobić zupełnie podobny, z kołnierzem i wyłogami i takąż żółtą kamizelkę i spodnie...”

– Przecież to jasne! – krzyknęli równocześnie.

– Chodzi o kolory. – Głos Joanny drżał z emocji. – Skoro Bittrich zwraca naszą uwagę na błękitny i żółty, to...

– ...należy zdjąć czerwony? – dokończył Horn.

Ale było to pytanie, a nie stwierdzenie. Podobnie jak następne zdanie, które wypowiedział:

– Czerwony kabel łączy tylko atrapy?

Joanna w mgnieniu oka zbliżyła rękę do wiązki granatów z czerwonym kabełkiem i wprawnym ruchem, jakby na co dzień nie robiła nic innego, zdjęła granat ze skobla. I już po chwili przedzierała się przez pajęczynę.

Horn nie był w stanie się poruszyć. Słyszał tylko metaliczny, potęgowany echem dźwięk uderzających o siebie granatów, które jakimś sposobem nie wybuchały.

– Ocknij się! – krzyknął jakiś dziwnie zniekształcony, niski, niekojarzący mu się z nikim znajomym głos. – Udało się. Po tylu latach.

– Co?

– Mamy ją! Mamy tę cholerną skrzynię!

Zamrugał oczami, wciągnął ustami potężny haust powietrza. Obraz odzyskał ostre kontury.

– Mamy ją?

Siedział na podłodze pomieszczenia, naprzeciw otwartych drzwi. W wąskim boksie stała skrzynia, niemal niewidoczna na tle ścian, przykryta grubą warstwą kurzu i pyłu.

Horn podniósł się z ziemi i powoli zbliżył do Joanny. Odruchowo przesunął dłonią po wieku; na gładkiej powierzchni zostały ślady palców.

– Co teraz? – zapytał.

– Jak to co? Zabieramy to stąd! – zachnęła się policjantka.

– Tak po prostu? Nikomu o tym nie powiemy?

W tej samej chwili usłyszeli zduszony śmiech i odgłos kroków dochodzący z korytarza.

– Pan ma rację – rozległ się męski głos. – Nie wolno niczego ruszać bez zgody władz.

W drzwiach pojawiły się dwa silne światła latarek; ich strumienie skierowano wprost w oczy Horna i Joanny.

– Co jest? Co to za żarty?! – Dziennikarz przysłonił oczy dłonią, jednocześnie próbując dostrzec twarze tamtych.

– To nie żarty, proszę pana – odpowiedział mu drugi głos. – A władza to my. Realna.

Nieznajomi przestali świecić w oczy. Horn ujrzał dwóch starszych, nieznajomych mu facetów. Obaj trzymali latarki, a w drugich rękach... broń.

– Kim panowie są? O co chodzi? – Wypowiedziawszy te słowa, Joanna chciała zwyczajowo sięgnąć w zanadrze, ale to nie spodobało się przybyszom.

– Bez numerów, tak? – warknął jeden z nich. – I rączki w górę. Wyżej, wyżej!

Wykonali polecenie. Strumień światła z jednej z latarek trafił na skrzynię, po chwili dołączył do niego drugi.

– A więc to jest to, za czym biegał nasz czcigodny Klaus Baum – powiedział półgłosem jeden z napastników.

Słyszac znajome nazwisko, nazwisko denata, Klose drgnęła. Nic jednak nie powiedziała.

– Mówiłem ci, że oni o wiele szybciej doprowadzą nas do celu – rzekł Pleban do swojego wiernego towarzysza, Święckiego. – Wystarczy mały nadajnik zamontowany w samochodzie i kilku życzliwych ludzi. Mam

nadzieję, że państwo bardzo nie zmarzli tej nocy? W jednej chwili wszystko stało się jasne.

– Więc to są te jego skarby – rzekł z podziwem Święcki.

– Baliśmy się, że już się nie doczekamy – dodał z udawaną pretensją Pleban.

– Ta skrzynia należy do rządu Republiki Federalnej Niemiec – rzuciła twardo Joanna.

– W takim razie proszę. – Pleban wykonał sugestywny ruch ręką trzymającą pistolet. – Pani złapie z jednej strony, pan, oczywiście – tu popatrzył na Horna – nie pozwoli pani dźwigać samej takich ciężarów.

Minutę później korytarzem podązał wolnym krokiem szczególny kondukt: na jego czele kroczył Święcki, za nim Horn i Joanna dźwigający, nie bez trudu, skrzynię (jak Bittrich zrobił to w pojedynkę, do cholery? A może jednak ktoś mu pomagał?). Pochód zaś zamykał Pleban.

Mimo niekomfortowej pod każdym względem sytuacji dziennikarz starał się myśleć logicznie. Nie miał złudzeń co do intencji tych dwóch. Ale żywił nadzieję, że prędzej czy później natkną się na jakiegoś pracownika urzędu, a wtedy wystarczy tylko głośno krzyknąć.

Przecież nikt nie użyje broni w tłumie ludzi! Zaniepokoiło go jednak, że zupełnie nie kojarzył drogi, którą teraz się przemieszczali.

– Dokąd idziemy? – zapytał, a właściwie słowa te same wyszły mu z ust.

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi, jeśli nie liczyć:

– Zamknij się!

Horn usłuchał polecenia, które wydał mu idący za nim Pleban.

Korytarz, którym szli, był długi i niski. Odnosiło się wrażenie, że opada, by za chwilę nieznacznie wznieść się.

W pewnej chwili Horn poczuł na twarzy wyraźny świeży powiew.

Dokąd zaprowadził nas ten tunel?! – zastanawiał się.

Kiedy ujrzał szczelinę, przez którą prześwitywało dzienne światło, nie miał już wątpliwości, że na swojej drodze nie spotkają żadnego przypadkowego wybawiciela.

Zresztą Święcki od razu pospieszył z wyjaśnieniami.

– Niemiaszki, co jak co, ale miały łeb na karku, jeśli idzie o takie budowle – powiedział, majstrując przy drzwiach, które kończyły korytarz. –

Kilka razy zdarzyło nam się korzystać z tego przejścia. Szczególnie po osiemdziesiątym roku, gdy na kolei też zaczęli zakładać „Solidarność”.

Coś zazgrzytało, wreszcie mężczyźni udało się otworzyć drzwi.

Kilka kroków i już było wiadomo, gdzie się znajdują: za nimi była wysoka skarpa, przed nimi zaś dolina Łyny i Park Centralny. To właśnie w tym miejscu kilka dni temu złapali młodych Rosjan.

Horn i Joanna postawili skrzynię na trawie. W świetle dziennym prezentowała się ciekawie. To jednak już nie miało w tym momencie żadnego znaczenia. Kiedy zauważyli, że Pleban przykręca do lufy pistoletu tłumik, ugięły się pod nimi nogi.

– Panowie, nie żartujcie – powiedział Horn głosem, którego nie poznał.

– Nigdy nie żartowaliśmy – odparł Pleban. – Może dzięki temu jesteśmy tu, gdzie jesteśmy. A nowa, tak zwana niepodległa Polska nie była w stanie bardzo nam zaszkodzić.

– Tak czy inaczej dalej pójdziemy już sami – dodał Święcki, w którym wciąż gotowało się, gdy przypomniał sobie o ucieczce rodziny europośła. – Z tego, co widzę, skrzynia nie jest zbyt...

Stłumiony huk wystrzału nie pozwolił mu dokończyć zdania.

Święcki spojrział zdziwiony na swoich jeńców, następnie na swojego kompana.

– Co... co jest? – wyjąkał tylko, po czym zachwiał się, ale nie upadł.

Zygmunt Pleban wycelował w Joannę, a potem w Horna, jednak nie nacisnął spustu. Uskoczył w bok, jak przed ciosem lub kolejną kulą, którą wystrzelono nie wiadomo skąd.

– Łapy do góry, kurwa! Już! – zagrział czyjś mocny głos.

Dopiero wtedy zaszeleściły krzaki u podnóża skarpy. Obróciwszy się, Horn i Joanna zobaczyli, że wychodzi z nich... Lech Nejman. Były komandos jednym kopnięciem powalił Święckiego na ziemię, nie przestając ani na chwilę celować w jego głowę.

Ten moment wykorzystał drugi z bandytów. Dał nura w zarośla. Nejman podniósł broń i nacisnął spust. Huknęło. Potem wystrzelił jeszcze dwa razy.

– Chyba uciekł. – Splunął na ziemię.

– Co ty tu robisz? – drżącym głosem zapytał Horn.

– Mieszkam. Jeszcze minutę temu byłem pewien, że szybko nie wyjdę z mojej kryjówki. – Wskazał ruchem głowy zrujnowaną działkową altanę, po czym pochylił się nad leżącym w trawie Święckim.

– Żyje? – zapytała Joanna.

– Tak. I dobrze. Wystarczy krwi. Jednemu zbrodniarzowi już dziś życie darowałem.

Kłose spojrzała pytająco na Nejmana. Wiedział, o co, a raczej o kogo chciałaby zapytać.

– Tak. Erich Schwarz, czy jak się on tam naprawdę nazywa, pewnie zjada teraz kolejną pomarańczę kupioną przez swoją Inge – rzekł były oficer GROM-u. – A ja chyba się starzeję...

Po chwili cała trójka pochyliła się nad skrzynią.

LXXXVIII

Barczewo k. Olsztyna, dzień siódmy

Zygmunt Pleban przechylił się przez balustradę mostu i spojrzał w wartki nurt Pisy. Zamrugął powiekami, otarł pot z czoła. Czuł się bardzo źle. Ból lewego ramienia, spowodowany przez ranę postrzałową, promieniował na piersi i szyję. Nawet plecy.

Wiedział jednak, że musi wytrzymać. Jeszcze godzinę, może krócej. Najwyżej zażyje jeszcze więcej środków przeciwbólowych...

– Ja pierdolę – zaklął głośno, wzbudzając niepokój przechodzących akurat mostem kilkorga dzieci; gdy go minęły, jedno z nich, chłopczyk, odwrócił się i popukał w głowę.

– Twoje szczęście, że nie jestem zdrów – mruknął gniewnie Pleban.

Dochodziła trzecia po południu. Było stanowczo zbyt wcześnie, żeby zacząć działać. On jednak nie chciał czekać. Nie miał czasu. Właściwie żałował, że nie zabrał się za to od razu. Jeszcze tego samego dnia, gdy się o tym dowiedział. Wszystko przez to zlecenie od Bauma.

Nigdy więcej interesów ze Szkopami – postanowił w duchu.

Kilka chwil później, wykorzystując fakt, że po moście nic nie jechało i nikt nie szedł, Pleban przeszedł przez barierkę i zaczął schodzić w dół po stromiźnie. Stopy ślizgały się po trawie, mało brakowało, by w pewnym momencie stracił równowagę i runął do rzeki.

Udało mu się jednak dotrzeć na sam brzeg. Wzdłuż Pisy ciągnęła się wąska ścieżka. Ruszył nią niespiesznym krokiem, udając spacerowicza. Na szczęście nikogo po drodze nie spotkał. Kilka razy sięgał do kieszeni po kartkę, na której naprędce i koślawo narysowano mapkę. Ona miała go zaprowadzić do celu.

Widział już Staw Więzienny i budynki przy Klasztornej.

Co musiał czuć Koch, wiedząc, że skarb, który ukrył, jest tak blisko. Ledwie kilkaset metrów od jego celi – pomyślał Pleban, przystając na chwilę, by poprawić opaskę uciskającą ranne ramię. Potem wyobraził sobie miny wszystkich, którzy przez dziesiątki lat usiłowali wyciągnąć od najważniejszego więźnia w Barczewie tę największą tajemnicę.

Po chwili ruszył dalej. Według planu, który drżącą ręką wyrysował nafaszerowany pigułkami szczerości sierżant Kazimierz Wieczerzak, był już blisko.

Wreszcie ujrzał to miejsce. Takie piwnice, których większość ukryta była pod ziemią, a o tym, że tam są, świadczyły tylko drzwi, widywał często. Zbliżył się do niej, rozejrzał na boki, czy nikt nie nadchodzi, po czym sięgnął do kieszeni po komplet wytrychów.

Wybrał jeden i nachylił się do dziurki w kłódce. Chwilę przy niej manipulował.

– Dobrze – mruknął z zadowoleniem, ale zaraz skrzywił się, bo rana dała o sobie znać.

Pchnął drzwi. Poczł smród stęchlizny i gnijących ziemniaków. Otworzył szerzej i przekroczył próg, jednocześnie sięgając do kieszeni po latarkę.

Nagle podeszwa jego prawego buta na coś trafiła. Myśląc, że to tylko jakiś śmieć, nastąpił mocniej. I wtedy zrozumiał.

– O kurwa... Wieczerzak...!

Wybuch spłoszył ptaki w promieniu kilkuset metrów. Zarówno kaczki pływające po Stawie Więziennym, jak i gołębie siedzące w równych odstępach na kalenicy budynku z czerwonej cegły.

EPILOG

Olsztyn, dwa dni później

Tomasz Horn nie spieszył się z powrotem do Warszawy. Termin rozmowy kwalifikacyjnej w nowej redakcji wyznaczono dopiero za tydzień, o czym dziennikarz, ku swojemu zdziwieniu i radości, dowiedział się jeszcze tego samego dnia, gdy znaleźli Sif, późnym popołudniem.

Postanowił więc spędzić w Olsztynie jeszcze trochę czasu. Tym bardziej że odezwał się do niego znajomy, z którym nie udało mu się spotkać przed ponad tygodniem.

Zegar na wieży ratusza zaczął wybijać dwunastą w południe, gdy Horn zajął stolik w ogródku jednej ze staromiejskich cukierni. Zamówił kawę i butelkę wody niegazowanej. Gdy kelnerka odeszła, popadł w odrętwienie.

Jego pierwsza myśl poszybowała od razu w kierunku doliny Łyny, gdzie dwa dni temu Lech Nejman uratował życie jemu i Joannie Kloś, raniąc jednego mordercę, a drugiego zmuszając do ucieczki. Nim przyjechało pogotowie i policja, zniknął. Joanna wzięła na siebie kwestię wytłumaczenia wszystkiego władzom.

Skrzynia, którą udało się otworzyć – na szczęście bez użycia szyfru – w laboratorium kryminalistycznym komendy wojewódzkiej policji, zawierała to, czego się spodziewali: przepiękną, wykonaną w całości z bałtyckiego bursztynu rzeźbę germańskiej bogini Sif.

W badaniu, prócz Horna i Joanny, uczestniczył podinspektor Tomasz Stawski. Decyzję o ewentualnym przekazaniu skrzyni Niemcom miano podjąć w ciągu najbliższych tygodni na najwyższym szczeblu. Póki co miała ona pozostać w Polsce.

Joanna Kloze wróciła wraz z komisarzem Franzem Böhmem, który zajmował się sprawą zastrzelonego Ericha Bauma, do Niemiec, by zdać relację ze swojej (podwójnej) działalności. Nawet mocno nie protestowała, gdy podjęto decyzję odnośnie Sif.

A Horn przypomniał sobie wówczas stary dowcip o urządzeniu świata, kiedy to Bóg postanowił zrobić Polakom kawał, umieszczając ich między Niemcami a Rosjanami. Dzisiaj to w naszym kraju pozostawała niewielka przynajmniej część zaginionej Bursztynowej Komnaty, symbolu miłości i nienawiści między dwoma mocarstwami, niemego świadka kilku wojen.

Józef Świątki przeżył. Umieszczono go w więziennym szpitalu. Anna Sikorska i dzieci bez trudu rozpoznały porywacza. Czekał go proces i z pewnością długa odsiadka.

I jeszcze jedno. Została uruchomiona procedura, której wszczęcie nakazywał zapis, jaki Józef Świątki zostawił u swojego prawnika. Chodziło o to, że w wypadku jego śmierci zostaną podane do publicznej wiadomości dane zleceńodawcy, który nakazał mu umoczenie europoła Bogdana Sikorskiego.

Dzięki temu wczoraj został aresztowany niejaki Joachim Moldtke, obywatel Niemiec charakteryzujący się rudymi włosami i wystającą szczęką. A przede wszystkim paskudnym charakterem i niezbyt dużą sympatią dla wschodnich sąsiadów.

Jak się okazało, był on działaczem radykalnych organizacji ziomkowskich, który chciał po prostu wybić z głowy europosłowi jego walkę z roszczeniami. Niemiec przyznał się też do postrzelenia sąsiada

Sikorskiego, co miało miejsce przed tygodniem, podczas pościgu na jeziorze Ukiel, nakłaniania do porwania rodziny europośła, a także napadu na jego dom, skąd został wyproszony przez Annę Sikorską uzbrojoną w kuchenny tasak. Na swoje szczęście uszedł z kompletem palców.

Sprawa Sikorskiego została zamknięta, on zaś uwolniony od wszelkich zarzutów. Przynajmniej tych o zabójstwo ukraińskiej prostytutki w Worytach. Resztę musiał już przedyskutować ze swoją żoną...

Horn wypił kawę, dokończył też wodę. Następnie wetknął pod spodeczek banknot i wstał z krzesła.

W chwili gdy z kawiarni wyszła kelnerka z zamiarem sprzątnięcia ze stolika i zainkasowania zapłaty, menel, który pojawił się nie wiadomo skąd, właśnie wyciągnął rękę przez płótek. Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Siły nie ma na tę zarazę – warknęła.

Już miała krzyknąć na mężczyznę, który najpewniej planował ukraść pozostawione pieniądze. Jednak powstrzymała się.

Obdartus zabrał z kawiarnianego stolika tylko butelkę po wodzie...

Pięć minut później Tomasz Horn dotarł do swojej ulubionej greckiej tawerny. Jak przed tygodniem zamówił gyros. Sięgnął po gazetę, chwilę ją wertował, jednak nie znalazł niczego o ostatnich wydarzeniach. Poza tym, że na pierwszej stronie donoszono, iż mauzoleum marszałka Hindenburga pod Olsztynkiem ma zostać odbudowane. Taką decyzję podjął wczoraj Bundestag.

– Cześć, Tomasz.

Horn uniósł wzrok.

Stał przed nim ów stary znajomy, który z jakichś powodów, o których pewnie zaraz sam opowie, nie stawił się na wcześniejsze spotkanie.

– Cześć, siadaj. – Horn wskazał wolne krzesło przy swoim stoliku. – Jesteś wcześniej...

– Tak, ale nie mam zbyt wiele czasu – odrzekł mężczyzna, zajmując miejsce naprzeciwko; sprawiał wrażenie rozkojarzonego, rozglądał się na boki, jakby czegoś lub kogoś się obawiał. – Muszę ci coś ważnego opowiedzieć. Nie uwierzysz...

W powieści wykorzystano fragment „Cierpień młodego Wertera” Johanna Wolfganga Goethego w tłumaczeniu Franciszka Mirandoli.

OFICYNKA ZAPRASZA WSZYSTKICH MIŁOŚNIKÓW DOBREJ LITERATURY!

Znajdziecie Państwo u nas książki interesujące, wciągające, służące wybornej zabawie intelektualnej, poszerzające wiedzę i zaspokajające ciekawość świata, książki, których lektura stanie się dla Państwa przyjemnością i które sprawią, że zawsze będziecie chcieli do nas wracać, by w dobrej atmosferze z jednej strony delektować się warształtem znakomitych pisarzy, poznawać siłę ich wyobraźni i pasję twórczą, a z drugiej korzystać z wiedzy autorów literatury humanistycznej.

POLECAMY



Księgarnia Oficynki www.oficynka.pl
e-mail: oficynka@oficynka.pl
tel. 510 043 387



Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

PROLOG

KSIĘGA PIERWSZA. IMPETUS

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

XXII

XXIII

XXIV

XXV

XXVI

XXVII

XXVIII

XXIX

XXX

XXXI

XXXII

XXXIII

XXXIV

XXXV

XXXVI

XXXVII

XXXVIII

XXXIX

XL

XLI

XLII

XLIII

XLIV

INTERMEZZO: MISJA STRACEŃCÓW

KSIĘGA DRUGA. PRAESIDIUM

XLV

XLVI

XLVII

XLVIII

XLIX

L

LI

LII

LIII

LIV

LV

LVI

LVII

LVIII

LIX

LX

LXI

LXII

LXIII

LXIV

LXV

LXVI

LXVII

LXVIII

LXIX

LXX

LXXI

LXXII

LXXIII

LXXIV

LXXV

LXXVI

LXXVII

LXXVIII

LXXIX

LXXX

LXXXI

LXXXII

LXXXIII

LXXXIV

LXXXV

LXXXVI

LXXXVII

LXXXVIII

EPILOG

Karta redakcyjna

Copyright © Oficynka & Krzysztof Beśka, Gdańsk 2020

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie drugie w języku polskim, Gdańsk 2020

Opracowanie redakcyjne: zespół

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka

Zdjęcia na okładce: © Allusioni/Shutterstock, Yeti studio/Shutterstock,
Brendan Howard/Shutterstock

ISBN 978-83-66613-77-5



www.oficynka.pl

email: oficynka@oficynka.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek